

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/424 - 2/425 1983



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

OŚWIADCZENIE REDAKCJI « KULTURY »

T. KLEMPSKI: **WIDZIANE Z BLISKA**

CZ. MIŁOSZ: **DOSTOJEWSKI I SARTRE**

S. MROZEK: **POPIÓŁ? DIAMENT?**

ST. BRATKOWSKI: **POLSKA: ŻYCIE NA
ZAKNEBLOWANYM WULKANIE**

ST. KISIELEWSKI: **BEZSILNOŚĆ PUBLICYSTYKI**

SPIS RZECZY

—	<i>Od Redakcji</i>	3
Tymoteusz Klempski:	<i>Widziane z bliska</i>	6
Czesław Miłosz:	<i>Dostojewski i Sartre</i>	19
Sławomir Mrozek:	<i>Popiół? Diament?</i>	33
K.A.J.:	<i>Polska: Sierpień 1980 - Grudzień 1982</i>	42
Michał Heller:	<i>Teśknota za żoną</i>	50
Janusz Angerman:	<i>Brak tchu</i>	61
Piotr Guzy:	<i>Wielkie nieszczeście</i>	66

WIERSZE

Józef Baran:	<i>Lekcja wychowania obywatelskiego</i> ..	104
Jan Nepomucen Rzecki:	<i>Tato nie wraca</i>	105

K R A J

Stefan Bratkowski:	<i>Polska: życie na zakneblowanym wul-</i> <i>kanie</i>	111
Stefan Kisielewski:	<i>Bezsilność publicystyki</i>	116
—	<i>„Polak” prof. Adam Schaff</i>	136
—	<i>Noty</i>	137

ARCHIWUM POLITYCZNE

Włodzimierz Bączkowski:	<i>Aktualność strategii i taktyki Lenina</i>	139
Bohdan Osadczuk:	<i>Między Wschodem i Zachodem</i>	151
Dominik Morawski:	<i>Chadecja i socjaliści w perspektywie</i> <i>Watykanu</i>	154

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	157
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	163
(ajch):	<i>Solidarność z „Solidarnością” w Ko-</i> <i>lonii</i>	168
Z e s p ó ł:	<i>Kronika austriacka</i>	170

DOROCZNE NAGRODY „KULTURY”

—	<i>Nagroda Publicystyczna: Tadeusz Ma-</i> <i>zowiecki</i>	173
Piotr Wandycz:	<i>Nagroda Literacka: Marian Brandys</i>	176
—	<i>Nagroda przyjaźni i współpracy: An-</i> <i>drzej J. Chilecki</i>	179

KRONIKA KULTURALNA

J. P. Horzelski:	<i>Przygodne notatki o słowach</i>	180
------------------	--	-----

K S I A Ź K I

M. Broński:	<i>Polska rewia na lodzie</i>	185
Edward Możejko:	<i>Mirosław Krleża</i>	188
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„Pamiętnik Literacki”</i>	191
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	195



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	197
---	----------------------------------	-----



S. Boss, J. Lubański, M. Royall de Rogan, Wł. Bartoszew- ski:	<i>Listy do Redakcji</i>	200
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	202

DOKUMENTY

—	<i>„Wiadomości polskie”, 1856</i>	205
—	<i>Sprawozdanie z rozprawy w Sądzie Wo-</i> <i>jewódzkim w Kaliszu przeciwko</i> <i>o. Stefanowi Dzierżkowi dn. 28. IV.</i> <i>1982</i>	209

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1983

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dora Borberg, Elwood, Vic. (Australia)	F. 360,27
Dr Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 3-ci — \$ 136,00	F. 924,80
Inż. Mieczysław Bornek, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 15-ty	F. 51,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, PA (USA), po raz 30-ty — \$ 18,00	F. 122,00
Tomira Buxell, Wellesley, Mass. (USA), po raz 8-y — \$ 214,00	F. 1.455,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00	F. 280,00
Stanisław Dobroniak, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób Matki, Władysławy z Wymysłowskich Dobroniak — Ks 150,00	F. 138,00
Renata i Juliusz Działot, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz 7-my — \$ 108,50	F. 738,00
Stefan J. Giniewicz, Brownsville, Texas (USA), po raz 7-my — \$ 30,00	F. 204,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz 21-szy — zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych	F. 400,00
Halina i Krzysztof Grodziccy, Buenos Aires, po raz 5-ty — \$ 100,00	F. 680,00
Inż. Władysław Holcman, Kopenhaga, po raz 3-ci	F. 260,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz 15-ty	F. 100,00
Zbigniew i Elizabeth Inwalski, Carlsbad, CA (USA), po raz 2-gi — \$ 8,00	F. 54,40
Władysław Jarek, Victoria, B.C. (Kanada), po raz 5-ty — \$ c. 32,00	F. 176,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 14-ty	F. 100,00
Roman M. Kabara, Rutheford, N.J. (USA), po raz 2-gi — \$ 33,00	F. 224,40
Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 10-ty — Frs 35,00	F. 105,00
Alfred Kolator, Londyn, po raz 6-ty — £ 10,00	F. 110,00
Zofia i Stefan Koper, Arlington, Va — dla uczczenia pamięci Marty Erdman — prawego, szlachetnego Człowieka — \$ 25,00	F. 170,00
E. Kosmowski, Paryż, po raz 7-my	F. 160,00
V. Krociel, Le Blanc-Mesnil (Francja), po raz 2-gi	F. 60,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 5-ty — DM 30,00 ..	F. 84,00
Wanda i Jerzy Lubiejewscy, Caracas, po raz 9-ty	F. 288,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 11-ty — \$ 25,00	F. 170,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 12-ty — Frs 100,00	F. 330,00
Władysław Nowik, Spanga (Szwecja) — Ks 140,00	F. 128,80
Jan Marek Pawłowski, Bois Colombes, po raz 11-ty	F. 440,00
R.D. (RFN) — DM 200,00	F. 565,00
Zygmunt Sowa, Detroit, MI (USA), po raz 16-ty — \$ 98,00	F. 666,40
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 23-ci — \$ 38,00	F. 258,40
Marek Szapiro, Örebro (Szwecja) — dla uczczenia pamięci mgr. Grażyny Kuroń — Ks 100,00	F. 92,00
S. Szynalski, Sté-Agathe (Kanada), po raz 7-my — \$ c. 70,00	F. 385,00
L. Wawron, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 27,00	F. 148,50
Edda Werfel, Wiedeń, zamiast kwiatów na grób Marka Holzmana	F. 160,00
Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 19-ty ..	F. 165,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 5-ty — \$ 50,00	F. 340,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 222)

Od Redakcji

Dwa końcowe miesiące roku 1982 przyniosły w Polsce wyraźną zmianę atmosfery politycznej. Zmniejszyły się publiczne objawy oporu wobec władzy. Osłabła aktywność podziemnych struktur „Solidarności”. Ich przywódcy, pozostający nadal na wolności, przyznali się szczerze do popełnionych błędów taktycznych. Nacisk na władze w celu natychmiastowego doprowadzenia do rozmów i uzyskania paru ustępstw o charakterze humanitarnym (zwolnienie internowanych i więzionych) oraz prawnym (odwieszenie organizacji związkowych i innych) — okazał się i za mało mobilizujący i bezskuteczny.

Z drugiej strony okazało się, i to jest fakt podstawowy, istotniejszy od wszystkich błędów „Solidarności”, że obecna ekipa rządząca nie jest, mimo zapewnień, zainteresowana w dążeniu do rozwiązań politycznych. Innymi słowy — nie chce starać się, wspólnie z niezależnymi siłami społecznymi, o usunięcie części przynajmniej przyczyn kryzysu gospodarczego, społecznego i ideowego, który trawi Polskę od kilku lat. Świadczy o tym zignorowanie nawet bardzo kompromisowych propozycji, wysuwanych na przykład przez Radę Społeczną przy Prymasie Polski, przez Lecha Wałęsę czy przez Międzyregionalny Komitet Obrony NSZZ „Solidarność”. Oznacza to zamknięcie rozdziału rachub na „dialog” i „ugodę społeczną”; zarówno podziemna „Solidarność” jak Kościół muszą z tej odmowy reżymu wyciągnąć należyte wnioski.

Przeciwnie — ze strony władzy i jej moskiewskich poręczycieli rysuje się złowieszczą możliwość próby „rozwiązania ostatecznego”. Próby takiego spacyfikowania Polski, aby przestała już co kilka lat sprawiać Kremłowi żenujące kłopoty. Że próba taka oparta byłaby na fałszywym stosowaniu do Polaków sowiec-

1983 4 547/5

BIBLIOTEKA
BN

P.9786

ST

kich kategorii myślenia i byłaby skazana na niepowodzenie — to inna sprawa.

Władze wykazały, że nie chcą kompromisu. Społeczeństwo wykazało, że nie ma zamiaru się poddawać, że nie chce uczestniczyć w haniebnym widowisku samooszukiwania. Skutkiem jest wzajemna blokada, trwający kryzys, groźba dalszego wyniszczenia gospodarczego — dla którego sankcje ekonomiczne Zachodu mają znaczenie uboczne, niemal tylko symboliczne.

W tej mętnej a groźnej sytuacji, która potrwać może czas dłuższy, warto się pokusić o ustalenie kilku ogólnych reguł, które — naszym zdaniem — powinny dziś stanowić wytyczne dla Polaków, pragnących przywrócenia i rozszerzenia swobód w Polsce.

Jak zawsze w okresach politycznego odpływu i jak zawsze w okresach tłumienia ruchów wolnościowych w kraju — ciężar odpowiedzialności przesuwają się w stronę emigracji. Na emigrację polską spada obowiązek rozwijania niezależnej myśli politycznej i podtrzymywania ducha narodowego. Musi ona — korzystając ze swobody działania i dostępu do informacji — znowu pełnić rolę rzecznika politycznego na Zachodzie i dostarczyciela koncepcji — obok roli organizowania pomocy materialnej i moralnej dla kraju. Winna to jednak być emigracja odnowiona, maksymalnie dostosowana do obecnych okoliczności. Czas najwyższy przełamać definitywnie zastarzałe opory wobec emigracyjnej broni w walce. Coraz pilniejsza staje się potrzeba pojawienia się tutaj któregoś z czołowych przywódców podziemnej „Solidarności”, zdolnego — dzięki swemu autorytetowi — uporządkować działalność „Solidarności” zagranicznej oraz służyć efektywną pomocą polityczną zachowanym strukturalom krajowym. Coraz jaskrawsza też staje się konieczność wzmocnienia przez przybyłych z kraju publicystów i ekspertów tych narzędzi łączności, informacji i oddziaływania, jakie tu istnieją: przede wszystkim radia.

Nie wolno dopuścić do zaniku wytworzonego z takim trudem pluralizmu form działania społeczno-politycznego w kraju. Jest to zadanie równie ważne, jak trudne do spełnienia. Jawnie działające ośrodki niezależne powinny posiadać głębokie oparcie w ośrodkach i ugrupowaniach niejawnych, a także w strukturach podziemnych. Brak takiej wielopiętrowości i niezależnego życia społecznego okazał się wielką słabością lat, które poprzedziły powstanie „Solidarności”. Nie chodzi tu o wzajemne uzależnienie czy podporządkowywanie, ani też o organizacyjne związki między grupami działającymi jawnie, a grupami niejawnymi. Chodzi właśnie o rozmaitość, rozbudowę w głąb, wielopłaszczyznowość. Powinniśmy się nauczyć, i w trudnych warunkach państwa totalitarnego wytwarzać podobną wielorakość form aktywności politycznej, jaka występuje w krajach demokratycznych, gdzie nie

obowiązuje ani piramidalne uzależnienie wszystkich struktur od jednej — partyjnej czy wojskowej — ani też zasada, że wszyscy podobnie myślący zachowują się tak samo. „Społeczeństwo podziemne” jest pewnym skrótem myślowym, trudno naturalnie oczekiwać, by wielomilionowy naród zeszedł na co dzień pod ziemię. Ale w tym skrócie myślowym kryje się bardzo dla nas istotny postulat: wielomilionowy naród może, żyjąc i pracując w ramach „kraju legalnego”, zachować duchową wierność „krajowi realnemu”, którego żywym ucieleśnieniem przez półtora roku i niezatartym na zawsze znakiem stała się „Solidarność”.

Doświadczenia lat powojennych, a przede wszystkim doświadczenia ostatnich miesięcy, wykazały ponad wszelką wątpliwość i bardzo dotkliwie, że tylko istnienie podobnego głębokiego zaplecza może zabezpieczać jawnie działające stowarzyszenia, ugrupowania i struktury przed samowolą i bezprawiem, przed bezwzględny rozbiem przez władzę i przed zniszczeniem ich dobroku. Ponadto „podziemie” nie mające oparcia na emigracji — oparcia zarówno materialnego jak i koncepcyjnego — nie ma szans na naprawdę efektywne działanie. Tylko to głębokie, nieujawniające się na co dzień zaplecze może tworzyć taką osłonę, jakiej instytucjom politycznym w krajach praworządnych używają wyborcy i niezależna władza sądownicza.

A wśród wszystkich form niejawnego działania za najważniejszą uważamy dziś informowanie, kształcenie, wychowywanie i pobudzanie do myślenia politycznego. Do tego potrzebne są podziemne wydawnictwa, gazety, czasopisma, taśmy z nagraniami i książki. W tej działalności — jak od dawna — *Kultura* jest zawsze gotowa służyć pomocą.

Krótkie aresztowanie Wałęsy i okoliczności, w jakich się ono odbyło wskazują, czym dla Jaruzelskiego i jego sowieckich moco- i rozkazodawców jest komedia „zawieszenia” stanu wojennego. Reakcja rządów i środków przekazu na Zachodzie na to aresztowanie zdaje się dowodzić, że walka Polaków nie została uznana za skończoną. Do nas — w kraju i na emigracji — należy odpowiedź na pytanie, jak będziemy ją prowadzić dalej.

Widziane z bliska

Są dwa sposoby patrzenia na wydarzenia dokonującej się historii: można oglądać je z odległości, a nie oznacza to niezbędnie miary upływu czasu, tylko stopień zaangażowania psychicznego. Ten punkt widzenia jest szlachetny i wygodny: pozwala dostrzegać fakty już dokonane, już uładowane, już skamieniałe w geologiczny zapis tego co już się dokonało (choćby sam proces dokonywania się jeszcze wcale nie był ukończony). Sposób drugi to patrzeć z bliska, czując na policzkach oddech ognia, mrużąc powieki od dymu. Wówczas widzi się niezborne fragmenty wydarzeń, poszczególne klatki filmowe. Wygląda to najogólniej jak strzępki materii jeszcze żywej, jeszcze niespetryfikowanej ale także nieuładzonej i bezsensownej w swej mutacyjnej strukturze.

Historiografia preferuje pierwszy punkt widzenia: na wystudzone warstwy czasu można spoglądać bezuczuciowo, można wówczas osiągnąć taką olimpijską doskonałość, że szare komórki tracą wszelki kontakt z mozolną, zacinającą się pompą serca. Ale ja nie chcę spoglądać na historię: interesują mnie procesy wybiegające w przyszłość, wolę więc sumę doświadczeń opierać na skrawkach, ułamkach, ale dostrzeżonych w gorącym chłodzie listopada 82. I cóż z tego, że chodzi tylko o maleńki wycinek w tej cienkiej otoczce, która kotłuje się w odwiecznym nieporządku rodzenia - umierania pomiędzy arystotelesowsko uporządkowaną geologią i stoicką pustką kosmosu.

W dniach 10 i 11 listopada „Solidarność” poniosła swą drugą klęskę. Pierwsza — odniesiona zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego — nie mogła zbytnio nikogo dziwić: była naturalną konsekwencją względnie sprawnie przeprowadzonej akcji militarno-pacyfikacyjnej, przeciwstawionej chaotyczno-euforycznej ząbkującej demokracji. Druga przegrana była o wiele większa —

wbrew pozorom — ponieważ tamta wywoływała szok gwałtowny ale krótkotrwały, a ta może przeistoczyć się w psychozę bezna dziejności. Ta druga przegrana wynika stąd, że „Solidarność” zawiedli niemal wszyscy, a przede wszystkim jej masy, które poszły — z pochylonymi głowami — do swej niewolniczej pracy, a po powrocie do domu otwierano znów, jak dawniej, telewizory i włączano zagraniczne stacje, by sprawdzić, że z kilkunastu milionów pozostało jeszcze kilkanaście tysięcy gotowe ryzykować bardzo wiele, ale nie chylić czoła.

Nie oskarżam mas — te dały w ciągu ostatnich lat doskonałe świadectwo wytrwałości i głębokiej świadomości. Nie oskarżam podziemnego kierownictwa „Solidarności” i jeśli wskażę na błędy, to tylko po to, by móc stąd wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Ale jeszcze jedno pytanie: czy wolno Polakom do ich cierpień i rozczarowań dolewać goryczy, rodzącej się z refleksji? Polacy przywykli do klęsk, ale jako antidotum stosują cały system metafizycznych odniesień, strukturę, gdzie się swobodnie montuje rzeczywistość z mitem, dumę z nadzieją. Są to wszelako środki znieczulające czy wręcz oszłamiające o krótkotrwałym działaniu i szkodliwych skutkach ubocznych. Nie można niestety, nie wolno oszczędzać moim biednym rodakom końskiego lekarstwa goryczy, tego prawdziwego bólu zadawanego nie milicyjnją pałą, ale próbą sprawiedliwości wymierzonej widzialnemu światu. Podkreślam: w i d z i a l n e m u. Przyglądając się strzępkom wydarzeń z bliska muszę zrezygnować ze wszelkich spojrzeń o charakterze metafizycznym. I proszę mi wierzyć, że owa gorycz jest w równym stopniu także moim udziałem.

Powróćmy do przegranej batalii listopadowej. W moim przekonaniu spośród głównych przyczyn niepowodzenia umieścić należy zbyt odległy termin wyznaczonego strajku. Należy wreszcie zdać sobie sprawę, że przy całej magii mitów, Polacy zaczynają już wyraźnie cierpieć na inflację rocznic. W trudnej rozgrywce nie historia i astrologia decydują, ale taktyczna właściwość. Ponieważ z góry można było przewidzieć jaka będzie ustawa o związkach zawodowych, należało albo zareagować natychmiastowo, spontanicznie, albo przygotować wystąpienie bez fanfar i zapowiedzi na termin najodpowiedniejszy nie z punktu widzenia konstelacji magicznych dat, ale z punktu widzenia ewentualności (bardzo zresztą trudnej) zaskoczenia. W rezultacie wspaniały zryw robotników z Wybrzeża pozostał żałośnie osamotniony, osamotnione też zostały nieskorelowane z Wybrzeżem wystąpienia nowohuckie, a cała reszta kraju jakby przyczaiła się. Ale to nie było przyczajenie lecz zmęczenie i zwątpienie. Czas zaś nieustannie pracował na rzecz opresorów, którzy mogli spokojnie rozwinać całą kontrakcję mechaniczną i psychologiczną.

Trudno oskarżać przywódców „Solidarności”, coraz to uszczuplanych kolejnymi aresztowaniami, bez możliwości natychmiastowych wzajemnych porozumień. Należy wszelako wyciągnąć z tego wnioski: skończył się na razie okres spektakularnych wystąpień masowych i w niezwykle trudnej sytuacji inwigilacyjnej należy nastawić się na długofalową działalność konspiracyjną. Ale z kolei owa konspiracja również nie może mieć charakteru zbiorowego, masowego. Pamiętajmy pasmo nieustannych wpadek podziemia AK-owskiego w latach okupacji. A przecież wówczas wróg był z zewnątrz, podczas gdy dziś wywodzi się spośród nas. Nie przeceniając sprawności służb bezpieczeństwa, ale w pełni doceniając wymiar kar za działalność wolnościową, a przede wszystkim w trosce o skuteczność działania byłbym za bardzo elitarną aktywnością konspiracyjną: masy powinny być masowo informowane, natomiast odpowiedzialność osobistą muszą przyjąć na siebie jednostki zdeterminowane. I więcej dyskrecji, a mniej oświadczeń i fanfar. Z kolei zaś ze strony mas można się domagać jednego: pełnego zaufania do tych, którzy podejmą tę niebezpieczną działalność. Jeśli tu pozwoliłem sobie na słowa krytyki, to uczyniłem tak nie po to, by kogokolwiek z inspirujących strajk na 10 listopada oskarżać. Staram się wyciągać wnioski z przebranej bitwy, nadal deklarując pełne zaufanie dla kierownictwa „Solidarności” w podziemiu. MAMY TYLKO JEDNĄ SOLIDARNOŚĆ. Wróg jest mistrzem we wzniecaniu niepokojów, w skłócaniu i wzajemnym naszczuwaniu. Polacy mają też niestety skłonności do wzajemnych animozji, do indywidualizmu, do pieńiactwa. Pod żadnym warunkiem nie wolno dopuszczać do rozbijactwa.

W dziedzinie realiów obecnego ruchu oporu ogromną rolę odgrywa strona psychiczna. Jakże by się teraz przydał w roli eksperta znakomity specjalista w zakresie psychologii tłumu, dysponujący rozbudowanym aparatem badawczym. Nie oddawajmy się jednak marzeniom: trzeba niezbędnie obserwować reakcje zbiorowości i jednostek. Przykład pierwszy z brzegu: sukcesy odniesione przez manifestantów Nowej Huty czy Wrocławia nad zomowcami były z jednej strony bardzo korzystne: nie taki diabeł straszny z tą całą jego petardową hałaśliwością i plastikową maskaradą. Hełmy, tarcze i „środki rozpraszające” okazały się tym razem mało skuteczne i wianie doborowej kadry zomowskich osiłków było widokiem zaiste budującym, zwłaszcza jeśli poniektórzy musieli dawać drapak na gólkę. Ale nie zapominajmy, że to jednak oni są zorganizowani w systemie wojskowym, wyposażeni znakomicie i że to oni mają broń, którą dotychczas posłużyli się sporadycznie, ale którą posłużyć się mogą masowo, bo ci którzy stoją na drodze pragnień społeczeństwa są gotowi

na wszystko w obronie swych prerogatyw. Już Lenin przestrzegł przed zawrotem głowy od sukcesów.

Taktyka nieustannej, ale zdecydowanej presji, taktyka trafnego propagowania ideałów demokracji (świetnie robią to, choć nawet z błędami ortograficznymi, wydawnictwa prawdziwie robotnicze, o wiele lepiej od elukubracji intelektualnych trafiając do szerokiego ogółu) będzie na dłuższą metę skuteczniejsza od spektakularnych przepychanek z umundurowanymi gnojkami. Ważniejszy od nakopania do portek kilku zomowcom będzie zbiorowy bojkot pseudo-związków, o których tak piramidalnie głupio rozwodził się ten cały Ciosek w pierwszym listopadowym numerze *Polityki*. To zresztą znamienne: im głębiej reżym pograża się we własne wsteczność, we własny konformizm, tym większa ujawnia się obojętność wobec pozorów. Wystarczy po prostu tylko kłamać. To dobrze, bowiem dla nas pozostaje prawda.

W rachunku takiej prawdy, chociażby najbardziej gorzkim, należy przeanalizować tych wszystkich, którzy „Solidarności” (czyli społeczeństwo polskie) odstąpili, którzy jej się przeciwstawili lub w najlepszym razie pozostali jakby na boku, popełniając grzech zaniedbania. Zaczniemy od tak zwanych sojuszników. Skazani na nadmiar przyjaźni sowieckiej i na niedostatek zainteresowania ze strony krajów demokratycznych, Polacy żyją nadal w naiwnym przekonaniu, że ich sprawami interesuje się świat cały, więcej — że wszyscy chcą nam pomóc. Niczego nas nie nauczyła jałtańska zdrada Churchilla i Roosevelta oraz pełna obojętność i źle maskowane zniecierpliwienie wobec rozpaczliwych zrywów węgierskiego czy czeskiego.

Niewątpliwą prawdą jest to, że egoizm narodów jest stokroć wyższy od egoizmu jednostek. Jednostki czasem stać na niebywały altruizm czy poświęcenie — narodów w stosunku do innych — nigdy. Pomijam cały aspekt krótkowzroczności bloku atlantyckiego: na ten temat wylano już morze atramentu, który zawsze tym się odznaczał, że bardzo szybko wysychał i pętał. Zajęci od kilkudziesięciu lat samotnym bojem o naszą wolność, bojem wykazującym zygzakowaną wprawdzie ale jednoznacznie ukierunkowaną amplitudę, przesłepieliśmy nie tylko przypadki węgierski i czeski, ale zapominamy obecnie o tym, co się już od lat dzieje w Afganistanie. Nasze własne cierpienia przesłoniły nam nieporównywalnie tragiczniejszy los tego małego, zaciętego narodu, który przeciwstawia się całej potędze sowieckich wojsk — tego WIERNEGO NARZĘDZIA KGB. Owszem: wspomaga się ich finansowo, wspomaga dostawami broni, ale na Zachodzie wszyscy już chętnie chcieliby zapomnieć o tej brudnej wojnie, bo psuje ona euforię *détente*, to znaczy swobodnego handlowania z komunistami.

Trzeba pamiętać o tym, że jesteśmy na świecie sami, zupełnie sami i jeśli naprawdę możemy na kogoś liczyć, to tylko na te inne uciśnione narody bloku sowieckiego, na ten pas buforowy imperium, który może się pewnego dnia przeobrazić w pętlę dla spadkobierców cara. I dlatego przesłanie do ludzi pracujących Europy wschodniej uchwalone na Zjeździe „Solidarności” uważam, wbrew dość powszechnej opinii, za jedną z najważniejszych enuncjacji.

Moje rozumowanie opiera się nie na bogactwie czy militarnej sile tych potencjalnych sojuszników: jest wręcz przeciwnie: słowiańsko-węgiersko-bałkański tygiel jest tygłem nieustannie i nieporządnie kipiącym, złożonym z nacji nielicznych, niezupełnie dorozwiniętych, wzajemnie umiejętnie przez imperium kolonialne skłóconych. Ale jednak wszystkie te nacje należą do wspólnego pnia tradycji, należą do Europy i mimo wieków historii wciąż jeszcze są narodami młodymi. Młodymi w porównaniu nie tylko z krajami zachodnimi, ale nawet z USA, których młodość jest tak silnie obciążona śródziemnomorsko-atlantycką tradycją, nie mówiąc o zgrzybiałości Rosji, gdzie fatalny mezalians Bizancjum z mongolizmem wydał bastarda na miarę szekspirowskiej tragedii. Nie wierzy mocnym, nie wierzy bogatym, w naszej sprawie nie kiwną nawet palcem, jeśli nie będzie to po linii ich interesu. Doskonałym przykładem tego są Niemcy z Republiki Federalnej, ale nie chcę tu wypychać się w obszary furii Brukselczyka. Jeżeli już mamy komuś zaufać, to tym, którzy mają podobne naszym doświadczenia, którzy — jak my — nie mają wiele do zaoferowania, za to już nic do stracenia. Musimy zasypywać złośliwe rowy, zwalczać zastarzałe fobie, a nawet ekspiować, jak np. wobec Czechów, w pacyfikacji których wzięliśmy przecież jako państwo udział, dzięki walecznej postawie gen. Jaruzelskiego. „Solidarność” ma — twierdzą uparcie — wielką, międzynarodową szansę, ale ma ją szczególnie tu: w skolonializowanym środku Europy, gdzie ów kolonializm doprowadził do tak daleko posuniętej pauperyzacji, że stworzył jakby na przekór władcom — społeczeństwo bezklasowe o solidarnej woli demokracji. SOLIDARNOŚĆ jest PIERWSZYM NIE TYLE MOŻE BEZKLASOWYM CO PONADKLASOWYM RUCHEM SPOŁECZNYM. I to jest kierunek w którym musi zmierzać w przyszłości: w uświadamianiu owej ponadklasowości. Czyli w prawdziwie rewolucyjnej lub lepiej: ewolucyjnej formule przeciwstawiania się WSZELKIEJ politycznej strupieszkości, obojętne skąd będzie pochodzić: ze Wschodu czy z Zachodu.

W tym co napisałem zdaje się pobrzmiwać gorycz wobec demokracji zachodnich. Tak jednak nie jest — gorycz ta skierowana jest ku poszczególnym rządóm, gdy na odwrót wielka ludz-

ka dobroczynność jest wręcz imponująca. Szczególnie ze strony Francuzów, o których przecież dobrze wiadomo, że nie lubią niepotrzebnie potrząsać kabzą, gdy tymczasem wielkoduszność pomocy francuskiego *bourgeois* była wprost zachwycająca. Trzeba o tym dobrze pamiętać: z jednej strony bulą na pomoc dla nas rozmaite rządy i buliłyby jak sądzę dwakroć i trzykroć więcej, byle by już tylko te zwariowane Polaki uspokoiły się i pozwoliły zachowywać złudzenie europejskiego *status quo*, to znaczy handlowania z przepastnym rynkiem niedorozwiniętego gospodarczo sowieckiego imperium. Z drugiej jednak strony jest wspaniały zryw ludzkich serc — tej prawdziwie altruistycznej i anonimowej dobroczynności, tej pozbawionej rządów, armii i dyplomatów ludzkości, realizującej w swym małym może ale jakże serdecznym wymiarze ideę „za naszą i waszą wolność”.

Nie miejmy innym państwom za złe, że nie rzucają się nam na pomoc ze swymi dywizjami. Wszędzie poza Polską na chłódno oblicza się szansy przed każdą brzemienną decyzją. Zastanówmy się lepiej, kto u nas, kto spośród nas zawiódł w momentach prób, gdzie w naszym społeczeństwie są siły najgorsze. Otóż nie dokonują żadnego odkrycia stwierdzając, że te najgorsze siły „socjalizmu” nie tkwią w Komitecie Centralnym i w rządzie, ale w średniej warstwie PRL-owskiego *establishment*'u. Czołowym reprezentantem tej średniej jest sejm.

Nie zdziwiła mnie zupełnie szlamowatość tej instytucji partypnych średniaków, ta desygnacyjna „elita” politycznej półinteligencji, która tak żywiołowo przyjmowała żenujące brednie Przymanowskiego. Oto właśnie *leader* na miarę tej parlamentarnej parodii. Zdziwiło mnie już raczej to, że się w tym gremium znalazło przynajmniej kilku sprawiedliwych, głosujących przeciw czy wstrzymujących się przynajmniej od głosu przy najobrzydliwszych ustawach w dziejach tegoż sejmu: tej o związkach zawodowych i tej o tzw. pasożytnictwie. Jeszcze dwie, trzy takie ustawy (np. o przymusowym leczeniu psychiatrycznym) i będzie można formalnie znieść stan wojenny, bowiem takie ustawy zalegalizują terror polityczny. Jurgielt przynależności do przynajmniej średniej warstwy uprzywilejowanych jest wyjątkowo nęcący: na sejmie grodzieńskim sprzedawano Polskę carycy Katarzynie, na jesieni 1982 roku sprzedano ją partyjnemu generalgubernatorstwu, aprobowanemu przez carycę Leonidę. Jakiego, biedactwo, miała pecha, że nie mogła się tym sejmowym darem dłużej nacieszyć!

Kolaboracja z reżymem jest problemem skomplikowanym w kraju, gdzie niemal wszystko jest upaństwowione. Są jednak pewne otwarte formy kolaboracji, a co dziwniejsze — przez długie jej uprawianie — ztraca się jakby perspektywę, zaczyna się

widzieć problematykę narodową z perspektywy żabiej. Jestem z wielkim szacunkiem dla wszystkich nawróconych, do wszystkich, którzy choćby z najdłuższym opóźnieniem, decydują się jednak w pewnym momencie na nieprzeżyłkanie coraz to obrzydliwszych żab. Nie po to więc, by komukolwiek cokolwiek wspominać, lecz po to, by uświadomić żabiość perspektywy z pozoru współrzędzących przypomnę, że jeden z tych, którzy się teraz przeciwstawili bandyckiej ustawie o związkach zawodowych — temu apogeum reakcyjności sowieckiej — to był człowiek, który na sejmie zatwierdzającym *ex post* dekret o stanie wojennym zwracał się do Jaruzelskiego „... chylę przed tobą czoło, generale”.

Wszelkie spekulacje na temat twarogłowych i liberałów w PZPR (czy — per analogiam — w KPZS) są naiwną zabawą w rozwiązywanie łamigłówek z tygodnika dla kobiet. W monopartii typu sowieckiego nie ma twarogłowych czy liberałów, jest tylko negatywny dobór naturalny, który na powierzchni średniackiego szlamu wyrzuca najsprytniejszych. Dywagacje na temat czy Andropow (po stażu w KGB) będzie bardziej liberalny od Breżniewa to ulubiona zabawa snobistycznie lewicujących dziennikarzy zachodnich. Och, gdzież są niegdysiejsze śniegi Orwellów czy Koestlerów, czy nawet Malapartego?

Oficjalną reprezentacją średniego szlamu partyjnych i ich sympatyków (nie ma nic gorszego niż posłuszni i chętni do usług bezpartyjni) jest więc sejm. Zbrojną ręką jest wojsko. Tak: rozprawmy się z jeszcze jednym ukochanym mitem Polaków: mitem munduru. Nierozpieszczani przez historię staramy się zapominać o ciemnych stronach przeszłości narodowej, staramy się gloryfikować to, co nam czasem przynosiło blask zwycięstw, czy przynajmniej blask męstwa: wojsko. Jakże łatwo zapominamy o wojnach okrutnych i o niemniej okrutnych pacyfikacjach (wiadomo co wyprawiały oddziały wojewody Stempkowskiego z podejrzanyimi o udział w buncie Gonty i Żeleźniaka!). Wiadomo o dość smutnym finale napoleońskich szwoleżerów. Wiadomo też, że to wspaniałe odrodzone wojsko, które tak bohatersko zatrzymało w 1920 roku wschodnią nawałę, choć pomocy z Zachodu miało wówczas procentowo o ileż mniej niż Henryk Pobożny na Legnickim Polu, to samo wojsko zostało w roku 1926 wyprowadzone z koszar do bratobójczej walki, która tylko przez przypadek nie przyniosła większej liczby ofiar i to samo wojsko realizowało nie rządowy ale właśnie wojskowy program pacyfikacji Ukraińców w 1937 roku (*vide* obiektywne chyba wspomnienia dawnego wojewody wołyńskiego — Józewskiego w paryskich *Zeszytach Historycznych*), wreszcie to samo wojsko brało udział wraz z wojskami Hitlera w rozbiórce Czech. Powtórnie

wejście naszych formacji do tego kraju w 30 lat później było tylko prostą konsekwencją faktu, że mundur polski, podobnie jak niemal wszystkie inne mundury na świecie był kalany, był nader często kalany.

Pamiętajmy, że o wojsku decydują w polu psychiczne predyspozycje szeregowców, ale o kierunku działań decydują sztaby. Pamiętajmy, że zwłaszcza w ustrojach totalitarnych broń szeregowców niemal nigdy nie zwraca się przeciwko kaście polityków, więc o wojsku decydują politycy, a w dzisiejszym PRL najoptimistyczniej licząc 80 % kadry oficerskiej zawodowej to reprezentanci tego średniego szlamu PZPR, który stanowi o zbiorowej twarogłowości, wstecznicztwie, bezwzględności i obłudzie aparatu rządzącego. Można teoretycznie założyć, choć to w praktyce chyba niemożliwe, że na wierzchołek partii wespnie się kiedyś człowiek o prawdziwej moralności, o poczuciu obowiązku wobec własnego narodu. Nawet gdyby się tak mogło wydarzyć i tak nie przyniosłoby żadnych trwałych rezultatów: partia — poprzez swój średni szlam — szybko otrząśnie się z każdego marzyciela.

My zbyt demonizujemy SB, MO, ZOMO, ROMO i wszelkie inne przybudówki aparatu terroru, bowiem są one przy- i nadbudówkami jednego wielkiego sektora totalitaryzmu: sektora zbrojnego. Musiałoby się wydarzyć coś rzeczywiście niezwykłego, aby wojsko opowiedziało się po stronie swego narodu, a nie po stronie jego generałgubernatorstwa. Mit ułana trzeba i warto hodować w celu patriotycznego wychowania dzieci. Ja jestem za patriotyzmem. Tylko nie wolno mieszać ułanów z janczarami. Byt kształtuje świadomość — wojsko staje się takim, jakim jest państwo, a kadra oficerska należy do podstawowego średniego szlamu aparatu władzy.

Przyczyna drugiej przegranej ma jednak swe bardzo ważne źródła w Kościele polskim. Nikogo, łącznie z prymasem Głębkiem, nie oskarżam, że jest przeciwko narodowi, że jest przeciwko demokracji, że postawił na kolaborację. Niemniej stało się, że Kościół dokonał czegoś, czego dokonać nie był powinien zwłaszcza w tym określonym momencie. To się nie odstanie. A ponadto Kościół — głoszący swą ponadsekularną misję, sprzeniewierzył się temu założeniu i podjął się jakichś pertraktacji, czy dosadniej: przetargów, w imieniu społeczeństwa, chociaż — powiedzmy to z naciskiem — od społeczeństwa nie uzyskał takiego świecko-politycznego mandatu. Kościół w ciągu trzydziestu siedmiu lat okupacji sowieckiej, a przedtem jeszcze w ciągu pięciu okupacji hitlerowskiej stał zawsze przy narodzie, był jego wiernym towarzyszem w najczarniejszych godzinach. Świadczą o tym

owe listy duchownych pomordowanych przez hitlerowców i jeszcze niespisany rejestr ofiar sowieckiego terroru. Kościół był zawsze sojusznikiem moralnym Polaków i Polacy świadczyli Kościołowi wierność — niespotykaną w żadnym innym kraju na świecie. Obecnie stała się rzecz bardzo zła: wzajemne zaufanie pomiędzy Kościołem a Polakami zostało poważnie nadzarpnięte i jest to większy sukces PZPR niż spektakularna lecz pozbawiona tak istotnego znaczenia i konsekwencji wygrana nad „Solidarnością” w dniu 10 listopada.

Przestrzegałem i przestrzegam nadal: niczego nie potrzeba nam dzisiaj bardziej niż jedności i właśnie solidarności narodowo-społecznej. Jeżeli poruszam tu ten problem, jeżeli zmuszam kogokolwiek by wraz ze mną wypijał ten kielich goryczy, robię to właśnie w imię tej jedności, robię to po to, by uspokoić nieco wezbrane żalem serca Polaków ale i po to, by „kawę na ławę” wyłożyć tym, którzy posiadłszy wysokie stanowiska w episkopacie sądzą, że tym samym otrzymali charyzmaty świętości i mądrości. Tak nie jest i powinien o tym pamiętać prymas Glemp, tym bardziej że przyszedł w następstwie osobowości znacznie go przewyższającej, że więc pokory musi wzbudzić w sobie więcej niż ktokolwiek inny w Kościele polskim. Gdyby na urząd postąpił po Hlondzie... ale właśnie postąpił nań po Wyszyńskim, tak jak Macharski postąpił po Wojtyłe. I to jest szczególnie trudne i to właśnie wymaga tak wielkiej pokory, a nie wobec innych biskupów czy księży wszelkich hierarchii, ale wobec szarego polskiego człowieka.

Prymas Glemp ma kilka bardzo poważnych wad, z których jak gdyby nie zdawał sobie sprawy. Po pierwsze: nie zna dobrze języka polskiego i w swych homiliach posługuje się nim nieudolnie. To mu trzeba uświadomić i to czynię bez przyjemności, a nawet brutalnie, ale przecież inaczej waży homilia w wiejskim czy nawet miejskim kościele parafialnym niż homilia głowy Kościoła polskiego. Nie ma prawie jednej homilii w której nie byłoby nie tyle już niezdarności stylistyczno-składniowych co niedopuszczalnych niezdarności treściowych. Przypominam okropną homilię na Skałce w maju 1982 roku, przypominam niezdarność homilii wygłoszonej w Warszawie po powrocie z Rzymu i Hiszpanii, a żeby nie być gołosłownym posłużę się prawie dobrą homilią wygłoszoną na inauguracji roku akademickiego KUL. Powtarzam: wybieram właśnie jako przykład przemówienie, które jest jak na obecnego prymasa śmiałe i dość dobrze skonstruowane. Ale w tym przemówieniu Glemp powiedział: „...nie-dobrze się stało, w moim rozumieniu, w rozumieniu biskupów, w rozumieniu Kościoła — owo szybko likwidowanie związków zawodowych, w tym 'Solidarności'”. Pomijając rażącą nieporad-

ność gramatyczną, należy zapytać czy autor tych słów nie pojmuje, że zastosowawszy najprostsze sylogizmy otrzymujemy logiczny wniosek: iż dobrze by się stało, gdyby związki zawodowe (a w tym „Solidarność” — jakby to był jakiś jeden maleńki związek pośród równorzędnych partnerów) zostały zlikwidowane powoli (a więc systematycznie i gruntownie). Nie czepiajmy się jednak słów, o co w tymże przemówieniu prosił arcybiskup Glemp. Jednakże mówił później, że Kościół ma inne cele niż do-różne polityczne i że ma dość odwagi by głosić prawdę i wreszcie powiedział: „Dlatego, tak jak powiedziałem na początku stanu wojennego, będziemy czynić wszystko, żeby nie dopuścić do rozlewu krwi. Nie udało się to w pełni, jednak będziemy czynić wszystko nadal, żeby do tego nie doszło”. I w tym samym momencie zaprzeczył sam sobie, bo zabrakło mu odwagi, czy też zbyt się oglądał na co dopiero poczynione ustalenia z przedstawicielem rządu, by powiedzieć: Nie, nie udało nam się, połała się krew i przelała ją nie społeczność, ale ci co są przeciwko niemu. Na pewnym poziomie niedopowiedzenia przeobrażają się w kłamstwa. I o tym musi pamiętać każdy, kto ów poziom użył. A jeżeli już mam dopowiedzieć rzecz do końca, to skoro Prymas sam nie potrafił sobie napisać dobrej homilii niechże zleca to komuś bardziej w piórze wprawnemu. Może mieć Jaruzelski majora Górnickiego, to i Glempla stać chyba na pomocnika, byle tylko nie został nim ksiądz Orszulik!

Druga sprawa: nie tylko prymas — dotyczy to bowiem i kilku innych przedstawicieli wyższej hierarchii — chce za wszelką cenę pozyskać popularność uśmiezkami, geścikami, żarcikami i pozał się Boże gwiazdorstwem telewizyjnym. Kiedy jak kiedy, ale właśnie dziś nie należało śłać uśmiechów i niezdarnych wywiadów na fale tv. Panowie, trochę powściągliwości! To prawda — czasy się zmieniają i może książęcy styl bycia prymasa Wyszyńskiego stałby się nieco archaiczny, ale proszę tylko dokładniej zaobserwować sposób bycia Jana Pawła II: wychodzi do ludzi wprost, całym swym człowieczeństwem, ale nie oznacza to uśmiezków, żarcików i tych przymilań, które nawet ludziom o najwspanialszej prezencji nigdy nie wychodzą, bo są pewne zasady bycia w zależności od tego kim się jest: sprawozdawcą sportowym czy duchownym.

I tu dochodzimy do sprawy istotnej: owego tajnego porozumienia, które dokonane zostało pomiędzy Kościołem Polskim a PZPR. Nie obwijaćmy bowiem w bawełnę: Kościół rzucił na szalę swój autorytet i swe atuty — sprawę przyjazdu Papieża (bowiem nie jest to łaska ze strony PZPR, ale dar w momencie, gdy w przetargach ze społeczeństwem też sama partia nie ma już niczego do zaferowania... poza Ojcem Świętym).

Ma ten problem dwa aspekty: formalny i merytoryczny. Formalny: czy doprawdy nie można było powstrzymać się o kilka dni z ogłaszaniem komunikatu o rozmowach, tak by właśnie wypadło to w przeddzień niemal strajku? Pomijam wszystkie logiczne racje, pozostają przy jednym: w moim przekonaniu są rzeczy, których człowiek na pewnym poziomie nie robi. Nie robi w towarzystwie. I tym większa odpowiedzialność, gdy owym towarzystwem staje się cały naród. Kiedy ktoś zrobi czy powie coś niewłaściwego w towarzystwie, określa się to z francuska *faux pas*. W tak ogromnej skali, jak narodowa nie znajduje słownego odpowiednika.

O wiele istotniejszym problemem jest jednak to, czy Kościół Polski miał prawo, miał społeczny mandat, dokonywać jakichś przetargów, które wykraczają daleko poza sprawy czysto kościelne, czysto religijne. Zwolniono Wałęsę: to wydarzenie ważne ale w obecnej sytuacji bez konsekwencji. Może odwołany zostanie stan wojenny? Ale on i tak musiałby zostać odwołany, tak jak Wałęsa wypuszczony, ponieważ jest nieustającym blamażem reżymu. A co gorsze: reżym ten zdążył już sobie odpowiednimi ustawami zabezpieczyć legalny terror, a więc nie musi bez przerwy demonstrować gnojników z Zomo na ulicach większych miast. Zwolnieni zostaną też pozostali internowani. Dobrze, ale i oni musieliby kiedyś zostać zwolnieni. Co jednak z tysiącami uwięzionych i skazanych? Mam przyjaciół przebywających w „internatach” ale brutalnie powiem: ich los nie przejmuję mnie ani nawet w drobnej mierze tak, jak los tych wszystkich, którzy zostali uwięzieni z łaski Kiszczaka, a skazani z łaski Jaruzelskiego. To jest problem: i jeżeli zniesienie stanu wojennego nie będzie jednoczesne z pełną amnestią, wówczas w mojej ocenie okaże się, że Kościół wystrzelał wszystkie swoje atuty a nie zyskał niczego w zamian, czyli — jak to zwykle bywa z komunistami: został przechytrzony. Co zaś najgorsze: podjął swoisty *gentleman agreement* z kimś kto *gentleman'em* nigdy nie był, a po stokroć ujawnił się już ze swą niewiarygodnością i wręcz nieuczciwością. I to wszystko ponad naszymi głowami!

Stawiam ten twardy zarzut choć wiem, że po jednej stronie była z pewnością najlepsza wola i był prawdziwy patriotyzm. Ale dobrymi chęciami brukowane jest piekło, o czym duchowieństwo winno pamiętać, a patriotyzm to nie jest taki łatwy problem, to jest brzemię, a nie drobne wygody. I raz jeszcze: trzeba wiedzieć z kim się handluje. W przypadku WRON-y czy w ogóle PZPR to tak jakbyś handlował z cinkciarzem — niech cię dobra Bozia chroni byś miał z rąk wypuścić swoją twardą walutę, zanim nie otrzymasz i nie przeliczysz odpowiednika w „walucie niewymienialnej”.

A teraz — na zakończenie — refleksja bardziej ogólna i jak sądzę mimo wszystko optymistyczna. Ponieważ obie przegrane bitwy nie oznaczają, że „Solidarność” (to znaczy społeczeństwo polskie) została unicestwiona, że są to tylko epizody, które posłużyć mogą jako materiał do analizy w określaniu przyszłej taktyki oporu, zastanówmy się nad tym zagadnieniem, które wynika z ostatnich akapitów — jednym słowem nad sprawą: Polska - katolicyzm. Kościół w trudnych miesiącach stanu wojennego zrobił bardzo wiele, niósł pomoc, osłaniał zagrożonych, przeciwstawił się brutalności terroru. A przede wszystkim niósł i przekazywał społeczeństwu wolną myśl, ten skarb niewymierny i stanowiący o naszej duchowej niepodległości, której nigdy jeszcze w ciągu naszej historii nie postradaliśmy. Błędy popełnione przez Kościół są poważne, ale nie zmagają zasług. Wszelako w ich kontekście zastanówmy się nad sprawą politycznej płaszczyzny naród - Kościół.

Otóż śmiem twierdzić, że my jako naród powinniśmy nasz Kościół wyzwolić od sekularnych obowiązków, przejmując na nasze wyłącznie barki te zadania. Wówczas, jak sądzę, obywać się będzie bez nieporozumień, bez pomyłek, bez zawodów. Niech Kościół pertraktuje o nasze dusze, a nie o nasze ciała, i niech pertraktuje z Panem Bogiem a nie z mundurową kukiełką. Kościół jest nam potrzebny jak chleb i woda, ale nie w sferze czysto materialnej lecz w sferze moralnej. I pamiętajmy że nasz alians z Kościołem, a raczej to, że w ciągu wieków zbudowaliśmy taki a nie inny, więc — wspaniały choć nie pozbawiony przywar i drobnych brzydotek — Kościół polski, nie pociąga za sobą ani konsekwencji mesjanistycznych, ani konsekwencji fobijnych.

Ja jestem Polak-katolik i Polaków-katolików jest w tym kraju i na świecie zdecydowanie więcej niż Polaków-niekatolików. Co wszelako nie oznacza ani że niekatolik nie może być Polakiem, ani że katolicyzm gwarantuje jakieś szczególne prawa w polskiej rodzinie. Czas najwyższy powrócić do modelu światopoglądu otwartego, nie fobijnego, nie nacjonalistycznego, nie kruchcia-nego, nie partykularnego, zaściankowego, opłotkowego czy jakiegokolwiek. Polskość jest synonimem wolności, a ta wolność jest przywilejem każdego człowieka, więc niech Polskość znaczy wyrzeczenie się wszelkich uroszczeń, wszelkich fobii, wszelkich samoograniczeń. Mamy piękne, mamy nawet wspaniałe tradycje. Ale nie wszystkie, bowiem, jak to już parokrotnie podkreślałem i ciemnych plam na naszych dziejach sporo. Więc jeśli czegokolwiek mamy się uczyć od historii, to uczmy się od niej tego piękna i tej mocy, która nam przyświecała i zarazem wystrzegajmy się tych mroków, w które nieraz zapędziliśmy się sami.

I nie łudźmy się, że jesteśmy pod szczególną boską opieką,

bo mesjanizmy różnych odmian kosztowały nas w przeszłości zbyt wiele, gdy na Pana Boga przerzucaliśmy to wszystko, co sami powinniśmy byli zrobić. Nawet listopadowy błąd Kościoła polskiego nie powinien nas od niego oddalać, tak jak błąd taktyczny „Solidarności” w podziemiu nie powinien nas do jej kierownictwa zrażać. Jedność i solidarność jest naszym podstawowym zadaniem na przyszłość. I niezmierna cierpliwość połączona z determinacją. Nie mam żadnych wątpliwości: zwycięstwo będzie nasze, bo jeszcze nigdy w dziejach najpotężniejsza nawet zmuszałość nie ostała się wobec postępu, wobec woli wolności, wobec wiary w człowieka. A te trzy elementy są naszą i tylko naszą własnością.

Tymoteusz KLEMPSKI

Dostojewski i Sartre

Prawdopodobnie nie napiszę książki o Dostojewskim, nic jednak nie stoi na przeszkodzie, żeby opowiedzieć, jaka byłaby to książka. Nie rywalizowałbym w niej z mnóstwem gruntownych monografi i bystrych analiz poszczególnych dzieł, natomiast zakładałbym pewną wiedzę o Dostojewskim u czytelnika, oświetlając tę postać i jej miejsce w literaturze światowej nieco inaczej niż jest to przyjęte. Być może właśnie ta inna interpretacja jest przyczyną, dla której pisanie o nim książki wydaje mi się zadaniem niebezpiecznym i niewdzięcznym.

Studiując Dostojewskiego i wykładając go amerykańskim studentom, nie mogłem nie zauważyć, że pisarz ten zmienia się zależnie od tego, kto o nim mówi. Nie jest to chyba uznawane przez dostojewskologów różnych narodowości, jako że pretendują oni do naukowego obiektywizmu, mimo że ich sympatie i antypatie nie są bez wpływu na metodę ich badań i ich wywody. Dzieje recepcji Dostojewskiego w ciągu stu lat, jakie uległy od jego śmierci mogłyby posłużyć za przykład następujących po sobie mód intelektualnych i wpływu różnych filozofii na umysły badaczy. Zostawiając tymczasem na boku autorów rosyjskich, można z grubsza rozróżnić kilka faz w recepcji Dostojewskiego na Zachodzie, począwszy od *Zbrodni i kary* czytanej w przekładach już w końcu XIX wieku i wysoko ocenionej przez Nietzschego. Na ogół jednak tak zwana *âme slave*, której Dostojewski miał być wyrazicielem, była traktowana z lekką ironią, a krytyka francuska podżartowywała sobie z Soni Marmieładow, świętej prostytutki, jakby żywcem wziętej z sentymentalnej powieści.

Zwycięski pochod powieści Dostojewskiego przez kraje zachodnie w pierwszych dekadach dwudziestego wieku ma bezpo-

średni związek z odkryciem nowego wymiaru w ludziach: podświadomości, i kultu sił dionizyjskich, w których jednoczą się Eros i Tanatos. Tym niemniej opór stawiany wtedy rosnącym wpływom rosyjskiego pisarza przez takich pisarzy jak Middleton Murry czy D. H. Lawrence jest zastanawiający. D. H. Lawrence powiadał o nim, że „zdumiewająca przenikliwość miesza się u niego z ohydłą perwersją. Nic nie jest czyste. Jego dzika miłość do Jezusa miesza się z przewrotną i jadowitą nienawiścią do Jezusa. Jego moralna odraza do diabła miesza się z utajonym uwielbieniem diabła”.

Te głosy sprzeciwu ustąpiły wkrótce miejsca powszechnemu podziwowi i sława Dostojewskiego rośnie równoległe do sławy Zygmunta Freuda. Co prawda Freud, który z powodów oczywistych uważał powieść o ojcobójstwie, *Braci Karamazow*, za największą powieść kiedykolwiek napisaną, pomylił się w swojej rozprawie o epilepsji Dostojewskiego, opierając się na błędnych szczegółach biografii pisarza, jak udowodnił Joseph Frank. Freudym silnie, w ciągu dekad, działał na prace o Dostojewskim, w okresie recepcji jego dzieła, który można nazwać psychologicznym. Względnie krótkotrwała i trudna do wydzielenia była faza, kiedy badacze wprowadzali do swoich analiz filozofię egzystencji, żeby następnie zarzucić śledzenie myśli autora wypowiadającego się przez usta swoich postaci i skierować całą uwagę na artystyczną budowę niezwykłych powieści Dostojewskiego, tak niezwykłych, że pytanie, czy nie oznaczały one końca powieści w ogóle, nie wydaje się bezpodstawne.

Moi studenci okazali się bardzo pojętni, kiedy zajmowałem się psychologią postaci albo kiedy starałem się im pokazać jak wiele z intencji autora odkryła metoda badań strukturalnych. Dość łatwo też, a nawet, jak to zwykle ludzie młodzi, z uciechą, przyswajali sobie rozbieżności pomiędzy dziełem i niezbyt pojętną kuchnią, jaką jest osobowość geniusza. Natrafiali jednak na kłopoty, kiedy przychodziło do pewnych faktów. Na przykład trudno im było zrozumieć, dlaczego Dostojewski kochał władzę autokratyczną, i to nie tylko wtedy, kiedy po powrocie z Syberii zmienił się z rewolucjonisty w konserwatystę. Skazany na śmierć z grupą 21 swoich kolegów, postawiony przed plutonem egzekucyjnym i w ostatniej chwili ułaskawiony, co było komedią z woli cara, na syberyjskim zesłaniu pisze trzy ody, jedną o wojnie krymskiej, z pogróżkami pod adresem Francji i Anglii, drugą z okazji śmierci Mikołaja I, w której porównuje cara-żandarma do słońca i mówi, że nie jest godzien wymówić jego imienia („ustami griesznymi, jęwo nazwał nie smieju”), trzecią na koronację Aleksandra II. Wiersze są bardzo złe i nie należy całkowicie wykluczać ubocznego motywu, tj. chęci polepszenia

swego losu, ale zgadzają się z tym, co wiemy skądinąd o poglądach ich autora.

Ten szczegół biograficzny, jak i inne podobne, należy do strefy, gdzie drogi większości dostojewskologów przestają być moimi drogami, tj. ku czemu innemu kieruje się nasza uwaga. Dla mnie Dostojewski jest najciekawszy jako człowiek, który miał w życiu tylko jeden prawdziwy romans, z Rosją, i który Rosję obrał za prawdziwą bohaterkę swoich utworów. Mogłoby się zdawać, że psychologia jego postaci i odkrycia w dziedzinie budowy powieści czynią go pisarzem prawdziwie międzynarodowym, natomiast jego nacjonalizm, jego uwielbienie tronu i ołtarza, jego szowinistyczna nienawiść do katolików i Żydów, jego kpiny z Francuzów i Polaków zamykają go w kręgu jednego kraju. Moim zdaniem, tak nie jest, przeciwnie, im bardziej Dostojewski jest rosyjski, im bardziej ulega, z miłości do Rosji, fobiom i obsesjom, tym większa jest jego rola świadka całej intelektualnej historii ostatnich dwóch wieków. Powiedział przecież sam: *Wszystko zależy od następnego stulecia* — a daru proroczego nie da mu się odmówić.

Jedną z podstawowych lektur w rodzinie Dostojewskiego była *Historia Rosji* Karamzina i przyszły pisarz znał ją od dziecka. Dzieło to widzi źródło wielkości Rosji w niczym nie ograniczonej władzy monarchów. Kiedy Dostojewski był uwięziony w Piotropawłowskiej twierdzy, napisał zeznania, w których przedstawił swoje poglądy na monarchię, brzmiały tak szczerze, że wyłącznie chęć uratowania własnej skóry nie mogłaby ich podyktować. Według niego rewolucja we Francji była koniecznością, natomiast w Rosji nikt przytomny nie może myśleć o republikańskiej formie rządów, pamiętając o niesławnych, zdaniem Dostojewskiego, dziejach Nowgorodu. Moskwa dostała się pod jarzmo tatarskie wskutek osłabienia władzy księcia, została ocalona przez jej wzmocnienie — tak jak później siłę dał jej „wielki pilot”, Piotr Wielki.

W jaki sposób socjalista spod znaku Fouriera mógł tak pisać? Można to złożyć na karb typowego dla „dostojewszczyzny” rozwoju, bliżej jednak chyba byłibyśmy prawdy twierdząc, że dwie te tendencje, socjalistyczna i autokratyczna, współistniały ze sobą u Dostojewskiego zawsze, zmieniały się jedynie akcenty. Jego kolega z kółka Pietraszewców, Mikołaj Danilewski, przeszedł podobną ewolucję, ale jako chwalcę caratu i teoretyk panslawizmu w swoim dziele *Rosja i Europa* nie wyrzekł się socjalistycznych marzeń młodości, tylko włączał je do swojej totalitarnej doktryny.

Dostojewski myślał jak mąż stanu. W rozmowach toczonych na katordze w Omsku za najważniejsze zadanie stojące przed Rosją uważał zdobycie Konstantynopola. Dzieło jego dojrzałego wieku, poczynając od jego pierwszej podróży na Zachód, latem 1862 roku, tym się wyróżnia, że poprzednio był artystą, teraz natomiast artysta w nim i mąż stanu pracują razem. Jego książki opisują sytuację duchową inteligencji rosyjskiej, stają się kroniką jej przemian duchowych z dekady na dekadę, nawet z roku na rok. I stawiają zasadnicze pytanie: co te przemiany oznaczają dla przyszłości Rosji, czym jej grożą. Nie będzie wiele przesady, jeżeli powiemy, że jest w nich coś ze śledztwa, przeprowadzonego przez niezwykle inteligentnego sędziego śledczego, który wie czego szukać, bo sam jest oskarżycielem i oskarżonym.

Inteligencja rosyjska w powieściach Dostojewskiego dyskutuje o podstawowych problemach egzystencji ludzkiej, bynajmniej nieobcych bohaterom powieści zachodniej czy w jej osiemnastowiecznej odmianie czy też romantycznej, np. u George Sand. Nigdzie indziej jednak dyskutanci nie stawiają sprawy tak ostro i nie wyciągają tak skrajnych wniosków. Przeżywają oni w dramatyczny sposób to, co rówieśnik młodego bohatera *Zbrodni i kary*, Raskolnikowa, Nietzsche, nazwał „śmiercią Boga”. Przy czym ateizm nie jest bynajmniej prywatną sprawą jednostki, jak najbardziej interesuje on władze, ponieważ ateista z reguły staje się rewolucjonistą, potwierdzając tym drogę prekursora pokoleń inteligencji rosyjskiej, Wissariona Bielińskiego. W *Zbrodni i karze* zbrodnia Raskolnikowa ma charakter niejako zastępczy. Naprawdę marzy on o wielkim czynie rewolucyjnym, któremu usprawiedliwienia dostarczyłaby historia. Jest w swoich poglądach i aspiracjach zupełnie osamotniony: z jednej strony stoją władze reprezentowane przez oficera policji Porfirego, z drugiej lud rosyjski. Kiedy jest na zesłaniu na Syberii, współwięźniowie, prosi chłopci, chcą go zabić, bo jest ateistą. Tak więc już *Zbrodnia i kara* zawiera formułę ważną dla całej dojrzałej twórczości Dostojewskiego. Obroną i ostoją Rosji są władze państwowe oraz szczerze pobożny, jak Dostojewski wierzył, lud rosyjski, natomiast inteligencja jej zagraża. Jak zagraża, pokazała powieść *Biesy*. Pośród zdumiewających przenikliwością diagnoz w tej powieści być może najgłębiej sięga okrzyk starego wojskowego, który przysłuchiwał się rozmowie o tym, że nie ma Boga: „Jeżeli nie ma Boga, to jaki ze mnie kapitan?”. Człowiek ten uchwycił związek pomiędzy religią i źródłami władzy. Nie należy zapominać, że inteligencja rosyjska karmiła się wolterianizmem i rozważaniami o rewolucji francuskiej. A ścieżki Ludwika XVI tylko dzisiaj wydaje się jednym z sensacyjnych wydarzeń, w jakie obfituje historia, ani mniej ani bardziej ważnym od innych.

W istocie był to koniec porządku opartego na przekonaniu, że król rządzi, ponieważ jest nosicielem Boskiej sakry, a niżsi rządzą z jego upoważnienia. Odtąd należało szukać innych źródeł władzy — choćby w spisku kierowanym przez jednego człowieka, Piotra Wierchowienieńskiego, jak w *Biesach*. Powieść, która miała w intencji autora koronować jego dzieło, *Bracia Karamazow*, ma za przedmiot bunt synów przeciwko ojcu. Pojawia się przy tym pytanie czy fakt, że ojciec jest zły i niemoralny, nie obala automatycznie jego autorytetu. Iwan Karamazow odpowiada na to „tak” i obiera tę wypowiedź za podstawę buntu zarówno przeciwko ojcu jak Bogu-Ojcu. *Bracia Karamazow* są w istocie traktatem o obaleniu przez inteligencję rosyjską autorytetu Boga-Ojca, cara-ojca i ojca rodziny.

Intelektualiści zachodni, pisząc o Dostojewskim, stale zdumiewają się, że człowiek równie głęboko wnikający w psychikę swoich postaci mógł mieć poglądy tak reakcyjne. Starają się te poglądy usunąć z pola widzenia, w czym pomaga hipoteza o „polifoniczności” powieści Dostojewskiego. Pomijają jednak różnicę, jaka dzieli ich od tego rosyjskiego pisarza. Żaden z nich, w swoich rozprawach czy powieściach, nie obiera za centrum swoich zainteresowań troski o interes państwa. Przeciwnie, są oni uczuciowo po stronie tych postaci, które istniejący porządek chcą obalić. Natomiast dla Dostojewskiego Rosja jako państwo nie oznaczała tylko pewnego terytorium zamieszkałego przez Rosjan. Od Rosji zależała przyszłość świata: od tego czy zostanie ona zarażona ideami ateizmu i socjalizmu przychodzącymi z Zachodu, tak jak już została zarażona jej inteligencja, czy też carat i pobożny lud rosyjski zdołają uratować ją, powołaną do ocalenia ludzkości. Alosza Karamazow, w dalszych tomach niedokończonej powieści, miał reprezentować nowy typ działacza, pracującego w harmonii z wiarą ludową.

W swoim słowianofilskim idealizowaniu rosyjskiego ludu Dostojewski się pomylił. Nie znajdował jednak żadnej innej nadziei i dylemat przedstawiał się jasno: jeżeli „święta Rosja” nie zdoła się oprzeć, inteligencja zrobi z niej to, co bohaterowie *Biesów* zaczęli realizować w skali jednego prowincjonalnego miasta. W długich dziejach recepcji Dostojewskiego w różnych krajach, najwyżej, jeżeli chodzi o zrozumienie jego intencji, należy postawić grupę rosyjskich filozofów działających w początku XX wieku, zwłaszcza ich wypowiedzi w zbiorze *Wieczni* (1908) i *Iz głubiny* (1918). Według nich, proroctwa Dostojewskiego, te negatywne, zaczęły się spełniać. Wolno powiedzieć, że nie powinno to dziwić, skoro byli przeciwnikami rewolucji. Ale opinia spełniania się proroctw Dostojewskiego była rozpowszechniona również wśród rewolucjonistów i 1905 i 1917 roku. Wielbi-

celem powieści *Biesy* był pierwszy komisarz oświaty po Rewolucji Październikowej, Lunaczarski.

„Trudno nie widzieć w Dostojewskim proroka rosyjskiej rewolucji — pisał w 1918 roku Mikołaj Bierdiajew. — Rosyjska rewolucja jest przepojona tymi zasadami, które przeczuwał Dostojewski i których dał genialnie ostrą diagnozę. Dostojewskiemu dane było przeniknąć do głębi dialektykę rosyjskiej rewolucyjnej myśli i wyciągnąć z niej ostateczne wnioski. Nie pozostał na powierzchni społeczno-politycznych idei i struktur, sięgnął w głąb i wyjawiał tę prawdę, że rewolucja rosyjska jest zjawiskiem metafizycznym i religijnym, a nie politycznym i społecznym. Tak to udało mu się poprzez religię dotrzeć do istoty rosyjskiego socjalizmu”.

Rosjanie rozumieli polityczne troski Dostojewskiego ponieważ, jak on sam, myśleli w sposób *państwowy*, to znaczy przywiązywali wagę do następstw takiej czy innej idei, jeżeli chodzi o byt państwa, czy to antyrewolucyjnego czy rewolucyjnego. Ich zachodnich kolegów zajmowała jednostka, nie Francja, Anglia czy Ameryka. Co prawda rozpowszechniło się wśród nich w ciągu XX wieku przekonanie, że szanujący się człowiek traktuje istniejący porządek społeczny, kapitalistyczny, jako przejściowy i po cichu czeka na jego koniec. Zdumiewające podobieństwo postaw inteligencji rosyjskiej, opisanych przez Dostojewskiego, i postaw intelektualistów zachodnich sto lat później prowadzi do wniosku, że niepokój o przyszłość Rosji pozwolił mu opisać zjawisko o ogromnym wymiarze, zarówno przestrzeni jak czasu.

Termin „intelektualiści zachodni” jest niewątpliwie zbyt ogólny i narażający na nieporozumienia. Gdyby jednak wybrać postać, która by ogniskowała cechy zwykle łączone z tym terminem, znaleźlibyśmy się na pewniejszym gruncie. Istnieje taka postać: jest nią Jean-Paul Sartre, nazywany niekiedy Wolterem XX wieku. Co w nim uderza, to ta sama co u jego rosyjskich poprzedników niezwykła *intensywność* w dyskusowaniu idei. Europejski przewrót umysłowy zaczynający się w XVI wieku dotarł do Rosji ze znacznym opóźnieniem i wykształceni Rosjanie w ciągu kilku dekad przyswoili sobie idee, które w zachodniej Europie kształtowały się stopniowo, w ciągu kilku stuleci. Stąd zapewne wyjątkowa siła i jadowitość tych idei, które w dodatku nie natrafiały na dobrze rozwinięty, o rozlicznych funkcjach, organizm społeczny. Z powodów zasługujących na osobną analizę w XX wieku powstało w krajach Zachodu specyficzne *vacuum*, w którym został zamknięty intelektualista, snujący swoje koncepcje poza jakąkolwiek kontrolą ze strony pospolitych zjadaczy chleba. To tak jak u Dostojewskiego, gdzie Raskolnikow czy

Iwan Karamazow są sam na sam ze swoim rozumowaniem. Nie tylko *intensywność* zbliża Jean-Paul Sartre'a do tych postaci, również *abstrakcyjność* jego myśli.

Czyż nie dziwne, że w wolnomyślniej od dawna Francji, w kraju, który wiele widział i zasadnicze spory był skłonny zbywać wzruszeniem ramion, nagle „śmierć Boga” staje się sprawą tak podstawową, jak była kiedyś dla młodych Rosjan, pryncypialnie dyskutujących przy wódce? Bo niewątpliwie dla egzystencjalizmu francuskiego, od którego — znów analogia — następuje przejście do obowiązku akcji przerabiającej świat, jako że człowiek, detronizując Boga, sam staje się Bogiem i ma swojej odpowiedzialności dowieść działaniem.

Rozdział pt. „Sartre jako bohater Dostojewskiego” otwierałby zapewne ciekawe perspektywy. Należałoby też tutaj wprowadzić motyw pokrewieństwa pomiędzy niektórymi aspektami filozofii Sartre'a i filozofii samego Dostojewskiego. Mam na myśli przede wszystkim owo słynne „piekło to inni” Sartre'a, czyli zagadnienie stosunków pomiędzy podmiotem i innymi ludźmi, też podmiotami: poszczególny człowiek dąży do zdobycia władzy nad innymi, do zamienienia ich w przedmioty, a ponieważ patrząc na nich widzi w ich oczach tę samą chęć zamienienia go w przedmiot, inni stają się jego piekłem. Jest to dokładnie problematyka dumy i poniżenia u Dostojewskiego. Kiedy Sartre pisał *L'Être et le Néant* (w 1943 roku), nie mógł znać książki Bachtina o poetyce Dostojewskiego, gdzie rzecz jest przedstawiona dokładnie. A przecie „egzystencjalna psychoanaliza” w tym dziele Sartre'a zbiega się z wnioskami Bachtina, mimo że Sartre tych swoich związków z rosyjskim powieściopisarzem nie zdaje się być świadomy.

Specyficzne cechy życia rosyjskiego w dziewiętnastym wieku mogą utrudniać wydzielenie problemów, które zaprzętały ówczesną inteligencję, jako nadal aktualnych. A przecie Sartre, ze swoim poszukiwaniem wolności, idzie śladem *Człowieka z lochu*, a więc postaci rozpoczynającej serię wielkich filozoficznych monologów u Dostojewskiego. Z kolei heglizm wprowadzony do Francji w latach dziewięćset trzydziestych przez Rosjanina, Aleksandra Kojève, czyli Koziewnikowa i tak decydująco oddziałujący na Sartre'a, jest już w tle rozważań Raskolnikowa o wielkich ludziach, których historia rozgrzesza, jeżeli działali w jej służbie. Oczywiście, Raskolnikow, rewolucjonista zahamowany, w topografii Petersburga udzielający szczególnej uwagi placowi, gdzie dokonał się nieudany bunt dekabrystów, zrobiłby lepiej, gdyby zamiast bezsensownie mordować lichwiarzkę oddał się dziełu rewolucji, ale w latach sześćdziesiątych, kiedy odbywa się akcja

powieści, jest na to za wcześnie i należało czekać do lat 1870-tych, na postać Nieczajewa — Piotra Wierchowieńskiego z *Biesów*. Iwan Karamazow natomiast przeprowadza najbardziej zasadniczą rozprawę z niemoralnością Boga w imię prometejskich obowiązków człowieka, co jest też rdzeniem myśli i prób działania Sartre'a.

Co robić? Taki tytuł powieści Czernyszewskiego jest znamienny dla inteligencji rosyjskiej XIX wieku i mógłby też stać się maksymą dla niestrudzonej działalności Sartre'a. Był on stale w poszukiwaniu *une cause*, której mógłby oddać swoje siły. Wszystkie te *causes* łączyły się nadzieją obalenia istniejącego porządku i zastąpienia jego porządkiem innym, choć co do tego jakim — Sartre ciągle zmieniał zdanie. Jego lokowanie nadziei w coraz to nowych krajach i kolejne rozczarowania miały w sobie coś komicznego i patetycznego: Związek Sowiecki, Jugosławia, Kuba, Chiny — żeby wreszcie rozdawać ulotki na ulicy z młodymi goszystami. W tej swojej potrzebie ciągle nowych odpowiedzi na pytanie *co robić?* Sartre nie był bynajmniej odosobniony, przeciwnie, występować może jako przykład takiego samego niepokoju u tysięcy intelektualistów i półintelektualistów.

Trudno nie dopatrzeć się w tym polowaniu na *causes*, narzucone przez aktualność, fenomenu wewnętrznej pustki, która musi być wypełniona poczuciem bezinteresownego dążenia do takiego czy innego szlachetnego celu. Podobnie bohaterowie Dostojewskiego są wyrwani z tej tkaniny codziennego życia, która ich mniej rozzagniętemu otoczeniu zapewnia spokój małych dążeń i małych osiągnięć. Religia i kalendarz obrzędowego roku nie ich nie obchodzi, moralność tradycyjna jest odrzucona, bogactwo nie się jako cel jest dla nich wstrętne i nieskuteczne, pieniądze zdobyć można przez zbrodnię, zbieg okoliczności, spadek, grę w ruletkę, lichwę, nigdy przez pracę. Rosja, ta zwyczajna, podaje się pewnemu rytmowi obyczaju, oni natomiast są zamknięci w zakłętym kręgu swoich umysłów i oddają się rojeniom o swojej wyjątkowej roli jako potencjalnych zbawców ludzkości. Są dotknięci chorobą niewystarczalności życia i Dostojewski próbuje nazwać to *taedium vitae*, zwłaszcza u postaci silnych, powołanych do zaangażowania, ale z nadmiaru introspekcji do niego niezdołnych, jak Swidrygajłow czy Stawrogin.

Prawdopodobnie choroba ta, przybierająca w naszym stuleciu charakter masowy w miarę postępów wykształcenia, nie ma dotychczas wystarczająco dokładnej diagnozy. Przyczyn jej trzeba, jak się zdaje, szukać w osłabieniu percepcji bytu czy też w koncepcji bytu jako absurdu. Koszmary, jakie nawiedzają Swidrygajłowa i Stawrogina dałyby się sprowadzić do *La Nausée*, jak

nazywa się powieść Sartre'a sprzed jego licznych rewolucyjnych zaangażowań. *L'être-en-soi*, czyli cały świat pozaludzki, nie budzi u Sartre'a uczuć pietyzmu i podziwu jak dawniej na przykład choćby u Goethego, przeciwnie, napiera na niego swoim brakiem sensu i zmusza do ucieczki w sferę ludzkich działań. Jest to więc kwestia metafizyczna. Niejeden chrześcijanin dzisiejszy zdziwiłby się, gdyby mu powiedzieć, że „Wolter XX wieku” nie tylko był okazowy dla intelektualistów niechętnych religii, ale zapowiadał przemiany odbywające się wewnątrz kościołów. Gdyż jeżeli kościoły od pewnego czasu gorliwie poszukują szlachetnych społecznych *causes*, którym mogłyby służyć, dzieje się to być może dlatego, że w odczuciu i hierarchii kościelnej, i wiernych, metafizyczna strona chrześcijaństwa wyparowuje, zostawiając po sobie tylko zespół wskazań o współżyciu ludzi z ludźmi.

U Dostojewskiego przedstawiciele inteligencji albo żyją w podziemiu, albo jawnie przeciwstawiają się społeczeństwu. Ras-kolnikow nie uznaje za swoją winę zabójstwa lichwiarki i jej siostry, za winę uznaje swoją słabość, wskutek której został pokonany przez społeczeństwo. Po pierwszej, sentymentalnej fazie swego pisarstwa, kiedy bohaterami jego byli „biedni ludzie”, Dostojewski wprowadza podział na świadomych i innych, na niższym szczeblu świadomości, i tylko ci pierwsi go fascynują, aż po, ku jego własnemu przerażeniu, niemal identyfikację z Iwanem Karamazowem i jego opowieścią o Wielkim Inkwizytorze. Niestety, trzeba stwierdzić, że ów podział na wtajemniczonych i resztę jest całkiem istotny dla następców rosyjskiego rozdwojenia w naszych czasach. Być może nieostrożnością ze strony Simone de Beauvoir, towarzyszkii Sartre'a, było nazwanie powieści o ich środowisku *Les Mandarins*. Nie będzie wielkiej przesady jeżeli powiemy, że poczucie przynależności do wybranych jest bardzo podnoszące na duchu, do wybranych tj. tych, którzy przenikają sekret procesu historycznego i znają przyszłość. Łączy ich wtedy już nie wiara, ale wiedza, szczególna *gnosis*, która pozwala wydawać sądy dedukowane z rzekomo niewzruszonych przesłanek, bez troski o dotykana a zbyt przyziemną dla filozofa rzeczywistość.

Co oznacza ta szczególna mutacja bohaterów Dostojewskiego, których rysy możemy dostrzec w innym społeczeństwie i innej epoce? Jeżeli inteligencja rosyjska stała się prekursorem inteligencji europejskiej i amerykańskiej, to na jakiej zasadzie? Dlaczego eksport — bo wszystko czym karmiła się wykształcona Rosja, łącznie z wzorami literackimi Dostojewskiego, było eksportem z Niemiec, z Francji, z Anglii — dlaczego eksport przyczynił się do zbudowania takiego lustra? Przyzwyczailiśmy się uważać,

że społeczeństwa, jeżeli są do siebie podobne przez swoje formy gospodarki, ustroju, rozwarstwienia społecznego, znajdują też podobne środki wyrazu w filozofii, w literaturze, w sztuce. Przekonanie to zdaje się należeć do tej części marksistowskiego dziedzictwa, która stała się wspólną własnością. W czym jednak carska Rosja, z jej podziałem mieszkańców na kasty zapisywane w państwowych rejestrach, ze skrajną centralizacją władzy, z ogromną niepiśmienną masą chłopską może przypominać rozwinięte kraje Zachodu w drugiej połowie XX wieku? Czyżby, jak już wspominałem, aż do tego czasu nie było na Zachodzie odpowiednika rosyjskiej inteligencji, tj. specyficznej warstwy oddzielonej od pospolitych zjadaczy chleba, cierpiącej z tego powodu i wyznaczającej sobie szczególną prometejską rolę? Czy też trzeba po prostu przyjąć tezę, że idee mają swój żywot autonomiczny i że są ważniejsze niż różnice gospodarcze i ustrojowe? Gdyby tak było, rozpadnięcie się metafizycznego fundamentu i władzy i indywidualnej etyki, to co Nietzsche nazywał „śmiercią Boga”, było na Zachodzie przez długi czas i dobrze znane i przesłaniane, bo sama złożona praxis gospodarczego wzrostu odsuwała na bok takie problemy. W pewnym momencie nagle pojawiły się one na powierzchni, co zbiegło się z kryzysem parlamentaryzmu.

Działalność terrorystycznych grup w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, takich jak The Weatherman czy Symbionese Army w Stanach Zjednoczonych, Czerwone Brygady we Włoszech itd. oznacza, tak jak w *Biesach*, że zakwestionowana zostaje prawomocność władzy. Tam, w Rosji, grupa Nieczajewa, której proces dostarczył Dostojewskiemu materiału do powieści, odrzucała prawomocność władzy monarszej i całego systemu wspartego na jej sakralności. Tu, na Zachodzie, przyszła kolej na władzę powołaną w wyborach. Oczywiście, rewolucjoniści wiedzą, jaka jest „prawdziwa” wola ludu w odróżnieniu od tej pozornej, siebie nieświadomej, i działają w imieniu tej „prawdziwej”.

Fascynujące zbieżności motywacji tych grup z motywacjami, jakie znajdujemy w *Biesach* — jak też znaczne różnice, przede wszystkim ze względu na udział mass-mediów — nie skusiły bodaj żadnego powieściopisarza, co być może dowodzi, że powieść przestała reagować na wypadki z domeny życia publicznego, pograżając się w skrajną subiektywizację. Dostojewski *Biesy* pisał na gorąco, kiedy jeszcze toczył się proces grupy Nieczajewa. Jest jednak też inne wytłumaczenie tego braku zainteresowania literatury wydarzeniami o wielkiej, bądź co bądź, wadze. Dostojewski myślał o przyszłości Rosji i niebezpieczeństwie, jakie jej zagraża, myślał jak obrońca porządku, dajmy na to dobry prokurator. Powieść jego zaraz po ukazaniu się oburzyła intelligen-

cję postępową jako paszkwil na ruch rewolucyjny. Sympatie światłej opinii publicznej zwracały się bowiem ku młodym buntownikom różnego pokroju, których otaczał nimb bohaterstwa i męczeństwa, i których procesy zmieniały się w procesy wytoczone ustrojowi. Powieściopisarz, który by dzisiaj obrał za swój temat złośliwą analizę myślenia i zachowania się jakiejś grupy terrorystycznej, naraziłby się na zarzut, że jest zwolennikiem istniejącego porządku, co uchodzi za niewybaczalny grzech wśród ludzi na pewnym umysłowym poziomie. Zważmy, że uzasadnienia dla terrorystycznej działalności dostarczyły pisma filozofów, Jean-Paul Sartre'a, Herberta Marcuse i innych — zarówno działalności w skali państwa, na przykład ludobójstwa stosowanego w Kambodży przez wychowanków Sorbony, jak uprawianej przez siatki organizacji podziemnych. Trudno więc, skoro tak wielu ludzi intelektu jawnie albo po cichu sympatyzuje z terrorem, żeby zdobyli się na jego obraz wielostronny ale negatywny, jak to zrobił Dostojewski w *Biesach*. Zresztą w swoich czasach Dostojewski też musiał wyłamać się z kanonów obowiązujących inteligencję. Na próżno szukalibyśmy podobnych ujęć pod piórem pisarzy w rodzaju Czernyszewskiego. Wypada więc odejść od przyjętej opinii, jakoby geniusz zamieszkał w Dostojewskim pomimo jego poglądów reakcyjnych. Raczej odwrotne twierdzenie okazuje się prawdziwe: był wielkim pisarzem, ponieważ miał coś w rodzaju jasnowidzenia, a ten dar zawdzięczał swojej reakcyjności.

Cytowany już przeze mnie Mikołaj Bierdiajew dostrzegł u Dostojewskiego zrozumienie procesów sięgających głębiej niż stosunki społeczne i polityka. „Dostojewski znakomicie odsonił *ontologiczne* konsekwencje fałszywych idei — powiada. Dostojewski przewidział, że rewolucja w Rosji będzie ponura, okrutna i mroczna, że nie przyniesie odrodzenia ludowi. Wiedział, że wybitną rolę będzie w niej odgrywał Fiedka kryminalista i że zwycięstwą będzie należało do Szigalewa”. Oczywiście, nie możemy dzisiaj nie zapytywać siebie, czy diagnoza Dostojewskiego, poczęta z lęku o Rosję, nie zawiera przepowiedni dotyczących również Zachodu. Można z łatwością przyjąć założenie, do którego skłania zresztą ewolucjonizm, wykładany w szkołach i na uniwersytetach, że istnieją prawidłowości rozwoju historycznego i że podobieństwo postaw inteligencji rosyjskiej XIX wieku i postaw dzisiejszej inteligencji na Zachodzie należy do takich własnie prawidłowości, dając jako wynik tam upadek caratu, tutaj zbliżający się upadek ustroju opartego na wolnych wyborach. W wypowiedziach bohaterów Dostojewskiego nie było miejsca na demokrację. Raskolnikow wierzył w dyktatorskie rządy wielkich ludzi, teoretykiem grupy rewolucyjnej w *Biesach* staje się

logiczny w swojej obronie powszechnego niewolnictwa Szigalew, natomiast potężny umysł filozofa, Iwan Karamazow, obiera Wielkiego Inkwizytora za opiekuna ludzi, którzy nie zasługują na nic lepszego, bo są krnąbrnymi dziećmi i zostawieni sobie nie umieliby się rządzić. W istocie „*la volonté générale*” Rousseau nie mieści się w horyzontach tych marzycieli. W odrzynie od demokracji, utożsamianej z mieszczańską przeciętnością zgodni są oni z samym Dostojewskim, który szwajcarski kanton Uri kojarzy w *Biesach* z samobójstwem Stawrogina, a Amerykę w *Zbrodni i karze* z samobójstwem Swidrygajłowa.

Dziewiętnasty wiek na Zachodzie żyje triumfem nowej idei, ludu jako źródła władzy, skoro nie istnieje już, po ścięciu Ludwika XVI, inne źródło, nadanie przez Boga. Antymonarchizm staje się częścią wolnościowej retoryki. W Stanach Zjednoczonych, które powstały z buntu przeciwko autorytetowi króla Anglii, rówieśnik Dostojewskiego, Walt Whitman, pisze poezję jakiej nigdy nie było, poezję obywatela, równego wśród równych. Można zdumiewać się szybkością, z jaką ten cały nurt przybiera na sile i niknie, ustępując miejsca w następnym stuleciu jadowitym kpinom z wolnych wyborów i powołanych przez nie izb ustawodawczych, jak też z niezawisłego sądownictwa. Obierając Jean-Paul Sartre'a za model, znajdujemy w nim przejście do innej retoryki, retoryki Rewolucji, która ma to do siebie, że całkowicie pomija kwestię źródeł wiedzy, co w praktyce prowadzi do dyktatury nielicznych „wiedzących”, rzekomo działających w zastępstwie ludu, a poszczególne człowieka pozbawia tej ochrony, jaką dawały niezawisłe sądy.

Tak więc demokracja została opuszczona przez najbardziej reprezentatywnych intelektualistów, podobnie jak carat został niegdyś opuszczony przez rosyjską inteligencję. Wyciąganie stąd wniosków na przyszłość byłoby kuszące, łatwo tu jednak ulec oczywistościom tylko pozornym. Inteligencja rosyjska była izolowana wśród niepiśmiennych mas chłopskich, które doprowadzały ją do rozpacz jako siła inercji. Przygoda w środowisku Dostojewskiego za jego młodości ma tutaj nie tylko anegdotyczne znaczenie. Pietraszewski, założyciel kółka, za udział w którym Dostojewski trafił na Syberię, jakiś czas przedtem założył dla swoich chłopów wzorowy falanster według recepty Fouriera. Chłopi budynki falansteru spalili.

Izolacja intelektualisty w XX wieku ma inny charakter. Pismo Sartre'a *Les Temps Modernes* natrafiało na publiczność, która mogła je czytać, ale nie chciała, wolała ilustrowane magazyny, komiksy, telewizję. Powszechne dążenie do konsumpcji, postępy medycyny, *permissive society* wprowadziły zupełnie nowe

dane do rachunku, tworząc rodzaj miękkiej substancji, przeciwko której są wymierzone pióra intelektualistów i bomby terrorystów. I właśnie ta substancja wydaje się czymś trwałym, od czego nie ma odwrotu.

Niezależnie od wszelkich analogii, różnice pomiędzy Rosją Dostojewskiego i dzisiejszym Zachodem są, zaiste, zbyt poważne, także jeżeli chodzi o przeszłość historyczną poszczególnych obszarów, zawsze obecną i działającą w dniu dzisiejszym. Funkcja słowa pisanego i przenoszonych przez słowo idei była zawsze w Rosji inna niż w krajach zachodnich. Ta złożoność społecznego organizmu, która, w przeciwieństwie do Rosji, gdzie jej nie było, wchłaniała na Zachodzie i resorbowała przeróżne trucizny, nadal istnieje, przybierając, jak się zdaje, coraz to mniej ideologiczne postacie.

Odrodzenie się w XX wieku „przeklętych problemów” z którymi borykają się bohaterowie powieściopisarza z zacofanej Rosji urąga wszystkim co wiemy o „prawidłowościach historii”. Być może więc szukanie znaków jutra w tak nieoczekiwanym zjawisku byłoby mnożeniem paradoksu przez paradoks. Tym niemniej nie ma nigdzie takiego opisu podstawowych napięć i konfliktów XX wieku, jak w Legendzie o Wielkim Inkwizytorze Dostojewskiego. Rosyjscy wielbiciele pisarza uważali ten tekst za równy siłą Ewangelii i Objawieniu św. Jana, czyli tak głęboko sięgający w sedno kondycji ludzkiej, że nigdy nie straci aktualności. Jednakże jego apokaliptyczne rysy mogły tylko razić w wieku, kiedy tekst został napisany, w wieku nieapokaliptycznym, przeciwnie, pełnym wiary w Postęp. Co pierwszym czytelnikom wydawało się tylko przerażającą i niejasną fantazją, dla nas nabrało dobitności rzeczy dotykanych. Gdyż Wielki Inkwizytor w tej przypowieści występuje jako ten, który wie, że człowiek nie umie być wolny, że jest czcicielem bogów, a jeżeli nie ma bogów, to kłania się idolom i w ich imię jest zdolny do największych okrucieństw. Człowiek pożąda autorytetu i boi się wolnego wyboru. „On jest słaby i podły — mówi Inkwizytor. — Cóż z tego, że teraz wszędzie buntuje się przeciwko naszej władzy i dumny jest ze swego buntu? To duma dzieci, które się zbuntowały w klasie i wyгнаły nauczyciela. A przecie nadejdzie kres upojeniu dzieciątek i będzie ono drogo je kosztowało. Zburzą świątynie i krwią zaleją ziemię. Ale przekonają się wreszcie, głupie dzieci, że choć są buntownikami, są buntownikami bezsilnymi i że nie potrafią wytrwać przy swoim buncie”. W tym sformułowaniu zawiera się tak wiele, że tekst staje się prawie niemożliwy do rozwikłania: Dostojewski jako zwolennik władzy autokratycznej cara i przeciwnik rewolucjonistów niepostrzeżenie przechodzi w Dostojewskiego, który ma pretensję do

Chrystusa za to, że nie zaprowadził Królestwa Bożego na ziemi. Najważniejszym chyba wnioskiem legendy jest stwierdzenie, że ludzie są zbyt nędzni, żeby mogli wznieść się ponad prawa Natury, ta natomiast jest pod kontrolą „wielkiego ducha niebytu” czyli diabła, toteż kto chce ludźmi rządzić, musi powziąć taką decyzję jak Wielki Inkwizytor, tj. z nim współpracować.

Czesław MIŁOSZ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

TEKSTY I PRETEKSTY

Zbiór esejów
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.

TOM 342 — JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

Szkice, wspomnienia, opowiadania
Część I — Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA.
Część II — TUMULT I WIDMA.
Część III — LUDZIE I KSIĄŻKI.

Str. 352.

Cena F. 85,00.

Popiół? Diament?

1.

Jestem wychowankiem Polski Ludowej. Nie od dziecka, ale prawie. Ukończyłem szkołę średnią (matura) w 1949. Rok przedtem czytałem ówczesną nowość i największe wówczas wydarzenie literackie, które zresztą nie przeminęło, lecz okazało się nieśmiertelnym dziełem polskiej literatury. To znaczy — nieśmiertelnym do dzisiaj, ponieważ do dzisiaj jest wydawane w ogromnych nakładach jako lektura szkolna, czyli obowiązkowa, i jednocześnie jako lektura nieobowiązkowa, lecz spontanicznie poszukiwana przez każdego czytającego Polaka w każdym kolejnym pokoleniu. Rzadki wypadek, może jedyny, kiedy powieść napisana po wojnie i opublikowana przez władzę ludową weszła do wspólnej skarbnicy: do skarbnicy państwowego nauczania i autentycznej świadomości narodowej.

Miałem więc osiemnaście lat, kiedy przeczytałem powieść Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament”. Jeszcze nieufny wobec propagandy Przemian i Nowego, zostałem postawiony wobec niespodzianki. Mianowicie wobec faktu artystycznego, który jednak wyrastał z faktów politycznych. Oto konfrontując Stare z Nowym autor podnosi polskie konflikty do poziomu polskiego losu, ten zaś syntetyzuje i nadaje mu wymiar tragedii. Czyli od poziomu aktualności do poziomu rzeczywistości, tę zaś z kolei wyżej — do poziomu historii, a stamtąd — do poziomu sztuki.

To było przekonujące i zrobiło na mnie duże wrażenie.

Po raz pierwszy Nowe ukazało mi się nie jako propaganda, ale jako element sztuki, zaś sztuka bardzo wiele dla mnie wtedy znaczyła. Więcej niż życie, ponieważ życia bardzo pragnąłem wszystkimi siłami mojej młodości, ale życie nie bardzo mnie

chciało. Sfrustrowany społecznie (pochodzę z bardzo drobnego mieszczaństwa w pierwszym pokoleniu, z drobnego chłopstwa w poprzednich), seksualnie (źle mi się wiodło pod tym względem jako dorastającemu chłopcu) światopoglądowo (bo już narastał we mnie bunt przeciwko wszystkiemu, co mnie zrodziło i wychowało, bunt na razie bez kierunku, a więc nihilistyczny), gdzie ja biedny miałem szukać schronienia, jak nie w sztuce. Ona przyjmie każdego, każdy może czytać książki, nawet kiedy nie może nic innego.

Wkrótce jednak trafiło mi się lepsze schronienie. Lepsze, bo pozornie będące życiem samym, w dodatku wcale nie wykluczające sztuki. Na wiosnę 1950 roku doznałem olśnienia: Nowe ukazało mi się jako wyjście z mojej wszechstronnej pułapki ku życiu, którego tak pragnąłem, a od którego czułem się tak pod każdym względem odsunięty. Dano mi pierścień magiczny, różdżkę czarodziejską, zaklęcie, które rozwiązało mój kryzys i zastąpiło go poczuciem wszechmocy i wszechwiedzy. Jest rzeczywiście coś magicznego w tym, jak totalitaryzm zamienia nieszczęsnego, niedouczonego, sfrustrowanego, zabiedzonego gówniarza w mędrca i giganta. Oczywiście tylko w jego własnym samopoczuciu, ale czy własne samopoczucie nie jest wtedy dla niego — na razie — jedyną rzeczywistością? Jest coś niesamowitego w szczęściu, jakiego doznaje każdy, kto zażyje owego narkotyku, przynajmniej w pierwszej fazie po zażyciu. Byłem samotny, a oto jestem bratem całej postępowej ludzkości. Czułem się głupi, a oto mam klucz (oręż marksistowski, uniwersalny, a dziecinnie prosty w użyciu) do całego gmachu myśli ludzkiej i wszystkich jej zakamarków. Z nieskończonych wyżyn prawdy absolutnej patrzę na cały świat, zarówno na kulę ziemską jak i na najdrobniejszą mrówkę. Byłem słaby i upokorzony, a oto moja siła jest bez granic. Co się zaś problemów seksualnych tyczy, to wprawdzie marksizm-leninizm nie rozwiązuje ich od razu, ale *primo*: pozwala je umieścić we właściwej perspektywie, to znaczy daleko za priorytetem walki o lepsze jutro ludzkości i ruchem wielkich pieców, *secundo*: panująca propozycja ideologiczna, jeżeli przyjęta, jest automatycznie obietnicą kariery, zaś samczyk, który idzie w górę ma więcej szans (znaczenie, pieniądze, rozgłos) niż samczyk, który siedzi w dole.

Prawie z dnia na dzień pokochałem Józefa Stalina. Z siłą dokładnie równą tej, z jaką przedtem nienawidziłem siebie. W praktyce wyraziło się to objęciem posady najpierw reportera, a później publicysty w *Dzienniku Polskim* w Krakowie, z zasięgiem aż po Rzeszów. Tam to dawałem wyraz mojej miłości na piśmie, najpierw gwałtownie, potem stopniowo zwalniając. Miłość trwała około trzech lat, z grubsza biorąc, bo łatwo jest zapamiętać datę,

kiedy się pokochało, ale trudno kiedy się przestało. Zakończenie rozwleka się w czasie. W każdym razie pamiętam prześliczny, słoneczny i błękitny dzień, kiedy ogłoszono, że w ślad za Józefem Stalinem umarł Bolesław Bierut, jego namiestnik i odbitka na Polskę. Piliśmy wtedy „Pod Gruszką”, zaczęliśmy w południe, nikt tego nie wyznał, ale była w nas, w powietrzu, w tej niebieskości i słoneczności radość, radość... nie tylko i nie przede wszystkim z powodu pięknej pogody. A może się myłę, że w nas? Wolę i mogę właściwie mówić tylko za siebie, we mnie była. Piłem, żegnając bez żalu siebie jakim byłem i witając z radością siebie jakim będę. Jakim — tego oczywiście jeszcze nie wiedziałem, ale była to rozkoszna niewiedza, bo w każdym razie już nie takim, jak przedtem. Wciąż byłem przecież młody, bardzo młody i... — jak teraz już wiem, a wtedy przeczuwałem — wiele jeszcze miałem przyszłości przed sobą. Więc piłem po prostu za życie, które mnie jednak jakoś odnalazło i które otwierało się przede mną szeroko.

Parę lat później „Popiół i diament” znowu odegrał rolę w mojej umysłowej i duchowej biografii. Tym razem w postaci filmu pod tym samym tytułem, co powieść. Zresztą film jest znany i już nie tylko w Polsce, bo z klasycznego dzieła polskiej kinematografii stał się tymczasem klasycznym dziełem kinematografii światowej. Pamiętam mój stan po wyjściu z kina, nie tylko mój, ale wszystkich, którzy ten film widzieli. Poczucie, że wzięło się udział w czymś wyjątkowym, co zdarza się tylko raz na wiele lat. Byłem przejęty i wstrząśnięty. I rozglądałem się dokoła, jakby rzeczywistość była przemieniona.

Tym razem to nie tylko sztuka. Był okres „odwilży” po polskim październiku 1956 i świat nie był już dla nas tak szczelnie zamknięty jak przedtem. Zakotłowały się w nas Kafki, Hemingway, Camusy, Faulknerzy, Becketty, Sartry i Ioneski w oszałamiającym, pośpiesznym pomieszaniu i poplątaniu, z którego tak naprawdę mało kto co rozumiał, czy choćby pojmował (to było niemożliwe, zważywszy okoliczności) ale które wszyscy potężnie odczuwali i przeżywali. Świat, czyli Zachód, nie był już baśnią i zaczynał nam dawać widome znaki, że jest. Witaliśmy je, jak może powitamy kiedyś na ziemi pierwsze pojazdy kosmiczne z innych planet, świadczące namacalnie i naocznie, że inne cywilizacje istnieją naprawdę, a nie tylko w mitach. (Tego absolutnego zamknięcia przedtem i tego nagłego otwarcia potem, skutków jednego z drugim — nie mogą już sobie wyobrazić następne pokolenia). Tak, ale to wszystko od nich ku nam, ale my — co mieliśmy do zaoferowania? Tylko jedno: nasze wschodnie doświadczenie, którego — i tylko tego jednego w nas — oni byli ciekawi. Tak, ale w jakiej formie mieliśmy im to

dać? Filmu „Przygoda na Mariensztacie”, albo „Piątka z ulicy Barskiej”? I nagle ten film Wajdy sprawił, że poczułem się równy tym na Zachodzie. Głęboki i pełen tragicznej urody, pojedynczo ludzki, a jednocześnie ogólnie historyczny, nie gorszy, nie mniej atrakcyjny za pośrednictwem Zbigniewa Cybulskiego niż James Dean, czy Humphrey Bogart, a w dodatku swój własny, ja, Polak.

Tak więc „Popiół i diament”, najpierw jako książka, potem jako film wszedł w mój organizm psycho-umysłowy, zjednoczył się z nim, zapadł w moją podświadomość. Tak samo, jak u milionów już chyba Polaków, bo już przez trzydzieści pięć lat — czytelników tej książki i przez dwadzieścia pięć — widzów tego filmu. I nie myślałbym już o nim, jak się nie myśli o swoim własnym krwiobiegu, gdyby nie nadszedł rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy i drugi.

2.

Od trzynastego grudnia ubiegłego roku nie można uciec od obrazu, w którym jeden człowiek ucieka, a drugi go goni. Ten pierwszy jest bez broni, w cywilnym ubraniu, ten drugi uzbrojony i w mundurze. Czasem ten drugi strzela do pierwszego, zabija go albo rani, zaś zawsze bije go pałką, nawet wtedy, kiedy ten pierwszy już leży i nie może się poruszać. Obraz powtarzający się ciągle, z monotonią tym bardziej dotkliwą, że obraz tego rodzaju zazwyczaj kojarzy się z wyjątkowością i sporadycznością, a nie z regułą, jednostajnością i powtarzalnością. Może ta powtarzalność, sprzeczna z naturą obrazu sprawiła, że w mojej podświadomości zaczęło się coś poruszać i mnie męczyć. Parę jednak dni musiało minąć, zanim to coś wynurzyło się z mojej podświadomości i krzyknęło swoje imię, ale za to, wtedy, przedstawiło się i dało rozpoznać od razu, w ciągu sekundy. Ależ tak! Ja to przecież już skądś znam, ja przecież już to gdzieś widziałem! Skąd? Gdzie? Z książki, z filmu, z „Popiołu i diamentu”.

Tak przecież kończy się i książka i film. Człowiek ucieka, drugi go goni, strzela, zabija. Pochyliła się nad zabitym. I teraz nawet pamiętam, co mówi (w książce). Mówi: „Człowieku, po coś uciekał?”

Szczególne pytanie. Szczególna pamięć, która po trzydziestu pięciu latach, jakie minęły od lektury zachowała z całej książki tylko to jedno zdanie. Jedno, ale za to najważniejsze, bo ostatnie, zamykające dzieło, a więc klucz do całości. Zdanie-przesłanie, konkluzja i wniosek.

Istotnie, dlaczego uciekał? Sięgnąłem więc po książkę i przeczytałem ją po raz drugi. Oto, czego się dowiedziałem, a raczej co sobie przypomniałem, bo przecież czytałem już tę książkę kiedy miałem osiemnaście lat.

Rok 1945, koniec wojny. Polska jest zniszczona i wypalona. Także ideologicznie i moralnie. Powszechnie, ludzkie bankructwo. Brak nowych idei, projektów, chęci do życia nawet. Pustynia. Dlaczego tak jest? (w książce). Ano, żeby na tle aż takiej pustyni tym jaśniej, tym piękniej ukazał się jedyny kwiat, zapowiedź bujnej i ożywczej roślinności, życia nie tylko nowego, ale też innego niż to, które uległo zniszczeniu, a w ogóle to jedynego prawdziwego życia, a mianowicie: komunizmu.

W Polsce nastaje więc władza ludowa. Nastaje nie dlatego, że chce nastać, nie dlatego, że to lubi, tylko dlatego, że pragnie jej lud. Lud polski, nawet jego nieświadomiona klasowo, ideologicznie część — instynktownie łaknie władzy ludowej, bo wie, co dla niego dobre. Więc władza odpowiada tej potrzebie ludu i nastaje, dlatego też nazywa się ludową. Dowód, że robi to bezinteresownie, a nawet wbrew własnym interesom osobistym: nastając, naraża się nie tylko na trudy, ale także na niebezpieczeństwa, bo klasowy wróg ludu strzela do władzy ludowej. W dodatku podle i tchórzliwie, bo z za węgla. Giną liczni jej przedstawiciele. Ginie stary komunista, Szczuka, najszlachetniejszy, najbardziej rozumny, ten, który dla ludu, dla narodu, dla sprawy — poświęcił wszystko jeszcze za żywota.

Kto strzela? Maciek Chełmicki, młodzieniec, też szlachetny, ale oszukany. On też chce dla Polski dobrze, jak Szczuka, ale niestety, chce dobrze w niedobry sposób. Bo oszukał go ideologicznie klasowy wróg ludu, omamił i użył jako morderczego narzędzia. Na tym polega tragedia. Bo zarówno morderca jak i jego ofiara chcą tak samo dobrze, tyle że ofiara chce dobrze, a morderca chce dobrze źle. Zabiwszy ucieka. Zostaje więc zastrzelony przez ludowego żołnierza, obrońcę uciśnionej władzy. Gdyby nie uciekał, a poczekał, czy nic złego by mu się nie stało? W zasadzie nie, bo zasłużona kara nie jest krzywdą, ale pokutą, odkupieniem winy, czyli odkupieniem zła, czyli dobrem. Stąd zapewne pytanie: „Człowieku, po coś uciekał?”. Ale to pytanie należy rozumieć w jeszcze szerszym znaczeniu. „Człowieku, po coś uciekał” nie tylko przed łufą, ale po coś uciekał przed Dobrem i Prawdą jakie niesie Nowe? Dlaczego nie otworzył oczu przed tą Prawdą, a serca przed tym Dobrem? Dlaczego goś pozwolił, żeby nadal władało twoim sercem i umysłem złe i kłamliwe Stare?

Odłożyłem książkę i zacząłem myśleć. Oto, co pomyślałem.

Po pierwsze: ta sama władza ludowa, co wtedy nastąpiła, trwa w Polsce do dzisiaj w nieprzerwanej ciągłości. Tę ciągłość podkreśla, co chwila obchodzi ją uroczystości i chlubi się swoimi początkami. Trwa w tej samej swojej, niezmiennej i niezachwianej istocie, czym również się szczyli i co każe innym czcić i podziwiać. W konsekwencji ten sam żołnierz ludowy, który gonił Maćka Chełmickiego, zastrzelił go i zadał mu potem filuterne pytanie, goni teraz i strzela, jeżeli nie bije tylko pałą — swojego rówieśnika w cywilu. Czyli „Popiół i diament dwa”, który — gdyby autor chciał współczesnić swoją powieść — powinien mieć następujące zakończenie: *„Zomo goni człowieka. Dogania go i bije pałą. Kiedy człowiek przestaje się już ruszać, Zomo pochyla się nad nim i... (tutaj cytuję ostatnie zdanie tej książki, ostatnią linijkę — dosłownie) ... Człowieku! — zawołał z żalem. — Człowieku, po coś uciekał?”*

Dlaczego więc to pytanie brzmiałoby w tak współczesnionej, ale w swej istocie niezminionej książce — jak szyderstwo, a w tej wersji jaką czytaliśmy i czytamy — tak nie brzmi? Dlaczego, jeśli obraz, sytuacja i okoliczności są takie same? Coś tu się nie zgadza. Bo jeżeli dzisiaj jest coś tak samo jak wtedy, to dlaczego zakończenie książki o tym wtedy nie razi nas jako cynizm, obelga i szyderstwo, jak raziłoby nas w tej samej książce o dzisiaj tym samym co wtedy, ale przeciwnie — wydaje się podniosłym zakończeniem literackiego dzieła? Dlaczego tak słusznie i naturalnie wynika z całej kompozycji i treści utworu?

Nasuwa się tylko jedna logiczna odpowiedź, a mianowicie, że książka jest kłamliwa. To znaczy — kłamie na temat Polski przed trzydziestu ośmiu lat.

Wobec tego, żeby dowiedzieć się prawdy, należy tej książce, jej tezom, założeniom i pewnikom postawić kilka pytań.

Czy rzeczywiście władza ludowa powstała, bo chciał jej lud — czy też została nam przyniesiona i narzucona przez Armię Czerwoną?

W tej książce Armia Czerwona przesuwa się przez ziemie polskie dyskretnie, krokiem elfów, czyli leśnych duszków. Nie tylko nam żadnej władzy nie przynosi i do niczego się nie wtrąca, ale sama ledwo istnieje i to wyłącznie w formie ilustracji muzycznej. Bo kiedy toczy się akcja i kiedy tylko Polak z Polakiem mają swoje sprawy, ją tylko słysząc w tle jako dźwięki najpierw harmonijki ustnej, potem harmonii ręcznej, później bałajki i wreszcie, żeby realizmowi historycznemu stało się zadość, słysząc także z domu, gdzie kwaterują jej żołnierze, nieuniknioną „tęskną pieśń stepową”. Tylko w scenie, kiedy opalają się nad rzeką, również zresztą należąc do krajobrazu, a nie do akcji, siedzą, a raczej leżą cicho, to znaczy nie śpiewają i nie grają.

To wszystko i ma się wrażenie, że ową tęskną pieśń śpiewają niewinne chłopięta, które, gdyby na ten temat przy nich rozmawiano, otworzyłyby szeroko oczęta i zapytały: „Cio to jest NKWD?”.

No dobrze. Czy więc władza ludowa najpierw powstała, a dopiero potem wyrosło jej zbrojne ramię, czyli Urząd Bezpieczeństwa (bezpieczeństwa dla ludu, mówiąc językiem oficjalnym, a mówiąc po prostu — Tajna Policja Państwowa) i wojsko, czy też odwrotnie: najpierw było zbrojne ramię, a reszta ciała dorosła mu potem?

Czy rzeczywiście władza ludowa ograniczyła się tylko do tego, że oddała to zbrojne ramię do dyspozycji ludu, który spontanicznie powstawszy przeciwko wyświadcaczom nie miałby bez tego ramienia żadnych szans, bo był bezbronny, a wyświadczacze mieli do swojej dyspozycji AK, czyli podziemną Armię Krajową wywodzącą się w prostej linii z organów ucisku i represji kapitalistycznej Polski przedwojennej?

Co to było, to polskie podziemie podczas wojny i po wojnie? Czy oprócz oddziałów rzeczywiście prawicowych i antykomunistycznych, które rzeczywiście mordowały komunistów, czy oprócz zdegenerowanych watażków jak osławiony Ogień na Podhalu, którzy mordowali go popadło — z jednej strony, a komunistyczną grupką AL — z drugiej strony, nie było w Polsce nikogo, kto walczył z Niemcami nie będąc ani faszystą i bandytą, ani też marksistą-leninistą-stalinistą? Czy w milionowej Armii Krajowej, głównej sile polskiego ruchu oporu, byli wyłącznie ludzie, którzy marzyli o powrocie do Polski dokładnie takiej, jaka była przed wojną? Czy nie było w Polsce tradycji i ugrupowań demokratycznych, socjaldemokratycznych i socjalistycznych (co wtedy nie znaczyło wcale: komunistycznych)?

Owszem, autor wspomina o jednym takim. Z tradycji PPS (Polska Partia Socjalistyczna). Nazywa się Kalicki. „Świat, w który tamten człowiek wierzył, należał do przeszłości. Dawno minęły czasy, gdy ów świat służył był wolności. Historia poszła dalej, lecz tego Kalicki zdawał się nie dostrzegać. Czas się dla niego zatrzymał, a historia powtarzała niezmiennie jedno doświadczenie. Więc cóż mu miał mówić? Tłumaczyć, że kraj, który dla rewolucji poświęcił całe pokolenie, teraz, gdy przyszło mu płacić za wolność krwią najlepszych synów, walczył o coś więcej jednak niż o własne granice? Siła, w której ludzie zagubieni jak Kalicki dostrzegali tylko zaborczy i brutalny imperializm, dla niego była wzniosłym symbolem światowej walki o lepszy i sprawiedliwszy porządek. Jak na najdalej podczas wojny wysuniętym przyczółku mostowym żądano w tym kraju od ludzi bezwzględne wypełniania najtrudniejszych zadań. Żądano

heroizmu, pokory i posłuszeństwa. Jeśli więc słabi i wątpiący odpadali, inaczej być nie mogło. Na przyczółku mostowym nie ma miejsca dla słabych i wątpiących. Gdy toczy się walka, trzeba nieraz poświęcać życie wielu ludzi, aby uratować życie milionom. Na przedpolach Moskwy i Leningradu, wśród ruin Stalingradu uczyniono to. Uratowano miliony żyjących. Czy o tym miał mówić Kalickiemu? Wśród gwałtownych i krwawych przemian wstrząsających światem od wielu lat, Związkowi Radzieckiemu przypadła w udziale służba najcięższa i domagająca się największych ofiar. Ten kolos, oskarżany o imperializm i zaborczość, służył w istocie wszystkim uciemnionym i skrzywdzonym, służył ludziom i narodom. Czy tę swoją i swoich towarzyszy prawdę miał powiedzieć Kalickiemu, który kiedyś także służył był uciemnionym i skrzywdzonym?" (Z monologu wewnętrznego towarzysza Szczuki).

Tak więc nawet ten jeden do niczego się nie nadaje, został skreślony przez Historię. A poza tym jednym nie ma nikogo, bo tylko sami sługusi londyńskiego Andersa. Czyli według książki — po odejściu Niemców, a gdyby nie przyszli Rosjanie, nie było w Polsce ludzi, którzy by mogli i umieli stworzyć nową państwowość nie będącą ani kopią Polski przedwojennej, ani aneksem ZSSR. Według tej książki — Polska w 1945 składała się tylko z durniów, oszustów, morderców, błaznów, zdegenerowanych inteligentów (przedwojenny sędzia, a podczas wojny kapo w obozie koncentracyjnym, doktor — nihilistyczny samolub, adwokat — kretyn katolik „o byczym karku” bełkocący coś o „zachodniej, prawdziwej demokracji”) i głupkowatych hrabiów — czyli przedstawicieli i obrońców Starego (ów polonez tańczony przez kreatury i karykatury — piękna scena, zwłaszcza w filmie), oraz ze szlachetnych i mądrych komunistów, czyli przedstawicieli i nosicieli Nowego. W tle zdrowy lud i otumaniona młodzież.

Ach, ten lud Pana Andrzejewskiego... „Las sztandarów. Pod ich czerwienią milczący, skupiony tłum. Twarde, spracowane twarze (twarzami pracowali, czy co?). Starzy, Młodzi... Ciężcy, kanciaści... Ich prostacze, szare mimo opalenizny, utrudzone twarze wydawały się w masie tak do siebie podobne, jak gdyby samo życie, niosące wspólność pracy i wspólność trudów, złożyło je w ciągu lat tymi samymi rysami siły i uporu. Stojąc jeden przy drugim, ciasno stłoczeni ramię przy ramieniu, skupieni i milczący, nie różnili się od siebie wiekiem, wzrostem, ubraniem. Byli jedną, zwartą i ogromną masą”.

Ja jednak daję słowo honoru, że mój stryj Andrzej, monter od telefonów, różnił się od stryja Kazka, parobka we wsi Porąbka Uszewska, ten zaś był różny od stryja Jana, „fizycznego”,

czyli od noszenia paczek na kolei. Nigdy ich jakoś nie pomyliłem, może dlatego, że nie wydawali mi się „masą”.

Więc jak to było z tą Polską. Ta przedwojenna — czy skończyła się dopiero w 1945, dzięki władzy ludowej, czy już w 1939, na skutek swej własnej klęski, upadku i kompromitacji. Bo ja pamiętam, że po klęsce wrześniowej wszyscy wiedzieliśmy jedno, przynajmniej u mnie, to znaczy u zwyczajnych ludzi. Myśmy wiedzieli, że Polska znów będzie, ale nie taka sama jak przed wojną. I tylko jedno nam nie przyszło do głowy, a mianowicie, że będzie to Polska komunistyczna.

Więc co się działo w tej Polsce po wojnie. Czy naprawdę następną wojną, domową, którą zaczęli polscy faszyci napadając na polskich komunistów? Czy też rozpacziwa, beznadziejna, konwulsyjna samoobrona narodu przed nową okupacją i dalszą utratą niepodległości, tym razem na rzecz wschodniego, nie zachodniego mocarstwa. Kto zaczął, kto kogo gonił i kto przed kim uciekał i dlaczego. Czy naprawdę każdy, kto się ukrywał i uciekał przed władzą ludową miał na sumieniu komunistę, którego napadł i zastrzelił, czy tylko Niemca, któremu nie pozwolił się zabić. Ilu było ściganych tylko za to, że przez pięć lat walczyli z Niemcami nie jako komuniści, ale jako Polacy bez żadnych ideologicznych motywacji. Ilu zaszcuto, uwięziono, zamordowano — tylko dlatego, że byli objęci szerokim planem likwidacji wszystkiego, co było i mogło być Polską niezależną. Ilu było takich, którzy musieli uciekać, bo już z góry byli za to i dlatego właśnie skazani. Którzy, gdyby ich wtedy zapytano — w rzeczywistości, a nie w książce — „Człowieku, po coś uciekał?” — odczuliby to pytanie jako cynizm, obelgę i szyderstwo.

3.

Nie jestem ani historykiem, ani krytykiem literackim. Jestem starzejącym się panem, który już odczuwa potrzebę, żeby porachować się ze swoim życiem. Nie mogę tego zrobić, jeżeli nie porachuję się z tym, co mnie kształtowało i omal nie ukształtowało. Niektóre moje sprawy nie należą tylko do mnie, ale do narodu, z którego pochodzę. Dotyczą więc nie tylko mnie, ale wielu takich jak ja. Dlatego nie zachowuję ich tylko dla siebie. Dlatego i tylko dlatego to napisałem.

Sławomir MROŻEK

Polska: Sierpień 1980 - Grudzień 1982

(SWOISTE CECHY I DYNAMIZM POLSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA)

Pod tym tytułem odbyło się w Paryżu w dniach 10 i 11 grudnia 1982 polsko-francuskie spotkanie poświęcone głębszej analizie wydarzeń dwóch ostatnich lat i wyrażonemu w „Solidarności” ruchowi odnowy w świetle ich zaplecza historycznego, kulturalnego i społecznego. Inicjatywę tej manifestacji zawdzięczamy grupie polskich i francuskich uczonych, pisarzy, intelektualistów, wśród których — poza autorami referatów i przewodniczącymi czterech sesji — wymienić należy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Mirosława Chojeckiego, Wojciecha Karpińskiego, a od strony francuskiej Raymond Arona, Jean Daniela, André Fontaine’a, André Frossarda, André Lwoffa (odznaczony nagrodą Nobla biolog, niestrudzony obrońca praw człowieka), Gastona Palewskiego, Jean-François Revela. Spotkanie mogło się odbyć dzięki finansowemu wsparciu prowincjonalnego pisma *Ouest-France* (Bretonia, Normandia, Akwitania), o którym mało kto wie, że jest francuskim dziennikiem o największym nakładzie (znacznie przewyższającym nakłady *Le Figaro* i *Le Monde*). Właściciel pisma i jego naczelny redaktor, François-Régis Hutin, zebrał wśród swoich czytelników milion franków na pomoc Polsce. Ogromna większość tej sumy została oczywiście przeznaczona na pomoc humanitarną, przesłaną na ręce polskiego Episkopatu, ale Hutin chciał również przyczynić się do intelektualnej analizy fenomenu „Solidarności”, co pozwoliło między innymi sprowadzić do Paryża uczestników spoza Francji, wśród których Czesława Miłosza i Leszka Kołakowskiego.

Zacznijmy od końcowej sesji spotkania, w sobotę 12 grudnia po południu, która odbyła się, dzięki gościnności Uniwersytetu Paryskiego, w amfiteatrze Richelieu, największej sali Sorbony, mieszczącej z górą 1.500 osób i przepełnionej po brzegi (młodzież stała lub siedziała na schodach areny, w korytarzach Sorbony czekały jeszcze ogonki). Przewodniczącym sesji był Jean Laloy, były ambasador Francji, historyk, jeden z najlepszych francuskich znawców Europy środkowo-wschodniej i niezawodny przyjaciel Polski. Po streszczeniu obrad poprzednich, zamkniętych sesji, dokonanych przez Jean-Marie Domenacha, przemówił Czesław Miłosz, zaczynając od „podstawowego problemu źródeł władzy”. Współczesne demokracje straciły wiarę w to, że istotnie czerpią swój mandat z „woli ludu”. Uciekają się dziś raczej do argumentu, że stanowią mniejsze zło niż wszystkie inne istniejące ustroje: „Triumfalny pochód odbywa natomiast idea podboju jako źródła władzy. Rzadko jednak w nagiej i przez to odstraszającej postaci. Przeciwnie, gadatliwość naszego stulecia w znacznym stopniu pochodzi z chęci okrycia przeraźliwej nagości politycznego faktu mnóstwem zaston dymnych. Dwie są zasadnicze cechy po których poznaje się podbój, zarówno zewnętrzny jak wewnętrzny. Po pierwsze, zorganizowana mniejszość, na przykład armia czy partia, zdobywa władzę, niekoniecznie siłą zbrojną, bo może to też dokonać się przy pomocy podstępów, szantażu itd. Po drugie, zdobywszy władzę, wprowadza takie instytucjonalne zmiany i tak rozbudowuje aparat policyjny, że ludność zmienia się w bierną masę i zostaje pozbawiona jakichkolwiek środków sprzeciwu, zorganizowana grupa zostaje więc przy władzy na stałe. Intelektualiści dwudziestego wieku zużyli wiele energii, dostarczając podbojowi teoretycznych uzasadnień, w pierwszym rzędzie podając charyzmatyczną grupę za wyrazicielkę 'prawdziwej', choć nieświadomej siebie woli ludu. (...)

Powiedzmy sobie szczerze, że ubolewanie nad tym, co stało się w Polsce rok temu jest mniej więcej tym samym co ubolewanie nad siłą ciężenia albo nad prawem entropii. Połowa Europy, w tym Polska, otrzymała nowy ustrój dlatego po prostu, że kraje te zostały zajęte przez zwycięską armię i granice Imperium zostały przesunięte na zachód. Dogmatem stało się w tych krajach skupienie całej władzy w rękach jednej partii i niedopuszczenie do udziału w rządach żadnych ludzi czy grup przez partię nie kontrolowanych. Jeżeli doświadczenie polskie — najpierw okresu „Solidarności”, następnie stanu wojennego — tak wstrząsnęło wiele serc i umysłów na Zachodzie, to dlatego zapewne, że teza o partii jako awangardzie proletariatu czyli o mistycznym związku pomiędzy rządzącymi i rządzonymi nagle na przykładzie jednego kraju ukazała swój charakter czysto retoryczny. Można było od-

powiedzieć na pytanie co się dzieje, kiedy prawdziwa wola ludu — dziesięć milionów członków niezależnych związków zawodowych — zwraca się przeciwko monopolowi władzy i żąda dla siebie części uprawnień przysługujących ich panom, części, bo mieszkańcy Polski wykazali zbyt wiele realizmu oraz samodyscypliny, żeby ich posądzać o chęć pozbycia się partii jako rzecznika przynależności ich kraju do tzw. sowieckiego bloku. Nagość działań junty wojskowej występującej w imieniu partii wprowadza pewne novum tylko dlatego, że odstania istotę wszelkich systemów, których celem jest władza dla władzy.

W ciągu wielu tysiącleci swojej historii człowiek był nieraz wystawiony na wszechmoc państwa, które usiłowało niekiedy sięgać w sferę jego prywatnego życia. Nigdy jednak przed wiekiem dwudziestym nie znalazł się wobec bezimiennego monstrum, którego oczywistą metaforą są komputery science fiction. Zresztą można przewidywać coraz większe zrastanie się aparatu władzy z jej służącą aparaturą techniczną. W Polsce, kraju ekonomicznie zrujnowanym, gdzie brak jest żywności i lekarstw, policja rozporządza najnowocześniejszym sprzętem elektronicznym, co zresztą wyjaśnia na co idą w tej części Europy pożyczki udzielane przez banki zachodnie. (...)

Nie przemawiam tutaj, żeby bronić tak zwanej sprawy polskiej. Moja część Europy, niestusznie nazywana wschodnią, bo jest to Europa środkowa, stanowi pewną całość geograficzną i kulturalną, a o wspólnej historii świadczą zabytki architektury średniowiecza, Renesansu i baroku. Losy jednego z jej krajów będą takie same jak krajów sąsiednich i należy unikać zamykania w nacjonalizmie, bo służy on tylko władcom, w imię starej zasady divide et impera. Rok stanu wojennego w Polsce dostarcza po prostu pewnych lekcji o znaczeniu wykraczającym poza granice jednego kraju, podobnie jak to było po wiośnie praskiej 1968 roku i po przywróceniu tam tak zwanego porządku przez sowieckie tanki.

Pojęcie człowieczeństwa wymyka się definicjom ale nabiera konkretności, kiedy czyjeś zachowanie się jest jego przykładem. Młody chłopak aresztowany ponieważ znaleziono przy nim ulotki protestujące przeciwko stanowi wojennemu dostaje do wyboru: albo pięć lat więzienia albo podpisze deklarację lojalności i pójdzie do domu. Nie podpisuje. W oczach oficera policji politycznej, który robi mu tę ofertę, akt odmowy jest absurdalny, ponieważ świat jest tak urządzony, że o wszystkim przesądza materialna siła, a ona, powiada, jest po naszej stronie, my ją reprezentujemy. W tym zderzeniu anonimowej konieczności, w imię której występuje funkcjonariusz, z wolnością samotnego więźnia

zawiera się cała wielka problematyka egzystencjalna. Bo akt odmowy nie jest oparty na niczym, nie wywodzi się z żadnej rachuby, przeciwnie, wszystko przemawia przeciwko niemu, z wyjątkiem wewnętrznego głosu, który nie pozwala na odstępstwo pod naciskiem zwycięskiej przemocy" (...)

Po Miłoszu przemawiał Pierre Emmanuel, jeden z czołowych poetów francuskich, który podobnie jak Miłosz był czynny w podziemnych wydawnictwach francuskiego ruchu oporu podczas ostatniej wojny. Emmanuel wygłosił twardą krytykę zachodniej polityki ostatnich lat, zarzucając jej bierność wobec polskich wydarzeń i niedoceniając groźby, jaką przedstawia wschodni totalitaryzm.

Przejdźmy teraz do zamkniętych sesji spotkania, które odbyły się w sali obrad Biblioteki Polskiej na Quai d'Orléans. Sesjom przewodniczyli czołowi przedstawiciele francuskiego życia umysłowego, wśród których François Furet, historyk Rewolucji Francuskiej, prezes Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, skupiającej najwybitniejszych historyków, socjologów, antropologów, i René Tavernier, prezes francuskiego PEN-Clubu. Po każdym polskim referacie przemawiali francuscy koreferenci, dobrzy znawcy spraw polskich Jacques Le Goff, światowej sławy mediewista, Michel Wieviorka, współautor, wraz z Alain Touraine, jedyne dokonane w Polsce studium socjologicznego na temat „Solidarności”, Paul Thibaud, redaktor naczelnny *Esprit*, Robert Masson, redaktor *France catholique*, François Bondy, b. redaktor *Preuves*, Claude Lefort, pisarz wywodzący się ze skrajnej lewicy, dziś jeden z czołowych teoretyków prawdziwej natury sowieckiego totalitaryzmu. Każdy referat wywoływał żywą dyskusję 120 imiennie zaproszonych gości francuskich i polskich, wśród których byli przedstawiciele wszystkich czołowych pism, radia i telewizji.

Ograniczymy się tutaj do streszczenia głównych punktów sześciu polskich referatów wygłoszonych na tym spotkaniu.

Leszek Kołakowski zwrócił uwagę na cechy specyficzne tej „rewolucji”, którą widzą w „Solidarności” jej młodzi francuscy sympatycy. Była ona całkowicie pozbawiona owych złudzeń utopijnych, jakie zwykle towarzyszą ruchom rewolucyjnym. Przeciwnie: nie chodziło tu o zerwanie z przeszłością, o wkroczenie w jakąś nową idealną jutrzencę, a raczej o odzyskanie zakłamanej przez władze przeszłości, o przywrócenie brutalnie przerwanej ciągłości historycznej. W tym sensie, stwierdził Kołakowski, „była to rewolucja konserwatywna, z której Polacy słusznie są dumni”.

Czy była to rewolucja robotnicza? W pewnym sensie tak: konflikt robotników z właścicielami (w tym wypadku komunis-

tycznym państwem) nadał ruchowi jego początkowy dynamizm. Ale w grę wchodziły od początku również inne konflikty — narodowe, społeczne, kulturalne — które wytworzyły wielki ruch obywatelski obejmujący wszystkie warstwy społeczne: robotników, chłopów, inteligencję, wszystkie — poza, rzecz jasna — aparatem politycznym, policyjnym i wojskowym. Polska rewolucja — i kontrewolucja, która po niej nastąpiła — stanowią wydarzenia o znaczeniu globalnym. Ruch, którego wyrazem była „Solidarność”, otworzył po raz pierwszy drogę, na której rozkład totalitarnych instytucji sowiezizmu mógłby się ewentualnie spełnić stopniowo, poprzez serię nacisków wywieranych bez gwałtu i rozlewu krwi, a które wywalczyłyby od niemal wszechpotężnego państwa coraz to nowe obszary działania natury kulturalnej, związkowej, gospodarczej, obszary niezawisłe, przybierające z czasem formy instytucjonalne. Marzenie? Nikt tego nie może z góry przesądzić, jedno natomiast — stwierdził Kołakowski — jest pewne: jedyną alternatywą tego marzenia jest dalszy rozwój imperializmu sowieckiego, prowadzący niezawodnie do niewyobrażalnych okropności światowej wojny.

Dla Krzysztofa Pomiana jednym z głównych czynników oporu społeczeństwa przeciw wojskowej juncie jest poczucie szczególnej więzi między Polakami, jaką zdołała wytworzyć „Solidarność”. Przed jej powstaniem nie istniała dla przeciętnego Polaka żadna instytucja w życiu publicznym, z którą mógłby się identyfikować. Nie były nią ani państwo, ani partia. Autorytet i prestiż Kościoła stały bardzo wysoko, ale dotyczyło to dziedziny w pierwszym rzędzie religijnej. Stąd jedyną możliwością jednolitej postawy była otwarta opozycja, którą wybierali nieliczni, dając tym samym przykład wzorowy. Ta niemożność identyfikacji obejmowała nawet ludzi skądinąd związanych z aparatem państwowo-partyjnym: związek ten nie pokrywał wszystkich dziedzin ich życia.

Poprzez falę strajkową, potem rewolucyjną, „Solidarność” stała się rewolucją obywatelską, Polacy poczuli się raz jeszcze obywatelami w pełnym sensie tego słowa. Stąd nieunikniony rozwój „Solidarności” — związku zawodowego — w kierunku innych funkcji społecznych, aż po chwilę gdy wypełnia ona całość życia, które stało dotychczas pustką. Spełnia ona niezbędną funkcję identyfikacyjną i posiada nawet twarz: Lecha Wałęsy. Powstaje wreszcie przestrzeń społeczna, w której każdy może być samym sobą, co powoduje ostrą nieraz konfliktowość wewnętrzną, jak w każdym normalnym państwie, z którym obywatel może się identyfikować nadrzędnie, a jednocześnie przerastające te konflikty poczucie jedności, wynikające z tego, że „Solidarność” staje się odpowiedzialna za pamięć narodową. Chodzi więc o przemianę tak głęboką i nieodwracalną, że uniemożliwiła ona zwy-

cięstwo władz: może ona nam jeszcze zgotować niejedną niespodziankę.

Aleksander Smolar wybrał oryginalne podejście do swego tematu, którym było współdziałanie opozycyjnych intelektualistów i ruchu robotniczego, wprowadzając rozróżnienie między dwoma pokoleniami opozycyjnej inteligencji — „pokoleniem intelektualistów” i „pokoleniem działaczy”.

Pokolenie intelektualistów (obejmujące oczywiście również twórców — pisarzy, artystów) zostało uformowane w okresie destalinizacji i możliwości umiarkowanie opozycyjnych działań tolerowanych przez władze. Wyeliminowane następnie z życia politycznego, odegrało ogromną rolę w tworzeniu nowoczesnej kultury, rozwijaniu niezależnej myśli, budowaniu podstaw kultury demokratycznej.

Pokolenie działaczy uformowane zostało pod wpływem doświadczeń 1968 roku i lat 70-tych. Nie ma ono wstępu na plac publiczny; postawa opozycyjna uniemożliwia nawet najwybitniejszą karierę intelektualną czy artystyczną. Stąd w tym pokoleniu niewiele jest wybitnych intelektualistów i twórców. Brak złudzeń co do natury systemu i położenie społeczne tej grupy wpływają na ostrość i jednoznaczność dokonywanych w jej ramach wyborów, na wolę działania. Powstaje tu nowa strategia opozycji, którą częściowo przejmie „Solidarność”. Adresatem działań niezależnych winno być społeczeństwo. Ich cel nie jest polityczny (bo nie ma polityki poza domeną oficjalną) ani apolityczny (bo w tym systemie każde działanie publiczne ma aspekt polityczny), lecz antypolityczny — chodzi bowiem o ograniczenie obszaru życia publicznego kontrolowanego przez władze poprzez samoorganizowanie się społeczeństwa.

Pokolenie działaczy organizuje pomoc robotnikom w 1976 (rzecz paradoksalna — we współpracy z pokoleniem milczącym, wojennym, które teraz dopiero znalazło dla siebie miejsce — w niedwuznacznej opozycji lat 70-tych), powołuje takie niezależne instytucje jak KOR, ROPCiO, RMP, KPN. Akcje KOR-u w środowisku robotniczym są znane — *Robotnik*, Komitety Wolnych Związków Zawodowych — podobnie jak ich wyniki. Powstają również niezależne inicjatywy w innych środowiskach (chłopi, studenci, ludzie wierzący). Intelektualiści (poprzednie pokolenie) są od początku obecni, niosą pomoc moralną, materialną, prawną. Tworzą również własne niezależne instytucje (poza oficjalnymi, które odgrywają ogromną rolę jak KiK, Znak itd.) o zróżnicowanym charakterze: TKN, PPN, pismo *Zapis*.

Harmonijna współpraca dwóch środowisk, dwóch pokoleń kończy się wraz z powstaniem „Solidarności”. Po raz pierwszy pojawia się sytuacja polityczna, tzn. możliwość wyboru. Nie

wystarczy już prosty dekalog filozofii antypolitycznej. Symbolem jest tu konflikt między „ekspertami”, których skład w Gdańsku dobrze oddaje zróżnicowanie dróg życiowych opozycyjnej inteligencji, a KOR-em. Jedno zasadnicze pytanie łączy oba pokolenia: jak narzucić tej rewolucji ograniczenia, aby uniknąć katastrofy; jak utrzymać ją przy ziemi, aby jej uczestnicy byli świadomi granic tego co możliwe. Jest to rola przeciwna do tej, którą intelektualści i działacze odgrywali w poprzednich rewolucjach.

Intelektualiści próbują od początku hamować proces, posługują się neutralnym językiem pragmatycznym, aby ułatwić porozumienie z drugą stroną. Odgrywają istotną rolę w negocjowaniu warunków pokojowego współżycia państwa i społeczeństwa.

Działacze opozycji zwróceni są ku ruchowi; nie mogą nawet pośredniczyć między nim a władzą. Narzucenie ograniczeń ruchowi, którego charakter rewolucyjny wyklucza, ich zdaniem, możliwość odgórnego nim sterowania, wymaga jasnego sformułowania celów w języku zrozumiałym dla społeczeństwa, nie obawiając się, że może on drażnić władze czy Moskwę.

Z czasem rozwój sytuacji prowadzi do radykalizacji intelektualistów, którzy towarzyszą ruchowi i zarazem narzuca działaczom coraz ostrzejszą świadomość konieczności poszukiwania kompromisu z władzami. Koncepcje obu stron przegrały 13 grudnia. Być może nie było odpowiedzi na pytanie, jak uchronić rewolucję przed jej własną dynamiką i zwłaszcza przed jej potężnym *alter ego* — kontrrewolucją.

Po 13 grudnia obie grupy kontynuują walkę w sobie właściwy sposób. Intelektualiści biorą udział w akcjach związkowych, w organizowaniu środowiskowych protestów. Doradzają przywódcom związku, ale również Episkopatowi. Drudzy, działacze, współtworzą instancje podziemne związku, organizują prasę, radio, biorą udział w dyskusjach związku — również ci wśród nich, którzy byli lub są nadal internowani — na temat celów i strategii walki obecnie.

Oba pokolenia niezależnej inteligencji miały i mają za cel Polskę wolną, demokratyczną, otwartą. Działały one w sposób uwarunkowany ich biografią, pozycją społeczną, stylem politycznego myślenia.

Niezmiernie ważki referat wygłosił Bogdan Cywiński pod tytułem „Kościół Poski, jego korzenie, teraźniejszość i przyszłość”. Trudno streścić wywód autora „Rodowodów niepokornych” nie dysponując jego tekstem. Pewne pojęcie o doniosłości tej wypowiedzi może dać jej wniosek końcowy: w ciągu ostatnich lat — przypomniał Cywiński — wielu niewierzących Polaków powróciło na łono Kościoła, czy wprost znalazło w nim po raz pierw-

szy duchową i moralną ostoję. Jeśliby się teraz mieli oddalić od niego z powodów natury politycznej, byłoby to zjawisko zgodne z naturą rzeczy. Gdyby natomiast ich rozczarowanie było podyktowane względami natury duchowej, moralnej, byłoby to dla Kościoła strata niepowetowana.

Mówiąc o roli polskiej literatury od narzuconego jej socrealizmu do chwili obecnej, Wojciech Skalmowski trafnie i odkrywczym sparafrazował Clausewitza: „Literatura to życie prowadzone innymi środkami”. Kiedy system wykrzywia, tłumi, „normalizuje” życie, daje to w rezultacie literaturę „znormalizowaną”. Za każdym razem gdy w Polsce życie brało górę, wywalczało sobie przestrzeń niezależną od systemu, towarzyszyła mu odnowa literatury „normalnej”, w której może się zrodzić wielkie dzieło. Oryginalność antropologicznego podejścia Skalmowskiego do samej funkcji literatury, jego sceptycyzm w stosunku do literatury „zaangażowanej”, nawet w najlepszą sprawę, zaskoczyły część francuskich słuchaczy, przyzwyczajonych do kryteriów natury politycznej wobec literatur „sowieckiego bloku”.

Tematem referatu Konstantego Jeleńskiego były „Paradoksy polskiego nacjonalizmu”. Przypomniał on słuchaczom, że dla człowieka jego pokolenia, który miał 13 lat w chwili śmierci marszałka Piłsudskiego (wroga numer jeden polskich nacjonalistów), pojęcie „Polaka-katolika” ma wydźwięk ponury, gdyż kojarzy się z faszyzującymi bandami, kokietowanymi przez zagubionych spadkobierców Piłsudskiego. „Polak-katolik” to dla Jeleńskiego pojęcie przeciwstawne wartościom zarówno Polaka jak i katolika: „Logiczne jest twierdzenie, że katolik świadomy tradycji swego kraju i zasad swej religii 'Polakiem-katolikiem' być nie może”.

Dyskusja — zawsze żywa i nieraz bardzo ciekawa, wywołana sześcioma referatami została nagrana na taśmę. Organizatorzy spotkania mają zamiar wydać referaty i wyciągi z dyskusji w formie książkowej po francusku i w polskim tłumaczeniu.

k.a.j

Tęsknota za żoną

*Dla duszy jesteś jak tęk ozonu...
Witaj, żono!*

Walentin Sokołow

„Przepastne wyżyny” zrobiły tak wielkie wrażenie na rosyjskich i zagranicznych czytelnikach, bo Aleksander Zinowiew był pierwszym, który zaproponował nowe spojrzenie na ustroj sowiecki. Odrzucając analizę *per analogiam*, zrezygnował z badania społeczeństwa sowieckiego poprzez porównywanie go z Rosją przedrewolucyjną albo ze współczesnym Zachodem. W przeciwieństwie do swych byłych kolegów Zinowiew używa pojęć sowieckich i terminologii marksistowskiej nie dla udokumentowania zdobyczy ustroju komunistycznego, a dla udokumentowania jego wad. Anton Zimin, *alter ego* autora ze „Świetlanej przyszłości”, opisuje tę metodę tak: „Gotów jestem przyznać przeciwnikowi przewagę i zgodzić się na wszystko, czego chce. Uważacie, że rewolucja była błogosławieństwem dla Rosji? Zgoda. Jedność partii z narodem? Zgoda. Od każdego według jego możliwości? Zgoda. Każdemu według jego potrzeb? Zgoda”.

„Przepastne wyżyny” opisały nowy, sowiecki, świat, rządzące nim prawa i jego mieszkańców. W następnych książkach, z których dziś można by już zestawić sporą biblioteczkę, autor rozbudowywał opis świata, który znał na wylot. Główni bohaterowie się nie zmieniali: pracownicy frontu ideologicznego, którzy niekiedy gorliwie a często niechętnie, z ironicznym uśmiechem, robią co im każą.

Ci zjadacze ideologii sowieckiej stanowią — zdaniem Zinowiewa — rdzeń inteligencji sowieckiej: jak rzymscy авгуrowie podśmiewają się między sobą, nie przestając gnębić niewyświęconych. Jako krytyk ustroju występuje z reguły mądry, zdolny

i rozumiejący wszystko członek kasty, który doznaje porażki w walce o miejsce na drabinie hierarchii (znakiem porażki jest często przegrana w wyborach na członka-korespondenta Akademii Nauk), bo kaście nie są potrzebne rozum i talenty. „Czego ty właściwie chcesz? — pytają jednego z bohaterów „Żółtego domu”. Jego odpowiedź jest sumą pragnień głównych bohaterów Zinowiewa: „Chciałbym mieć przywileje i sukcesy, ale za wrodzone zdolności, pracę i dzielność” (tom I, str. 181). Tematem wszystkich książek Zinowiewa jest niemożność zrealizowania w ustroju sowieckim najgłębszych pragnień człowieka. Ustrój nieubłaganie i nieuchronnie przemiela człowieka, przekształcając go w *homo sovieticus, homososa*, jak to po swojemu skraca Zinowiew.

Logik z wykształcenia, wykonywanego zawodu i powołania, Aleksander Zinowiew poddaje ustroj sowiecki analizie logicznej i odkrywa rządzące nim prawa. Ustrój rozprawił się ze swym badaczem bez litości: zmusił go do wyjazdu w inny świat, na Zachód. W ten sposób dał mu nieocenioną szansę sprawdzenia, czy odkryte przezeń prawa były prawdziwe.

W 1980 roku Aleksander Zinowiew ogłosił wyniki sprawdzianu w teoretycznej pracy pt. „Komunizm jako rzeczywistość”. W 1982 roku powrócił raz jeszcze do gatunku, który mu zyskał sławę, mianowicie do gatunku „Przepastnych wyżyn”, „Świetlanej przyszłości”, „W przedśmionku raj” i „Żółtego domu”. Autorzy licznych artykułów o twórczości Zinowiewa nie zdołali dojść do porozumienia co do nazwy tego gatunku. Najlepiej będzie nazwać go „zinowiadą”. Spór o gatunek wydaje się konieczny, bo właśnie szczególny charakter „zinowiady” decyduje o jej sile. Wszyscy piszący o Zinowiewie jednogłośnie i słusznie zauważali, że jego książki stanowią stop wszystkich istniejących gatunków i stylów literackich — filozoficznych rozmyślań i kupletów, analiz logicznych i dowcipów. Jednak siła książek Zinowiewa, ich ostrość polega nie tyle na wielości stopionych gatunków i stylów, i nawet nie na głębi i błyskotliwości analizy. Szczególny charakter „zinowiady” polega na tym, że autor samego siebie przekształcił w przedmiot naukowej analizy. Aleksander Zinowiew z podziwu godną konsekwencją kładzie samego siebie na stół operacyjny i skalpelem obnaża pod mikroskopem, aby dobrać się do tajemników ustroju i istoty, którą ustroj ten zrodził. Historia medycyny zna przypadki bohaterskich lekarzy, którzy zaszczepiali sobie straszne choroby, aby obserwować ich przebieg i znaleźć lekarstwo. Stwierdziwszy, że jest zarażony jak wszyscy obywatele ZSSR, Zinowiew przystąpił do obserwacji symptomów i poszukiwań panaceum.

Opublikowany w 1982 roku „Homo sovieticus” to moim

zdaniem najważniejsza od czasu „Przepasnych wyżyn” książka Zinowiewa. Książki napisane po „Wyżynach” rozwijały odkrycie dokonane w tej pierwszej książce, uzupełniały obraz sowieckiego świata, ilustrowały go nowymi losami ludzi przemielonych w trybach realnego komunizmu. Znaczenie „Homo sovieticus” polega na zestawieniu człowieka wychowanego przez ustrój sowiecki z innym światem. Dopóki człowiek sowiecki jest u siebie, dopóki jego wady i zalety nie podlegają sprawdzianowi innego świata, pozostaje on „rzeczą samą w sobie”. Aleksander Zinowiew wyprowadza *homo sovieticus*a między ludzi. Jego książka mogłaby się nazywać „Nasi za granicą”.

Książka pod takim tytułem istnieje. Napisał ją w 1890 roku N. Lejkin. Jej pełny tytuł brzmi: „Nasi za granicą. Humorystyczne opisanie podróży państwa Mikołaja Iwanowicza i Głafiry Siemionowny Iwanowych do Paryża i z powrotem”. Słowa „i z powrotem” brzmią dziś jak ironia. Ale ani czytelnikom, ani autorowi aluzje czy ironia nawet w głowie nie powstały. Rzeczy miały się najzwyczajniej pod słońcem: młody kupiec zapragnął pojechać z małżonką do Paryża na wystawę światową, wsiedli więc w pociąg i pojechali, wszystko obejrżeli i wrócili. Rosyjscy czytelnicy śmieli się do łez z przygód rosyjskiej pary małżeńskiej dlatego, że życie za granicą było inne: w restauracjach dawali malutkie porcje, wobec czego Mikołaj Iwanowicz musiał zamawiać dużo dań, w hotelu późnym wieczorem nie przyniesili samowaru, jedne rzeczy były droższe niż w Rosji, inne tańsze — a wszystko razem dziwne. Zdarzenia, drobne katastrofy i nieporozumienia szalenie przypominały przygody „prostaków za granicą” z książki Marka Twaina, na której wzorował się Lejkin.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna Iwanow byli w Paryżu cudzoziemcami. Bohaterowie „Homo sovieticus” są za granicą jak przybysze z kosmosu. Do tubylców niepodobni są ani z wyglądu, ani zwłaszcza ze światopoglądu, stosunku do ludzi, religii, moralności, kultury i polityki.

Aleksander Zinowiew przewidział to jeszcze w Moskwie, stwierdzając, że skoro „warunki społeczne w Związku sowieckim różnią się od warunków społecznych na Zachodzie tak jak warunki biologiczne na pustyni albo za Kręgiem Polarnym od warunków biologicznych w Ameryce czy Europie zachodniej”, to przeżyć i dojść do czegoś może w ZSSR tylko osobnik, odznaczający się szczególnymi, niezbędnymi w społeczeństwie sowieckim cechami. W „Świetlanej przyszłości”, książce napisanej jeszcze w Rosji, to nowe wcielenie *homo sapiens* nazywa się Sowietki Człowiek, w skrócie *soczetek*. Obejrząwszy *soczetka* na Zachodzie, Zinowiew nazwał go *homo sovieticus*, w skrócie *homosos*.

Brzmienie tych dwu skrótów wymownie ilustruje ewolucję stosunku pisarza do przedmiotu badań. Rzucony w obce środowisko *soczetek* przekształcił się w *homososa*: wszystkie jego cechy i osobliwości wyszły na jaw, zniknęła otoczka ochronna. „Stoję przed Wami niczym goły”, mógłby powiedzieć bohater książki. A mówi: stoję przed Wami całkiem goły.

„Zinowiada” to gatunek niebezpieczny. Niebezpieczny dla pisarza. Czytelnik zawsze ma skłonność do utożsamiania autora z bohaterami jego książek: Dostojewskiego będzie sądził za gwałt dokonany przez Stawrogina. W swoich poprzednich książkach Zinowiew dopuszczał do głosu wiele postaci; niektóre z nich wyrażały jego myśli. W „Homo sovieticus” narrację prowadzi w pierwszej osobie. W przedmowie zaś mówi otwarcie: „Sam jestem *homososem*”. Zinowiew nigdy jeszcze nie wejrzał tak głęboko w siebie przy badaniach nad naturą ustroju sowieckiego. George Orwell, który wiedział o czym mówi, zauważył kiedyś, że „dobre powieści piszą ludzie odważni”. Odwaga Zinowiewa polega na tym, że stara się on powiedzieć wszystko o sobie i o innych. Jest to odwaga, która często przypomina wyzwanie, prowokację, i często wywołuje irytację, uczucie które budzi w człowieku jego odbita w lustrze odrażliwiająca morda. Gustaw Herling-Grudziński, który świetnie zna i doskonale rozumie literaturę rosyjską, zwrócił uwagę na podobieństwo bohatera „Homo sovieticus” do Goładkina z „Sobowtóra” Dostojewskiego. Jak wiadomo, pan Goładkin spojrział w lustro i zobaczył pana Goładkina. Goładkin młodszy, ten z lustrem, był — jak wyjaśnia Dostojewski — wstydem Goładkina starszego, jego przerażeniem, jego koszmarem. Był to, jak się dowiadujemy, drugi pan Goładkin, ale kropka w kropkę taki, jak on sam — krótko mówiąc, jego wierne odbicie...

Koszmarne sceny spotkania dwóch Goładkinów w lustrze niemal dosłownie powtarza się w przedmowie Zinowiewa do „Homo sovieticus”: „Mój stosunek do tego osobnika jest dwójaki: Kocham go i nienawidzę, szanuję i widzę na wskroś, pełen zachwyty a zarazem przerażenia”. Zinowiew mówi o sobie i swoim odbiciu i dlatego jest „okrutny i bezlitosny” w opisie *homososa*.

Bohater „Homo sovieticus”, „Ja”, jest emigrantem, mieszkającym wśród innych emigrantami w pensjonacie w pewnym zachodnioeuropejskim mieście. „Ja” opuścił Ibańsk, ale swój świat zabrał ze sobą. Tematem „Homo sovieticus” jest to samo, co stanowiło przedmiot poprzednich książek Zinowiewa: zabiegi o państwowe posady w Instytucie i wznoszenie budowli, której funkcja wyjaśnia się na ostatniej stronie. To, że w Ibańsku posada w Instytucie (Akademii Nauk) zależała od KGB, a w pew-

nym zachodnioeuropejskim mieście od zagranicznych *specstuzb* nie ma znaczenia, tak jak nie ma znaczenia, że w poprzednich książkach budowano Wychodek, Hasło, Pomnik, a tu — Bank. Ważne jest, że „Ja” się nie zmienił: zmienił, owszem, miejsce zamieszkania, ale przywiózł ze sobą klatkę, w której siedział.

Stanisław Lem napisał kiedyś opowiadanie, którego akcja toczy się na odległej planecie, zamieszkałej przez istoty zdumiewająco podobne do ludzi. Ustrój panujący na tej planecie zmusza wszystkich do życia w wodzie, a ściślej — pod wodą. Mieszkańcy tej planety porozumiewać się mogą między sobą jedynie bulgotając. Propaganda robi co może, aby ich przekonać, że pod wodą żyje się najlepiej, a oddychanie powietrzem (choćaż wszyscy muszą od czasu do czasu zaczerpnąć tchu) jest politycznie niesłuszne. Celem mieszkańców tej dziwnej planety jest ostateczne przejście na rybi sposób życia, czyli oddychanie pod wodą. Bohaterowie Zinowiewa, *homososy*, tak dalece przywykli do sowieckiego stylu życia, że i na Zachodzie starają się — jak przedtem — oddychać pod wodą. Pensjonat to tratwa, na której bulgotają wyrwani ze swego naturalnego środowiska sowieccy obywatele.

Na tratwie wszystko doskonale widać: wszystkie cechy *homososa*, jego zalety i wady leżą jak na dłoni. *Homosos* w pełnym wymiarze.

Aleksander Zinowiew, odkrywca praw społecznych kształtujących charakter *homososa*, gatunku społecznego najlepiej dostosowanego do życia w sowietyzmie, miał poprzedników. M. Bułgakow opisał w „Feralnych jajach” sytuację jak żywcem wziętą z „zinowiady”. Pod wpływem czerwonego promienia odkrytego przez prof. Persikowa ameby rozpoczynają zażartą walkę między sobą: „Nowo narodzone z furją rzucały się na siebie, rwały się na kawałki i połykały... Zwyciężały lepsze i silniejsze. Te lepsze były straszne. Po pierwsze miały objętość mniej więcej dwa razy większą niż zwykłe ameby, pod drugie odznaczały się jakąś szczególną złośliwością i ruchliwością”. Prof. Sawicz, autor książki „Podstawy zachowania człowieka”, która cieszyła się dużym powodzeniem pod koniec lat dwudziestych, uważa rewolucję za proces rozbicia, niszczenia wszystkiego, co człowiekowi dał rozwój kultury. Przywódcy sowieckiej rewolucji kulturalnej nazwali ten proces „pierwotną akumulacją uczuć socjalistycznych”.

W latach dwudziestych można było (choć tylko nielicznym się to udało) przewidzieć kierunek, w jakim pójdą sprawy. Aleksander Zinowiew pokazuje rezultat: dojrzałego *homososa* epoki dojrzałego socjalizmu.

Zewnętrznie *homosos* prawie się nie różni od człowieka. Jest to *homo*. Ale przyrostek „*sos*” hiperbolicznie uzmysławia jedne cechy, likwiduje drugie i wprowadza trzecie — nowe. Do naj-

bardziej rzucających się w oczy cech *homososa* należą oszałamiająca pewność siebie i bezmierna pogarda dla innych, przede wszystkim dla Zachodu. To zjawisko ma oczywiście przyczyny psychologiczne, ale ma także przyczyny ideologiczne. *Homosos* z mlekiem matki wyssał słowa poety „na burżujów z góry patrz” i słowa wodza „byle obywałel sowiecki przerasta o głowę każdego burżuazyjnego urzędasu”... Socjologiczne przyczyny — tj. warunki społeczne — tłumaczy zdaniem Zinowiewa zaciętą wrogość i patologiczną zawiść jaką żywią do siebie *homososy*. Ustrój socjalistyczny — tak brzmi jedno z odkrytych przez Zinowiewa praw — to królestwo miernot, dławiących każdy przejaw talentu. Dlatego we wszystkich książkach Zinowiewa szczególnie cierpią jego ulubieni bohaterowie — ludzie błyskotliwi, utalentowani. Najgorzej ze wszystkich wiecie się „Ja”: system sowiecki go wypłuł, nie ma dlań też miejsca w nowym otoczeniu. Cierpi bardziej od innych, bo jest genialny (str. 155) i wie, że „mógłby zapisać się złotymi zgłoskami w historii nauki” (str. 116), tymczasem „społeczeństwo nie jest zainteresowane w tych wielkich odkryciach, dzięki którym twoje imię zapisałoby się złotymi zgłoskami w historii nauki” (str. 120), choć „być może właśnie w ten sposób sążone mi zapisać się złotymi zgłoskami w historii nauki” (str. 133). W tych deklaracjach, w których przekonanie o własnej wielkości graniczy niekiedy z megalomanią, przebija jednak czasami brak zaufania do siebie. Wtedy „Ja” dowodzi swojej przewagi „demaskując” wszystkich tych, którzy mogliby zagrażać jego wielkości, jego niepowtarzalnemu geniuszowi. W „Przepastnych wyżynach” występuje pisarz, którego mieszkańcy Ibańska nazywają „Prawdziec”. O nim Zinowiew pisał: „Jakby nie było, Prawdziec uderza w najczulsze miejsce społeczeństwa ibańskiego. W najważniejsze miejsce. W jego nerw”. W „Światlanej przyszłości” Anton Zimin nazywa „Gułag” „genialnym dziełem sztuki”. *Homosos* „Ja” nie przestaje ironizować na temat „pisarza ziemi rosyjskiej” i „wielkiego dysydenta Sowietów”. *Homososy* z pensjonatu tylko jeden raz są tej samej myśli: roztrząsając sprawę „wielkiego dysydenta Sowietów”, który ogłosił głodówkę z powodu, który wydaje im się śmieszny, żalony, wręcz żaden: żeby pomóc drugiemu człowiekowi!

Oszałamiająca pewność siebie, zadziwiająca ciasnota sądów, chorobliwe zadufanie *homososa* są doskonale zobrazowane na przykładzie stosunku mieszkańców pensjonatu do kultury Zachodu. W „Homo sovieticus” nie pojawia się ani jedno nazwisko zachodniego pisarza, malarza, aktora, *homososy* nie chodzą do muzeów, ich znajomość kultury zachodniej sprowadza się do „pustych filmów w telewizji”, których zresztą też nie rozumieją, bo nie znają języka. Tym niemniej *homososy* nie przestają sądzić

kultury Zachodu, „pustej, podrzędnej, ogłupiającej”. Ich wyobrażenie o kulturze ani razu nie wykracza poza ramy wytyczone przez *Literaturną gazetę*, której rola w homosowietyzacji człowieka zasługuje na osobną analizę.

„Ja” o głowę przerasta innych *homososów* z książki Zinowiewa. Przede wszystkim dlatego, że wie, że jest *homososem*, specjalnym typem człowieka, przedstawicielem wyższego (mimo kilku niedociągnięć) gatunku ludzkiego, do którego należy przyszłość. Po drugie dlatego, że szczególnie silny jest w nim impuls kierujący wszystkimi *homososami* — strach.

W 1930 roku bohater sztuki A. Afinogienowa „Strach”, kierownik Instytutu Stymulatorów Fizycznych prof. Borodin oświadczył ze sceny 300 sowieckich teatrów: „Żyjemy w epoce wielkiego strachu”. I dorzucił: „Mleczarka boi się konfiskaty krowy, chłop — przymusowej kolektywizacji, robotnik — bezustannych czystek, funkcjonariusz partyjny — oskarżenia o odchylenie, naukowiec — oskarżenia o idealizm, technik — oskarżenia o sabotaż”. Prof. Borodin (którego prototypem był prof. Sawicz) podsumowuje: „Strach snuje się za człowiekiem. Człowiek staje się nieufny, zamknięty, nierzetelny, niechliwy i niemoralny”. W 1930 roku prof. Borodin widział dopiero początek epoki Wielkiego Strachu. Od tamtych lat upłynęło ponad pół wieku: strach zmieniał opakowanie, ale pozostał głównym, decydującym czynnikiem kształtującym świadomość sowieckiego *homososa*. O autentyczności, adekwatności, jak chętnie mówi Zinowiew, *homo sovieticus* stanowi atmosfera strachu, w której żyją wszystkie postacie książki. Trudno dziś znaleźć w całej literaturze światowej książkę, która by tchnęła równie intensywną grozą: *homososy* nadal boją się wszystkiego, czego się bali w Rosji, a na dodatek boją się wszystkiego, co widzą na emigracji. Aleksander Zinowiew mógłby do tytułu swej książki dodać: „*Homo sovieticus* — człowiek, który się boi”.

„Ja”, który szydzi ze strachu otaczających go *homososów*, sam boi się jeszcze bardziej. Boi się bardziej, bo jest inteligentniejszy od innych. Z licznych mądrych spostrzeżeń, trafnych sformułowań i celnych uwag „Ja” na szczególną uwagę zasługuje stwierdzenie faktu: „Jak na razie cechy dojrzałego *homososa* najlepiej wykształciły się w ludziach sowieckich o stosunkowo wysokim poziomie kultury i wykształcenia, a także w kręgu o najwyższej aktywności społecznej, zwłaszcza w środowiskach rządzących, naukowych, w propagandzie, kulturze i oświacie”. Ten fakt wydaje mi się bezsporny, podobnie jak i jego przyczyna: ludzie sowieccy „na stosunkowo wysokim poziomie”, „kręgi o najwyższej aktywności społecznej” — boją się najbardziej ze

wszystkich. Boją się tego samego, czego się boją wszyscy obywatele ZSSR, ale — bardziej. Poza zdrowym strachem fizycznym odczuwają jeszcze chorobliwy strach metafizyczny. Ten strach to plód wychowania „dojrzałego *homososa*”. Przewyciężywszy marksizm, rozumiawszy jego istotę, „Ja”, dojrzały *homosos*, jest nim jednak na wieki napiętnowany. Przede wszystkim jest deterministą i wie, że historia nie stoi w miejscu; nie ma też wątpliwości, w jakim kierunku zmierza. „Chciałbym choć raz w życiu — marzy „Ja” — choć na krótką chwilę zlać moją myśl i wolę z jakimś strumykiem wielkiej historii”. Pragnienie to, potrzeba „złania się z masą”, jak się wyraził Majakowski, jest źródłem strachu. Wyrzucony z partii J. Piatakow w 1928 roku dał wyraz temu przerażeniu: „Czyżbyście myśleli, że w wielkim przewrocie na skalę światową, w którym nasza partia będzie czynnikiem decydującym, ja będę poza nią?”. W 1938 roku zawtórował mu Bucharin: „Nasze życie jest ciężkie... Ratuje nas wiara w nieustający postęp. Jest on jak fala, która rwie brzegi. Jeśli wyjdziecie ze strumienia, fala odrzuci was na bok”. Zinowiewowski *homosos* nie mówi o partii, nie używa nawet słowa „postęp”, ale dusi go strach, że potok historii wyrzuci go na brzeg. Jak śpiewał Louis Armstrong: „Kiedy święci idą do raju, chcą być wśród nich...”.

Determinizm *homososa* to odwrotna strona jego przekonania, że rozwój ludzkości ma swoje surowe prawa, od których nie ma wyjątków. *Homosos* odrzucił marksistowskie sformułowania tych praw, ale zachował wiarę w istnienie uniwersalnego klucza otwierającego wszystkie tajniki. Nie mniej ważne jest to, że — przekonany o istnieniu uniwersalnego klucza — wierzy niezłomnie, że to on ma go w ręce, że zawładnął Tajemnicą.

Fundament marksizmu, najwyższej z nauk, to przekonanie, że istnieje Tajemnica, że została ona odkryta, że jest pilnie strzeżona i dostępna tylko dla wybrańców. Obywatele sowieccy przejęli od marksistów przekonanie, że strzegą Graala, tajemnicę rozwoju historii. Kult tajemnicy w Związku Sowieckim, gdzie wszystko jest tajne łamane przez poufne, to główna marksistowska cecha realnego socjalizmu: tajemnica przeraża i pociąga. Każdy sowiecki człowiek wie, że Wie. Stąd pogarda *homososów* dla ludzi innego gatunku, przede wszystkim dla cudzoziemców. Stąd ich przekonanie, że jeśli zechcą — wszystko zrozumieją. „Ja” oświadcza: dajcie mi instytut, a odkryję wam tajemnicę.

Istnienie Tajemnicy niezbędnie wymaga Stróżów Tajemnicy. Każdy *homosos* może się uważać za duchowego stróża Graala, ale konieczni są też stróże fizyczni, czyli, jak ich wdzięcznie nazywają obywatele sowieccy — Organy. W dzisiejszych skomplikowanych i trudnych warunkach konieczne jest KGB.

Aleksander Zinowiew nie zajmuje się „detektywistycznymi bzdurami”, nie interesują go (powiedzmy, że nie bardzo go interesują) małe kagebowski szpicle, drobne urzędniczyny — śledczy i kaci. Interesują go wyższe sfery KGB — te, które rozstrzygają o losach świata i biegu dziejów. W swych poprzednich książkach Zinowiew nie mało pisał o KGB — nie sposób pisać o społeczeństwie sowieckim i opuścić jeden z tworzących je elementów. W „Homo sovieticus” KGB przestało być organizacją kontrolującą i strzegącą obywateli sowieckich. Tu KGB zalało kraj i ludzi, stało się społeczeństwem. Określenie „agent KGB” wydaje się „Ja” zbyt wąskie; jest to „definicja przynależności resortowej”. „Ja” woli bezstronne socjologiczne pojęcie „agent sowiecki” albo „agent Związku Sowieckiego”, w skrócie *as*. „Ja” ma całkowiłą rację: skoro KGB stanowi Związek Sowiecki, termin *as* jest najwłaściwszy z możliwych. „Ja” pełni funkcje *asa*, to KGB wysłało go na Zachód i przez całą książkę snuje on wspomnienia i rozmyślenia o wskazówkach Inspiratora, swojego Nauczyciela w życiu i pracy. „Ja” jest marionetką w rękach Inspiratora, pionkiem w misternej grze planetarnej, którą prowadzi KGB. Na tym polega sens i radość jego życia.

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że równocześnie z „Homo sovieticus” wyszła książka francuskiego pisarza Władimira Wołkowa „Montaż”. Książka Zinowiewa to socjologiczna analiza w formie powieści. Powieść Wołkowa także zawiera nie mało celnych socjologicznych spostrzeżeń. Wołkow podobnie jak Zinowiew opisuje manipulacje KGB, które określa francuskim terminem „montaż”. Podobnie jak u Zinowiewa, u Wołkowa nad sowieckim światem unosi się niebo, na którym jasno świeci KGB. Zasadnicza różnica między rosyjskim pisarzem na emigracji a francuskim pisarzem rosyjskiego pochodzenia, który od urodzenia żyje na Zachodzie polega na tym, że dla Wołkowa KGB jest wcieleniem Diabła, ale i Bóg istnieje, a dla Zinowiewa KGB jest jedynym Bogiem sowieckiego nieba, a wkrótce być może całego świata.

W rozdziale „Istota rzeczy”, w którym Inspirator roztacza na wzór Wielkiego Inkwizytora z „Braci Karamazow” wizję przyszłości, ujawnia się metafizyczny sens działań KGB. Zrozumiawszy obiektywny trend dziejów, KGB może „rozpełznąć się po całej planecie i przeniknąć we wszystkie jej szczeliny”. KGB powinno dziś zrobić to, co „w swoim czasie zrobili Marks, Lenin, Stalin”.

To szczytne zadanie wymaga geniuszy, ale „intelektualne funkcje geniusza historycznego — objaśnia Inspirator bohaterowi — może dziś spełniać tylko tajny agent jak ty, albo urzędnik średniego szczebla Organów jak ja”.

Obraz świata jest jasny. Jego los jest w rękach Organów. Poeta powiedziała: „Jednego mamy Boga — towarzysza KGB”. Hołdownicy nowego bóstwa pełnią funkcje geniuszów obdarzonych darem jasnowidzenia. „Wszystko rozumiem — oświadcza „Ja” — i to na wiele wieków naprzód”. Bałwochwalczy nowego bożka ogłaszają chartę *homososa*: czego byś nie robił, robisz na zlecenie KGB, nawet jeśli uważasz, że działasz przeciw KGB. Gigantyczny plan KGB wszystko przewidział i dla wszystkich starczy miejsca: dla agentów i dla dysydentów, dla Zachodu i dla Wschodu. Walka i opór tracą sens — los *homososa* okazuje się najlepszym wariantem kondycji ludzkiej. Jeśli KGB jest wszechwiedzącym, wszechmocnym, znającym „obiektywny bieg dziejów” Bogiem, to walka z nim może budzić tylko śmiech. Toteż główny bohater „Homo sovieticus”, wzorcowy *homosos*, nie przestaje się złowieszczo, szyderczo i z wyższością śmiać.

Dwie książki znaczą etapy historii XX wieku. W 1920 roku Jewgenij Zamiatin opisał w swym zadziwiającym proroctwie przyszłego *homososa*. Powieść „My”, dziennik pierwszego *homososa*, kończy się pełnym ufności oświadczeniem: „... Jestem pewien, że zwyciężymy. Dlatego że rozum musi zwyciężyć”. Mniej więcej trzydzieści lat później George Orwell opisał zwycięstwo rozumu. Powieść „1984” kończy się zwycięstwem *homososa* Winstona Smitha: „Winston odniósł zwycięstwo nad samym sobą: kochał Wielkiego Brata!”. Minęło dalszych trzydzieści lat. Spełniły się proroctwa, fantastyczne wizje Zamiatina i Orwella stały się rzeczywistością. Rzeczywistość nabrała cech fantastyki, stała się sowiecka: *homosos* kroczy po planecie. Książka Zinowiewa kończy się, podobnie jak książki jego poprzedników, ufnie: „We współzawodnictwie *homososa* z maszyną przyszłość należy do *homososa*”.

Zwycięski *homosos*, kroczący naprzód pod przewodem KGB, zmiata wszystko ze swej obiektywnie słusznej historycznej drogi, bo ma cechę, która czyni go niezwyciężonym. Ta sama cecha stanowi zarazem o jego słabości. *Homosos* nie może być sam. Wśród targających nim lęków jest i strach przed wolnością, przed koniecznością indywidualnego wyboru, przed znalezieniem się na zewnątrz ludzkiego zbiorowiska. Słowo „nostalgia” tłumaczono kiedyś jako tęsknotę za ojczyzną. *Homososy* Zinowiewa, a przede wszystkim „Ja”, tęsknią, rozpaczliwie tęsknią za zdrowym sowieckim kolektywem. Zinowiew jak nikt inny odmalował w swoich książkach piekło sowieckiego kolektywu. Łatwo było widzieć monstrualne cechy kolektywu, siedząc w jego zacisznym łonie. Utraciwszy kolektyw, *homosos* zaczyna rozpaczać: nie wie, gdzie się podziąć ani jak żyć. „Ja” z zalem wspomina Stalina, przy którym można było „zlać się z historią” i tęsknić

za jasnymi związkami z KGB. Tęskni za kolektywem: „Odkąd straciłem kolektyw, dniem i nocą nie znajduję spokoju”.

„Ja” to *homosos*-intelektualista, uczoney. Jego tęsknota opiera się na naukowej teorii, która ujawniła sowiecką Tajemnicę, sekret ustroju sowieckiego: *homosos* nie współpracuje z władzami, on uczestniczy we władzy. Tęsknota za kolektywem, tęsknota za zoną — to tęsknota za władzą. Zamiastin zrozumiał to u zarania władzy sowieckiej, w latach kiedy *homosos* dopiero się rodził: „Dwie szale: w jednej gram, w drugiej — tona, w jednej „ja”, w drugiej — „My”, Zjednoczone Państwo... Stąd podział: tonie — prawa, gramowi — obowiązki; a prawdziwa droga od nicości do wielkości to — zapomnieć, żeś gramem, i pocuć się milionową cząstką tony...”.

W wiele lat po napisaniu „My” Walentin Zeka — Walentin Sokołow, wieczny sowiecki więzień i wielki poeta — napisał: „Dla duszy jesteś jak łyk ozonu — witaj, zono...”.

Michał HELLER

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

Brak tchu

Widok z okna jak bezkresna dal we mgle, wilgotna i czuła, ale to tylko prześcieradło, rozpięte na kratkach; trzeba je polewać wodą i wtedy stygnie na moment, a potem znów porasta dławiącym mchem pary, która łąsi się obleśnie do tych nagich ludzi, milczących bez tchu za stołem.

Słońce łakomie pożera barak; jeden z nich sięga co chwile po aluminiowy kubek, zanurza go w kuble, czerpie i chlusta przez lewe ramię na płachtę; wygląda jakby odczyniał uroki.

Odstawia pogięty kubek i wraca do siebie i nawet nie spojrzy w jego kierunku; sięga na pamięć.

Kubek stoi na parapecie; jego mdła biel w tle gieźla na kratkach; kubek jest cały w dziergankach; cały jest wytatuowany; odejmowano go od licznych ust, a data produkcji, wybita sztancą, mówi, że służy już trzydzieści jeden lat. Ścianki poryte są napisami, rysunkami nagich kobiet, datami, numerami artykułów i paragrafów, które łamały kolejnych właścicieli; jeden z nich znów sięga, czerpie z kubła i chlusta; woda jak metal z brzękiem ścieka na parapet, a tamten odstawia ten kielich goryczy, jakby to był zwykły przedmiot.

Te nagie ciała ludzi za stołem okrywa pot i niemoc; siedzą w milczeniu i wolno, z rozmysłem, wdychają powietrze, które jest tak puste, że nie daje już ulgi płucem.

Do południa jeszcze dwie godziny; jest to pora zwolnień; to właśnie teraz każdego dnia może się zdarzyć, że wybije ta godzina; odezwią się kroki na korytarzu i może nie ominą tych drzwi i zaskomlą rygle i w drzwiach pojawi się dawisz, który niechętnie wywoła nazwisko i już odwracając się, dorzuci: pako-wać się!

Ten, który to usłyszy, poczuje nagłe łopotanie pulsu; gdzie mam się pakować, dokąd, będzie się głośno uspokajał; może w transport, a może dali mi sankcję, kurwa ich mać; pewnie w transport. Albo do sądu na świadka.

— Teraz jest pora zwolnień. W transport biorą o ósmej rano — odezwie się ktoś z boku; ale pamiętasz: raz był transport o dziesiątej właśnie...

Ten, który usłyszy swoje nazwisko, będzie się usprawiedliwiał tymi słowami, będzie mówił, nagle zacznie wypowiadać wiele słów, a ręce gorączkowo zaczną się wyciągać w kierunku jakichś przedmiotów, które trzeba zapakować, w kierunku tych ludzi, którzy nie usłyszeli swoich nazwisk; oni będą musieli mu pomagać, bo zamartwiały palce nie mogą niczego utrzymać dłużej, niż przez moment.

Jest pora zwolnień, ale żaden z nich nie mówi o tym głośno; tego upalnego dnia nie mają siły na żadne słowa; tego dnia słowa byłyby za ciężkie, by je wypowiedzieć.

Drobinki kurzu wtapiają się w ciała jak śnieg i nikną, a oni milczą; ci, którzy siedzą plecami do drzwi, patrzą bacznie na tych, którzy je mają w zasięgu wzroku; ci słyszą więcej.

Drzwi celi otwierają się nagle bezgłośnie, jakby rozgrzany metal zmiekkł i klucz mógł się bezdźwięcznie obrócić w zamku; klawisz ma czapkę zsuniętą na tył głowy; strużki potu wyciekają spod daszka i pędzą w dół, a on odgania je niecierpliwie wierzchem dłoni.

Stoi w drzwiach i patrzy na siedzących, a potem cicho wypowiada nazwisko.

Ten, który je usłyszał, unosi się lekko, siada; klawisz wie o tym, że teraz jest godzina zwolnień, więc milczy przeciągle, jakby się bał, że gorące słowa poparzą mu wargi.

— No? Jestem...

Klawisz pociera powieki końcami palców; na jednym z nich wisi klucz więzienny; kółko jak olbrzymia ślubna obrączka; tak ostrożnie naciska powieki, jakby chciał sprawdzić, czy są pod nimi oczy i mówi cicho w dłonie.

— Na przesłuchanie.

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, oddycha teraz łagodnie, sięga po aluminiowy kubek, czerpie z kubła.

— Nie idę na przesłuchanie.

— Nie?

— Nie.

Chlusta za siebie przez ramię i odstawia szybko gorący kubek, którego nie zdążyła ochłodzić woda.

— Kto by ciupał w taki upał. Nie idę.

Klawisz nie odchodzi; powinien już wyjść i zatrzaskać roz-

palone drzwi, ale stoi na progu, a zza jego pleców pojawia się błądy mężczyzna; jest tak biały, jakby wyparowała z niego krew; ze mną nie będziesz też rozmawiał? Co? Ze mną nie chcesz rozmawiać?

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, podnosi się wolno, mechanicznie, bez żadnej myśli; wstaje, robi kilka kroków; tylko tyle, by znaleźć się przy drzwiach; teraz sięga po koszulę, która zwiędła na pryczy i odwraca się niepewnie.

— To mój ojciec — odzywa się z wysiłkiem do tych, którzy siedzą za stołem.

Drzwi są dziś jak z gumy i nie wydają dźwięku.

— To teraz ja będę polewał tę szmatę. Zanim nie wróci.

— On mówił, że jego ojciec pracuje w ube. Pierwszy raz przyszedł. Nie utrzymuje z nim żadnych kontaktów. Wyszedł zupełnie skołowany.

— Myślał, że na wolność. Ta pora.

Wojłokowy upał tłumi słowa; rozkołysany czas rozplywa się na wszystkie strony.

Dym z papierosów wchłania ostatnie smugi powietrza. Jeszcze trwa godzina zwolnień i oni czują każde jej drgnienie.

— Chyba stuknę do sąsiadów. Może ktoś dziś wychodzi.

— Byłoby słychać.

Milczą nie gasnące pety w puszcze i teraz czują te miękkie kroki, których nie słychać z korytarza i poruszają się drzwi w kurzu powietrza, suchym jak sól i staje w nich ten, który usłyszał swoje nazwisko.

Odrzuca koszulę na pryczę; rękaw osypuje się wolno ku podłodze; robi kilka kroków, tylko tyle, by znaleźć się przy stole i ujmuje kubek, czerpie nim wodę z kubła i część chlusta na szmatę, a resztą gasi sobie włosy, a potem osiada na taborecie.

To był mój ojciec, mówi szybko; mówiłem wam, że mój ojciec pracuje w ube. Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów. Nie przychodził na widzenia, bo wiedział, że nie będę chciał z nim gadać. Zaskoczył mnie. Dlatego wyszedłem. Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów. Wyszedłem zupełnie skołowany...

— Ale krótkie to widzenie było...

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, wyciąga z paczki zeschłego papierosa i przeciąga po skorupce bibułki językiem, który nie zostawia nawet nikłego śladu, obraca papieros w palcach, a tytoń sypie się spod jego paznokci.

— To nie było żadne dodatkowe widzenie. To było normalne przesłuchanie. Siedział tam jeszcze jeden ubol i obaj z ojcem chcieli mnie przesłuchiwać.

Zapala papierosa, a próżną bibułkę obsiadają żółtawe płomyki.

— Ojciec się darł na mnie, że jestem głupi, że tu siedzę w taki upał, że może mi załatwić zwolnienie w każdej chwili, tylko żebym podpisał deklarację lojalności, a ten drugi mówił, że tacy jak ja, to u nich są potrzebni do pracy, a nie w kryminale.

Wrzuca do puszkę płonąca bibułkę, która parzy mu palce.

— Powiedziałem, że nie będę z nimi rozmawiał, bo mają krew na rękach. Ten drugi potwornie się wkurwił i wyszedł. I ja też wyszedłem. Ojciec za mną krzyczał, że jestem głupi, i żebym nie był głupi, że mi podaruje kolorowy telewizor na zgodę. Nie przychodził na żadne widzenia. Zaskoczył mnie. Dlatego wyszedłem. Nie utrzymuję z nim kontaktów. Wyszedłem zupełnie skołowany. Powiedziałem im, że nie będę z nimi rozmawiał, bo mają krew na rękach. Ten drugi się potwornie wkurwił i wyszedł. Mówiłem wam, że mój ojciec pracuje w ube. Krzyczał za mną, że jestem głupi, i żebym nie był głupi, że mi podaruje kolorowy telewizor na zgodę...

— Zapal — powiedział jeden z nich i podał mu żarzącego się papierosa. — Zapal. A potem wszystko opowiesz.

— Nie utrzymuję z nim żadnych...

— Zapal. I polej prześcieradło.

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, sięga po kubek, ale nie trafia dłonią i musi się odwrócić, by dobrze wymierzyć ruch. Potem czerpie z kubła i chlusta za siebie; płachta prześcieradła jest sztywna jak blacha pokryta cynkiem; krople ściekają z niej jak rtwę i stukają śpiesznie o parapet.

Godzina zwolnień zaczyna się nad nimi zamykać nieuchronnie; czują teraz, jak wolno oblewa ich spokój i rezygnacja i czule nici, które łączą ich z korytarzem więziennym, zaczynają pękać jedna po drugiej.

I wtedy korytarz ożywa nagle; wypełniają go głosy, słychać klaskanie zasuw i kroki, niosące się coraz bliżej i ku nim.

— Co jest? Co za przepychanka?

Jeden z nich pochyla się nad drzwiami, łakomie łowi dźwięki, tak trudne do odczytania i tak niepokojące.

— Może wypuszczają? Czy jak? Stuknij obok.

Ściana nie odpowiada, milczy.

— Nie stukaj teraz — mówi któryś — tam u nich jest klawisz pod celą, zaczekaj.

— Chyba idą do nas — mówi ten przy drzwiach i cofa się nieco, a blacha drzwi drga i oddala się od niego, a na okutym progu stoi mężczyzna i teraz mógłby się już oprzeć plecami o tę blachę, bo drzwi zatrzaśnięto za nim w gnieniu oka.

On stoi nieruchomo i nieufnie wciąga w płuca nieznanome powietrze; w rękach trzyma tobołek, zawinięty w szary koc; na tobołku stoi niepewnie chybotała aluminiowa miska, w której jest aluminiowy talerz i pogięty wygrawerowany aluminiowy kubek; ścianki poryte są napisami, rysunkami nagich kobiet, datami, numerami artykułów i paragrafów, które łamały kolejnych właścicieli; — skąd jesteście? — pyta ten od drzwi.

— Różnie — odpowiadają zza stołu. — A ty?

— Ja jestem naukowcem. Przywieźli nas cały transport.

— Naukowców?

— Nie, nie, różnych, właśnie nas przywieźli, pełno. Długo siedzicie? — pyta niepewnie.

— No, to witaj, docent. Ta prycza jest wolna. Kładź mandzur i siadaj.

— Jaki mandzur?

— To, co trzymasz w rękach, to jest mandzur. Ten tobołek. Siadaj, odpocznij. A potem będziesz opowiadał.

— Ciepło tu — mówi wolno docent.

— A innych rzeczy nie masz? Poza skarbowymi?

— Miałem torbę z rzeczami. Od miesiący przygotowana. Wszystko, co trzeba. Pierwszy raz jej dzisiaj nie zabrałem ze sobą... A wy długo... tak siedzicie...?

— Niedługo, będzie pół roku.

Docent siada na pryczy, aluminiowa miska, wypełniona przedmiotami, brzęczy.

— A długo jeszcze będziecie...

Opiera łokcie na kolanach, a głowa skwapliwie skłania się ku dłoniom.

Oni milczą i czekają na niego cierpliwie.

— Już tak dobrze było ostatnio; wszystko się układało, taką dobrą fuchę złapał się z żoną; żona też pracuje w tym samym instytucie, a ja jestem adiunktem i jeden znajomy, który rzucił wszystko w cholerę i założył warsztat z metaloplastyką, dał nam świetną fuchę, takie kwiatuszki metalowe do malowania; jak ułożyliśmy dzieci spać to żona główki, a ja korzonki pociągałem na zielono; szalona wprawa po paru nocach, szalona wprawa... wreszcie trochę odetchnęliśmy finansowo... jakiegoś nawet wakacje zaczęło się planować... od miesiący tę torbę miałem przygotowaną... cholerny świat...

Godzina zwolnień kończy się bezpowrotnie; ten, który usłyszał swoje nazwisko, sięga teraz po aluminiowy kubek i stuka nim niecierpliwie o dno kubła.

... od miesiący tę torbę miałem przygotowaną...

Wielkie nieszczęście

(fragment powieści)

— Ja panu daję uroczyste słowo honoru sowieckiego człowieka i komunisty, że wasza jednostka nie zostanie rozbijona ani jawnie, ani w żaden podstępny sposób, i wywieziona na Sybir, czy gdziekolwiek wy sobie wyobrażacie, że my was wywozimy. Zapewniam pana również uroczystym słowem honoru sowieckiego człowieka i komunisty, że wasza jednostka nie zostanie rozbita a żołnierze rozproszeni i siłą wcieleni do oddziałów Armii Kościuszkowskiej. My nigdy nie postępujemy wiarołomnie. — Tym solennym zapewnieniem miało się zakończyć spotkanie Pawła z lejtnantem NKWD Jarosławem Blutsztajnem. Na razie jednak Paweł jest dopiero w połowie drogi między tym zalesionym pagórkem kilka kilometrów z tyłu, gdzie zostawił kaprala „Sójkę”, a skrajem tamtego boru, daleko jeszcze w przodzie przed nim, w którym, jak go zapewniono minionej nocy, obozują Sowietci. Dopiero się zaczyna rozwidniać.

Umówili się, że jeśli do drugiej popołudniu Paweł nie wróci, będzie to oznaczało, że go aresztowano. „Sójka” zawróci do jednostki, zamelduje, co się stało; sprawdzą się najczarniejsze przepowiednie wielu ludzi w batalionie: Ruskom nie wolno ufać, mamy precedensy, wiemy, jak to się skończyło w Wilnie, za Bugiem, nie bądźmy naiwni i nie łudźmy się, że w naszym przypadku oni postąpią inaczej, to nie jest Zachód, proszę panów; major Zaruba uspokajał wszystkich, nerwy, kochani, spokojnie, bo sobie niemal do oczu skakali, tłumaczył, dlaczego to muszą zrobić, nad wszystkimi obawami przeszedł do porządku dziennego, my musimy, my nie mamy innego wyboru, nawet gdybyśmy wiedzieli na sto procent, że naszą propozycję współpracy odrzucą, kochani, my musimy udowodnić, że my jej chce-

my, chodzi, kochani, o historię, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, że myśmy wyciągnęli rękę do zgody a oni tę rękę odrzucili. On, major Zaruba, nie miał złudzeń. Paweł myśli podobnie. Taki jest nasz straceniowy los. Paweł ma świadomość, Paweł ma bolesną świadomość, że działają już tylko po to, żeby to kiedyś zostało zapisane w historii; ale innej drogi nie mamy, myśli: my innej drogi już nie mamy, tak tę myśl w słowach formuluje: my innej drogi już nie mamy, my musimy zejść ze sceny z czystym sumieniem, do nas nawiążą przyszłe pokolenia, powiedzą, byli wierni, wykazali dobrą wolę. Amen. Umówili się z „Sójką”, że jeżeli do drugiej nie wróci, będzie to oznaczało, że go aresztowano.

W tej chwili Paweł nie myśli o tym, co się z nim w takim razie może stać. Jest spokojny. Od wschodu niebo puchnie, czerń nocy rzędzie, spoza postrzępionej linii horyzontu podnosi się brzask. Koń idzie powolnym stępem ostrożnie stawiając nogi. Pole, zaorane poprzedniej jesieni, jest pełne nierówności stwardniałych na lód, najeżonych ostrymi kantami. Coraz to gąszenie ześlizguje z grudy, zapada, i Paweł, który siedzi na tym koniu na oklep, na samej derce przytroczonej do grzbietu, wykonuje wtedy dziwaczne poruszenia całym ciałem, żeby nie stracić równowagi. Komicznie to musi wyglądać, myśli o sobie, widzi siebie, ma plastyczną wyobraźnię, jakby na obrazie, który kiedyś namaluje jakiś artysta, ta rozległa śniegiem zasnuta równina, dzika, pusta, środkiem której na szkapie bez siodła jedzie samotny jeździec, jedną ręką trzymający się rzemieni uzdy, w drugiej, wyciągniętej na bok i wzniesionej trochę w górę, dzierzący kij z białą chorągwią emisariusza, sporządzoną z kawałka prześcieradła; podpis: „Zima 1945. Żołnierz AK w drodze na pertraktacje z Sowietami”. Paweł ma historyczną wyobraźnię.

Staje się coraz widniej. Ten bór widać już coraz wyraźniej, w jaśniejącym powietrzu podpływa ku niemu z rzędniejszą nocą. Jeśli oni, Sowietci, tam są, to mnie na pewno już zauważyli. Stara się trzymać możliwie prosto, nie wolno mu się zbłąźnić, ależ by się śmiali, gdybym rąbnął na ziemię: emisariusz AK!, poczuciu bowiem historycznej przeciwie misji, jakiej się podjął, zagraża w każdej chwili możliwość, że się ośmiesz, że jego historyczna misja dozna szwanku, tak zatem tego konia prowadzi, tak na nim całym ciałem balansuje, żeby do tego, broń Panie Boże i Przenajświętsza Matko Boska Częstochowska i Ostrobramska, nie dopuścić.

Po pewnym czasie do uszu dochodzą nikłe na razie jeszcze odgłosy zapuszczanego silnika samochodowego, rżenie motocykla już na chodzie, któremu coraz to się podkręca i poluzo-

wuje gaz, rytmiczny klekot generatora; pędzą własny prąd; więc Paweł już wie, że dobrze trafił, że w tej chacie, w której zatrzymali się w nocy na parogodzinny odpoczynek, dobrze go poinformowali. Domyśla się też coraz bardziej się zbliżając do skraju boru, że spoza gęstwiny krzaków obsypanych śniegiem patrzy na niego ludzkie oczy. Wypina pierś, podnosi głowę, dolną wargę wysuwa do przodu, stroszy brwi, tak mu się przynajmniej wydaje; ale serce mu jednak bije mocniej, nie może tego przed sobą ukryć, nie może udawać, że nie, niepokój, tak jest, przyznajmy się, trawi go niepokój, przecież mogą do mnie strzelić; ale zaraz w następnej chwili karci siebie, człowieku, dlaczego mieliby strzelić, nie lepiej go wziąć żywcem, żeby go następnie mogli wziąć na spytki; zresztą, bo po tym chwilowym zachwianiu równowagi umysłowej już znowu panuje nad sobą, myśli, tego chwilowego zachwiania się wstydząc: a właściwie to i po co mieliby brać na spytki, po co im to, ostatecznie iluż nas jest, czterystu kilkudziesięciu chłopów, nie jesteśmy dla nich żadnym zagrożeniem, mucha na słońcu, połknęliby nas; to dla mnie jest ważne, żeby z nimi rozmawiać, nie dla nich, teraz, w tej chwili, bo w perspektywie dziejowej może się okazać, że i dla nich to było ważne.

Jeszcze kilkanaście metrów. Rozlegają się krótkie, bezładne głosy, które, nawet gdyby za tymi krzewami czaili się Chińczycy, mogą oznaczać tylko jedno: zatrzymuje się. Zaraz go obskakuje kilkunastu żołnierzy z wycelowanymi w niego pepeszami. Paweł opuszcza się z konia na ziemię, pilnuje się, żeby to nie wypadło pokracznie, przecież jest bez strzemion, nie najgorzej to wychodzi, łąduje równo na lekko ugiętych nogach. Żołnierze stoją w miejscu. Powiada głośno, energicznie, ale żadnej w jego głosie agresywności, wie, co Rosjanie myślą o Polaczkach, powiada więc: — Prowadzić do komandira!

Jeden z żołnierzy, niski i skośnooki, wysuwa się do przodu, lustruje go chwilę tymi mongolskimi oczami, macha oburącz pepeszą wskazując kierunek.

Wchodzą w las. Paweł zdejmuje z kija swoją chorągiew emsariusza, zgarnia w kłębek, wkłada do kieszeni płaszcz, już swoje spełniła; tak idzie. Wchodzą w drzewa wysokie i rozłożyste, u spodu gęsto pozarastane krzewami, na wąską ścieżkę, tak że Paweł musi obiema rękami przytrzymywać gałęzie rozpychane przez kroczonego przed nim Sowietą, żeby odskakując nie uderzały go po twarzy. Tak przez ten las się przedzierają jakieś sto metrów. Wychodzą na rozległą polanę, wykaraczowaną z drzew. Wśród dziesiątków pojazdów mechanicznych, samochodów, jeepów, ciężarówek, przyczep, jak również czołgów w tym lub innym stanie rozbiórki, krzątają się żołnierze w wатовanych

ubraniach z narzędziami w dłoniach utyłanych olejami, smarami. Środek polany zajmuje kwadratowy majdan. Otaczają go z czterech stron baraki. Przecinają ten majdan. Kierują się w stronę najokazalszego na oko budynku, również parterowego, jak pozostałe, ale z gankiem, który nakrywa gontowy dach. To będzie dowództwo. Po kilku drewnianych, uginających się pod nogami stopniach wchodzą do niedużego przedsionka z korytarzem na lewo i na prawo. Na ścianach wiszą agitacyjne afisze drukowane brudną farbą. Przeważa na nich obraz wyciągniętych do góry i kurczowo zaciśniętych pięści, las pięści, miliony pięści podniesionych gniewnie do góry. Są też afisze, na których wymalowano bagnety przebijające wijącą się na ziemi żmiję o głowie Hitlera. Zza ścian dobiega stukot maszyn do pisania, gdzieś dzwoni telefon. Rozlega się też śmiech kobiety.

Żołnierz idący z przodu znika na chwilę w tym korytarzu na lewo. Wraca przepuszczając przed siebie oficera. Paweł staje na baczność, salutuje. Oficer kiwa lekko głową, przez kilka sekund uważnie mu się przygląda. Szeptem mówi coś do żołnierza, odchodzi i niemal natychmiast, widocznie ma biuro tuż obok, wraca, ale w czapce na głowie, obciążając bluzę munduru i wyrównując fałdy wokoło pasa. Ruchem głowy daje Pawłowi znak, żeby szedł za nim. Wychodzą na zewnątrz. Przez korony drzew prześwituje już słońce, jednak w powietrzu trzyma mróz. Drewnianym chodnikiem z desek przybitych do równoległych bali przechodzą do sąsiedniego baraku. Tu jest taki sam przedsionek, tak samo odbiegające na dwie strony korytarze. Afisze też te same. Skracają do korytarza na prawo.

Oficer zatrzymuje się przed drzwiami, wyprostowuje, znowu obciąża, właściwie już niepotrzebnie, bluzę munduru; taki odruch nerwowy. Obciążnął. Teraz delikatnie, knykciem palca wskazującego puka i z przekrzywioną trochę na bok głową, z uchem niemal przyłożonym do drzwi, czeka, nasłuchuje. Na chwilę, na sekundę, dwie sekundy, rzuca na Pawła spojrzenie, ale w tym spojrzeniu nic nie ma, tak jakby go właściwie nie widział, jakby Pawła tam w ogóle nie było, i znowu opuszcza powieki, nasłuchuje. Paweł odnosi dziwne wrażenie, nieprzyjemne, jakby żenujące, które trzeba od siebie odepchnąć, że w tym nasłuchaniu, całej postawie tego sowieckiego oficera jest coś, nie potrafi tego jeszcze zdefiniować, męczy go to, coś w każdym razie niepokojącego. W pewnej chwili oficer znowu podnosi głowę i skierowuje ją ku niemu. Patrzy na niego, ale tym razem tak, jakby go naprawdę widział, jakby coś o nim myślał. To spojrzenie jest krótkie, migawkowe. Wzrok oficera zderzywszy się ze wzrokiem Pawła, który mu się przypatruje z normalnym, wcale jednak nie nachalnym, zaciekawieniem, odskakuje od niego

jak sparzony, staje się ciemny, mętny, przez twarz przesuwają się cień, cień czego? wstydu, upokorzenia? Pawła to zastanawia. Stara się na nowo uchwycić i zdefiniować to pierwsze wrażenie, jakiego doznał przed chwilą. Raptem uderza go wstrząsająca myśl: ten człowiek się boi tego drugiego, do którego puka, w nim tkwi lęk, ten lęk wypełnia go całkowicie jak sama krew, która krąży po jego ciele, on jest sprężony w sobie i się boi; i on, ten sowiecki oficer stojący przy drzwiach z nachyloną nabożnie głową wie, że on, Paweł, oficer polski, emisariusz Armii Krajowej, ten lęk u niego dostrzegł; i się wstydzi. Paweł szybko zdejmuje z niego swoje spojrzenie, chce mu zaoszczędzić dalszego upokorzenia, chce również strząsnąć z siebie przykrą świadomość, że stał się mimowolnym świadkiem, jeśli nie mimowolną przyczyną, poniżenia drugiego człowieka; więc już na niego nie patrzy, ostentacyjnie odwraca głowę na bok, przygląda się tym afiszom agitacyjnym, którymi są wytapetowane ściany przedsionka i które wyrażają prymitywną nienawiść. Coś mu się w tych afiszach nie podoba, czuje się wobec nich nieswój, myśli: to właściwie jest żenujące; zaczyna myśleć na temat tej prymitywnej nienawiści, ale żadnej myśli nie ukonkretnia, tylko: coś tu jest nie w porządku, to nie tak powinno być; doznaje dziwnego wrażenia, jakby te afisze w jakiś sposób pomniejszały go w jego własnych oczach, były zamachem na jakąś wewnętrzną i nienaruszalną wartość, na jego godność osobistą, otóż to; chce nadal tę myśl rozwijać, ale już go dobiega głos oficera, tego, który go tu przyprowadził:

— *Pożalstia!* — Drzwi do pokoju są szeroko otwarte. Ten oficer stoi z boku. Gestem odstawionej od siebie lewej ręki zaprasza go do środka. Ale to już jest inny człowiek. W oczach ma światło. Paweł wchodzi do środka i widzi przed sobą oficera w mundurze NKWD: tak, teraz rozumiem, teraz to jest jasne. Zdejmuje z głowy polówkę, staje w postawie zasadniczej: — Porucznik „Paweł”, oficer Armii Krajowej.

Tamten wyciąga do niego rękę. Patrząc mu prosto w oczy powiada: — Lejtnant Blutsztajn... Jarosław Blutsztajn. — Właśnie w ten sposób: najpierw samo nazwisko, po chwilowej przerwie powtarza je z dodaniem imienia, tego polskiego, w każdym razie arcystłowińskiego imienia, wymawiając je z naciskiem, jakby w tym nacisku kryło się jakieś ukryte znaczenie; dla Pawła rzeczywiście ukryte, tyle że mu śmiga przez głowę pytanie: po co? No nic. Ściskają sobie dłonie. Dłoń lejtnanta Jarosława Blutsztajna jest duża, ciepła, miękka; jej uścisk jest neutralny, ani za słaby, ani za mocny, uścisk pewnego siebie, dobrze wychowanego człowieka; taki jest ten uścisk. Ale już rozluźnili dłonie, opuścili je. Stoją naprzeciw siebie. Lejtnant Jarosław

Blutsztajn, wysoki, postawny mężczyzna, owszem, rysy semickie, patrzy na Pawła. Ma duże, ciemne oczy, bardzo ciemne i bardzo głębokie, rozjarzone jednak jakimś blaskiem idącym z ich ukrytego wnętrza, jakby tam na dnie coś się żarzyło i promieniowało ciepłem. Lejtnant Jarosław Blutsztajn stoi przed Pawłem, przyglądając mu się i lekko uśmiechając. W tym uśmiechu jest jakby rozweselenie, jakby się w nich czaiła psota. Pawłowi to nie przeszkadza, następny ruch nie do niego należy, czeka. Teraz następuje ten ruch: — Pan zechce łaskawie usiąść i się rozgościć, bardzo proszę. — Nieskazitelną polszczyzną, bez najmniejszego cienia obcego akcentu, śpiewną polszczyzną. Lejtnant Jarosław Blutsztajn dodaje wskazując na krzesło: — Proszę, niech pan siada.

Paweł powiada: — Dziękuję — normalnym głosem, jakby go wcale nie zaskoczyło ani nazwisko, ani imię, ani to bezbłędne odezwanie się po polsku; a zaskoczyło go; jednak nie daje tego poznać po sobie: nazwisko nie, oczywiście, ale imię tak. Czy lejtnant Jarosław Blutsztajn jest zawiedziony? W każdym razie uznaje za stosowne dodać:

— Jestem lwowiakiem... Jestem Żydem ze Lwowa. Polskim Żydem ze Lwowa.

Paweł nie reaguje. Myśli: jakiś widać pokręcony człowiek, jakiś zakompleksiony masochista. Myśli: przecież ten enkawudysta, jeśli o mnie chodzi, mógłby się równie dobrze nazywać Kołataj, Płatnikow, Dietrich, Smith lub La Rochefoucauld. Myśli: to jest Moskal, za którym stoją więzienia, tortury, strzały w potylicę, łagry, Katyń, jak również pamięć naszych okrutnie stłumionych powstań, rzeź Pragi, Murawiew, ten wieszatelnik, i kibitki, kibitki nieprzerwanym sznurem z jednego pokolenia na drugie ciągnące na Sybir. Myśli: dla mnie ten Jarosław Blutsztajn, który mógłby nosić jakiegokolwiek inne nazwisko występujące na świecie, jest po prostu przedstawicielem państwa, które dawniej się nazywało Rosją czy Imperium Rosyjskim; które to państwo przelało morze krwi polskiej, i które teraz, od kilkadziesiąt lat, nazywa się Związkiem Socjalistycznych Republik Sowietkich i które na spółkę z Hitlerem dokonało nowego rozbioru Polski i mimo zaledwie kilkadziesiąt lat istnienia też już zdążyło przelać morze krwi polskiej. Paweł uśmiecha się obojętnie, wyczekująco, do lejtnanta Jarosława Blutsztajna. Wiemy, w czym rzecz. Wiemy, kto z nas jest kto. Myśli: ale ja przecież także wiem, że chociaż mam przed sobą wroga, muszę się z nim dogadać, bo obaj mamy innego, wspólnego wroga, którego trzeba najpierw pokonać i to jest na razie nasza wspólna nadrzędna sprawa. Na tamto przyjdzie czas później, na uregulowanie naszych wspólnych rachunków. Więc on niepotrzebnie mi

tu macha przed oczami tą żydowską płachtą. Pokręcony, zakompleksiony facet. Ubolewać, że tak mu na tym zależy, żeby podkreślać swoje pochodzenie. Nieprzyjemne też. Żal mu go. Nieprzyjemne i co najważniejsze, i czego on niestety nie widzi, nie na poziomie.

Coś z tego, z tych odczuć i myśli Pawła, musiało chyba przeniknąć na jego twarz, bo kiedy lejtnant Jarosław Blutsztajn zasiada znowu za swym biurkiem, już nie ma na ustach tego poprzedniego, dwuznacznego uśmiechu; co świadczy na jego korzyść; wskazuje, że się potrafi pogodzić z faktami. Tylko oczy mu nadal płoną. Podnosi z biurka srebrną i bardzo płaską papierośnicę, cacko, przyjemnie coś takiego wziąć do ręki. Otwierając ją w ruchu podsuwa Pawłowi: — Pan zapali, panie poruczniku?

Paweł przyjmuje papierosa z podziękowaniem i sięga do kieszeni po zapalniczkę, również płaską, oprawioną w czarną skórę, przedwojenną, żaden tam szmelc z łuski naboju karabinowego. Lejtnant Jarosław Blutsztajn wkłada delikatnie swego papierosa do długiej, też srebrnej cygarniczki; to jednak jest pod każdym względem wykwitny mężczyzna. Paweł pstryka ogniem.

— Bardzo elegancka — powiada lejtnant Jarosław Blutsztajn. To nie jest zdawkowy komplement, w tym głosie brzmi prawdziwe uznanie.

— Zdobyczna. Odebrałem zabitemu oficerowi niemieckiemu. Prezent od żony lub narzeczonej. Tu na spodzie jest wygrawerowane: „Für Hans von Erika mit Liebe”.

— Bardzo elegancka — powtarza lejtnant Jarosław Blutsztajn. Wyciąga rękę: — Można? — Obraca ją kilka razy w palcach, kciukiem pociera po skórze, pstryka, kiwa głową: — Bardzo elegancka — Oddaje. Następuje dłuższe milczenie. Wreszcie lejtnant Jarosław Blutsztajn zapytuje: — Czym zatem możemy panu służyć?

Paweł przystępuje do sprawy. Wyjaśnia, że jest wysłannikiem sporej, nie ujawnia, jak sporej, jednostki Armii Krajowej, operującej od szeregu miesięcy w niezbyt dalekiej stąd odległości. Wyjaśnia, że jednostka walczy z Niemcami prawie od samego początku okupacji i teraz, gdy tylko patrzeć, jak zbliży się front sowiecki, oni, żołnierze tej jednostki, chcieliby nadal walczyć, kontynuować to, co od kilku lat stanowi o sensie ich istnienia. Teraz oczywiście u boku wojsk sowieckich. Wyraża przekonanie, że mają prawo oczekiwać, iż to im zostanie umożliwione od armii faktycznie przeciw sojuszniczej, która bijąc wspólnego wroga znalazła się obecnie na terytorium Polski, gdzie oni są własnymi gospodarzami a armia sowiecka gościem.

W tym miejscu coś się z lejtnantem Jarosławem Blutsztajnem stało. Chodzi o jego oczy. Prawdopodobnie te słowa „mają

prawo oczekiwać”, albo w ogóle przypomnienie, że oni, Sowietci, nie są tu u siebie w domu, tak na niego podziały. Ten nieustający płomień w jego oczach na sekundę, na dwie, przygasa. Paweł domyśla się, że jego słowa dotknęły w nim jakiegoś nagiętego nerwu i zadały mu ból. Oczy lejtnanta Jarosława Blutsztajna są w tej chwili, w tej krótkiej chwili, nie za krótkiej chwili, jednak, żeby tego nie można było złapać, w tej krótkiej chwili, kiedy przygasnął w nich ten żar, jego oczy są oczami cierpiącego człowieka. Ale Paweł kontynuuje. Powiada, że w związku z tym, co dotychczas powiedział, chciałby, żeby oni we dwóch, oni wspólnie, jeśli to jest możliwe, jeśli pan lejtnant czuje się w tym zakresie władny, omówili obecnie i uzgodnili jak, kiedy i gdzie jego jednostka będzie mogła nawiązać kontakt z odpowiednią jednostką sowiecką, by następnie przejść pod bezpośrednie rozkazy bojowego dowództwa sowieckiego. To mniej więcej byłoby wszystko, co ma na razie do powiedzenia. Teraz słucha.

Lejtnant Jarosław Blutsztajn odczekuje z namysłem chwilę, potem powiada wyjmując z ust swą długą srebrną cygarniczkę z wypalonym do połowy papierosem: — Tak. No dobrze. To wszystko jest bardzo ciekawe. — Znowu odczekuje chwilę, wreszcie, ale już z lekkim uśmiechem na ustach, dodaje: — Również sposób, w jaki to pan porucznik przedstawił. Jestem panu zobowiązany za szczerość. Mogę pana z góry zapewnić, że nie ma mowy o tym, żebyśmy chcieli, żeby władza sowiecka chciała czy zamierzała w jakikolwiek sposób przeszkodzić temu, by uciemniony lud polski mógł wnieść swój historyczny wkład w dzieło ostatecznego rozbicia faszyzmu. Chwileczkę.

Wstaje, wychodzi nie zamykając za sobą drzwi. Zaraz do pokoju wsuwa się bezszelestnie żołnierz; widocznie cały czas wartował na korytarzu. Nie zamykając także drzwi staje z boku pod lewą ścianą, koło żelaznego piecyka, w którym się pali ogień. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, na których ma skórzane buty z cholewami pofałdowanymi w harmonijkę. Ręce z tyłu. Stoi nieruchomo patrząc wprost przed siebie, jak statua wycięta z jednego kłosa nie najlepszego gatunku drzewa, niski, o kabłąkowatych nogach i twarzy, która zachowała ślady jakiejś dziecięcej choroby: pomnik wystawiony czasom głodu, poniżenia i poniewierki, zanim ten żołnierz przeszedł do służby w NKWD, gdzie, z ofiary przemieniając go w kata, porządnie go odżywiono.

Lejtnant Jarosław Blutsztajn wraca po kilku minutach. Żołnierz bez słowa opuszcza pokój, zamyka cicho drzwi. — Bardzo przepraszam, że zostawiłem pana samego. Proszę tego nieuniknionego i mimowolnego uchybienia dobrym obyczajom źle sobie

nie tłumaczyć. Musiałem się skontaktować z moim zwierzchnictwem.

Paweł powiada, bo co może powiedzieć: — Ależ, panie lejtnancie...

Lejtnant Jarosław Blutsztajn, który jak widać jest niesłychanie wychulony na dobre maniery, występując teraz już w imieniu i z błogosławieństwem swego zwierzchnictwa, oświadcza jak najdalej idącą gotowość pójścia Armii Krajowej na rękę; powtarza to, co przed tym już był powiedział. Paweł powiada na to, że to go bardzo cieszy i że miał nadzieję, iż z takim właśnie przyjęciem spotka się jego misja. Obaj się rozluźniają, rozmowa toczy się swobodnie. Uzgadniają więc, że oddziały Armii Krajowej reprezentowane przez Pawła, w ostatniej chwili wycofywania się Niemców (lejtnant Jarosław Blutsztajn powiada „faszystów”) zajmą miasteczko Dziaduszyn, w rejonie którego obecnie działają, i tam będą czekały na przybycie sowieckiego oficera łącznikowego. Lejtnant Jarosław Blutsztajn prosi o ujawnienie stopnia dowódcy, gdyż, jak podkreśla, jeśli dowódcą jednostki akowskiej jest na przykład pułkownik, to oni, Sowietci, nie mogą, nie uwłaczając dobrem obyczajom, wyznaczyć na oficera łącznikowego kogoś w randze dajmy na to tylko kapitana. Pan porucznik rozumie, prawda? Paweł myśli, że facet ma kręcka na punkcie dobrych obyczajów albo robi z niego balona, ale ujawnia, że jednostką dowodzi major; i tak to jest nieistotne. Lejtnant Jarosław Blutsztajn powiada: — Chwileczkę.

Wychodzi. Ten żołnierz znowu się wsuwa bezszelestnie do pokoju, zajmuje swoje miejsce pod ścianą, przy piecyku. Patrzy na przeciwległą ścianę, ponad głową Pawła. Nieobecność lejtnanta Jarosława Blutsztajna jest tym razem trochę dłuższa. Ale wreszcie wraca, powiada, już się jednak nie usprawiedliwiają: — Na spotkanie z panami stawi się towarzysz major Siergiej Kuriłow, który wspólnie z waszym majorem ustali praktyczne szczegóły i całą procedurę przejścia pod bojowe dowództwo sowieckie, tak by wasza jednostka mogła zostać skutecznie wykorzystana do walk frontowych z faszystami.

To by załatwiało sprawę. Lejtnant Jarosław Blutsztajn w imieniu Armii Czerwonej wyraża Pawłowi gorące podziękowanie za zdecydowanie patriotów polskich kontynuowania upartej walki ze wspólnym faszystowskim wrogiem i daje wyraz nadziei, ale to już osobiście w odniesieniu do Pawła, że następnym razem się spotkają w Berlinie. Paweł się odwzajemnia. I to byłoby wszystko, powiada lejtnant Jarosław Blutsztajn i zaczyna się podnosić z krzesła, ale Paweł, nie ruszając się ze swego, powiada, że nie, to jeszcze nie wszystko.

Lejtnant Jarosław Blutsztajn nieruchomieje. Potem powoli

się osuwa z powrotem na krzesło, jego twarz ciemnieje, jakby na nią naszała gradowa chmura; on nie dowierza temu, co usłyszał. Paweł myśli: widocznie tu u nich oficerowi NKWD nie mówi się „nie”, ale to już jest jego rzecz. Czeką. Lejtnant Jarosław Blutsztajn jednak bardzo szybko się opanował, nawet się uśmiecha, pobłażliwie, jakby miał do czynienia z grymasującym dzieckiem, któremu wielkodusznie postanowił popofolgować. Kładzie obie ręce na biurku, pochyla się do przodu. Lejtnant Jarosław Blutsztajn dba o siebie: jego ręce są troskliwie wypielegnowane, paznokcie przycięte nie za krótko, nieskazitelnie czyste, wypolerowane; są to ręce o palcach długich, z mocno zaznaczonymi spojeniami stawowymi, piękne ręce. Lejtnant Jarosław Blutsztajn powiada grzecznie: — Czym zatem, czym jeszcze możemy panu służyć. — Byłby z niego dobry subiekt sklepowy.

Paweł zabiera się, żeby to wyjaśnić. To jest trudna sprawa, sprawa natury delikatnej, właściwie nie wie, jak do niej podejść. Chodzi o pewne zapewnienia, pewne gwarancje. Powiada tak: — Panie lejtnancie, to co teraz powiem może być dla pana nieprzyjemne i z góry za to przepraszam, proszę tego źle nie rozumieć, ale nie mogę tej sprawy przemilczeć, pan rozumie, chodzi o ważną rzecz i obaj jesteśmy zainteresowani w tym, żeby każda ze stron wiedziała dokładnie, gdzie stoi, czego się ma trzymać, żeby nie powstały ewentualne nieporozumienia.

Jeszcze sprawy nie wyłuszczył, dopiero wokół niej krąży starając się, żeby każde kolejne okrażenie niosło go bliżej sedna; ale to jest trudna sprawa; jeszcze nie użył tych słów „gwarancje” lub „zapewnienia”, ale lejtnant Jarosław Blutsztajn zdaje się już rozumieć, do czego zmierza. Nakrywa oczy powiekami; to są powieki cienkie, delikatne jak jedwabna satyna, nic w nich jednak kobiecego, są mocno porysowane drobnymi żyłkami; potakuje głową powoli, jakby zmuszony do tego, z ubolewaniem. To potakiwanie powoli głową rozwiewa wokół niego i spycha ku Pawłowi niewidzialne obłoczki wody kolońskiej. Pawła to trochę deprymuje. Uzmysławia mu, że on sam prawdopodobnie cuchnie brudem i potem. Albo ten jego mundur, brudny, tu i tam polatany, rękawy na łokciach wytarte, kołnierz sztywny od zasiedziłego potu. Lejtnant Jarosław Blutsztajn, ten to ma mundur, chyba z kamgarnu, taki połyskliwy, Paweł na tym się nie zna, tak tylko przypuszcza, a jak na nim leży, na pewno go nie wyfarsował z magazynu wojskowego, szyty na miarę. Paweł musi się jednak przed sobą przyznać, że z przyjemnością zaciąga się tym zapachem wody kolońskiej.

Tłumaczy lejtnantowi Jarosławowi Blutsztajnowi ostrożnie, żeby go nie urazić, że do nich z różnych stron dochodzą wieści, różne wieści, czasami nie tylko nie wesołe, ale wręcz tragiczne,

według których zdarzają się wypadki, chciałoby się wierzyć, że sporadyczne, ale nie, otóż zdarzają się wypadki, że oddziały Armii Krajowej po ujawnieniu się wobec Armii Czerwonej i zgłoszeniu chęci dalszej walki ramię w ramię z żołnierzami sowieckimi, są traktowane jako oddziały wrogie, siłą rozbrajane, aresztowane, nawet wywożone gdzieś na wschód...

Lejtnant Jarosław Blutsztajn chce mu przerwać, chce zaprotestować: podnosi obie ręce z szeroko rozczapierzonymi palcami i porusza nimi jak marynarz-sygnalista na lotniskowcu. Paweł też na to podnosi rękę, jedną, prawą, jak policjant dający znak „stop”, prosi, żeby jednak pozwolić mu mówić dalej, przypomina, że na początku ostrzegł, że to może być dla pana lejtnanta nieprzyjemne, chciałby jeszcze raz podkreślić, że nie należy tego odbierać w niewłaściwy sposób, chodzi po prostu o to, żeby nie było żadnych niedomówień, żeby uniknąć niepotrzebnych konfliktów. Powiada, że dla nich, dla Polaków, którzy przez pięć lat walczyli z okupantem...

Nie da rady. Lejtnant Jarosław Blutsztajn mu przerywa. Lejtnant Jarosław Blutsztajn mu przerywa nie wdzierając się gwałtownie w jego spokojny potok słów, nie z błyskiem wściekłości w oczach lub trzaśnięciem pięścią w stół, nie. Lejtnant Jarosław Blutsztajn pozwala sobie na gest, który uchybia jego wykwintnym manierom i który tym samym świadczy o tym, że na krótką chwilę, bardzo krótką, ułamek sekundy, stracił panowanie nad sobą; co można wytłumaczyć, myśli Paweł, tylko jakimś dogłębnym, sięgającym samych trzewi poruszeniem, szarpnięciem się. I tak tym gestem zdumiewa Pawła, że w połowie zdania zaniemówił.

Lejtnant Jarosław Blutsztajn dotknął ręki Pawła.

Kciukiem i palcami wskazującym i środkowym dotknął grzbietu jego ręki, jego lewej ręki, która leżała swobodnie rozluźniona, niczego się nie spodziewając, żadnej agresji, na wolnej od papierów części biurka. Dotknął i tymi trzema palcami, mocno, nawet bardzo mocno, ale również jakoś tak delikatnie, samymi brzuścami, ścisnął i zaraz swą rękę wycofał. Nie powiedział „przepraszam”, co utwierdza Pawła w przekonaniu, że działał pod wpływem impulsu, którego, nawet jeśli chciał, nie zdołał na czas opanować.

Paweł więc przerywa w pół zdania i z niedowierzaniem patrzy na swą rękę. Widzi trzy białawe wklęsnięcia na skórze, które zresztą natychmiast się wyrównują i nabiegają normalnym kolorem, na rękę nie zostaje żaden ślad obcej agresji; tylko w pamięci kłuje wspomnienie dotyku i ciepła cudzej skóry; i uczucie nie tyle wstępu co znieważenia, które temu wspomnieniu towarzyszy. Gdyby nie świadectwo własnych oczu, przecież, na

miły Bóg, czy go nie zwiodyły, i gdyby nie sposób, w jaki lejtnant Jarosław Blutsztajn jeszcze teraz siedzi, z prawą ręką na blacie biurka, jeszcze jej całkowicie nie zdążył cofnąć, zatrzymaną w pół ruchu, pochylony do przodu, piersią opierający się o kant biurka, gdyby nie to, Paweł nie dowierzałby własnej pamięci. Myślałby, że padł ofiarą jakiejś halucynacji albo że mu się po głowie snuje strzęp jakiegoś snu.

Lejtnant Jarosław Blutsztajn patrzy na niego. Jego twarz jest twarzą cierpiącego człowieka. W oczach mu się pali bez przerwy ten płomień sączący się z ich dna, płonący jak światło oliwnej lampki zawieszony nad ołtarzem jego wiary. Paweł myśli: facet jest chyba mistyk. Lejtnant Jarosław Blutsztajn powiada zduszonym szeptem, nawet w tym szeptcie można odczuć, jak głęboko cierpi, powiada: — Niech pan dalej nie mówi, ja tego nie mogę słuchać, to za okropne...

Zwiesza głowę. Ujmuje twarz w szeroko rozłożone palce obu rąk. Pawła nachodzi przerażająca myśl, że piersią tego człowieka wstrząśnie zaraz okropny szloch. Lejtnant Jarosław Blutsztajn tylko jednak wciąga głęboko powietrze, jak człowiek obolały dokonywujący ogromnego wysiłku, jak misjonarz wśród zatwardziały pogan, który raptem zdał sobie sprawę z ogromu czekającej go jeszcze pracy. Powoli uniośszy głowę powiada: — Pan nie wie, panie poruczniku, pan nie może wiedzieć, jak bardzo mi przykro, jakim mnie to napawa smutkiem, że pan, oficer haterskiej Armii Krajowej, daje wiarę, a w każdym razie powtarza tego rodzaju wrogie zmyślenia. Zapewniam pana, proszę mi wierzyć — powiada — jestem ze Lwowa, tam uczyłem się do gimnazjum, tam studiowałem na uniwersytecie, więc proszę mi wierzyć, to są kłamstwa, to są kalumnie, które mają na celu tylko jedną rzecz: szkalowanie dobrego imienia Armii Czerwonej, która jest waszą wyzwolicielką, i Związku Sowieckiego, który wam pospieszył z wyzwoleniem spod czarnej nocy faszystmu. Nie ma w nich ani źdźbła prawdy — powiada — ja pana o tym zapewniam, ani źdźbła. A wie pan dlaczego to szkalowanie? Żeby nie dopuścić do zbratania się naszych obu narodów. Tak jest. Żeby nie dopuścić.

Następuje przerwa. Lejtnant Jarosław Blutsztajn potrzebuje trochę odpoczynku. Siedzi na tle ściany, na której wiszą oprawione w złote ramy portrety Lenina i Stalina. Siedzi w środku pod tymi portretami, pod tymi ikonami, i cofnąwszy się znowu plecami do tyłu opuszcza swe piękne satynowe powieki, zaś dłońmi palcami złożone razem podnosi do góry dotykając nimi podbródka. Oddycha równo, widać jak pod bluzą wznoszą się i opadają piersi. Skupiony w sobie, jakby nabierając nowej siły, która pod postacią jakiejś tam ich odmiany łaski uświęcającej spływa

na niego z portretów tych dwóch zbrodniarzy, którzy opętani żądzą absolutnej władzy rzucili wyzwanie całej dotychczasowej historii i Bogu samemu także, i orzekli, że człowiek musi znaleźć szczęście na ziemi, nie w niebie; oni tego dopilnują.

Znowu mówi, trochę już spokojniejszy, pogodzony, zdawałoby się, z tym, że cierpienie jest nieodłączną częścią jego losu; powiada: — Ach! gdyby pan wiedział, panie poruczniku, jak mnie to boli, pan sobie nie wyobraża, jak mnie to boli, gdy widzę z jaką łatwością to szkalowanie, te kłamstwa, to wylewanie na nas brudów znajduje postuch wśród niektórych odłamów ludzi w tym kraju. Pan nie jest pierwszy. O nie! Wcale nie pierwszy i chyba nie ostatni, ja się nie łudzę. — Powiada: — To niezrozumienie, jeśli to jest rzeczywiście niezrozumienie... — porzuca to zdanie, zmienia kierunek; podnosi nieco głos, mówi z pewnym patosem, ze wzruszeniem: — Oto przechodzi przez wasz kraj Armia Czerwona bijąc faszystów, nasycając tę ziemię własną świętą krwią, aby was wyzwolić, aby wam przynieść wolność. I cóż widzimy? Otóż widzimy, że w tym kraju są ludzie, którzy śmiają... są bezwstydnicy, którzy śmiają... — nie kończy przerażony, zdruzgotany potwornością słów, które mu się cisną na wargi, których nie ma odwagi wypowiedzieć, byłyby to słowa bluźniercze, świętokradcze. Nie odważy się na to.

Zalega cisza. Pawła gnębi zażenowanie. Co jest z facetem, zgrywa się przede mną, znalazł się we władaniu jakiegoś maniackalnego stanu umysłowego? Nie wie. Powiada: — Jeśli pan pozwoli, panie lejtnancie, wydaje mi się, że nie powinniśmy teraz dociekać przyczyn tego, jak pan sam przyznał, ogólniejszego niesety zjawiska. Raczej powinniśmy się starać o to, by w miarę możliwości, jakimi dysponujemy, nie dopuścić do jego dalszego rozprzestrzeniania. A właśnie sprawa, w jakiej tu przyjechałem, daje nam taką możliwość. Mnie chodzi, jak już wspomniałem, o pewne gwarancje...

Lejtnant Jarosław Blutsztajn znowu podnosi dłoń. Jak wiele wysiłku kosztowało go ponowne zdobycie równowagi psychicznej, Paweł nie wie, ale to jest znowu człowiek zrównoważony, może nawet normalny. Nie opuszczając dłoni powiada, ten lejtnant: — Tak, ma pan rację, każdy z nas w miarę swoich sił i możliwości powinien... Tak, oczywiście, pan ma rację, panie poruczniku. Więc ja — powiada — daję panu uroczyste słowo honoru sowieckiego człowieka i komunisty, że wasza jednostka nie zostanie rozbrojona ani jawnie, ani w żaden podstępny sposób, i wywieziona na Sybir czy gdziekolwiek wy sobie wyobrażacie, że my was wywozimy. Zapewniam pana również uroczystym słowem honoru sowieckiego człowieka i komunisty, że wasza jednostka — powiada jakby odgadując najtajniejsze myśli Pawła

— nie zostanie rozbita a żołnierze rozproszeni i siłą wcieleni do Armii Kościuszkowskiej. My nigdy nie postępujemy wiarołomnie. Ma pan na to moje uroczyste słowo honoru sowieckiego człowieka i komunisty.

Paweł się zastanawia, czy nie zażądać tego na piśmie. Rezygnuje. Facet się prawie rozplakał, myśli, serce przede mną otworzył, teraz żądać tego na piśmie, nie, to byłoby nieładnie, mógłby się poczuć urażony. Obaj wstają z krzesel, ściskają sobie dłonie i uśmiechają się do siebie wzajemnie. Uśmiech lejtnanta Jarosława Blutsztajna jest równie ciepły, jak ten żar bez przerwy się palący na dnie jego oczu. Wychodzą. Stojąc już w progu lejtnant Jarosław Blutsztajn życzy Pawłowi i reprezentowanej przez niego jednostce Armii Krajowej „dalszych wspaniałych zwycięstw w śmiertelnej walce z hydrą faszystowską, która przez pięć czarnych lat ciemiężyła bohaterski lud polski, który teraz przy braterskiej pomocy narodu sowieckiego będzie mógł nareszcie zrzucić z siebie jarzmo niewoli”. Oni takim językiem mówią.



Dziaduszyn jest wolny. Poprzedniego dnia pod wieczór przez miasteczko przeciągnęły ostatnie oddziały Niemców, atakowane przez jednostkę majora Zaruby. Przy moście nad Pomrąwą, u zachodniego wylotu szosy, gdzie Niemcy byli ustawili działko przeciwpancerne, eksplodowały wozy z amunicją. Pękające z hukiem pociski rozlatywały się bezładnie we wszystkich kierunkach świszcząc złowrogo. Gdy zamilkły ostatnie strzały ale jeszcze na tle odgłosów i rozbłysków pękającej amunicji, i lekkiego pióropusza czerwieni nad dachami od płonących samochodów, w kościele uderzono w dzwony. Mieszkańcy wyszli na ulice, na tych kilka ulic rozchodzących się z rynku i kończących się po kilkudziesięciu metrach szczerym polem, zabudowanych przeważnie parterowymi domkami, i pośpieszyli witać oswoobodzicieli.

W tym witanium, chaotycznym, głośnym a nawet krzykliwym, lub na odwrót cichym, gdzie rękoma ściskającym dłonie żołnierzy towarzyszyły nieme łzy, czuło się coś nierealnego. W tych uśmiechach radości, w tym płaczu, okrzykach było coś niedopowiedzianego, jakiś także pośpiech, ukradkowość, jakby te spontaniczne objawy szczęścia i ulgi były czymś zdrożnym, czymś, z czego później się trzeba będzie rozliczyć. Nad miasteczkiem już wisiała czarna chmura niepewności i lęku przed tymi, którzy mieli do niego wkroczyć za parę czy paręnaście godzin. Tak odbywało się to witanie. Wynikało z niego tylko tyle, że ponad wszystkimi innymi uczuciami dominowały niepewność, lęk, zawód, że te pięć lat niewoli, miliony zabitych użyźniających swą

krwią tę ziemię, która wydawałoby się od każdego kolejnego pokolenia żąda tego upustu krwi, nie dadzą w rezultacie tego, czego oczekiwano. Dominowało poczucie, że coś nie jest tak, jak być powinno, że na tym narodzie dokonuje się nowego, potwornego oszustwa.

Teraz więc, następnego dnia rano koło godziny dziesiątej, kiedy Paweł stojąc obok majora Zaruby patrzy na pierwszych żołnierzy sowieckich, którzy luźnym rozwleczonym szykiem przecinają rynek, ani on, Paweł, ani major Zaruba wcale się nie dziwią, że oprócz krążących po ulicach patroli AK miasteczko jest jak wymarłe. Tym śmiertelnie strudzonym żołnierzom, podążającym do celu ostatecznego, którym jest Berlin, gdzie mają wrogowi zadać cios decydujący, nikt w tym małym polskim miasteczku nie wychodzi naprzeciw. Nikt im się nie rzuca na szyje. Nikt nie rzuca im kwiatów pod nogi. Nikt nie spieszy ich witać, dziękować czy w jakikolwiek inny sposób dać wyraz wdzięczności, bo na razie jeszcze nie wiadomo, a raczej już wiadomo, choć człowiek odpycha od siebie tę gorzką wiedzę, czy słowo wdzięczność jest właściwym słowem. Idą ci żołnierze, najpierw piechota, jeden oddział po drugim, potem jakieś jednostki zmotoryzowane tu i ówdzie poprzątkane czołgami, i znowu piechota, otuleni ściśle swą własną samotnością, unoszący tę samotność z sobą, wlekący ją na Zachód, do serca Europy, jak zarazę. Idą nie rozglądając się po bokach, jakby nawet nie oczekując od nikogo dobrego słowa, żadnego ciepła, żadnych słów uznania i właśnie tej wdzięczności, jakby to była dla nich sprawa sama przez się zrozumiała, do której już się przyzwyczaili jak trędowaty przyzwyczajają się do tego, że inni go unikają, i która nawet przestała boleć. Idą ci żołnierze jak armia duchów w śnie śnionym niechętnie, śnie obezwładniającym, mara senna, z której nie sposób się otrząsnąć nawet po przebudzeniu, odprowadzani w milczeniu przez czujne, lękami zamglone oczy ludzi ukrytych za firankami okien, za drzwiami nieznacznie uchylonymi, które w każdej chwili są gotowi bezszelestnie zamknąć.

Major Zaruba powiada: — Na dobrą sprawę to mnie tych Rusków żal, odebrać im karabiny, to by wyglądali jak konwój zesłańców za carskich czasów pędzony na Sybir.

— Żeby pan major był widział tego enkawudystę — powiada Paweł.

— A to co innego, to jest śmietanka, wierchuszka, im zaw sze w Rosji było dobrze. Tylko się trzeba było korzyć.

Stoją przed oknem na piętrze budynku, w którym przed wojną mieściła się szkoła. Poprzedniej nocy, po zakończeniu akcji, major obrał sobie tu kwatery. Tu również rozmieszczono

dwie kompanie batalionu i, w osobnym pokoju na dole, pięciu jeńców niemieckich. Pozostałe kompanie rozlokowały się na plebanii i w zabudowaniach przyległego gospodarstwa rolnego. Z okna pokoju jest widok na cały rynek, którym nieprzerwanym ciągiem idą Sowietci.

Gdzieś koło południa mieszkańcy zaczynają wychodzić na ulice. Przechodzą zrazu szybko nie rozglądając się wokoło, po pewnym jednak czasie zaczynają rzucać ukradkowe spojrzenia na tych obcych przybyszów. Na koniec zatrzymują się i gapią. Właśnie przechodząca przez rynek kolumna robi postój obiadowy. Żołnierze schodzą z jezdni na chodniki, siadają na występkach murów, gdzie się da, nawet wprost na ziemi pokrytej ubitym twardo śniegiem. Nie wiedzieć skąd i jak, tu i ówdzie już się palą ogniska. Żołnierze oblegają pompę na środku rynku, porządnie ogaconą przeciwko mrozom. Wyciągają z kieszeni przepastnych płaszczów jakieś woreczki i przesypują część zawartości do menażek, które stawiają na ogniu. Niektórzy garściami jedzą wprost z tych woreczków. Paweł pyta: — Co to jest?

— Kasza, ryż, nie wiem, jakieś ziarno.

Wśród żołnierzy już się kręcą dzieci. Przystają, zaglądają do menażek, do tych woreczków z ryżem, kaszą czy jakimkolwiek innym ziarnem, które jest podstawą ich wyżywienia. Biorą do ręki i kładą do ust żując długo w milczeniu, z oczami utkwionymi ciekawie w twarzach żołnierzy. Wreszcie rozlegają się śmiechy. Dzieci skacząc, opatulone w grube płaszczyki, szaliki, przebiegają do innej grupy. Teraz z pobliskich domów wychodzą stare kobiety roznosząc gorące napoje, kawę zbożową, herbatę z lipy, z ziół.

Ostatnie kolumny piechoty przemierzają miasteczko około trzeciej po południu, potem przejeżdżają już tylko ciężarówkami, willysy, sprzęt zmotoryzowany o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu. W miasteczku już się nikt nie zatrzymuje.

O czwartej do majora zgłasza się niejaki pan Stanisław Gubała. Powiada, że władze podziemne wyznaczyły go na tymczasowego naczelnika gminy. Pokazuje na dowód odpowiedni dokument. Zapytuje, czy powinien przystąpić do urzędowania. Major powiada, że nie bardzo rozumie, dlaczego zwraca się do niego z takim pytaniem, ale nie widzi powodów, dla których pan Stanisław Gubała nie miałby przystąpić do urzędowania. Zresztą sam wie chyba najlepiej, ma pewnie jakieś instrukcje.

— Tak, tak, oczywiście. Na razie chodzi po prostu o to, żeby objąć stanowisko, żeby była władza, żeby było wiadomo, że najjaśniejsza Rzeczpospolita... Panowie rozumieją, żeby było widać, że już jest. Potem, gdy się nawiąże kontakt z powiatem... Tylko że... Chodzi o to że... — Siedzi przycupnięty na skraju

krzesła, bardzo gruby, niskawy mężczyzna, w rozpiętym obszernym płaszczu, grube skórzane rękawice położył na stole, patrzy na majora z oczekiwaniem na pomoc w oczach.

— O co więc panu chodzi?

— Pójdę i zacznę urzędować, no dobrze, a jak mnie wyrzucą?

— Kto?

— No Ruski.

— A co mają Ruski z tym wspólnego? Legalne władze Rzeczypospolitej mianowały pana tymczasowym naczelnikiem, pan przejmuję więc urząd, pan rozpoczyna urzędowanie, a co będzie dalej, to się jeszcze okaże. Nie widzę tu żadnego problemu. — Ale problem tu jest. I major powiedziaławszy to zwraca twarz do Pawła i wzrusza ramionami, jakby chciał rzec „no dobrze, a co mam innego poradzić?”. Więc problem jednak jest. Duży problem.

Paweł myśli, że na miejscu majora postąpiłby podobnie. Przecież nie mógłby powiedzieć Gubale, żeby sobie swoją nominacją nie zawracał głowy, żeby wrócił do domu i potulnie czekał, aż przyjdą ci z Lublina i zabiorą się do rządzenia, bo przecież ci z Lublina nie mają żadnego prawa zakładać tu własnej władzy i chociaż, gdy przyjdą, będą pewni siebie mając za sobą siłę tych, którzy teraz jak Polska długa i szeroka ciągną na zachód, to przecież będą to tylko uzurpatorzy; bo prawdziwa władza jest jednak w tym panu Stanisławie Gubale, zastraszonego, zagubionym w tym wszystkim grubym mężczyźnie, który teraz siedzi jednym pośladkiem na krześle i rozpaczliwie usiłuje, na miarę swoich żałośnie małych możliwości, zrozumieć, co się stało i jakie jest jego w tym wszystkim miejsce. Sytuacja jest nie do rozwiązania. Pan Gubała podnosi się z krzesła: — Więc panowie mi radzą...

Major i Paweł odprowadzają go niemym wzrokiem do drzwi. Po pół godzinie koło urzędu gminnego, dwupiętrowego budynku w rynku, jednego z nielicznych dwupiętrowych budynków w Dziaduszynie, z wysokimi dwuskrzydłowymi drzwiami, krząta się już kilka osób. Dwóch mężczyzn przybija do drzwi emalowaną tabliczkę z godłem państwowym, przechowaną widocznie, jak relikwia, z narażeniem czyjegoś życia, może samego Gubały, gdzieś na strychu od września 1939 roku. Z górnego okna zwisa już biało-czerwona flaga umocowana na długim drzewcu.

Następnego dnia pod urząd gminny zajeżdżają willys i dwie ciężarówki. Z willysa wysiada trzech oficerów sowieckich i czterech cywilów. Sprężystym krokiem, nie oglądając się na strony, przechodzą przez chodnik i znikają we wnętrzu budynku. Z jednej ciężarówki wyskakuje chyba z dwudziestu paru męż-

czyzn z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Niektórzy mają karabiny. Podchodzą do drugiej ciężarówki. Wyciągają z niej jakieś belki, deski, jakieś kozły. Patrząc przez okno w dowódcztwie major Zaruba i Paweł widzą jak po pewnym czasie z tych już przygotowanych elementów zaczyna powstawać trybuna. Nieopodal te roboty obserwuje patrol AK. Na drugim piętrze urzędu gminnego powiewa już także czerwona chorągiew.

Nagle z tego budynku wylatuje, jakby siłą wypchnięty, Stanisław Gubała. W rozpiętym płaszczu, bez kapelusza, trzymając w ręce jakiś duży rulon papieru, idzie szybko, właściwie biegnie, choć z trudem, bo jest niski i gruby, w kierunku szkoły. Wymachuje wolną ręką, jest najwidoczniej bardzo wzburzony.

Teraz siedzi u nich przy stole i płacze przejmującym płaczem znieważonego człowieka. Co chwila przerywając dla otarcia łez dużą czerwoną chustką opowiada, co się stało. Wyrzucili go. Czyż już wczoraj nie mówił, że do tego może dojść? Gdy tylko weszli do jego gabinetu, trzech oficerów sowieckich i czterech cywilów, jeden z nich, cywil, kciukiem pokazał na drzwi i powiedział: „Teraz tu urzęduje władza ludowa. Spierdalaj stąd w podskokach, bo inaczej, kurwa”, tak powiedział, powiada Gubała, daje im na to słowo honoru, „bo inaczej, kurwa, kopa w dupę dostaniesz i będzie po wszystkim”. To było, powiada Gubała, niewiarygodne, w ten sposób do niego, który reprezentuje majestat Rzeczypospolitej! W pierwszej chwili, powiada, wydawało mu się, że się przesłyszał, w każdym razie udał, że się przesłyszał i, powiada, zapytał uprzejmie, spokojnie: „Czego panowie sobie życzą?”. Wtedy tamci, ci cywile, wybuchnęli śmiechem. To on powiada, powiada Gubała, „Nie rozumiem, czego panowie...”, ale mu nie dali dokończyć. Jeden z nich zaszedł go od tyłu i siłą dźwignął z krzesła, „No jazda!”, powiedział, powiada Gubała, „jazda, tylko prędzej, bo władza ludowa nie lubi się pierdolić”. Gubała, powiada, ciągle jeszcze nie dawał za wygraną. Wyciągnął z kieszeni swą nominację i, powiada, już popychany przez tego z tyłu w kierunku drzwi, podczas gdy drugi zdjął z wieszaka płaszcz i mu go wpycha do ręki, powiada do nich: „To jakaś pomyłka, proszę panów, jakieś przykre nieporozumienie. Oto moja nominacja z delegatury rządu, panowie zechcą spojrzeć”. Tamci na to ponownie ryknęli śmiechem. — Wiecie, panowie, co oni mi powiedzieli?

Major i Paweł nie wiedzą. Gubała znowu wstrząsa płacz. Krztusząc się powiada: — Oni mi powiedzieli: „Tym papierkiem to se możesz dupę wytrzeć”. Tak mi powiedzieli. Słowo honoru. Nie kłamię. „Tym papierkiem...” Stanisławem Gubałą wstrząsa przerażający, nie pasujący do tego grubego mężczyzny, szloch. Siedzi na tym samym krześle, co wczoraj, tym razem nie

na jednym tylko a na obu poślawkach. Jego ciało jest kompletne sflaczałe, jakby bez kości, i gdyby się trzymało krzesła tylko jednym poślakiem, po prostu by się osunęło na podłogę jak nie dbale postawiony worek z otrębami. Trzęsącymi się rękami wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki złożony we czworo arkusz papieru. Rozwija go. Trzyma przed sobą palcami obu rąk: jego nominacja. — Ten paperek... Tak, proszę panów, tak mnie potraktowali. Takimi słowami. Jestem z zawodu rzeźnikiem ale nigdy, nigdy! bym takich słów nie użył w stosunku do najgorszego czeladnika. — Milczy. Po chwili dodaje: — I jeszcze, proszę panów, zanim mnie stamtąd wyrzucili, to mi to do ręki też wetknęli — pokazuje na rulon papieru, który leży na stole: afisz z tekstem Manifestu Lipcowego — i powiedziałeli, żebym sobie przeczytał, to będę wiedział, do kogo tu teraz władza należy.

Major Zaruba zbliża się do okna. Na rynku zaszyły jakieś zmiany. W pierwszej chwili nie potrafi się połapać, na czym to polega, po chwili rzecz staje się jasna: z wszystkich domów poznikały biało-czerwone flagi wywieszane poprzedniej nocy. Na murach wiszą natomiast gęsto porozlepiane afisze, takie same jak ten na stole. Major wraca na swoje krzesło.

Gubała wyciąga rękę z dokumentem swej nominacji do majora: — Najlepiej będzie, jeśli pan to weźmie. Mnie to już nie będzie potrzebne. Może pan będzie miał kiedyś okazję to zwrócić przedstawicielowi jakiegoś naszej prawowitej władzy.

Major potrząsa przecząco głową: — Nie, ja tego nie przyjmę. Nie przyjąłbym nawet, gdybym w pewnych okolicznościach, które niestety w tej chwili trudno mi sobie wyobrazić, miał okazję komuś takiemu to wręczyć. To jest ważny historyczny dokument, jest pana własnością. To jest dokument, z którym się wiąże, pan ma rację, pohańbienie w pana osobie majestatu Rzeczypospolitej. Niech go pan pieczołowicie zachowa. Kiedyś przekaże go pan swoim dzieciom i opowie wszystko ze szczegółami niczego się nie wstydząc, bo pan się nie ma czego wstydząć. I one, pańskie dzieci, z kolei przekażą to swoim dzieciom. Żeby pamięć tego pohańbienia, nie pana, nie!, Rzeczypospolitej w pana osobie, zachowała się w pokoleniach, które przyjdą. Gdy pan stąd wyjdzie, niech pan się rozejrzy po domach. Nie zobaczy pan ani jednej biało-czerwonej flagi, które ludzie powywieszali wczoraj, gdyśmy stąd przepędzili Niemców. Widzi pan, wieść o tym, co się stało tam u pana w urzędzie gminnym, już się rozeszła po mieszkańcach i oni ściągając flagi protestują przeciwko temu. Pan się nie ma czego wstydząć, o nie!, pan się nie ma czego wstydząć.

Gubała wydaje się niepokieszony. Wkłada dokument z po-

wrotem do kieszeni: — Tak pan myśli? Tak pan naprawdę myśli?

— Oczywiście.

Gubała znowu zaczyna biadolić: — Pan tam nie był, pan tego nie przeżył... Tak mnie sponiewierali, tak mnie opluli...

— Niech się pan tym nie truże. Może pan być pewny, że oni się tak zachowują w każdej miejscowości, do której przywiozą ich Sowietci. Niech pan będzie spokojny, naród im tego nie zapomni i kiedyś ich spotka za to kara.

— Ja tam nawet nie myślę o karze dla nich — powiada Gubała i dodaje z rozbrajającą naiwnością. — Żeby sobie po prostu poszli i zostawili nas samych.

— Pan ma skromne wymagania — powiada major, wybucha śmiechem: — Żeby sobie poszli!

Gubała dostrzega komiczną stronę tych słów, przekrzywia głowę na bok i łypie lewym okiem na majora: — No, tak jest przecież, nie? — Śmieje się teraz już z siebie, drapie się po mocno już połysiałej głowie: — Ja jestem głupi człowiek. Wybaczcie, panowie. — Wstaje, kieruje się do wyjścia. Tuż przed drzwiami, już z ręką na klamce, zatrzymuje się: — Zapomniałem jeszcze o jednej rzeczy... Mój kapelusz. Zostawiłem w urzędzie. A nowy był. Taka strata.

— Dlaczego strata? Pan pójdzie i sobie odbierze.

— Nie chcę tam chodzić. Boję się, nie będę tego przed panami ukrywał. Taki dobry kapelusz, mój Boże, pilśniowy był, jak nowy... — Niespodziewanie powiada: — Oni mnie oczywiście wsadzą, nie? Ja wiem, wsadzą mnie. Takie rzeczy się już wie. Wszystkich wsadzają, którzy mieli cokolwiek wspólnego z władzami podziemnymi. Gdybym był młodszy, to bym uciekł, ale w moim wieku?... Żeby tylko do Rosji nie wywieźli... Wicie, panowie, ja już się tego od roku boję. Człowiek nocami się budził: co będzie, jak oni tu przyjdą?... Na kresach przecież wywozili, nie? Setki tysięcy, poniszczyli ludzi... Że też świat tego nie widzi, nie rozumie... Pójdę już sobie — patrzy po nich, jakby oczekiwał, że go zatrzymają, że jeśli dojdzie do wywózki, to oni go uratują, wojsko przecież.

Ale nikt go nie zatrzymuje. Major powiada: — Niech pan tak czarno w przyszłość nie patrzy. Tak źle znowu nie będzie.

Gubała powiada z nagłym entuzjazmem: — Anglia i Ameryka nie pozwolą, prawda, że nie pozwolą? Przecież to jest niemożliwe. Przecież tak nie może być. Jeszcze jest wojna, to oni niewiele mogą zrobić, ale niech się tylko wojna skończy...

— Właśnie. Głowa do góry, panie Gubała — major wyciąga do niego rękę na pożegnanie.

Gubała trzęsie nią mocno: — A panowie długo tu posiedzą?

— Czekamy na łącznika. Idziemy na front. Do widzenia panu. I niech pan nie omieszka odebrać swojego kapelusza.

— Spróbuję. Pocięszyli mnie panowie, już mi jakoś raźniej. Do widzenia i szczęście Boże na froncie.

Wyszedł. Major Zaruba i Paweł patrzą jeden na drugiego, major ma splecione na kolanach ręce, rozstawia kciuki gestem bezradności: tak to jest. Paweł powiada: — Wsadzą go?

— Myślę, że tak. Bądź co bądź część struktury państwa podziemnego, małeńką, jasne, ale stanowił. Trochę posiedzi, wyciągną z niego, co będą chcieli albo i nie wyciągną, bo co to można powiedzieć o człowieku tylko na podstawie jego wyglądu? Pod tym workiem tłuszczu może się kryć Zawisza. Biedny człowiek. Nic mu nie pomożemy, przecież żeby go osadzić na stolcu naczelnika gminy nie wypowiemy wojny Sowiетom. Ale w gębie gorzko, to fakt.

Przychodzi patrol z meldunkiem, że cywile w białoczerwonymi opaskami łążą od domu do domu i każą z powrotem wywieszać flagi narodowe i gromadzić się na rynku, gdzie ma się odbyć uroczyste powitanie przedstawicieli Armii Czerwonej. Ale flagi nie wracają na swoje miejsca. Tylko na kilku domach w rynku, naprzeciwko trybuny, pojawiają się czerwone sztandary. Jak meldują patrole, wywiesili je ci z białoczerwonymi opaskami. Widocznie przywieźli z sobą wraz z trybuną.

Na uroczystość przybywa niewielu ludzi, przeważnie kobiety i dzieci, kilku mężczyzn w podeszłym wieku. Paweł oblicza 60 osób. Na trybunie zajmują miejsca trzech oficerowie sowieccy i ci cywile z gminy. Jeden z nich, w skórzanej czapce na głowie wysuwa się do przodu i zwrócony częściowo do zebranych, częściowo zaś do tych oficerów, zaczyna przemawiać. Major Zaruba otwiera okno.

Przemawiając mówca ustawicznie kręci głową, nie bardzo do-
brze wie, jak się ustawić. Jest w trudnej sytuacji. W założeniu występuje w imieniu mieszkańców, powinien być więc zwrócony jednoznacznie w stronę oficerów, których wita. Zwrócony jednak do oficerów, byłby odwrócony plecami do zebranych, a wówczas nikt, a przynajmniej spora część, nie słyszałby jego słów. Uroczystość zaś zorganizowano nie po to, żeby oficerowie sowieccy mogli się dowiedzieć, jak to mieszkańcy Dziaduszyna są im, reprezentantom Armii Czerwonej, wdzięczni za to, że ich „wyzwoliła”, lecz po to, by on, ten mówca, mógł o tym właśnie powiadomić ludność tego miasteczka. Więc powiada, ten mówca, że ich serca, czyli serca mieszkańców Dziaduszyna „są przepel-

nione miłością i wdzięcznością dla wyzwoleniczej Armii Czerwonej, która swą bohaterską walką miażdży okupanta hitlerowskiego i przynosi nam, całej Polsce, umęczonej matce naszej, Ojczyźnie, wolność”. Słuchacze dowiadują się z tego przemówienia wielu ciekawych rzeczy. Dowiadują się, że naród polski, walczący z okupacją hitlerowską, „stworzył już własną reprezentację, Krajową Radę Narodową, do której weszli przedstawiciele stronnictw demokratycznych: ludowcy, demokraci, socjaliści, Polska Partia Robotnicza i inne organizacje” i że ta Krajowa Rada Narodowa, na czele której stoi niejaki Bolesław Bierut, jest „jedynym źródłem władzy w Polsce”. Według mówcy „emigracyjny rząd londyński i jego delegatura w kraju jest władzą samozwańczą, nielegalną, opierającą się na bezprawnej, faszystowskiej konstytucji z 1935 roku”. Ten rząd, powiada, „hamował walkę narodu polskiego z okupantem hitlerowskim i swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowej katastrofie”. Nie ujawnia jednak, na czym miałyby polegać ta katastrofa, należy się jednak domyślać, że chce przez to powiedzieć, iż Polskę mógł spotkać jeszcze gorszy los, mianowicie bezpośrednie wcielenie do Związku Sowieckiego. Mówca w imieniu nowych władz solennie obiecuje mieszkańcom Dziaduszyna, że ta nowa władza zwoła wkrótce „nowy, wybrany przez głosowanie powszechne, bezpośrednie, tajne, równe i stosunkowe Sejm Ustawodawczy, który, jako wyraziciel Narodu, uchwali nową konstytucję”. Ponadto ta nowa władza, powiada, „deklaruje uroczystie przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli, wolności organizacji politycznych i zawodowych, prasy i sumienia”. Pod koniec mówca zwraca się bezpośrednio do oficerów sowieckich i zapewnia ich ponownie, że „mieszkańcy Dziaduszyna odczuwają bezbrzeżną wdzięczność dla Armii Czerwonej, która nie szczędzi krwi, żeby przywrócić nam nasz własny kraj” i z równą mocą zapewnia ich, że „przyjaźń polsko-sowiecka, zrodzona w ogniu wspólnych walk, nigdy w sercach narodu polskiego nie wygaśnie”. Koniec. Klaka, złożona z tych z opaskami, klaszcze, woła niech żyje.

Teraz przemawia jeden z oficerów sowieckich. Mówi po rosyjsku, nikt tego nie rozumie, ale na język polski też tego nikt nie tłumaczy, widocznie nowa władza uznała to za tak czy owak niepotrzebne. Na szczęście nie mówi długo. Uroczystość kończy się odśpiewaniem „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz Międzynarodówki. Nikt z mieszkańców Dziaduszyna tej pieśni nie zna, śpiewa więc tylko klaka, potem zebrani się rozchodzą. Ci z opaskami przystępują do rozbiórki trybuny i załadowania jej na ciężarówkę. Powiozą ją do następnej miejscowości, gdzie odbędzie się podobne „powitanie” tych samych trzech sowieckich

oficerów. Major zamyka okno. Siadają na nowo przy stole, na którym leży afisz z tekstem Manifestu Lipcowego. Major powiada: — I tak się rozpoczyna ten cyrk.

Mijają trzy dni, łącznika nie ma. Na czwarty dzień w kwaterze majora odbywa się odprawa oficerów. Z nagrzanego kafli pieca rozchodzi się ciepło. Od czasu do czasu przez zamknięte okno wdziera się do środka stłumiony łoskot przejeżdżających przez rynek ciężarówek wojskowych. Major powiada: — Proszę panów, mnie to wszystko się zaczyna coraz bardziej nie podobać.

Zapada szybki zimowy zmierzch. Widoczne z okna dachy zlewają się z gęstniejącą nocą. W budynku urzędu gminnego palą się już światła. Zaczyna padać śnieg. Białe płatki wprawiane w ruch lekkim powiewem wiatru ocierają się o szybę nawarstwiając się na parapecie białą grubiejącą szarfą. Obramowany oknem świat wygląda jak obraz puentylistyczny. Na jego tle, gdy silniej zawieje wiatr, widać to wybrzuszące się, to wiotczące chorągwie, białoczerwoną i czerwoną, w niespokojnej i przymusowej zgodzie zwisające na frontonie budynku gminnego. Major powiada: — Mnie się to wszystko bardzo i bardzo nie podoba. — Powiada, że powziął pewne decyzje. Sytuacja batalionu, tych czterystu kilkudziesięciu żołnierzy, którzy tracąc dwunastu zabitych i ponad dwudziestu rannych, zgodnie z umową opanowali miasteczko i którzy teraz czekają, jak się wyda, na zmiłowanie boskie, staje się coraz bardziej niejasna. Na dłuższą metę to jest sytuacja nie do utrzymania. Ludzie zaczynają szemrać. Temu się nie można dziwić. Nie można ich w nieskończoność trzymać w stanie bezczynności i niewiedzy co do dalszych losów. To demoralizuje. Albo pójdą walczyć albo ich trzeba rozpuścić do domu. Już piąty dzień czekają na majora Kuriłowa. Może Sowieci przygotowują jakiś podstęp. Front znajduje się już dziesiątki, jeśli nie setki kilometrów w przodzie. Kiedyż do niego dołączą? W tym wszystkim, powiada major, coś mu tu śmierdzi. Sytuacja jest więc taka, że trzeba być przygotowanym na najgorsze. Każdy wie, co chce przez to powiedzieć. Otóż postanowił, powiada, że dwie kompanie jeszcze tej nocy odejdą z powrotem do lasu. On, major Żaruba, kompania porucznika „Pawła” i kompania porucznika „Jaremy” oczekają jeszcze, ale najwyżej dwa, trzy dni. Jeśli do tego czasu nie zjawi się ten major Kuriłow, wówczas również wrócą do lasu. W przypadku jednak, gdyby nawiązano łączność z Sowietami i gdyby wyglądało na to, że wszystko się ułoży zgodnie z umową, zorganizuje dołączenie do nich pozostałych dwóch kompanii. Jeden z oficerów proponuje, żeby żołnierzom dać możliwość wyboru: ci, którzy są gotowi podjąć ryzyko czekania na Sowie-

tów i zawierzenia ich słowu, niech się zgłoszą na ochotnika. W porządku, major się zgadza.



Rynek jest pusty, ziemię pokrywa warstwa świeżego śniegu. Ale w pamięci Pawła trwa widok ognisk, nad którymi tydzień temu żołnierze sowieccy gotowali kaszę, ryż czy jakiegokolwiek jest to ziarno, którym się odżywiają ci nieszczęśliwi ludzie, siadając na ziemi w tym samym miejscu, w którym się zatrzymali, nie patrząc gdzie, w swym zwycięskim pochodzie na podbój Europy. Mając ciągle jeszcze w pamięci te długie kolumny żołnierzy nieprzerwanym potokiem, dzień i noc, ciągnących przez to małe miasteczko myśli z niepokojem, że każda droga w Polsce idąca ze wschodu na zachód roi się w tej chwili od tego sunącego naprzód jak lawina zwycięskiego mrowia, i nie tylko w Polsce ale na całym tym olbrzymim obszarze dotykającym z jednej strony Morza Bałtyckiego, z drugiej Morza Czarnego a kto wie, czy wkrótce i nie Morza Egejskiego, kto wie, może nawet po sam Adriatyk. Myśli, że to, czego są obecnie świadkami wszyscy żyjący na tym rozległym wygonie, jakim dla Azji jest Europa, jest tylko dalszym ciągiem, dopełnieniem lub nowym aktem procesu, który się rozpoczął tysiące lat temu i nigdy nie został doprowadzony do prawdziwego i ostatecznego końca. Świadomość, że może to się tym razem dokona, jest tak przerażająca, że paraliżuje niemal mózg.

Przez rynek znowu przejeżdża kolumna wojskowa, nieliczni przechodnie nie zwracają już na to uwagi. Pawłowi przychodzi na myśl, że ci ludzie, te hordy ludzkie, których przodkowie w zamierchłej przeszłości, której pamięć zachowała się w naszej zbiorowej podświadomości, tym samym nas w jakiś sposób kształtując, że ci ludzie więc byli tu już niejedną raz i zawsze, pobici, wracali na swoje leże tam w głąb Azji przekazując potomkom pamięć swoich wypadów wraz ze świętym nakazem kontynuowania i doprowadzenia następnym razem do końca rozpoczętego przez nich dzieła. Przychodzi mu na myśl, że te hordy ludzkie kontynuujące tak im powierzone dzieło są wcieleniem jakiejś niezbadanej, pierwotnej siły, która w ten sposób, co tysiąc, kilka tysięcy lat, przecież tego dobrze nie wiemy, kształtuje bieg naszej europejskiej historii, naznacza nas jakimś niezniszczalnym piętnem, jakby klątwą po wieczne czasy. Myśli: przecież my wszyscy stamtąd gdzieś pochodzimy, tam jest nasza prakolebka, i uchodząc kiedyś na zachód zrzuciliśmy z siebie jakiś nasz grzech pierworodny, te wszystkie ciemne, brudne i lepkie sprawy krwi i instynktu, które czasami przebijają się przez skorupę pod-

świadomości i eksplodują w snach, podczas których krzyczymy, bełkoczemy słowa dla nikogo niezrozumiałe, przesiąknięci pierwotnym, jaskiniowym strachem. Myśli: uchodząc kiedyś stamtąd, z tego przeciwieństwa królestwa ciemności, wiarołomstwa i niszczenia, sprzeniewierzyliśmy się własnemu dziedzictwu, wyparliśmy się własnej krwi, i ten jakiś Aryman, któremuśmy umknęli, ten odwieczny wróg boga jasności, dobra i prawdy, w ten sposób na nas się mści przez cały czas dotychczasowej historii zalewając nas co pewien czas swymi barbarzyńskimi hordami, przybierając kolejno różne formy, głosząc różne podstępne hasła, teraz na koniec niosąc na swych sztandarach obłudne hasła komunizmu. Myśli: więc to, czego jesteśmy świadkami, w czym bierzemy obecnie udział, nie jest niczym innym jak tylko kolejnym etapem odwiecznej walki między dobrem i złem, i nasi dalecy ojcowie mieli rację szczerze się nazywając przedmurzem chrześcijaństwa. Myśli: może i spoczywa na nas ta klątwa Arymana, ale to przecież wcale nie znaczy, nie musi znaczyć, nie powinno znaczyć, wielki i dobry nasz Boże, spraw, żeby nie znaczyło, że ta klątwa rzucona po wieczne czasy musi się spełnić, że jest ona klątwą wiecznego potępienia. Myśli: no tak, wszystko jest przecież jasne, po prostu za naszego życia nam przypadł kolejny los udziału w tym trwającym od tysiącleci zmaganiu sił niezystnych z siłami dobra, które kiedyś, może dopiero za dalsze tysiąclecia, się zakończy, i oczywiście, zwycięstwem dobra, ale jaka, ja się pytam, w tym jest pociecha dla nas teraz żyjących? Że przeciwstawiając się złu, zasłużymy sobie na wieczne zbawienie? Z przeproszeniem, wielki i dobry nasz Boże, ale to jest dla mnie licha pociecha. Pod urząd gminny podjeżdżają trzy sowieckie willysy. Paweł, zatopiony w swych myślach, tego swym wzrokiem nie rejestruje. Major Zaruba powiada: — Aleś się zamyślił, coś się tak zamyślił?

Paweł nie odpowiada. Patrzy na niego, jakby się co dopiero był obudził ze snu. Wstrząsa się, powiada: — Przepraszam, nie słyszałem, panie majorze.

— Powiedziałem: cożeś się tak zamyślił?

Na schodach rozlegają się śpieszne kroki. Wchodzi sierżant „Kmicic”: — Panie majorze, melduję, że już przyjechał.

— Kto?

— Ten major ruski. I mówi po polsku.

Faktycznie za nim stoi już niskawy i przysadzisty oficer sowiecki w randze majora. Major Zaruba z wyciągniętą ręką rusza przez pokój, po drodze bokiem strąca przypadkowo na podłogę rulon z tekstem Manifestu Lipcowego, pyta: — Czy pan major Kuriłow?

— We własnej skromnej osobie — odpowiada tamten rze-

czywiście po polsku z mocnym wschodnim nalotem. Ma chyba skłonność do tycia. Ma zielonkawę oczy i dobroduszną twarz czerwoną teraz od mrozu, szefa wydziału w zarządzie miejskim lub kierownika szkoły w małym miasteczku albo jakiejś kooperatywy. Jest opanowany, powolny w ruchach. Major Zaruba wymienia swój pseudonim, przedstawia Pawła, wskazuje na krzesło. Kuriłow zdejmuje płaszcz, unosi krzesło za górną poprzeczkę i przenosi sobie pod sam piec. Siada plecami przywartry do gorących kafli: — Ciepło tu u panów. A ja zmarzłem jak nic, jazda w otwartym wozie, panowie rozumieją.

— Może kieliszek wódki dla rozgrzewki? — proponuje major Zaruba.

Kuriłow przyciska obie dłonie do pieca, zamyka oczy: — A to tak, a jakże! Przypuszczam, że to by mi nie zaszkodziło. — Nadal nie otwiera oczu, głowę podnosi jeszcze bardziej do góry tak, że potylicą dotyka ciepłych kafli. Na ustach płata się cień uśmiechu, jakby bawiła go jakaś myśl.

Wraca sierżant z butelką samogonu, krążkiem kiełbasy i szklankami. Kroi kiełbasę na kawałki, nalewa. Kuriłow podnosi szklankę: — Żeby nam się nasza współpraca układała jak najlepiej.

— Otóż to, otóż to! — powiada skwapliwie major Zaruba. Piją, zagryzają.

Kuriłow trzyma pustą szklankę w odstawionej od siebie ręce i czeka, aż sierżant mu ją odbierze. Powiada: — Panowie wiedzą, gdzie są Skarżowiska?

— Trzydzieści parę kilometrów stąd na południe — powiada major Zaruba.

— Właśnie. Tam się znajduje utworzony przez nas punkt zborny dla oddziałów AK z tego rejonu kraju, które chcą z nami dalej walczyć przeciwko hitlerowskiemu faszystom. Na miejscu mamy już ponad tysiąc ludzi. To nie tak znowu dużo, ja wiem, jak na liczebność całej Armii Krajowej na tych połaciach Polski, ale nas cieszy, że i tylu waszych patriotów już pośpieszyło do nas. Z tych ludzi zostanie wkrótce utworzona samodzielna jednostka akowska, która po krótkim przeszkoleniu pójdzie z nami na front. Panowie się zgadzają, że musi się odbyć krótkie przeszkolenie tego wojska?

— Oczywiście — powiada major Zaruba. — Walka partyzancka a walka frontowa, gdzie każdy pojedynczy oddział stanowi zaledwie jeden element całości, to dwie zupełnie różne rzeczy. Ale może pan być pewny, panie majorze Kuriłow, że to przeszkolenie nie będzie musiało trwać długo.

Major Kuriłow, ciągle z tym samym tajemniczym uśmiechem na ustach, powiada: — Jestem tego pewien. Znamy waleczność

żołnierza polskiego. Pan tu ma dużo ludzi, panie majorze? — Dłonie znowu trzyma przyciśnięte do pieca, teraz dodatkowo obraca w stronę pieca prawy policzek, dotyka nim kafla, oczy znowu przykrywa powiekami.

— Koło dwustu.

Major Kuriłow nie otwierając oczu powiada: — Dwustu. — Milczy dwie, trzy sekundy, powiada: — A co się stało z resztą?

Major Zaruba odpowiada natychmiast, spokojnie, normalnie, bez cienia wahania w głosie: — Odeszła z powrotem w góry.

Kuriłow odwraca ku niemu twarz, unosi powieki, wydaje się być zaskoczony. Powiada: — Mnie to cieszy, że pan major szczerze ze mną rozmawia. My lubimy szczerść. — Powiada: — Dla nas wartość człowieka mierzy się jego szczerścią.

Pawła przejmuje w tej chwili lekki niesmak, wewnętrznie jakby się skrzywił. Myśli: on sobie za dużo pozwala, to ostatnie zdanie było nie na miejscu. Major Zaruba odczekuje chwilę, potem powiada: — Wie pan, panie majorze — robi niezdecydowany ruch obu rękami — czym mierzyć wartość człowieka, to nie jest taki prosty problem, szczerść sama w sobie nie jest jeszcze cnotą.

— Dla nas tak. Pozwala nam wejrzeć w serce człowieka, pozwala nam ocenić, jaki on jest. W stosunku do nas.

Paweł myśli: takiego skurwysyna to tylko pluć w dłoń i bić po pysku. Ale milczy. Nie on prowadzi tę rozmowę. Major Zaruba ze swej strony, zawsze spokojny, zrównoważony, potakuje powoli głową, powiada: — Doskonale pana rozumiem, panie majorze. Myślę również, że dyskusja na temat wyznawanej przez pana etyki stosowanej za daleko by nas zaprowadziła, zresztą dla naszych wspólnych celów jest w tej chwili raczej zbędna, zgodzi się pan ze mną?

— Szczerzy człowiek, powiedziałem, szczerzy człowiek. Etyka stosowana, he? Ale pan ma rację, teraz nie jest na to stosowna chwila. Może kiedyś będzie nam jeszcze dane podyskutować wy-czerpująco na ten temat. Może więc pan mi odpowie z tą samą co poprzednio szczerścią, jak to się stało i dlaczego dwie kompanie pańskiej jednostki powróciły do lasu.

— Panie majorze Kuriłow, mnie się wydaje, że tu, jakby to powiedzieć, żeby nikogo nie urazić, powiedzmy w ten sposób, mnie się wydaje, że tu zachodzi jakieś nieporozumienie, wydaje mi się mianowicie, żeśmy się powinni starać tak tę naszą rozmowę poprowadzić, żeby w żadnym momencie nie przekroczyła właściwych nam obu kompetencji, chwilczkę, jeszcze nie skończyłem, niech pan mnie najpierw wysłucha, otóż chciałbym wobec pana stwierdzić, że zawierając z panami tę umowę ja się nie zobo-

wiązałem do tego, żeby wam przyprowadzić dwustu ludzi, pięciuset czy tysiąc...

— No tak, ale...

— Nie ma żadnych ale, panie majorze Kuriłow, czy są jakieś ale? Nie ma, panie majorze. Pawełku, czy ty rozmawiając z panem lejtnantem Blutsztajnem zobowiązałeś się do tego, że dołączymy do wojsk sowieckich w takiej czy innej liczbie?

— W żadnym wypadku, panie majorze.

— No proszę. Rozmawiajmy dalej. To już mamy z głowy.

Paweł myśli: zgaśli faceta. Patrzy na swojego majora z podziwem. Myśli: ja bym się nie odważył. Kuriłow tymczasem purpurowieje na twarzy. Jego zielonkawe oczy przesuwają się z twarzy majora na twarz Pawła i z powrotem, tak kilka razy, spojrzeniem zimnym, kalkulującym. Pawłowi się przypomina podobne spojrzenie lejtanta Blutsztajna. Myśli: oni wszyscy mają w oczach coś dziwnego, jakby to nie były ich oczy, albo jakby na wszystko patrzyli przez jakąś przesłonę, którą ktoś inny założył im na źrenice, i która, ta przesłona, gdyby nie mięśnie twarzy, krew nagle uderzająca w policzki, czyniłaby ich nie do przeniknięcia. Myśli: ale w łapy tych ludzi to bym ja się nie chciał dostać.

Twarz Kuriłowa się znowu wygładza, szczęki się znowu rozluźniły. Powiada, widocznie nie może nie powiedzieć, uparł się, że powie i musi swego dopiąć, więc powiada: — A ja panom powiem, dlaczego te dwie kompanie odeszły z powrotem do gór. Bo wy nam nie ufacie, ot!

Major nie reaguje. Paweł też nie. A Kuriłow czeka z zadowoleniem, żeby to, co powiedział, wsiąkło, potem zwraca się do sierżanta: — Dajcie mnie jeszcze łyk tej wódki. — I do majora: — Pan nie ma nic przeciwko temu, prawda?

Sierżant spogląda na majora, ten potakuje głową. Kuriłow obserwuje z baczną uwagą, jak sierżant nalewa mu do szklanki. Powiada, odebrawszy szklankę: — Nie napiją się panowie ze mną? Nie napiją się panowie na cześć naszej współpracy, współpracy między bohaterską Armią Czerwoną i patriotycznymi oddziałami Armii Krajowej? Należcie, sierżancie, panom oficerom.

„Kmicie” spogląda znowu na majora. Paweł też na niego patrzy i widzi, że na jego twarzy malują się obecnie dwa sprzeczne uczucia: gniewu, bo właściwie tego Sowietowi należałoby jednak uderzyć w pysk i kazać sierżantowi wykopać go za drzwi, zresztą sam by to zrobił nie czekając, i drugie uczucie: rozbawienia, bo ta sytuacja jest również komiczna. Górę bierze rozbawienie. Major się uśmiecha: — Niech pan naleje, panie sierżancie, wszystkim, sobie też, a jakże, i jak nasz gość proponuje, wypijemy ponownie za współpracę między Armią Krajową a naszymi

sowieckimi gośćmi w tym kraju, żeby się układała jak najłatwiej, i żeby ci nasi goście po powrocie na dalekie rubieże własnego kraju zawsze swój pobyt wśród nas mile sobie wspominali.

Wypijają. Sierżant podaje każdemu na końcu widelca po kawałku kiełbasy. Teraz się wszyscy uśmiechają do siebie ciepło. W uśmiechu Kuriłowa jest domieszka drwiny. Powiada: — Ach! — powiada oglądając sobie paznokcie u prawej ręki, polerując je kciukiem lewej — te aluzje! te aluzje! — Powiada: — Wy to umiecie, Polacy, wy jesteście subtelny naród, wy się lubicie bawić intelektem. — I raptem twarz mu znowu tężeje, jakby upłynął czas przeznaczony na krotochwile, powiada: — Nie ufacie, ot! Nigdyście nam nie ufali. Zawsze pełni podejrzliwości. Niech się pan nie gniewa, panie majorze, ale my, ludzie sowieccy, jesteśmy ludźmi szczerymi i otwartymi, my nie lubimy kłamstw. Człowiek powinien być czysty, co w sercu, to i na ustach, więc ja panu powiem, panie majorze, co ja sobie myślę, ja panu odtworzę proces umysłowy, jaki zaszedł w pana umyśle, kiedy pański towarzysz, tu obecny pan porucznik, wrócił z rozmowy z naszym lejtnantem. Pan sobie pomyślał: aha! oni się godzą na wszystko, żadnych nie stawiają trudności, żadnych nie wysuwają zastrzeżeń, w tym musi coś być! Tak, tak, bo pan przecież słyszał, że my was podobno rozbrajamy, że was podobno wywozimy do Związku Sowieckiego, najlepiej oczywiście na Sybir, żeby było zgodnie z tradycją, jak car waszych ojców, więc pan sobie pomyślał: aha! to jest pułapka! my się do nich zgłosimy, to oni nas wtedy otoczą, postawią wokoło karabiny maszynowe i jazda: zdawać broń! Tak nie było? Proszę pana, panie majorze, ja znam Polaków. Zdawać broń! Tiepluszki już czekają. I wtedy pan postanowił, że część wojska odejdzie z powrotem w podziemie. Bo pan sobie pomyślał, że jeśli oni nas rzeczywiście rozbroją i wsadzą w te tiepluszki, to przynajmniej te dwie kompanie ujdą przed tym złym losem. A wy, oczywiście, naród znany ze swych skłonności do cierpiętnictwa, staniecie się we własnych oczach jeszcze jedną ofiarą bizantyjskiego wiarołomstwa. I zasłużycie sobie, po drodze, na wieczne zbawienie. Tak było, panie majorze? No niech pan powie, tak z ręką na sercu, nie tak było? — Kuriłow wybucha śmiechem.

Major Zaruba przekrzywia głowę trochę na bok i wrzusza ramionami, wreszcie wybucha śmiechem, to samo robi Paweł, sierżant też się śmieje. Major powiada, do Kuriłowa: — Świetnie, majorze, *chapeau bas!* Pańska rekonstrukcja toku moich myśli jest majstersztykiem, jakby się pan wcielił w moją duszę. Winszuję panu. Wobec tego, panie sierżancie, niech pan jeszcze ponalewa, wszystkim, sobie też, a jakże! O, ładnie, dziękuję. No to, majorze Kuriłow, jeszcze raz pod naszą współpracę!

Kuriłow wypija, strząsa ostatnią kroplę przez ramię, wyciera oczy, że śmiechu zasłzy mu łzami; powiada: — Bardzo się cieszę. Nie umiem tego panom powiedzieć, jak bardzo się cieszę, żeśmy te lody przełamali. I co? Prawda? Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nie przypuszczali panowie, że z sowieckim człowiekiem można tak szczerze, tak otwarcie, tak, jeśli panowie pozwolą, po bratersku porozmawiać, prawda?

— Pałę się ze wstydu, panie majorze Kuriłow, na myśl o mojej nieufności.

— Niech pan sobie nie robi wyrzutów, zupełnie niepotrzebne. Ludzka rzecz.

— Skrzywdziłem pana.

— Proszę pana, jaka tam krzywda, zresztą my, ludzie sowieccy, nie jesteśmy pamiętliwi.

— Cieszy mnie pańska wielkoduszność.

— Nie ma o czym mówić. Najważniejsze, żeśmy się dogadali.

— Otóż to!

— Bo przecież gdybyśmy chcieli was rozbroić, to już dawno mogliśmy to zrobić. Przy naszej sile! Mamy najpotężniejszą armię na świecie. Nawet gdybyście stawiali opór, to cóż z tego? Pan się zgadza, panie majorze?

— Absolutnie.

— A więc się rozumiemy.

— Chodzi o to, żeby sprawę załatwić honorowo.

— Tak jest, bardzo słusznie, honorowo.

— Tylko w ten sposób możemy przystąpić do budowy wzajemnego zaufania.

— Jestem tego samego zdania — powiada Kuriłow. Wyciąga dłoń do majora Zaruby. — Ten braterski uścisk dłoni dwóch oficerów, sowieckiego i polskiego, niech będzie zacznym i symbolem nie tylko wzajemnego zrozumienia ale także wieczystej przyjaźni między obu naszymi narodami.

— Tak daj nam Bóg!

— Jestem ateistą, ale jeśli pan tak chce... Pan się przekona, panie majorze, że za tydzień będzie pan wysyłał gońca do reszty swojego batalionu, żeby dołączyła do was.

— Na to właśnie liczę.

— Może pan być spokojny. Zapewniam pana. Więc jak się zatem umawiamy? Kiedy panowie do nas dojdą? To jest trzydzieści parę kilometrów.

— Wyjdziemy jutro wcześniej rano, jeszcze przed świtem, tak że pod wieczór będziemy w Skarżowiskach.

— Ja tu mam trzy willysy, jednego mogę wam zostawić, żeby kierowca posłużył wam za przewodnika.

— Nie potrzeba. Dziękujemy za dobre chęci. Umiemy czytać mapę. Zresztą znamy ten teren jak własną dłoń.

Kuriłow wstaje, sięga po płaszcz: — No to *charaszo*.

— Jest jeszcze jedna rzecz — powiada major.

— Mianowicie?

— My tu mamy na dole pięciu jeńców niemieckich. Chciałbym, żeby pan ich zabrał i odstawił do obozu.

Kuriłow, właśnie wsuwający ramiona do rękawów, nieruchomieje; powiada: — Panowie wzięli jeńców? — W głowie mu się to nie może pomieścić. Mruczy coś pod nosem, potem powiada: — No dobrze, skoro już są, my się nimi zajmiemy. Jeńców! No nic. Zaraz tu przyślę kilku ludzi.

Major Zaruba odprowadza Kuriłowa na dół. Sierżant idzie zawiadomić Niemców, żeby się przygotowali do odjazdu. Major wraca. Paweł pyta: — No i jak, panie majorze, pan mu ufa? Nie wywieźcie nas w pole?

— Nie ufam. Chciałbym mu ufać. Rozsądek mi powiada, że mu powinienem zaufać, bo to, żebyśmy wzięli udział w dalszej walce leży również w ich interesie, przecież dla nich jest lepiej, powinno być lepiej, żeby ginęli nasi żołnierze a nie ich własni, ale czy oni się kierują rozsądkiem? A ty mu ufasz?

— Nie.

— Ale pójdziesz z nami do Skarżowisk?

— Pójdę, oczywiście, że pójdę. Innego wyjścia nie ma.

Do pokoju wpada po chwili sierżant, wzburzony na twarzy, powiada: — Panie majorze, oni ich idą rozstrzelać!

— Tych jeńców?

— Pytali, gdzie cmentarz.

— Ja to załatwię — powiada Paweł i razem z sierżantem zbiega na dół. Czterech żołnierzy sowieckich z pepesami w ręku prowadzi jeńców w kierunku bocznej uliczki, przy której stoi kościół a trochę dalej jest cmentarz. Jeńcy idą trzymając ręce podniesione do góry. Mają obłądnie przerażone oczy, mundury złachmanione, bez pasów, uwalane słomą. Paweł rozkazuje sierżantowi: — Niech pan szybko weźmie kilku ludzi i za wszelką cenę ich zatrzyma. Ja tymczasem poszukam Kuriłowa.

Prędko, bez płaszcza, z gołą głową biegnie przez rynek w kierunku urzędu gminnego. Za sobą słyszy, jak wybuchą wrzawa: podniesione, przyskające gniewem i przekleństwami głosy po polsku i po rosyjsku. Ludzie przystają na chodnikach, patrzą w tamtą stronę. Wrzawa wywabia Kuriłowa z urzędu gminnego. Paweł krzyczy z daleka do niego: — Co to ma znaczyć? Co pan wyrabia? Rozstrzelać ich pan kazał?

Kuriłow trzyma w ręce kawałek kiełbasy, szczęki mu pracują, usta ma zapchane jedzeniem. Zaczyna mówić, wychodzi z tego

belkot. Wypluwa nie połknięte jedzenie na śnieg: — O co panu chodzi, panie poruczniku? O co tyle krzyku?

— Ci jeńcy!

— Za kim się pan tak wstawia?

Stoją naprzeciwko siebie. Paweł łapie Kuriłowa za ramię i obraca w kierunku jeńców teraz już otoczonych przez sporą zbieganinę gapiów: — To są jeńcy wojenni, mają swoje prawa zagwarantowane przez konwencję genewską, którą wasz rząd również podpisał. To nie jest robactwo.

— Nie bądź pan idiotą. Dla nas to jest robactwo.

Paweł podnosi palec wskazujący, podtyka go Kuriłowowi pod nos: — My nie pozwalamy, pan rozumie? To są nasi jeńcy, my jesteśmy moralnie za nich odpowiedzialni.

Kuriłow rozgnięta butem resztki jedzenia, które był wypluł na ziemię. Patrzy na kawałek kiełbasy, który ciągle trzyma w ręce. Odrzuca go od siebie: — Ja was nie rozumiem. Co z was za ludzie? To są wrogowie. Pięciu wrogów! Pięciu! — Liczy na palcach: — Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć! Pięciu faszystów! Nie słyszał pan nigdy o Oświęcimiu? Nie wie pan, co oni na zamku w Lublinie zrobili? O co ten hałas? Co pan chce, żebyśmy sobie od własnych ust odejmowali i ich żywili? Pan chce, żebyśmy naszą benzynę psuli i wieźli ich sto kilometrów stąd?

— To nie są argumenty. Jak się przeciwnik podda, należą mu się prawa jenieckie.

— Przeciwnik! My prowadzimy wojnę, nie turniej rycerski!

— Mniejsza o to, co wy prowadzicie. My nie pozwolimy, żeby pan tych ludzi pomordował.

Kuriłow rozciera butem wdeptane w śnieg resztki wyplutego jedzenia. — Jak pan może tak mówić, panie poruczniku? Zamordowa! Kto mówi o mordowaniu? Dlaczego używa pan takich niemiłych słów? Żonę można zamordować, brata można zamordować. Wroga, faszystę się likwiduje. Co z was za ludzie! — kręci głową, jakby w namiocie cyrkowym patrzył na krowę o dwóch głowach. — Polaczki! Kiedyż wy się nauczycie? No dobrze, niech będzie. *Charaszo*. Pojadą z nami.



Żołnierze są zmęczeni, cały dzień w marszu, miejscami droga nie była zupełnie przetarta, trzeba było brnąć po kostki w śniegu. Wyruszyli o trzeciej nad ranem, majorowi Zarubie zależało, żeby do Skarżowisk dotrzeć dobrze jeszcze za dnia, teraz dochodzi trzecia po południu, już są na miejscu. Wkraczają na rynek. Ma-

gor i Paweł idą w czołówce. Kilka kilometrów przed miasteczkiem podjechał do nich motocykl z przyczepką, w której siedziało dwóch oficerów. Oświadczyli, że wyruszyli im na spotkanie, żeby wskazać drogę. Kompanie mają się zatrzymać na rynku, gdzie się znajduje komendantura. Rynek jest obszerny, domy wokół niskie, przeważnie drewniane, niektóre z podsieniami, gdzieś spalone, ze środka zgliszcz sterczą osmalone kminy. Panuje kompletna pustka i kompletna cisza. Jeden tylko dom w rynku jest piętrowy, z cegły, wygląda na dziewiętnastowieczny zajazd. Z okna na pierwszym piętrze zwisa sowiecka flaga państwowa. To będzie ta komendantura. Właśnie wychodzi z niej grupa oficerów. Zatrzymują się na chodniku. Nie patrząc na środek rynku, gdzie obie akowskie kompanie ustawiają się w dwuszeregach do przeglądu, zbijają się w kupę żywo rozmawiając. Wkrótce zapadnie zmrok.

Jeden z oficerów odrywa się od tej grupy i rusza w ich kierunku. Major i Paweł wychodzą mu naprzeciw. Oficer, ten sowiecki, starszy lejtnant, pyta: — Czy pan major „Zaruba”? Pan porucznik „Paweł”? — Oni widocznie do tych zadań wyznaczają ludzi, którzy znają polski.

— Tak jest.

— Bardzo mi miło.

Witają się. Oficer sowiecki jest wysoki, ma ogorzałą owalną twarz, spod daszka patrzą na nich sympatyczne oczy; uśmiecha się; od niego też leci zapachem wody kolońskiej; powiada: — Panowie pozwolą do kancelarii. Obywatel pułkownik czeka.

Oficerowie na chodniku rozstępują się robiąc im przejście. Też się uśmiechają uprzejmie. Paweł odczuwa ogromną ulgę. Mili ludzie. Wszystko będzie dobrze. Dopiero teraz, gdy są już na miejscu i idą do komendantury na spotkanie z sowieckim pułkownikiem, uświadamia sobie, jak bardzo przez całą drogę był spięty w sobie, przyczajony, wprost obolały od niedobrych myśli. Już siebie widział w bydlęcym wagonie pędzącym przez te olbrzymie pustkowia Rosji na północ, coraz bardziej na północ, gdzie śnieg nigdy nie topnieje, gdzie panuje wieczna noc. Oficer otwiera drzwi wejściowe: — Pójdziemy na górę.

Już siebie widział w długiej kolumnie zesłańców, jak brną przez śnieg po kolana, otoczeni żołnierzami uzbrojonymi w karabiny, trzymającymi na żelaznych łańcuchach szarpiące się wilczury; czasami to pustkowie wtopione w stężoną ciszę rozszarpuje nagły strzał: to żołnierze z eskorty dobijają kogoś, kto upadł i nie jest w stanie iść dalej. Takie myśli, takie okropne zwidy chodziły mu po głowie. Teraz się tego wstydzi. Myśli: jesteście na miejscu, wszystko będzie dobrze.

Są na pierwszym piętrze. Starszy lejtnant puka do drzwi.

Otwiera je, przepuszcza ich do środka, potem sam wchodzi, zamyka drzwi. Zatrzymują się na wprost biurka. Na ścianie wiszą portrety Lenina i Stalina obwiedzione ozdobnymi girlandami. Za biurkiem siedzi starszy mężczyzna o twarzy zniszczonej śladami ospy, na ramionach sterczą mu sztywne, jakby deszczułkami od środka wypchane epolety. Wymienia spojrzenie ze starszym lejtnantem. Powiada, również po polsku, spokojnie, bez żadnej władczości w głosie: — Najpierw panowie oficerowie oddadzą broń.

To się wszystko odbywa jak w jakimś gangsterskim filmie. Paweł się szarpie, krew napływa mu do głowy. Major Zaruba głową rzuca do tyłu. Rzecz się wydaje niewiarygodna. Zdrada, nawet spodziewana, gdy przyjdzie, zawsze jednak spada zniecka i zdumiewa: jest naruszeniem wrodzonego porządku moralnego. Major wydobywa z siebie tylko jedno słowo: — Przebież...

Dwóch żołnierzy, którzy w chwili, gdy wchodzili do pokoju, stali pod ścianą, teraz im obu wyłamuje ręce. Major Zaruba i Paweł reagują instynktownie, to znaczy nierozsądnie: zaczynają się rzucać, szarpać, usiłując się wyzwolić z rąk napastników; bezskutecznie. Major Zaruba się uspokaja. Paweł jeszcze nie. Zalewa go krew, myśli: te skurwysyny kacapy! Oburza go nie to, że im kazano oddać broń, byłoby ją i tak oddali, w tej sytuacji nie mają innego wyjścia. Jego zalewa krew dlatego, że ci Sowietci postąpili wobec nich po bandycku, jak pospolite zbiry napadające nocą na bezbronnego człowieka, żeby mu odebrać portfel.

Starszy lejtnant odbiera majorowi pas z pistoletem i rzuca na podłogę. Teraz rozbroi Pawła. Paweł wierzga jak koń, skręca się, wije. Starszy lejtnant wyciąga ręce, żeby go złapać za pas, ale się ustawił niezręcznie, na dwóch szeroko rozkroczonych nogach, akurat w takiej, jak potrzeba, odległości: Paweł go kopie w kroczce. Trafia celnie, przypadek, jasne, w same genitalia. Starszy lejtnant wydaje z siebie przeciągły ryk i zwala się bokiem na podłogę, podkurcza kolana pod brodę, ręce kładzie na genitaliach i mocno przyciska; oczy ma zamknięte, przez zacisnięte powieki wyciekają łzy, grube, obfite. Po chwili przestaje ryczeć, tylko syczy. Lewą ręką nie ustając przyciskać jąder podnosi się z podłogi; powiada, ale po rosyjsku, widocznie groźby i przekleństwa przychodzą mu łatwiej w języku rosyjskim, powiada: — *Jebit twoju mat! Ja tiebie ubiju!*

Zwinęta pięścią, a ma te łapy duże, takie łopaty, rąbie go, ale to potężnie, w twarz, jak młotem kamieniarskim, pięść ładuje pod nosem. Pod czaszką Pawła rozbija się bania płomieni, leci z nóg, ale ci dwaj żołnierze nadal go trzymają za wykrę-

cone ramiona. Starszy lejtnant poprawia mu drugi raz, trzeci, czwarty. Pawłowi się wydaje, że jego mózg dostał się w tryby jakiejś piekielnej maszyny, która go miażdży na drobne kawałki. Jednak jakimś cudem jest zdolny do myśli; i myśli: ten starszy lejtnant miał widocznie przyćmiony umysł, dał się ponieść nerwom, i dlatego zapomniał, że powinien mnie także kopnąć w jaja; ale to jest zwykły wojskowy amator, to nie jest NKWD.

Starszy lejtnant odbiera mu pistolet. Żołnierze puszcza ją mu ręce. Paweł natychmiast podnosi je do oczu, przeciera, sięga do kieszeni płaszcz, trafia na swą chorągiew emisariusza, wyciera nią sobie oczy. Potem przykłada delikatnie do nosa, z którego bucha krew. Odchyła głowę do tyłu, żeby ją zatamować: trudna sprawa. Pułkownik mówi coś po rosyjsku. Zaraz jeden z tych zbirów podsuwa Pawłowi krzesło, drugi przynosi ociekającą wodą ręcznik. Paweł wyciera sobie najpierw twarz delikatnie macając okolice nosa i grzyba, który mu wyrósł na górnej wardze, potem przechyla głowę do tyłu i podkłada ręcznik pod kark. Nie odmyka oczu, myśli: ale kopa to jednak dostał, to bydlę.

Słyszy głos pułkownika, dobroduszny, pełen ubolewania: — I po co to wam było? Za taki brutalny atak na oficera sowieckiego powinienem was postawić pod ścianką. Takie jest prawo wojenne. Okrutne ale sprawiedliwe. Ale ja tego nie zrobię. Władza sowiecka jest nacechowana głębokim socjalistycznym humanizmem. Poza tym ja lubię Polaków. Ja mam do was słabość. Sam w sobie mam polską krew. Jeden z moich pradziadków był Polakiem. Po powstaniu kościuszkowskim został zesłany na Sybir. Tam ożenił się z Rosjanką. Ona też przebywała tam na zesłaniu. I już do Polski nie wrócił. Został Rosjaninem. Pokochał ten kraj. A nasz kraj jest piękny, olbrzymi, potężny kraj, który kiedyś... Wy czytaliście Dostojewskiego?

Major Zaruba powiada: — Owszem, „Biesy”.

Pułkownik się śmieje: — Ach! Polacy! Ja was lubię. Nigdy was nie odstępuję poczucie humoru. Ale nie „Biesy” miałem na myśli. Mniejsza z tym. Mojego pradziada urzekł ten wielki kraj. Rozumiem to urzeczenie. Dlatego ja was nie każę rozstrzelać. Bo mamy z sobą dużo wspólnego. My się musimy nauczyć kochać jeden drugiego, inaczej nigdy nie będzie między nami spokoju. Musimy się nauczyć wzajemnie kochać.

Paweł otwiera oczy, nie odważa się jednak przesunąć głowy w dół, żeby spojrzeć na pułkownika; myśli: a to jest skurwysyn! A to jest cynik obłudny! Myśli z przerażeniem: a jeśli on to szczerze mówi?

Pułkownik powiada znowu: — Ale to są sprawy, których uregulowanie będzie wymagało wiele trudu, samozaparcia i do-

brej woli, to najważniejsze, dobrej woli głównie z waszej strony, bo o naszej przecież nie możecie wątpić. O naszej dobrej woli najlepiej świadczy święta krew naszych żołnierzy hojnie przelewana na tej ziemi. Nie będziemy już o tym teraz mówili. Na to przyjdzie jeszcze czas. Panowie chcieliby teraz wiedzieć, co dalej? Oddamy was do dyspozycji Ludowego Wojska Polskiego. Walcząc w jego szeregach spełnicie wasze marzenia o dalszej walce z faszyzmem hitlerowskim.

Major Zaruba powiada: — Nie. Pan się myli, panie pułkowniku.

Pułkownik prychnął przez nos: — Hm! A dlaczegoż to? Bo to jest wojsko komunistyczne?

— To nie ma z tym nic wspólnego. Ludowe Wojsko Polskie, jak pan to nazywa, wcale nie jest wojskiem komunistycznym. Znajduje się tylko pod rozkazami komunistów. Myśmy się tu zgłosili na podstawie umowy zawartej z przedstawicielem wojsk sowieckich lejtnantem Jarosławem Blutsztajnem, potwierdzonej następnie przez waszego majora Kuriłowa. W tej umowie było powiedziane, że wejdziemy jako samodzielna jednostka Armii Krajowej w skład Armii Czerwonej, powtarzam, samodzielna jednostka. Taka była umowa. Mamy prawo żądać, żeby wasza strona tej umowy dotrzymała.

Pułkownik pociera grzbiet nosa kciukiem, znowu się śmieje: — Mnie to bawi. Umowa, umowa! Ja tam o żadnej umowie nie wiem. Lejtnant Blutsztajn? Nigdy nie słyszałem. Przecież, panie majorze, trzeba zachować proporcje. Wy nie jesteście stroną, z którą my moglibyśmy się umawiać. Mamy nasze rozkazy: AK musi być rozbrojona. My nie możemy sobie pozwolić na to, żeby na naszym zapleczu, kiedy przez ten kraj przebiegają nasze linie komunikacyjne, szwendały się uzbrojone watahy dawnego, zresztą nie o najlepszej sławie, podziemia.

— Pan nas obraża, panie pułkowniku. Oficjalnie protestuję przeciwko złamaniu przez was umowy.

— Wy macie coś na ten temat na piśmie?

— Nie.

— To wy sobie możecie protestować, majorze, ile wam się żywnie zechce.

— To jest wiarołomstwo.

Pułkownik patrzy ostro, gniewnie na majora: — Ja bym na pana miejscu był ostrożny w doborze słów. Nie wolno ułbiać honorowi Armii Czerwonej. Starszy lejtnant jest świadkiem naszej rozmowy, więc wy uważajcie, majorze. — Po chwili milczenia powiada: — Teraz, majorze, wyjdziecie do swoich ludzi i wydacie rozkaz złożenia broni.

— Ja tego nie zrobię. Jeśli wy ich chcecie siłą rozbroić, to wasza sprawa. Ja do tego ręki nie będę przykładał.

Pułkownik wychodzi zza biurka i zbliża się do okna: — Pozwólcie tutaj, majorze. Rzućcie okiem.

Kompanie stoją, jak poprzednio, na środku rynku. Wzdłuż boku równoległego do komendantury i do połowy boków pionowych stoją żołnierze sowieccy z pepeszami. W dwóch najbliższych rogach ustawiono karabiny maszynowe. Pułkownik powiada — Rozkażę dać dwie serie z karabinów maszynowych. Sami obliczcie, ile padnie trupów. I to nie wszystko. Bo wasi żołnierze będą musieli sami następnie pogrzebać swoich kolegów, a teraz zima, ziemia zamarznąta, wy wiecie, jaka to jest praca? Taką wy troskę okazujecie o waszych żołnierzach? Czekam na wasze słowo.

Major trzęsie głową jak stary człowiek, jest bladym, rękami ujmując twarz, szepce: — Jezus Maria! — Zwraca się do pułkownika: — Dobrze, wezmę na siebie ten gorzki trud. Niech mi pan wierzy, panie pułkowniku, to jest najcięższa chwila w moim całym dotychczasowym życiu. Wydam rozkaz złożenia broni, ale solennie protestuję przeciwko gwałtowi, przeciwko złamaniu umowy i podeptaniu naszego honoru.

Pułkownik wybuchł, krzyczy: — Wy sobie protestujecie, ile chcecie! Wy, majorze, nie wiecie, na jakim wy żyjecie świecie! Jest wojna, nasi żołnierze krwawią dla was! A wy mi tu o jakiejś umowie, o honorze. Nasz honor nic nie obchodzi! Musicie się do tego przyzwyczaić. Wy, Polacy, za dużo myślicie o swoim honorze, wam się wydaje, że na świecie nie ma nic ważniejszego nad wasz honor. Dla nas wasz honor jest niczym. Czym prędzej to zrozumiecie, tym lepiej będzie dla was. Dla nas się liczy tylko wygranie tej wojny i zabezpieczenie pokoju. Nic więcej! Ale to widać nie ma dla was żadnego znaczenia. Wasza postawa od samego początku świadczy o tym, że nie poczuwacie się do żadnej wspólnoty z nami, że uważacie nas za swojego wroga. Szyny kolejowe na wschód masłem smarować! Pamiętacie? I macie rację, majorze. My jesteśmy waszym wrogiem. Jesteśmy wrogiem dla faszystów, imperialistów, reakcjonistów, dla kapitalistów, których polska klasa robotnicza na zawsze odsunęła od władzy. Tak jest, my jesteśmy waszym wrogiem i wy jesteście naszym wrogiem. I odpowiednio do tego was będziemy traktować. Z wrogiem się nie paktuje. Wroga trzeba ubić! Wobec wroga nie obowiązują honor. Prowadzimy wojnę totalną, którą nam narzucili faszyci i w tej wojnie nie przebieramy w środkach. Musimy ją wygrać! Wy mi tu nie mówcie o waszym honorze, bo go nie macie, bo gdybyście mieli honor, to byście się nie targowali tutaj ze mną jak przekupka na targu, tylko dziękowa-

libyście na klęczkach za to, że wam dajemy możliwość bicia wroga! Towarzyszu — zwraca się do starszego lejtnanta — wyprowadźcie majora. Daję wam dziesięć minut, majorze. Wszystkie broń ma być w tym czasie złożona na jedną kupę. Jakikolwiek przejaw najmniejszego oporu będzie karany natychmiastową śmiercią. Wy, poruczniku, zostaniecie tutaj.

Paweł stoi nie opodal okna i po kilkunastu sekundach widzi, jak major ciężkim, powolnym krokiem, z głową zwieszoną na dół, idzie od komendantury w kierunku swoich żołnierzy. Staje przed ich frontem. Coś mówi. Szeregi się załamują. Major podnosi obie ręce, uspokaja ich, żołnierze wracają na swoje miejsca. Teraz po kolei występują z szeregu i podchodząc bliżej majora rzucają broń na ziemię, następnie odchodzą na bok, gdzie ciasnym kręgiem otaczają ich uzbrojeni żołnierze sowieccy.

Piotr GUZY

POLSKA, 13 GRUDZIEŃ 1981...

WOJNA Z NARODEM

Album około 200 unikalnych zdjęć, dramatycznych wydarzeń, dokumentów, niezależnych wydawnictw.

Przedmowa Anki Kowalskiej. Teksty w językach polskim i angielskim.

Wydawcy: Niezależne oficyny wydawnicze „NOWA” oraz „KRAĆ” we współpracy z Komitetem Poparcia Solidarności, Południowa Szwecja.

Druk Szwecja. Pierwsze wydanie 15 listopada. Około 200 stron. Cena 15 \$. Dochód przeznaczony jest w całości na niezależne wydawnictwa w Polsce.

Zamówienia należy zgłaszać:

**Komitet Poparcia Solidarności, Południowa Szwecja,
Box 1601, S-22101 Lund**

oraz

„Kultura”

Institut Litteraire, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte, France

Jan Nepomucen RZECKI

TATO NIE WRACA

*I pełno zbójców na drodze
(Adam, wieszcz)*

1.

Posłuchajcie, dzieci,
mam rower, okaz rzadki,
marki Padrino, cztery biegi,
cierpi trochę na uczulenie
przekładni.
Prędej czy później ktoś go ukradnie.

Zapycham na nim do Montpellier —
dlaczego nie?

Dobrze mi robi na piegi,
rowerowi na uczulenie.
Z wiatrem, pod wiatr, z górki pod górkę,
ścigamy się z własnym cieniem,
pot ze mnie leje się ciurkiem,
może mi wreszcie piegi odklei —
ojejej,
coś z tą przekładnią znowu —

Zerkam w bok, a tu na zakręcie
ruina ruda wychyla się z rowu:
czuję atmosferyczne napięcie.
Siedzi tam obok jakiś starowina,
kapelusz spadł mu na uszy,
brodę na mnie wypina,
wzrok dziki, suknia plugawa,
nie z tej epoki.
Żeby mu dodać historycznego sensu,
myślę, ostatni z albigensów,
obrosła go zewsząd trawa,
nad trawą słońce, dojrzały snop.

Moja przekładnia ni w te ni we wte,
kompletne znieczulenie.
Zrównanie roweru z cieniem.
Stop.

Wiersze

LEKCJA WYCHOWANIA OBYWATELSKIEGO

dla świętego spokoju
zgódźmy się na małe
odstępstwo od zasady
założmy że jakoś to będzie
gdy zaczniemy mówić „tak”
na „nie”

dla świętego spokoju
nie sprzeciwiamy się
gdy nam za to
będzie ktoś wkładał
do kieszeni srebrniki
(drugą ręką pieśczołliwie
zakładając coś na szyję)
dla świętego spokoju
nie wrywajmy się
nie rżemy gdyż
pętla jeszcze mocniej
może się zacisnąć

dla świętego spokoju
czego się nie robi
żeby mieć święty spokój

Józef BARAN

Józef Baran, młody poeta krakowski, laureat Fundacji Kościelskich. Wiersz napisany po 13 grudnia 1981. Baran działał w Solidarności Wiejskiej.

2.

Zsiadam, okulary nakładam,
widzę: płaszcz stary, lecz nie plugawy,
gotykiem cały zapisany
w siedmiu kolorach tęczy
na obraz i podobieństwo witraża.

Czytam:

„Podwieźcie, bracia chrześcijany,
do najbliższego cmentarza,
bo czas okrutnik mnie męczy.
Voster propheta-noster
ugrzązał na Amen w przyszłości.
Prosi o kromkę litości”.

Dałem mu termos, łyknął Pepsi-Colę
pod ten swój gotyk tęczowy,
spod kapelusza na uszach
ozwał się tymi słowy:

Stojało napisane
dopóki tu cegły stały,
że przyjdzie taka pora wernyhora,
kiedy w dzień biały na koniu białym,
albo na inszym welocypedzie,
stepowy wróż przyjedzie,
i poratuje w biedzie.
Witaj, wybawco ze Wschodu!

Trzy razy potrząsnął brodą
na powitanie.

Z kim mam zaszczyt, człeku cierpiący?

A on: Wieszcz póki wieszczy, to nie szczy.

Wybacz, tak mnie zebrało,
że muszę wypróżnić ciało,
cztery wieki na to czekało.

Zlął do rowu. Błysk na gotyckich amuletach.
Exit propheta.

3.

Wrócił bez kapelusza.
Czterysta lat już z górą
kucam za tą figurą,
pieję roraty na powrót Taty,
lecz słaba recepcja kosmiczna,
(Spes — mater dolorosa)
susza, głusza i groza.
Ciemno w Apokalypsis,
zgasł Księżyc, tudzież Niewiasta.
A skoro Tato nie wraca,
proroctwo się nie opłaca,
tylko przyszłość psia sierść mnie obrasta.

Jam voster Propheta-Noster
(Musam aeternam laudamus),
Nostradamus.
Popatrz, mizerny u mnie inwentarz,
wież mnie na cmentarz.

4.

Mistrzu Michale z Montpellier,
któryś jest rodem z St. Remy,
sławny od kraju do kraju, od wiary do anatemy —
krzyczę na całą rozpiętość echa,
od wzgórków do pagórków,
a pot mi dalej ciurka —

Czytałem wszystkie twoje czterowiersze
przy żółtej świecy, karta po karcie:
plus part du champ encore Hista sera,
gdy Hitler maszerował przez twą księgę uparcie.

Que sera, sera.

Zgasła świeca, koniec Hitlera.

Ze wschodniej strony
przyszedł czterowiersz czerwony:
les rouges rouges le rouge assommeront,
tiomnaja strana maja.

Mistrz Nostradamus przerwał mi i rzecze:

Człowiecze,

poznaję w tobie brata kabalistę.

Słuchaj, ten naddunajski Hister

umknął mi z wróżby, czyli

nie struł Josifa Dżengiswili,

a ta Sikora śmielsza od Gila

miała znieść jajo na łbie L'église-billa,

(w mowie Albionu na Kościotowzgórzu).

Prophetowałem takż o Przedmurzu —

przez mur przelezie wąsiasty chłopak —

Wyszło na opak.

Historia podła znowu zawiiodła,

nie posłuchała Noster-damusa.

Ale 99 rok to meta,

Piekiel pokusa przyjdzie i Kometa,

dixit propheta.

Z Apokalypsis zejdzie Kobieta,

księżyc zapali,

strop się zawali,

Amen, bo nie wiem co dalej,

choć jestem voster Noster

Damus-adamus, czasów Impostor.

Co chcieliście, dziatki, to macie,

a kto nie wierzy,

niech się poskarży Tacie.

Tato go w łeb uderzy

i miłościwie powie:

Pierwszy bym pałkę strzaskał na twój głowie

(dixit poeta).

5.

O roku ów —

nim przyjdzie ów

tysiąc dziewięćset 99 rok,

pusto i smutno w kraju Languedoc,

rzeź jak pieśń dalej spływa po rosie.

Catharsis. Katarów całopalenie.

Wciąż pełno zbójców w kosmosie.

I jakże czterobiegowa przekładnia
nie ma tu cierpieć na uczulenie?

W góry, w góry, miły bracie,
tam przygoda czeka na cię —
więc pedałuję, że aż nóg nie czuję,
zmieniam biegi, gubię piegi,
posłaniec Noster-damusa.

Od figury jadę do figury,
a droga się jakoś nie skraca,
przeszła jesień, przyszła zima,
Tato nie wraca.

I rodzynek jak nie ma, tak nie ma.

Tylko ta Piekiel pokusa
wedle proroctwa Nostradamusa.

6.

Spotkałem Mistrza raz jeszcze
pod Florinville,
schroniliśmy się w grocie przed deszczem.
Poznał mnie po rowerze
marki Padrino.

Niech mnie brat stąd zabierze,
dam ci kapelusz wróżebny, cały mój inwentarz.
Prosi: wieź mnie na cmentarz,
bo czas mój minął — przeminął,
niech się nareszcie na popiół spalę
po waszej kazirodczej kabale.

Przyszłość, powiadam, to czas uparty,
choć niby się jak glina gnie.
Cóż dzień i noc? Zmiana warty
na murach, których nie ma w Montpellier.

Dziatki, nie proście o powrót Taty.
On sam jak sputnik krąży w kosmosie,
pogubił wam wasze lata,
czas potasował jak karty
pomiędzy gwiazdy od wieków wygaśle.

Wkrótce nie będzie żadnej zmiany warty,
zostanie tylko hasło
na murach, które pamięć na miał kruszy.
Kto idzie?

Odzew: Czas bez człowieczej duszy.

Wszystkie korzenie, kamienie, cienie
najpierw uziemia, potem zamula
Ziemia Mamula.

7.

Gdy Duch pogubi palce z pośpiechu
u drzwi czyścowych bez ram i klucza,
wtedy Smok żółty stanie przy Lechu,
Pers się zwielbłdzi nad nurtem Zbrucz —

tak Nostradamus poucza
przez swoje rymy mgliste,
lecz post prophetiam cor meum triste,
et tristis est cantus iste.

Zgaduj tedy, zgaduj zgadula
dlaczego Tato astralny
aż tak jest niepunktualny,
wrózbow i sobie na przekór:
punkt bez powrotu na przekładni
roweru marki Padrino.

Został chleb, jest i wino.
Niech które z dzieci świeczkę zaświeci.
Pójdźmy razem za miasto
na atomowy wzgórek.
Pięć minut przed dwunastą
pobożnie zmówmy paciórek.

Jan Nepomucen RZECKI

Kraj

Polska: Życie na zakneblowanym wulkanie?

Prawidłowo ocenić sytuację w Polsce trudno nawet Polakom, nawet tym spośród nich, którzy w pełni żyjąc życiem swego społeczeństwa, potrafią zachować zdrowe nerwy. Pewne są tylko fakty o charakterze podstawowym: mamy nadal do czynienia z narodem podzielonym, ze swoistą „zimną wojną domową” między aparatem władzy a społeczeństwem.

Po jednej stronie — 8 % do 10 % całej populacji, z miążdzącą przewagą sił zbrojnych, policji i służb tajnych, przewagą zorganizowania, środków technicznych i pieniędzy. To pracownicy aparatu władzy, ich rodziny plus emeryci służb systemu. Grupa niejednorodna skądinąd, mimo chwilowego zjednoczenia poczuciem zagrożenia; głównym, o paradoksie, beneficjentem zamachu stanu okazała się... biurokracja gospodarcza. To nie żart: ewentualne porozumienie aparatu władzy ze społeczeństwem nie naruszyłoby statusu aparatu partyjnego, administracji, wojska ani policji, natomiast uderzyłoby w kilkaset tysięcy (do pół miliona) rodzin biurokracji gospodarczej, warstwy urzędniczej, która żyje z polskiej gospodarki, sama sobie określa dochody i produkuje inflację dwustu kilkudziesięcioma miliardami zł nadwyżkowego popytu. Wojsko jest zbyt słabe, by tę tkankę rakową usunąć, ponieważ zakorzeniona jest ona solidnie w innych pionach aparatu władzy; bez nacisku robotników i społecznego poparcia przeprowadzenie autentycznej reformy gospodarczej jest niemożliwe, ale wojsko uderzyło właśnie w aspiracje robotników i ogółu społeczeństwa. Ekipa rządząca sądzi najwyraźniej, że przeprowadza reformę, podczas gdy każdy najstarszy nawet ruch w jej kierunku grzęźnie w poduszce bezwładności i jest paraliżowany kontrdecyzjami wykonawczymi biurokracji.

Najgłębszy przedział w historii

Ekipa rządząca uważa swój stan wojenny za „umiarkowany”, chlubi się nikłą liczbą ofiar śmiertelnych i rzeczywiście nie było to Chile (jeśli w ogóle można się tym chwalić). Ale społeczeństwo, ukształtowane w kulturowej tradycji bezwzględnej potępienia dla zabijania bezbronnych, a już zwłaszcza dla mordów bratobójczych, widzi nie „tylko tyle”, lecz „aż tyle” ofiar (w XIX wieku pogrzeby ofiar carskich pacyfikacji ulicznych przycotywały atmosferę dla późniejszych eksplozji powstańczych).

Rezygnacja ze strajków i manifestacji, jako zbyt ryzykownych, niech nas nie myli. Nienawiść ciągle jest przerażającą powszechną, silną i głęboką. Tego fenomenu nie zna dotychczasowa historia Polski. Były w niej konflikty wewnętrzne, czasem dramatyczne, ale nigdy nacechowane takimi emocjami. Zamach stanu nie tylko jednak zmiądzzył nadzieję na naprawę kraju, na wyjście z paraliżu systemowego, w którym nie da się żyć i pracować. Dotknął zarazem najczulszego miejsca w polskiej psychice narodowej, uderzył bowiem w polskie poczucie godności. Długo trzeba by tłumaczyć, jak się to stało, że po niewątpliwej rewolucji społecznej, która się dokonała po roku 1945, cały naród przejął etos warstwy szlacheckiej; fakt pozostaje faktem — polskie poczucie godności narodowej należy do geopolityki tej części Europy. W Polsce darowuje się nawet zbrodnie, nigdy — upokorzenia.

Nikt nie jest ponad podejrzenie

Drugą barierą na drodze do rozwiązania problemu polskiego jest nieufność. Nie mam na myśli szans pozyskania sympatii czy poparcia przez władzę. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Chodzi o rzecz bardziej podstawową: po tańcu słów i gestów, które z reguły okazują się czymś innym, niż miały i mogły znaczyć, społeczeństwo po prostu nie wierzy niczemu, co mówi lub robi aparat władzy. Ani w polityce, ani w gospodarce. Nie bierze się serio nawet złych wiadomości, ani nawet gróźb.

Brakuje wiarygodności jako podstawy minimum choćby nieprzyjaznego partnerstwa. Nie da się jej odbudować samą zgodą na przyjazd papieża-Polaka, ani zwolnieniem Wałęsy czy wszystkich internowanych i więzionych. Przeciętny Polak jako pracownik i nabywca nie może zapomnieć z dnia na dzień, że państwo-pracodawca wyjęło mu z kieszeni 40 % jego pieniędzy; czuje

się oszukany. Posiadacze oszczędności dewizowych, które powierzyli kasie państwa, mają to państwo za defraudanta. Ucieczka od pieniądza, emitowanego przez państwo, trwa nadal, bo nikt nie wie, ile banknotów jeszcze dodrukują. Obywatel jako pracownik nie chce ze swym państwem robić żadnych interesów. Nie widzi w nim lojalnego, solidnego partnera, lecz nieodpowiedzialnego wydrwigrosza. Trudno tu choćby o minimum zaufania.

Co więcej, bardzo łatwo tu zaufanie stracić. W społeczeństwie o bardzo wysokiej przeciętnej wykształcenia, na domiar z uzasadnionym kompleksem podejrzliwości, trudno uprawiać politykę gabinetową, w której liczy się, że tradycyjna, ufna klientela poprze w ciemno każdy niezrozumiały dla siebie ruch. Doświadczyla tego i doświadczają polska hierarchia kościelna, uwikłana w skomplikowane negocjacje z niewiarygodnym partnerem — przygląda się jej z czujną rezerwą nawet własne niższe duchowieństwo. Decydująca liczebnie część populacji, 2/3 narodu poniżej 35 roku życia, klasyfikuje każdego bez taryfy ulgowej — z nami, przeciw nam czy z boku. I nikt nie jest ponad podejrzenie.

Jeśli gen. Jaruzelski rzeczywiście chce z kimś rozmawiać, musi sam pilnować, by nie zniszczyć autorytetów, mogących liczyć na mandat ze strony społeczeństwa — inaczej, niż to zrobiono z młodym przywódcą chłopów, Kułajem, którego skompromitowano w ich oczach, nie zyskując ani zwolennika ani partnera.

Stan wojenny jako system trwały?

Reżym stanu wojennego, ze służbą bezpieczeństwa odgrywającą rolę samodzielnej partii politycznej, można teoretycznie kontynuować i po jego oficjalnym zniesieniu. Wystarczy do tego ustawa o „pasożytnictwie”, pozwalająca każdego pozbawić wolności bez wyroku sądowego, i druga podobna, czekająca na uchwalenie ustawa „psychiatryczna”, pozwalająca niewygodnych ludzi pakować do domu wariatów.

Nie sądzę, by marzeniem gen. Jaruzelskiego i jego ekipy było rządzić przy pomocy takich metod, ale pozwalają one przynajmniej paraliżować czynny opór społeczeństwa. Czy pozwalają także prowadzić nowoczesną gospodarkę? Nie. Tym bardziej blokują szansę zmobilizowania społeczeństwa do stawienia czoła kryzysowi gospodarczemu, który nie osiągnął jeszcze dna. Ale nie wiem, czy wojskowi, nawykli do kultury rozkazu i przymusowego posłuszeństwa, zdają sobie z tego sprawę.

Osamotnieni

Aż po ostatnie dni ekipa władzy otwierała coraz to nowe fronty konfliktów: najpierw robotnicy i młodzież, potem środowiska intelektualne, artyści i dziennikarze, wreszcie — chłopci i Kościół katolicki. Do festiwalu bicia 31 sierpnia aparat władzy mógł liczyć na względną pojednawczość starszych ludzi i części kobiet, ale 31 sierpnia oberwali, płakali i mdleli od gazów wszyscy, tysiące przypadkowych przechodniów, staruszki i matki z wózkami. Po zdelegalizowaniu „Solidarności” opuszczając zaczęli ekipę rządzącą ostatni, pojedynczy zresztą intelektualści, liczący do tej pory, że ich obecność w ekipie lub przy niej powstrzyma skłonność do uprawiania polityki z zamkniętymi oczami (cofnął swe poparcie socjolog prof. Szczepański, doradca rządowy psycholog prof. Reykowski, podał się do dymisji minister pracy i opieki społecznej prof. Rajkiewicz).

W ciągu ostatnich dni zaszły pewne fakty, które mogłyby świadczyć o odejściu od formuły „kneblowania wulkanu”. Wicepremier Rakowski, który jeszcze parę dni wcześniej w dość arogancki sposób obrażał aktorów bojkotujących telewizję i radio, odbył, zupełnie odmieniony, publiczną dysputę z autorami listów do siebie. W jakimś sensie była to desperacka próba jednoosobowego wyręczenia całej propagandy, idealnie nieskutecznej, a nawet raczej osiągającej rezultaty odwrotne do zamierzonych. Istotne było jednak, że po raz pierwszy publicznie wypowiediano i przekazano przez telewizję niemało autentycznych pretensji społeczeństwa do władzy. W parę dni potem zwolniono Wałęsę. Ale społeczeństwo nadal czuje, że mogą to być jedynie gesty, chwilowe i niekoniecznie skoordynowane, które nie muszą znaczyć czegokolwiek i za którymi nic nie pójdzie.

Nic nie będzie, jak było

Zaden gest nie przesłoni konieczności przemyślenia wszystkiego co dotyczy Polski na nowo. Co najwyżej tę konieczność odsuwa. Z czasem uświadomią ją sobie zarówno władcy Polski, jak ich radzieccy sojusznicy z ich nowym, wybitnie skądinąd inteligentnym liderem. Wysiłki poddania Polski systemowi władzy, sprzecznemu z jej demokratycznymi i zachodnioeuropejskimi tradycjami kulturowymi, doznały ostatecznej porażki politycznej, zostawiając na dobytek po sobie kompletną ruinę gospodarczą. Porażki ostatecznej doznali również ci, którzy przez lata usiło-

wali ten system zeuropeizować czy też spolonizować, reformować i przystosować do polskiej gleby kulturowej. Dziś jasne jest, że bez autentycznej demokracji żadna wersja socjalizmu w Polsce funkcjonować nie może, a na domiar panującą powszechnie doktryną społeczną będzie doktryna społeczna polskiego papieża, łącząca ideały socjaldemokracji z tradycją Kościoła ubogich i protestanckim etosem pracy. Nic nie będzie, jak było.

ZSSR, choć na to nie wygląda, ma w polityce wobec Polski opcje szerokie. Społeczeństwo polskie ustami i podpisami paru tysięcy swych najrepreszentywniejszych, niezależnych przedstawicieli zadeklarowało we wrześniu 1981 roku, nie pod naciskiem gróźb czy obaw, że gwarantować sojusz z ZSSR i polską obecność w RWPG gotowy jest cały naród, wszystkie jego liczące się środowiska, odłamy i ugrupowania.

Resentymenty, narosłe znowu wskutek sowieckiej polityki ostatnich dwóch lat, muszą ustąpić i ustąpią wobec oczywistych interesów kraju, który nie przeniesie się na Madagaskar, a z ułożenia wymiany handlowej z sowieckim olbrzymem na zasadach rzetelności może czerpać nieograniczone korzyści.

Ewentualna demokracja w Polsce nie jest „zaraźliwa” dla ZSSR — rosyjskie tradycje kulturowe są po prostu zgoła inne. ZSSR do tej pory zresztą tolerował bardzo różnorodne formuły władzy w różnych krajach swego bloku, z otwarcie antyradzieckim rumuńskim przywódcą Ceausescu włącznie. Z drugiej strony — Rosjanie nie zrezygnują ze *status quo* w Europie, nie ma siły, która by ich do tego zmusiła. Nie podejmą też reform pod żadnym przymusem. Jeśli cokolwiek zrobią, to powodowani swoim interesem i swoim rozumieniem tego interesu.

Wynika stąd prosta prawda, że tylko rozmowy, nie zaś czyjekolwiek najszlachetniejsze deklaracje, mogą służyć rzeczowej analizie wszelkich interesów i rzeczowemu ich zaspokajaniu. Takie rozmowy zaś leżą, jak sądzę, w interesie całej Europy; Europa z zakneblowanym polskim wulkanem w środku nie może liczyć na stabilizację, tak niezbędną dla zachowania dobrobytu czy też dla ekspansji gospodarczej.

Nie wspominam już o takim drobiazgu, jak miliardy zachodnie zamrożone w Europie wschodniej. Dla nich też warto rozmawiać. Nie dla samego ulżenia doli Polaków. Po prostu — niewolnicy nie płacą długów. Niewolników nie obchodzą długi ich panów.

Stefan BRATKOWSKI

Bezsilność publicystyki *

Wróciwszy do kraju po rocznej nieobecności, w zupełnie zmienionej sytuacji, zadaję sobie pytanie: czy będzie tu możliwa publicystyka polityczna? Podkreślam: publicystyka, nie zaś pisanie felietonów, o które nagabują mnie czytelnicy. Epoka felietonu się dla mnie po 36 latach skończyła. Swoje odśłużyłem, nie potrafiłbym już gimnastykować się między cenzurą a autocenzurą, przemycać swoje myśli poprzez aluzje i metafory, kontentować się pół- i ćwierć-prawdami, chwytanymi zresztą przez co bystrzejszych czytelników, dobrze rozumiejących funkcjonowanie zasady *pars pro toto*. Owszem, felieton spełnił swą rolę, zwłaszcza pocieszając i wyswobadzając psychicznie niektórych w mrocznym okresie stalinowskim, nie sądzę jednak, aby dzisiejsze ciężko obolałe społeczeństwo oczekiwało akurat felietonowej pociechy. Inne są czasy i doświadczenia, innej potrzeba strawy.

Ale czy uda się ją dostarczyć? Usłyszałem od kogoś osobliwe zdanie. Że mianowicie ludzie zawodowo piszący po gazetach podzielili się u nas na dwie kategorie: tych, co bez względu na cenę chcą popierać aktualne państwo (jego władzę?!) i tych, co również bez względu na cenę chcą wypowiedzieć całą prawdę, a nie mogąc tego realizować, zamilkli. Warto się zastanowić nad tą hipotetyczną klasyfikacją. Niewątpliwie, istnienie państwa w naszych warunkach wymaga nierzadko przemilczenia, czasem nawet zaparcia się pewnych prawd, zaś mówienie wszystkiego nie sprzyja (o tym przynajmniej jesteśmy wciąż zapewniani) stabilizacji tego, aktualnie możliwego państwa. Czyżby więc prawda była luksusem, którego *pro publico bono* należy się wyrzec? Nie chciałbym podjąć takiego wyrzeczenia ani dokonywać wymuszonego wyboru między prawdą a takim czy innym interesem publicznym. Czyż więc rzeczywiście najprostszym dozwolonym sposobem uchylecia się od wyboru byłoby milczenie?

Można jednak chyba sądzić, a przynajmniej postawić optymistyczną hipotezę, że czasem jakaś postać czy forma prawdy da się pogodzić z owym „publicznym interesem”, a w każdym razie da się wypowiedzieć. Może nazbyt okrutnie sformułowana alternatywa wyboru ma gdzieś jakieś luki czy choćby łagodniejsze kanty? Ha, cóż, trzeba spróbować. Spróbować jeszcze raz wypowiedzieć

* Artykuł ten, przeznaczony dla *Tygodnika Powszechnego* i zdjęty przez cenzurę w całości, został nadesłany z kraju.

to, co w Polsce powojennej próbowałem powiedzieć wielokrotnie, a co raczej udawało się w publikacjach mało dostępnych, prywatnych czy zagranicznych. Może się jednak w końcu uda? Niniejszy artykuł to swego rodzaju test.

Czymże właściwie ma być publicystyka polityczna? W moim pojęciu publicysta to człowiek stale piszący o polityce we własnym tylko imieniu i na własny rachunek, to swego rodzaju kibieksper, mający pełne prawo do koncepcji indywidualnych a także do snucia hipotez dyskusyjnych, do głośnego myślenia, atakowania publicznych mocarzy, także i zbijania tez własnych i zmiany głoszonych poglądów w miarę rozwoju sytuacji. Celem jego pisania jest wpływanie, według nakazów własnego sumienia i rozumu na czytelników, społeczeństwo, naród, a także (czasem przede wszystkim) na środowiska polityczne i ludzi sprawujących władzę. Warunkiem takiego pisania jest oczywiście jego nieprzerwana, długa trwałość, szeroka dostępność, a przede wszystkim pełna swoboda najostrzejszych nawet wypowiedzi. Zaś sprawdzianem, świadectwem użyteczności tego pisania będzie echo w opinii społecznej i historyczna skuteczność, a przynajmniej sprawdzalność pokwitowana *post factum*.

W Polsce Ludowej mało było miejsca na tego rodzaju koncepcję publicystyki, na Lippmanów, Sulzbergerów czy Aronów. Bezsilność czy niemożliwość piśmienniczej perswazyi obnażała się aż nadto często, zaś potwierdzonej przez wydarzenia słuszności, czasem dla wszystkich oczywistej, nikt nie kwitował ani przedtem, ani potem, sądząc (taka była psychoza), że przyznanie racji komuś indywidualnemu to czynność politycznie ryzykowna. Osobiście miałem w kraju trzy tylko niezbyt długie okresy, w których mogłem próbować uprawiania publicystyki zgodnie ze swym sumieniem i rozumem (co prawda i te władze psychiczne czasem z sobą kolidują). Były to: a) lata 1945-47, gdy można było jeszcze krytykować „marksizm-leninizm” oraz polemizować z nim; b) lata 1956-59, okres naszej relatywnej współpracy politycznej z Partią, gdy liczyliśmy na dalszy ciąg Gomułkowskich reform, który nie nastąpił nigdy; c) epoka publicystycznego wyswobodzenia, gdy dawało się po trochu pisać co się chciało, najpierw w pismach nieoficjalnych, a potem w wyzwalającym się stopniowo *Tygodniku Powszechnym*; były to mniej więcej lata 1978-81. W przerwach między tymi okresami względnej swobody trzeba się było ratować występami zagranicznymi, zaś w kraju pozostawał wieloznaczny, więc mniej dla cenzora uchwytny — felieton.

A skutek publicystycznych usiłowań? Zazwyczaj początkowo i to długo żaden, jak skutek mówienia do ściany, po czym nierzaz nagle zaskakująco pozytywny, ale wtedy, gdy już okazywało się za późno, bo takie czy inne przestrogi czy przewidywania stały

się ciałem i nie sztuka było o nich mówić, skoro już wszyscy wiedzieli najgorsze... Tak, szereg spełnionych lecz praktycznie bezskutecznych „proctw” to niewątpliwie dorobek mojej wieloletniej a zapomnianej publicystyki, rozproszony częstokroć po zagranicznych wydawnictwach. Myślę zresztą, że trafnie przewidzieć skutki nie jest tak trudno, gdy dokładnie zdefiniuje się przyczyny. Rzecz bowiem właśnie w tym, aby leczyć źródła choroby, nie zaś jej objawy. Objawy mogą być różnorodne i zmienne, źródło jest zazwyczaj jednoznaczne i podatne do publicystycznej definicji — jeśli oczywiście wolno jej próbować.

Tak więc, dla rozszyfrowania i wyjaśnienia naszego dzisiejszego kryzysu, sięgnąć trzeba do jego źródeł, do długich dziesięcioleci, które złożyły się na wykrystalizowanie obecnej sytuacji społecznej. Kryzysy społeczne nie biorą się znikąd, dziecinnadą byłoby przypisywać dzisiejszą katastrofę tylko przypadkowym błędom takiego czy innego przywódcy. Przypomnieć trzeba bardzo dawną sytuację, gdy do zniszczonego przez wojnę kraju, gdzie już nie było ani kapitału, ani wydziedziczonych przez Niemców „burżuazyjnych” posiadaczy, kraju, gdzie wyniszczono i wymordowano większość mieszczaństwa, w dodatku kraju przeniesionego częściowo na nowe, też zdewastowane i przeniecowane tereny zawitała doktrynalna, nowa koncepcja społeczno-ideowa. Kraj był po wojnie, z wyjątkiem nielicznych, zachowanych, tradycyjnie przemysłowych ośrodków (Łódź, Śląsk) społecznie i gospodarczo niemal białą kartą — od tego, co się na niej zacznie pisać, zależało wszystko. A zaczęto wtedy pisać konkretnie... Tak więc to co dziś mamy, to nie przypadek, lecz rezultat ściśle określonych 37 lat, to bankructwo pewnej dawnej koncepcji ekonomicznej i ustrojowej w jej konfrontacji ze światem nowoczesnej techniki i produkcji — konfrontacji, którą Gierk tylko przyspieszył i uintensywnił. W rezultacie bowiem konfrontacja ta przebiegła w Polsce drastyczej niż w krajach sąsiednich, mimo nawet korzystniejszych u nas okoliczności politycznych. Czechosłowacja i Węgry są dla nas całkiem niemiarodajne, to kraje mniejsze i mniej świadome swej przemiany, bo, mimo drastycznych doświadczeń, mniej zniszczone przez wojny, okupacje, przesiedlenia, kraje przy tym, gdzie nie tak doszczętnie zlikwidowana została tradycja mieszczańskiej pracy, gdzie możliwa jest po dziś dzień kompromisowa, drobnotowarowa, przeczekująca problemy „ideologiczne” gospodarka. Może, wbrew pozorom, im się lepiej udało niż nam: Polska duża, zniszczona, zacofana, wykorzeniona, bez mieszczaństwa, wydała się idealnym terenem dla Wielkiego Eksperymentu. I eksperyment ten, po paroletnich taktycznych wahanach, zaaplikowano.

Złączenie w jedno władzy politycznej i gospodarczej, zlikwi-

dowanie rynku, prawa wartości i konkurencji, zastąpionych interwencjonizmem państwa, realizowanym przez „nową klasę” urzędniczą, opracowującą centralny plan produkcyjno-inwestycyjny, któremu poddane ma być całe życie materialne kraju — oto główne zasady Eksperymentu. Jako podstawę ideologiczno-moralną przyjęto profetyczną ideę „przodującej klasy” robotniczej, która to klasa miała być rdzeniem, punktem odniesienia przyszłego życia. W tym celu jednak należało dopiero tę klasę w mało uprzemysłowionym i mocno zniszczonym kraju stworzyć — dla uprawdopodobnienia więc i urealnienia doktryny zwiększono sztucznie rzeszę robotników, budując przez lata, celem odciążenia ludzi ze wsi, ogromne, nieraz całkiem nieekonomiczne inwestycje, ciężkie, hutnicze, maszynowe. Jednocześnie poszukano wroga klasowego, co w zdekapitalizowanym kraju nie było łatwe. Jednakże znaleziono: został nim, po likwidacji resztek ziemiaństwa (zachowanych tylko w „GG”) istniejący jeszcze tu i ówdzie indywidualny producent — przedsiębiorca, sklepikarz, usługowiec, rzemieślnik i wreszcie — dobrze stosunkowo prosperujący średniorolny, indywidualny chłop, którego przezwano „kułakiem”, tworząc całą mitologię rzekomej walki klasowej na wsi (zwalczać „kułaka” w interesie „biedniaka”, opierając się na „średniaku” — oto jedno z ówczesnych magicznych haseł). Przez 36 lat niszczonego więc skutecznie „prywatnych” usługowców i handlowców, odstraszano ludzi od rzemiosła, likwidując całe jego gałęzie, np. rzemiosło budowlane (a dziś, przez dziesiątki lat nie remontowane, wałą się nam bezkarnie historyczne stare miasta!). Chłop indywidualny po długich mękach i peregrinacjach ocalił się w roku 1956, ale z kolei spętano go przemyślnie zależnością od biurokratycznych, nieudolnych punktów skupu, rzeźni, spółdzielni „GS”, kółek rolniczych („SKR”), ośrodków maszynowych i naprawczych, jednocześnie paraliżując i unicestwiając drobny i średni przemysł, pracujący dla wsi. Rolnictwo nasze, które okupację przetrwało najlepiej, mogło na starych i nowych ziemiach okazać się znakomite, ale 36 lat koncepcji doktrynalnych, zmienionych taktycznie, lecz uporczywych merytorycznie dało i jemu radę, zaś lekkomyślna ustawa o wiejskich emeryturach mogła dokonać reszty. Jednakże gdziekolwiek chłop się z czasem „odkuli” — lepiej niż „klasa robotnicza”... Źródła ekonomicznej porażki, strukturalnej i koncepcyjnej, tkwią więc głęboko w całych dziejach powojennych — warto o tym pamiętać, choćby dla nauki.

Oczywiście upraszcam: każda sprawa ma co najmniej dwie strony, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wielu ludziom po wojnie zaimponowało szybkie uprzemysłowienie, także centralne planowanie wydawało się nieuniknione, niektórzy

widzieli w nim świetny pomysł, zanim po latach okazało się, że nowoczesna, skomplikowana i wciąż technologicznie zmienna, udoskonalana produkcja nie zmieści się w państwowym, pozbawionym bodźca konkurencji planowaniu, które przekształci się z czasem w rozpaczliwą abrakadabrę mierników, wskaźników, zaleceń, zarządzeń, manipulacji cenowych, rozwiązywaną przez oderwanych od produkcji urzędników (lub, na wyższym szczeblu, polityków, dziś profesorów), podczas gdy nawet mózg elektroniczny nie zastąpi tu bezpośrednio, rynkowo zainteresowanych producentów. Zaś mały nawet błąd „na gorze” w ustroju totalnym staje się ogólną klęską. Mimo to zaksięgowwała niegdyś Polska Ludowa swoje sukcesy społeczne i wręcz narodowe: przemieszanie warstw i klas przy anachronicznej powojennej strukturze miało swoje zalety, pęd do miasta, techniki, przemysłu okazał się awansem na swój sposób zdrowym. Rozbudzono ambicję i apetyt cywilizacyjny, tyle że z zaspokojeniem go było po latach gorzej, bo jednoczesne niszczenie naturalnej struktury rolnictwa i pospieszne a często dyletanckie rozdymanie przemysłu stało się przygotowywaniem przyszłej klęski, konstruowaniem nienormalnego organizmu o wielkim korpusie na cienkich nóżkach. A gdy jeszcze dziś przyszła światowa koniunktura na produkty i przetwory rolne, chłop „kułak” okazuje się nagle na wagę złota...

Osobliwie też stało się po dziesięcioleciach z nową, z wiejskiej młodzieży i biedoty stworzoną „klasą robotniczą”. Tu czar-noksiężnika pokonały własne czary, uczeń okazał się silniejszy od mistrza, bo młodzi robotnicy uwierzyli w końcu w swą po marksowsku prometejską rolę i stworzyli klasową właśnie organizację — „Solidarność”. A do niej doszłusowały miliony, dogadawszy się na zasadzie wspólnego wiejskiego pochodzenia, doszłusował w istocie cały naród. Tylko że Polacy nie lubią słuchać o sprawach gospodarczych — to tradycja szlachecka przejęta widać przez robotników. W kął poszły nauki Marksa, zwłaszcza jego zdanie, że „wolny jest ten, co posiada środki produkcji”, z czego Engels wyprowadził nadto śmiały wniosek, iż w socjalizmie państwo zaniknie a społeczeństwo przekształci się w „związek wolnych producentów”. Tymczasem u nas tylko zamożniejszy chłop mógłby mieć psychikę wolnego producenta, ludziom miejskim zbyt długo (i skutecznie) wmawiano, że skoro państwo im płaci, i wszystko państwu zawdzięczają, to są po prostu państwową własnością a nie żadnymi producentami. Toteż o wolności gospodarczej jako podstawie innych wolności zapomnieli z początku i „Solidarność”: upojona na świeżo po raz pierwszy kosztowanymi swobodami demokratycznymi, chciała budować wolność od dachu i szybko — zaczęła więc z zapalem demokratyzację nie od tej strony co trzeba. Gdy się zorientowali, było

już za późno. Czy ktoś podejmie ich dzieło i skoryguje błędy? Dali nam niezapomniane 18 miesięcy — kto da więcej?

Nierozumieniu spraw gospodarczych sprzyja u nas pewna legenda historiozoficzna, której sojusznikiem jest mała wiedza ogółu o tym, co się naprawdę dzieje w świecie. Żyjemy, wychowywani w fałszywych a schematycznych antynomiami (np. kapitalizm — socjalizm), odcinani od informacji o tym, iż świat w swej reprezentatywnej ewolucji ekonomicznej poszedł w całkiem innym, trzecim kierunku. Pisałem zresztą o tym wielokrotnie w różnych broszurach — jeśli do kogoś nie dotarły, nie moja to wina. A sprawa wcale nie jest nowa.

Rzecz w tym, że kapitalizm nie istnieje jako określona doktryna czy światopogląd, tak jak istnieje marksizm-leninizm, zwany u nas uogólniająco socjalizmem. Istnieje, owszem, zasada wolnego rynku, ale to nie światopogląd, tylko pewien kodeks ogólny: aby nie przeszkadzać życiu, nie przeszkadzać producentom w samodzielnym kształtowaniu mechanizmów i bodźców, nie zagłuszać sygnałów informacyjnych płynących z rynku konsumenta, sygnałów, będących hasłem do konkurencji zakładów czy koncernów produkcyjnych (grozi tam stale nadprodukcja, wobec naszej niedoprodukcji...), walczących o nabywcę. Przyjęcie takiego wolnorynkowego kodeksu, opartego o prawo wartości, popytu, podaży, konkurencyjności czy ewentualnego bankructwa nie przesądza wcale ogólnego rezultatu merytoryczno-ustrojowego, który przy gospodarce wolnorynkowej może być rozmaity: może to być z jednej strony „drapieżna” walka monopolu, może też jednak powstać solidarystyczny sojusz pracodawców z pracobiorcami jak w Japonii, opiekuńcze państwo dobrobytu jak w Skandynawii, Austrii czy Kanadzie, bezosobowy „kapitalizm ludowy”, ujęty w formę spółek akcyjnych, kontrolowanych i regulowanych przez państwo jak w RFN, czy wreszcie wciąż się utrzymujący, mimo nawet socjalistycznych rządów, indywidualny, drobnomieszczański awans społeczny we Francji. Rozmaitość tamtejszych form i systemów, wewnętrzny pluralizm społeczny (np. w Stanach Zjednoczonych obok scentralizowanych gigantów produkcyjnych istnieją dziesiątki tysięcy małych warsztatów, uzupełniających „chałupniczych” wytwórców, eksperymentujących usługowców i pośredników etc.), wszystko to wydatnie kontrastuje z naszym, ściśle określonym systemem doktrynalnym. Wbrew naszej propagandzie tzw. „Zachód” bynajmniej nie broni jakiejś „kapitalistycznej ideologii”, bo coś takiego jako całość w ogóle tam nie istnieje, mimo iż istnieją indywidualni bojownicy zasady skrajnego liberalizmu gospodarczego, np. w Ameryce filuterny Milton Friedman. System wolnorynkowy jest politycznie elastyczny, zaś w swym bezideowym pragmatyzmie cieszy się z każdego przejawu

rzekomego pragmatyzmu na Wschodzie, stąd kolosalna współpraca monopolii i państw zachodnich ze Związkiem Sowieckim, czy też ogromna pomoc kredytowa, udzielana „na piękne oczy” Polsce, stąd pełen nadziei a przesadny zachwyt nad systemem węgierskim, jaki obserwowałem ostatnio we Francji. Do tej samej kategorii należał także zachodni zachwyt nad „Solidarnością” — widziano w niej symptom ewolucji komunizmu w kierunku zrozumiałym dla Zachodu i dowód dalszych możliwości gospodarczej współpracy. Naiwne to były nadzieje, a swoją drogą nasze urzędnicze a „ideologiczne” państwo w obawie o utratę swej wszechwładzy zmarnowało tutaj wielki, gratisowo się nastęrczający atut propagandowy!

Wbrew owemu schematowi historiozoficzno-profetycznemu powiedzieć jeszcze trzeba, że główne kraje „kapitalistyczne” znajdują się już nie przed, lecz PO REWOLUCJI. Rewolucja upowszechnienia produkcji i konsumpcji, połączona z dyktaturą związków zawodowych i wzrostem opiekuńczej roli państwa ocaliła system wolnorynkowy — w ten sposób XIX-wieczne robotnicze ruchy polityczne, miast, jak przepowiadali „klasyści”, obalić kapitalizm, przekształciły go, oddrapieżniły, zrjonalizowały i uspołecznily. W najbardziej rozwiniętych krajach świata rewolucja proletariacka już nie grozi, z tego prostego powodu, że rewolucyjnego proletariatu fabrycznego tam już nie ma. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza w Ameryce, Kanadzie, Australii, Japonii, także w Skandynawii czy RFN jest stosunkowo, wobec automatyzacji, nieliczna, dobrze sytuowana, obwarowana ustawodawstwem socjalno-ubezpieczeniowym i wszechwładzą swych związków. To już nie robotnicy, lecz technicy, „białe kołnierzyki”, funkcjonariusze! nie „fizyczni”, zbuntowani pariasi, lecz konserwatywne podpory ustroju. Cenią sobie ów ustrój, którego masowe zewnętrzne, choć nie drugorzędne właściwości leżą w rozwoju właśnie „konsumpcji zbiorowej”, publicznej komunikacji, transportu, łączności, gastronomii, handlu, rozrywek — w tej to właśnie dziedzinie poziom i demokratyzacja życia w „kapitalizmie” najbardziej kontrastuje z naszym, gdzie prywatny samochód a nie tramwaj czy autobus był przez lata przedmiotem największej troski państwa. Pouczający to paradoks, zwłaszcza gdy chodzi o ustrój z przydomkiem „ludowy”. Zaś co do zachodniej nierówności: lepsze rozwarstwienie naturalne, niż przymusowa niwelacja, potem zaś sztuczne a wszechmocne elity...

Białe kołnierzyki nie marzą o rewolucji, marzą, aby ich system funkcjonował dobrze i bez kataklizmów, aby nie dofknęło ich bezrobocie. Bezrobocie jednak to ogólna cecha rozwiniętej cywilizacji produkcyjnej, bowiem wobec postępu techniki coraz mniej pracy robotniczej jest potrzebne dla funkcjonowania prze-

mysłu. Bezrobocie takie to problem ogólnoświatowy, i znaleźć musi swoje technokratyczne rozwiązanie, u nas unikano bezrobocia do czasu zatrudniając ludzi w specyficznych dziedzinach nieprodukcyjnych: w administracji, aparacie kierowania i kontroli, w biurokracji rozdymającej personalnie najdrobniejszy zakład. Deficytowe skutki tego zbieramy dziś sowicie...

Owszem, w krajach wielkoprzemysłowych wytworzył się także i nowy swego rodzaju proletariat. Są to ludzie, spełniający niezbędne a uciążliwe usługi, jak sprzątanie, usuwanie nieczystości, przeróżne pomocnicze prace fizyczne i domowe, w Niemczech także górnicze, handlowe i inne. Ludzie ci przybywają do światowych metropolii ekonomicznych z krajów niedorozwiniętych, to będą właśnie *Gastarbeiterzy* w Niemczech (Turcy, Jugosłowianie, Grecy), Algierczycy, Tunezyjczycy, przybysze z Portugalii i Hiszpanii we Francji, Portorykańczycy, Meksykanie, sezonowo pracujący na fermach Murzyni w Ameryce. Ale ten „proletariat etniczny” marzy o awansie w ramach systemu i daleki jest wszakże od klasycznego, rewolucyjnego wzorca marksowskiego...

Z powyższego widać wyraźnie, że dotychczasowy, oficjalny u nas schemat ideologiczno-profetyczny utrzymać się nie da, zwłaszcza wobec naszego dramatycznego bankructwa centralistycznie przez polityków i urzędników (czasem z udziałem profesorów) kierowanego kolektywizmu. Jasne jest dzisiaj, że hasła opiekuńcze i humanistyczne realizować trzeba na innej drodze, bez przesądów sztucznej „równości” i bez ciągłego ideologicznego nacisku państwa. W nowych czasach potrzeba nam nowej, pluralistycznej (dopuszczającej współistnienie rozmaitych form społecznych) koncepcji, zaczynają to nawet głosić ludzie ukształtowani w systemie, wystarczy przeczytać ostatnie, ostrożne lecz wyraźne wypowiedzi prof. Reykowskiego (*Tu i teraz*) czy Szczepańskiego (*Odra*). Wypowiedzi te zachowują ochronną nazwę socjalizmu, podobnie zresztą, jak czyniła to „Solidarność”. Żartownis powie, że jeśli socjalizm to jedynie idea, głosząca, iż wszystkim powinno być bardzo dobrze, w takim razie wszyscyśmy socjaliści. Nie idzie naturalnie o asekurowaną politycznie nazwę, choć ja osobiście przeciwny jestem etykiatom mylącym: socjaldemokratyzm niemiecki np. to nie żaden socjalizm w sensie marksistowskim, lecz udatnie zreformowany kapitalizm, zaopatrzony w społeczno-polityczne, właściwe demokracji klapy bezpieczeństwa. Dla siebie nie widzę przyczyn do odczuwania lęku przed stwierdzeniem, że „prawdziwy” socjalizm po prostu się nie udał. Ludziom u nas chodzi jednak przede wszystkim nie o słowną etykietkę, lecz o nową koncepcję: skoro nie udało się jej sformułować i upowszechnić żywiołowym pionierom-amatorom z okresu umysłowe-

go fermentu lat 1978-81, których „wykończono” politycznie, podjąć się tego muszą inni, nie bacząc na osobiste ryzyko i nie bojąc się terroru słów, uznanych dla celów politycznych i „historycznych” za nietykalne.

Sytuacja bowiem kraju jest, jak wiemy, więcej niż alarmująca — jest katastrofalna. W niezwykle krótkim czasie okazało się, że żyliśmy wyłącznie na kredyt (i to kapitalistyczny!), że bez importu zginiemy, bo sparaliżowawszy społeczną aktywność produkcyjną, importujemy nawet składniki najprostsze, które z łatwością można było wytworzyć w kraju, że wielkie inwestycje, oparte na sprowadzanych maszynach zawiodły, że rolnictwo też uzależniono od importu i w rezultacie podcięto, że handel zagraniczny miast na rozeznaniu światowych rynków, oparty był częstokroć na fantazji etc., etc. Słowem, administracja partyjno-urzędnicza, rządząc wszystkim autokratycznie i bez kontroli, doprowadziła kraj do katastrofy w wielu dziedzinach, obciążając nas w dodatku zagranicznymi długami, które, jeśli je weźmiemy poważnie, zaciągają krajowi niby kamień u szyi na długie lata. Dyktatorskie rządy dyletantów nie tylko doprowadziły w końcu do społecznego buntu, ucieleśnionego w „Solidarności”, co nas spopularyzowało w świecie, ale również ośmieszyły nas w tymże świecie potężnie. Bo niby dłaczego kraj z urodzajną ziemią, porządnym kawałem morza, z węglem i wszelakimi rudami, wsparty olbrzymim zasiłkiem dewizowym, kraj z tranzytowym położeniem w środku Europy oraz z masą zdolnych, wykształconych ludzi, doskonale pracujących, gdy znajdują się na Zachodzie, popadł nagle w tak bezprzykładną plajtę? — na to już naprawdę potrzeba było wyjątkowej sztuki — Weźcie się do roboty! — mówią na Zachodzie, ale nie wiedzą, że decyzja taka nie zależy tu od człowieka, lecz od urzędników, polityków i rzekomych a zmiennych ekspertów-profesorów (*achtundachtzig Professoren...*). Oni owszem, mogą się wziąć do radosnej, przepisodawczej twórczości, potrafi się ewentualnie przyłożyć do pracy indywidualny rolnik, drobny prywatny wytwórca, usługowiec czy rzemieślnik — gdyby mu urzędnicy nie przeszkadzali, co dalej ze smakiem próbują robić. Natomiast szary człowiek, zatrudniony w produkcji państwowej, uwięziony w gąszczu przepisów, praw, zakazów i narosłych w ciągu 37 lat stosunków własnościowych (antywłasnościowych) absolutnie nie ma JAK wziąć się do roboty. A tego już pragmatyczny Zachód nie zrozumie.

I oto nagle, niemal z dnia na dzień, Polska stała się krajem nieprodukcyjnym, krajem w dodatku, gdzie długo nie informowani ludzie stracili, w obliczu krachu, wiarę w możliwość i celowość produkcji oraz wszelki zapał do niej. Symbolem tego zjawiska może być owe ponad pół miliona osób, które zgłosiły się

po przedwczesne emerytury, następnie brak rąk do pracy w wielu zakładach, niespodziewane tłumy „wczasowiczów” na plażach i w górach, wyzbywających się lekko ostatnich pieniędzy. — Wszystko jedno, jeśli i tak nic ode mnie nie zależy! — myśli sobie każdy. Dokłada się tu również gwałtowna, alarmistyczna propaganda „antyimperialistyczna” naszych środków przekazu. Ludzie, odcięci od zachodniej prasy, pojęli tę kampanię po swojemu: że zbliża się wojna, więc nie warto nic robić. Propaganda stała się tu raz jeszcze słoniem wśród porcelany. Lekceważenie elementów psychologicznych jako bodźców do pracy, to po prostu lekceważenie człowieka pracy — wszakże każdy osobnik jest złożoną, delikatną materią. Rezultat — osobnik ów przestał się interesować produkcją — po latach stracił w nią wiarę. W dodatku przerwał się import surowców i części, porwały się złożone nici kooperacyjne i transportowe, wysiadł import zagraniczny — w tysiącu zakładów, gdzie przerwano inwestowanie praca w ogóle nie idzie, trzeba je będzie pewno zamknąć. Po cóż więc szary człowiek ma się tam pchać? Lepiej podłubać coś samodzielnie, zarobić na boku, doraźnie, wszak pieniędzy na rynku nie brakuje. A jutro? Może zdarzy się cud, naród jest wierzący. Ja co prawda w Paryżu też czekałem na cud, ale się nie doczekałem, wróciłem. I chciałbym zaproponować co innego...

Przed laty rozbudzo w Polsce powszechny apetyt do nowoczesnego, miejskiego życia, z czasem okazało się, że apetytu tego w Polsce zaspokoić się nie da i oto ludzie utracili podsuwaną im latami motywację do pracy. I znów nasuwa się pytanie: jak jednakże zrobić z Polski nowoczesny kraj produkcyjny, aby dziesiątki tysięcy wykształconej młodzieży nie musiały uciekać za granicę? Pierwsza i jedyna rada: potrzebny jest wstrząs. „Solidarność” dała wstrząs polityczny, jeśli on okazał się niemożliwy („zagrożenie bytu państwowego”), to zróbmy wstrząs gospodarczy. Wyobrażałem go sobie jako coś w rodzaju „NEP”-u („Nowa Ekonomiczna Polityka”), kiedy to Lenin w roku 1921 rzucił hasło indywidualnego bogacenia się i w tym celu ukroił działalność wszelkiego rodzaju państwowych urzędników, poborców podatkowych, kontrolerów, zarządców. A u nas „klasa urzędnicza” odżyła, mimo wszelkich kompromitacji, i chce zachować gestię w swoich rękach — co zniechęca ludzi i uniemożliwia porozumienie społeczne. Czyżbyśmy mieli być bardziej leninowscy od samego Lenina?!

Wstrząs typu „NEP”-owskiego wyobrażałem sobie jako odtworzenie (próbę odtworzenia) prawdziwego, oddolnego życia produkcyjnego przez usankcjonowanie dowolności, samodzielności i pluralizmu indywidualnych producentów i całkowite ukrócenie kontroli urzędowej oraz uproszczenie podatków. Nie ma w Polsce

mydła?! Toć produkcja prosta a rezerwy tłuszczu na pewno są w kraju ukryte. Państwo ich nie wydobydzie, człowiek prywatny potrafi. Dać mu więc uprawnienia, nie wtrącać się do niego, niech robi, niech sprzedaje choćby za dewizy, nie tylko wtedy, gdy ma kapitał „polonijny” — uprawomocnienie polonijnych spółek nie może być równoznaczne z upośledzaniem producentów krajowych (choć rozumiem wiarę w kapitał...), to byłoby upokarzające i niepedagogiczne (już w roku 1956 Stanisław Mackiewicz po powrocie do kraju pytał bystro, dlaczego w Polsce oficjalną walutą jest dolar, nie złotówka).

Odtworzyć w Polsce klasę wolnych producentów? Myślałem, że tak właśnie u nas zrobią, że powiedzą: — Skoro nie pozwalamy Wam bawić się politycznie, to za to bawcie się gospodarzami! Ludzie muszą się czymś bawić i podniecać, nie sposób żyć w śmiertelnej nudzie, w beznadziei użerania się o najprostsze rzeczy i sprawy dnia powszedniego. Trzeba tych ludzi czymś zainteresować, dać okazję do entuzjazmu — ileż i z jakim zapamięłem, dzień i noc, pracowali młodzi brodacze w „Solidarności”. Myślałem — ale grubo się zawiodłem. Bo tutaj znowu przyszło to samo: ukrócenie „nadmiernych zarobków”, biurokratyczna kontrola rzemiosła, ścisłe egzekwowanie podatków, straszenie obrotowym, dochodowym, domiarami, ściąganie danin od zagranicznej darowizny, konfiskaty towaru, czepianie się pracy osób nie zgłoszonych (!). Nawet teczki z pismami mają być, w myśl zarządzenia Wysokiego Ministerstwa, bezpłatne — nawet taki drobniutki przejaw oddolnej samodzielności ekonomicznej jest komuś solą w oku — mój Boże! Opiekuńczość uporczywa — aż po zgon. I to w epoce, gdy łapownictwo sięgnęło szczytów... Nasila się propaganda przeciw „spekulantom, oszustom, szkodnikom” według najlepszych dawnych wzorów, mieszając rzeczywistych spekulantów i kanciarzy z indywidualnymi producentami i siejąc kołatany ludzom zamęt w głowach. A więc niczegośmy się nie nauczyli, a więc znowu to samo? Wciąż tylko znana metoda: „Łapaj złodzieja”?

Krótko mówiąc, żadnego ożywczego NEP-u nie będzie — ślady jego utoną w urzędniczym i milicyjnym represjonizmie, który wprawdzie nie bardzo da sobie radę z przestępcami (ci są w Polsce chytry i wycwanieni), ale na pewno odstraszy potencjalnych uczciwych producentów — doświadczenia z przeszłości nie będą zapomniane. Jeśli więc ożywienie oddolne zostanie sparaliżowane, to co otrzymamy w zamian? Odpowiedź: w zamian otrzymamy, a raczej przedsiębiorstwa państwowe otrzymają, **REFORMĘ GOSPODARCZĄ.**

O reformie gospodarczej, jak o tuwimowskiej zieleni, można w nieskończoność. Przeżyłem po wojnie długi szereg reform gos-

podarczych, reform zarządzania, planowania, reform strukturalnych, reform pieniężnych, cenowych etc. Wszystkie one miały jedną cechę wspólną: były to reformy urzędnicze, zadecydowane odgórnie. Jedyna reforma oddolna, która się w PRL utrzymała, nastąpiła w październiku 1956, gdy chłopci rzucili się, bez sprzeciwu zlikwidowali spółdzielnie produkcyjne i objęli na nowo podzieloną ziemię. Swoją drogą, miał wtedy Gomułka w ręku poparcie społeczne, niczym złote jabłko — ale zmarnował je, jak w „Weselu” złoty róg!

Reforma ma polegać na samofinansowaniu przedsiębiorstw, ich samodzielności pieniężnej, kontrolowanej przez bank — same wypracowywać mają swój fundusz do podziału, od którego zależą płace pracowników. Lepsza praca — lepsza płaca. Na pozór nic słuszniejszego, tyle że nie wiadomo dobrze, jaka to praca, jaki jej tryb będzie przez przedsiębiorstwo (jego dyrekcję?!) wybrany jako najdogodniejszy. Bowiem rynek nie zostaje stworzony, konsument nie decyduje: reforma jest nadal urzędnicza i centralistyczna, pozostawiając w rękach państwa ustalanie cen zaopatrzeniowych i handlowych, sytuację pieniądza i kursy walut, kierunki produkcji, eksportu, przeróżne wskaźniki, marże, normatywy, przepisy, tryb wszelakiego postępowania, pragmatykę służbową, uniemożliwiającą funkcjonalny, organiczny pluralizm. No i oczywiście zachowano plan centralny, sprawiający, że nie jest możliwa produkcyjna konkurencyjność zakładów, ich samodzielność funkcjonuje nadal w granicach sztucznie wytyczonych, ustalonych przez górę (biurokratyczną, polityczną, profesorską?!) a nie związanych z potrzebami i zmiennymi fluktuacjami rynku. Zaś kontrola jest wyłącznie odgórna — kontroli oddolnej nie przewidziano. Reforma przy tym, jak każda odgórna reforma urzędnicza, jest za trudna, mało kto rozumie jej sformułowania, ich cel i istotę: w NEP ludzie by uwierzyli, mimo złych wieloletnich doświadczeń, bo NEP-owska prostota sformułowań zwiaływała rzeczywisty przełom, próbę nowego uwłaszczenia społeczeństwa — a za uwłaszczeniem automatycznie idzie uaktywnienie. Jakże tu natomiast uwierzyć w reformę zawiłą, opartą na dziesiątku ustaw i setkach jeśli nie tysiącach przepisów starych, nowych i najnowszych?! Tysiące manewrów, zarządzeń, uświadamiań, gadania o bodźcach i antybodźcach, aby osiągnąć rzeczy, które w ustroju rynkowym regulują się same, bez „wdrażania”, bez urzędników, profesorów, bez zawiłej kontroli, bo rzeczy te są tam na wierzchu: zysk i strata to na rynku pojęcia proste, o tej prostocie nie sposób marzyć w ustroju centralistycznym, gdzie wszystko przepada we wspólnym kotle, a obliczanie dochodu narodowego czy rozwoju gospodarczego nader jest wątpliwe, nie uwzględni bowiem niewymiernych w tym systemie kosztów

własnych, jakimi są utrata energii społecznej przez manewry biurokratyczne, służbowe, kompetencyjne, kooperacyjne, kontrolne, no i polityczne, przez niedowład usług komunikacji, łączności i tysiąc spraw nie uwidocznionych w tabelach budżetowych. Państwo produkujące pozostaje tu jako jedno wielkie przedsiębiorstwo, którego bankructwa nie widać na papierze, ale za to „oddolnie” widać dokładnie ubożenie społeczeństwa. Bo najmniejszy błąd planistów „wylatuje wróblem a powraca wołem”. A cóż dopiero błąd zasadniczy.

Reforma nie odtwarza społecznej grupy samodzielnych producentów (engelsowskich „wolnych producentów”), których latami gorliwie niszczone i zamiast których, ponieważ życie nie znosi próżni, na zwolnione miejsce wpełchnęli się kiedyś niewydarzeni, polityczno-administracyjni gestorzy z osobliwej epoki Gierka. Gdy mówię o klasie producentów, nie musi to brzmieć „po kapitalistycznym”: osobiście, owszem, marzyłbym o producentach-właścicielach, ale skoro zniszczyła ich wojna i okupacja, a praktyka odgórnego kolektywizmu dokonała reszty, to jasna rzecz, że żadna „reprivatyzacja” w przemyśle nie jest dziś możliwa (choć chuchajmy na nią co sił na wsi, w rzemiośle, w drobnej produkcji, w handlu, w spółdzielczości, nie dajmy zniszczyć ocalonych resztek samodzielności i oddolności!) i że trzeba tu szukać wyjścia trzeciego. Trzeba się zastanowić, czym zastąpić całą czeredę działaczy gospodarczych, dzielących między siebie gestię produkcyjną i „bodźcową” w systemie wolnorynkowym, czym zastąpić różnorodność fachowców ekonomiczno-usługowych, owych właścicieli, managerów, pomysłodawców, bankierów, agentów giełdowych, ankietatorów-badaczy rynku i opinii, ekspertów z prawem eksperymentowania, związkowców, rad nadzorczych z egzekutywą, rad akcjonariuszy, organizatorów zmiennej produkcji chałupniczej i tak dalej. My zamiast całego tego pluralizmu mamy tylko: z jednej strony centralny sztab polityczny z podległą mu falangą urzędniczą, z drugiej — bezsilną politycznie klasę techniczną, inżynierską. A w środku nie ma nic: brak producentów *sensu stricto*, żadnej gestii nie posiada tak często w propagandzie przywoływany „świat pracy”, wreszcie, jak wiemy, zniknęły też związki zawodowe... Nie chcę mówić w tej chwili o polityce (wróć do niej na końcu), ale luka strukturalna to nie jest tylko fakt polityczny, lecz organiczny mankament organizacyjny, społeczny i w rezultacie — produkcyjny.

Na mankament ten reforma nie próbuje reagować zasadniczo, lecz robi swego rodzaju unik (czy z bojaźni politycznej?), czyniąc podmiotem swej koncepcji ciało w istocie anonimowe i nieokreślone: przedsiębiorstwo. Co to jest przedsiębiorstwo, do kogo

należy i kto nim rządzi? Dyrektor, sztab urzędniczy, rada zakładowa, czy może samorząd pracowniczy, którego powstanie wciąż się teraz zapowiada?! Osobiście nie wierzę w zarządzanie zbiorowe i zbiorową odpowiedzialność, tak zawile w dodatku sformułowaną. Jeśli już nie mamy właściciela fabryki czy też dyrektora akcjonariuszy, żyjącego produkcją i pracą, z której sukcesem lub klęską złączył swój los, to stwórzmy przynajmniej indywidualnego gestora, powiązanego z rynkiem, świadomego praw wartości, a odpowiedzialnego nie przed państwem, lecz przed swoimi ludźmi. Dać mu rzeczywiście prawo do decyzji ekonomicznych, produkcyjnych, technologicznych, eksportowych, do samodzielnych kontaktów z rynkiem, a także do — bankructwa. Bez prawa do różnorodności, zmienności, konkurencyjności i bankructwa lub sukcesu nie ma nowoczesnej produkcji. I nie ma naturalnej selekcji ekonomicznych talentów. Tymczasem reforma działa inaczej — po staremu. Śmiesznie patrzeć, jak mozolnie mnoży się dostatecznie już przecież splątany gąszcz przepisów, zarządzeń, ustaw, pouczeń (np. w sprawie likwidacji przedsiębiorstwa), aby stworzyć coś, co w tych warunkach nigdy nie będzie sobą, lecz imitacją mechanizmów rynkowych, mającą funkcjonować w ramach ogólnopaństwowej biurokracji i kontroli. Mechanizmy takie, powtarzam, w systemie wolnorynkowym osiąga się automatycznie, naciskiem praw popytu i podaży, zysku i straty, bez profesorów i ministrów, lecz wśród zwykłych ludzi — praktyków. Klasa (grupa) producentów jest bowiem jakościowo, psychologicznie całkowicie inna od grupy administracyjno-urzędniczej. Reforma nie przywraca nam owej klasy producentów-gestorów. To niemożliwe bez reformy innej, własnościowej, a ta znowu jest niemożliwa ze względów politycznych — powie ktoś. Nie wnioskuję w to, ale powtarzam, że reforma realizowana przez urzędników i profesorów jest może koncepcją, ale nie jest żadną organiczną, ożywiającą rewolucją gospodarczą, podobnie jak rzekoma dochodowość przedsiębiorstw przy interwencyjnie przez państwo ustalanych cenach zaopatrzeniowych i płacach zasadniczych oraz przy umownym kursie pieniądza i dowolnej jego emisji nie jest żadną reformą: to wszystko świat papierowych fikcji, herbata wszakże od samego mieszania nie robi się słodsza. W świecie umownym można zresztą znaleźć i wyjście umowne. Mogą mianowicie kierownictwa przedsiębiorstw znaleźć wyjścia w rodzaju znanych dotąd tricków, np. zawyżania kosztów produkcji dla uzyskania większej premii, liczonej od kosztów „przerobu”. W gęstwinie przepisów i droga wyjścia może się okazać kręta, a rezultaty reformy — przeciwne do zamierzonych. Bez producentów, wyposażonych w rzeczywistość, pozaprzepisową rynkową gestię, a wyswobodzonych od wymagań centralnego planu i jego

kontrolnej aparatury, reforma jest nadal działaniem „w ciemno”, skomplikowanym, pozbawionym ekonomicznej prostoty.

Tak więc odzywa się stara prawda: wyzuto produkcję z właścicieli czy innego rodzaju samodzielnych producentów i teraz nie wiadomo, komu ją przekazać, co z nią zrobić. Wciąż otwarty będzie problem „klasy kierowniczej”: urzędnicy czy profesorowie, czy politycy, a może rady robotnicze, czyli samorządy — co też nie zdało egzaminu np. w Jugosławii. Wszelkie skomplikowane propozycje reformy wiszą w próżni, gdzie można wszystko, bo nie obowiązują autentyczne, obiektywne prawa ciężenia. Tymczasem indywidualny właściciel w gospodarce rynkowej (dziś w zachodnim „państwie opiekuńczym” ograniczony zresztą często do roli managera czy dyrektora — zresztą trzech obiadów on nie zje) zdaje doskonale egzamin, i to egzamin konkretny, bo ma prawo do ryzyka i wyboru przedmiotu produkcji, wreszcie prawo do indywidualnie wyjaśniającego sytuację bankructwa — lepiej żeby jeden producent zbankrutował szybko, niż całe państwo pozwoli lecz nieuchronnie. Lepsza, powtarzam, nierówność zamierzona, niż przypadkowa, irracjonalna.

Więc? Wnioski nasuwają się same. Trzeba rozparcelować centralnie kierowaną produkcję, zindywidualizować ją w taki czy inny sposób, przywrócić prawa rynkowe, prawo wartości, rywalizację, zarzucić w większości centralny plan, który nie jest planem, lecz fikcją i przyzwyczajają ludzi do pustych słów, do księżycowego, nieodpowiedzialnego myślenia. Odtworzyć klasę producentów, mogących samodzielnie wybierać kierunek produkcji, kooperować, importować, eksportować, reagować na postulaty rynku nabywców. Tylko konkurencja zmusza ludzi do pracy: trzeba się rozstać z mirażem państwa opiekuńczego w wersji kolektywistycznej, trzeba „udrapieźnić” społeczeństwo, odcuczając ludzi od życia z państwowej jałmużny. Spowoduje to początkowe perturbacje i opory, bo wsączana przez lata sugestia „równościowa” wydała tu i ówdzie swoje owoce i niejeden zgadza się z demagogiczną akcją przeciwko „bogaceni się” (żałosne zresztą, sądząc z pokazów w telewizji, jest to polskie bogactwo...). Lepsza, przypominam, nierówność oficjalna, niż ta demoralizująca nielegalna lecz konkretna, jaką obserwowaliśmy w epoce Gierka. Powtarzam: opiekuństwo państwowe w wersji kolektywistycznej nie wychodzi, bo zurzędniczenie produkcji i kosztą jego błędów dają deficyt, na pozór niewymierny a codziennie dotkliwy. Nie załatwią go dotacje pieniężne, bo cóż wart pieniądz bez pokrycia w towarach. Tymczasem „opiekuństwo” w zreformowanym systemie wolnorynkowym doskonale dziś się realizuje, a gdy ktoś egoistycznie chce je ograniczyć, od czegoż wówczas sposoby polityczno-społeczne: opozycja parlamentarna czy potężna na Zachodzie

dzie akcja Związków Zawodowych? W takiej Australii strajkuje się o każdy drobiazg, we Francji („socjalistycznej”) także i niko-go to nie dziwi: to normalna funkcja społecznego organizmu. Zaś istniejący u nas dotąd „sektor pośredni”, drobnego wytwórstwa, rzemiosła czy indywidualnego rolnictwa, zamiast prześladować milicyjno-skarbowych winien, po wyeliminowaniu grupki rzeczywistych aferzystów, być kultywowany jako wzorcowy i w przyszłości rozwojowy: pokazuje bowiem, jak „osobowy” producent pracuje dla społeczeństwa, dając sobie radę bez pomocy biurokratycznego państwa. Zamiast demagogicznie szerzonej pogardy wobec „prywaciarzy” powinni oni stanowić przykład dla indywidualizującego się i usamodzielniającego sektora państwowego.

Powie ktoś, że takie ograniczenie prerogatyw aparatu państwowego godzi w państwo. To nieprawda! Nie należy utożsamiać państwa z klasą urzędniczą, która rozrosła się nienormalnie, jak polip. Państwo nie powinno produkować (cóż za pomysł!), od tego są producenci. Państwo natomiast prowadzi **POLITYKĘ GOSPODARCZĄ**, i poza tym jeszcze ma dużo innej roboty. Nie lekceważę zgoła urzędników najwyższej rangi, np. ministrów. Zadaniem ministra jest między innymi powściągnięcie zapędów podległych mu urzędników, chcących za wszelką cenę interweniować w procesy produkcyjne. W obecnym rządzie jest, owszem, kilku ministrów, rozumiejących to swoje zadanie — nazwisk ich oczywiście nie wymienię, aby im politycznie nie szkodzić. Jako konieczny zabieg, który również zrealizować mogło tylko państwo, wymienię podwyżkę cen. Wiem, że to środek koński, prosty a niepopularny, był jednak nieunikniony wobec wieloletniej fikcyjności cen, nie uwidaczniających zgoła rzeczywistej sytuacji materialnej kraju. I tak szczęście, że po emisyjnych szaleństwach Gierka nie sięgnięto do znacznie bardziej drakońskiego środka, jakim byłaby wymiana pieniędzy. Przed naszą władzą państwową stoi zresztą jeszcze jedna „końska” operacja: zamknąć tysiące zakładów produkcyjnych, w tym także bardzo dużych, nie mogących pracować bądź inwestycyjnie nieopłacalnych. Byłoby to naprawienie doktrynalnymi motywami podyktowanego ilościowego rozděcia klasy robotniczej. Trzeba by jednak zainteresować zwolnionych ludzi perspektywami jakiejś nowej, indywidualnej pracy gospodarczej, boć nie wszyscy zechcą wrócić na wieś. Oto problem, którego nie mogła się była podjąć „Solidarność”, nastawiona przeciw, w myśl głoszonych u nas od lat hasel „ludowej demokracji”, na obronę klasy robotniczej, stworzonej w powojennym systemie — boć „Solidarność” była wszakże również nieodrodnym dzieckiem systemu (ustroju), choć dzisiaj mało kto lubi się do tego przyznawać. Była jego pojętym dzieckiem, więc chciała dziedziczyć — normalna kolej rzeczy.

Proponowane uwłaszczenie społeczeństwa przez stopniowe usamodzielnianie producentów ma dla państwa jeszcze jeden duży walor. Oto, przesuując stopniowo gestię i decyzje gospodarcze na barki społeczeństwa, odciążąłoby władzę od odpowiedzialności za przedłużającą się złą sytuację gospodarczą. Tyle że władza, jak można sądzić, tej akurat odpowiedzialności się nie boi, uważając, że chroniona jest przed nią po prostu siłą. Warto jednak przypomnieć, że złudzeniom na temat uniknięcia odpowiedzialności za błędy oddawali się również tacy ludzie, jak Bierut, Gomułka i Gierek...

Ale dość już o projektowanych (i koniecznych) reformach. O nich też można gadać w nieskończoność, jak o zieleni, a ja mam przecież nie fachowiec. Inni zrobią czy zrobili to znacznie lepiej, rzecz nie jest nowa, wystarczy przypomnieć dyskusje w przebudzonym kiedyś Polskim Towarzystwie Ekonomicznym czy niezapomniany a nie wiedzieć dlaczego wyklęty DiP. Przejdźmy do spraw drażliwych, a w istocie najważniejszych, bo mogących spowodować uznanie za fantazującą utopię wszystkiego, co powyżej powiedziano, a także potwierdzić tezę o absolutnej bezsilności publicystyki w dzisiejszej Polsce. Mam tu naturalnie na myśli sprawy polityczne.

Od polityki oczywiście uciec się nie da, zwłaszcza że wobec właściwego dla naszego ustroju zrośnięcia się władzy politycznej z gospodarczą, każdy fakt polityczny wpływa, chcemy czy nie chcemy, na poziom i styl naszego prywatnego życia. Oczywiście jest więc rzeczą, że nie można robić reformy całkiem bez społeczeństwa i bez podbudowy politycznej — rozumieją to i nasze władze, nawet w dzisiejszej „wojennej” sytuacji. Jednak inicjowane dziś przez tę władzę akcje polityczne nazbyt są wątłe i często wynikają z braku rozróżnienia między polityką i propagandą, lub wręcz odwracania uwagi. Tradycyjną (w złym sensie tego słowa) fasadowością grzeszy np. koncepcja „Patriotycznego Ruchu Porozumienia Narodowego”. Nie wiadomo kto z kim ma się tam porozumiewać, bo dobór partnerów poza Partią mało jest reprezentatywny i w rezultacie ma to być coś w rodzaju dawno już skompromitowanego „Frontu Jedności Narodu”. Nic tu więc nowego i ludzie, którzy w posierpniowej epoce zasmakowali w propozycjach nowości, mało są tą inicjatywą zainteresowani. Z hasła zaś negatywnych wymienić trzeba ową gwałtowną kampanię „antyimperialistyczną” czy antyamerykańską oraz akcję „łapaj złodzieja!”, skierowaną przeciw przerożnym, rzekomym i rzeczywistym spekulantom, tudzież „nadmiernemu bogaceniu się”. Ta pierwsza, jak już wspominałem, skutki daje nieobliczalnie odmiennie od zamierzonych, ta druga, nad której schematyzmem i krótkowzrocznością ubolewam, może zapewne w pewnych kołach

chwycić, zwłaszcza wobec niedwuznacznej zachęty do społecznego donosicielstwa. Obie te akcje jednak mają raczej charakter propagandowych zaślón i polityki nie zastąpią.

Istnieje natomiast pewna fundamentalna, aksjomatyczna problematyka historyczno-polityczna, na którą rządzący politycy oraz państwowe środki przekazu powołują się nieraz z naciskiem, unikając jednak wdawania się w szczegóły. To oczywiście polityka zagraniczna, nasze uczestnictwo w Bloku Wschodnim, socjalistycznym i marksistowskim. Polityka zagraniczna wobec Wschodu i stopień naszej zależności, były to sprawy przez dziesięciolecia trzymane w tajemnicy, zastrzeżone tylko dla wąskiej elity partyjnej. Ten brak poinformowania polskiego społeczeństwa zaoocował w sposób po trochu niebezpieczny, po trochu niespodziewany — znowu propaganda nasza przyniosła rezultaty przeciwne do zamierzonych: tym razem zgrzeszono przez nadmiar dyskrekcji, wywołując w momentach naprawde decydujących bez troski niedowierzanie wielu środowisk społecznych. Między innymi zmyliło to również „Solidarność”, która nie włączyła się w tę najważniejszą sprawę, upierając się rokować tylko z naszymi rządowymi władzami. Szkoda! Sprawa to była w istocie zagraniczna, a oni myśleli, że czysto wewnętrzna. Podobnie jak sprawa istotnej reformy ustroju będzie również sprawą zagraniczną.

Ilekoć w kraju czy za granicą formułowałem tezy o konieczności zmian w naszym ustroju (jeżeli ktoś, z ostrożności, zamiast „ustrój” woli mówić „system”, proszę bardzo — nie o nazwę chodzi, lecz o istotę rzeczy), tylekoć słyszałem powszechny osąd, że takie projekty są niemożliwe do zrealizowania, że to utopia, fantazja, marzenie i w ogóle nonsens. Należymy bowiem — argumentowano — do wschodniego bloku krajów socjalistycznych, co wynikało z niepodważalnych rezultatów drugiej wojny światowej, zaś znamieniem tej przynależności, niejako kartą wstępu, są warunki ustrojowe, nazywane „marksizmem-leninizmem”, na których zmianę wschodni Sojusznicy się nie zgodzą. Tak więc geopolityka warunkuje nasz ustrój i kwita.

Jestem wiernym adeptem geopolityki, co wielokrotnie podkreślałem (patrz np. artykuł „Czy geopolityka straciła znaczenie?”, *Res Publica* nr 1) — na emigracji zresztą gromiono mnie czasem za to. Tezę wysuwam prostą — dążyć do zmiany ustroju (systemu?), pozostając w bloku, w sojuszu, w geopolityce. Słowo „socjalizm” (ileż szkód zresztą porobiła w świecie jego wieloznaczność!) można zachować (jeśli to dla kogoś ważne), treść społeczną i gospodarczą trzeba zmienić — to jest dla Polski absolutnie konieczne. Walczyć należy o te zmiany, podkreślając, że będzie to walka z błędnym, niedostosowanym do naszej specy-

fiki systemem (ustrojem?) gospodarczo-politycznym, nie zaś walką z geopolityką, sojuszami, z powojennym układem Europy (co oczywiście skwapliwie zarzuci jakiś Krasicki). Powtórzmy: jesteśmy i będziemy na Wschodzie, mamy na tym Wschodzie swoją rolę i misję, swoją niepowtarzalną sytuację, której nie da się i nie należy „eksportować” ani zarażać nią innych, bo nasza specyfika jest odmienna. Ale właśnie w interesie tego Wschodu nie możemy być kompromitującą Krainą Absurdu. W dodatku absurdu dziś już powszechnie uświadomionego: dopóki naród nie wiedział czy tylko się domyślał, jak daleko sięga nasz absurd strukturalno-gospodarczy, to jeszcze jakoś uszło. Teraz już nie ujdzie, bo wszyscy wiedzą. W tej sytuacji nie uda się jeszcze raz zwodzić ludzi nadziejami niedotrzymywanymi. Gomułka mógł osiągnąć swego rodzaju „rząd dusz”, ale zawiódł, bo w istocie chciał czego innego. Gierek był najpierw prawie popularny, potem tolerowany, bo fundował „życie na niby”. A teraz? Czy uda się tak wszystko zrobić, aby ludzie zapomnieli? Już nie, niemożliwe, za dalekośmy zabrnęli, odkręcić spraw bez wstrząsu politycznego, przygotowującego zasadnicze zmiany się nie da. Wstrząs polityczny nie musi być gwałtem, ale dlatego powinien być oparty na sformułowaniu i przyjęciu przez ogół prosto sformułowanej tezy. A więc jeszcze raz: zmiana strukturalno-ustrojowa, lecz nie geopolityczna, porozumienie z Sąsiadem i Sąsiadami na nowych warunkach i przez pośrednictwo nowych ludzi. Jeśli to jest utopia, czego nie wykluczam, to i poprawa polskiej sytuacji jest utopią, bo ja innego sensownego a związanego z realiami wyjścia NIE WIDZĘ. Nie mając niczego innego do zaproponowania, nie będę dla pocieszenia niczego udawał. Pomysł mi się wyczerpał, więc w razie niemożności pozostanie właśnie — zamilknąć.

Logika nie musi zwyciężyć, choć wyjście logiczne istnieje. Cud nie musi się zdarzyć, chociaż może. Ale odpowiedzialność ludzka jest ograniczona: nie chcę już dłużej udawać, że ją za cokolwiek, nawet za słowo, ponoszę. Konstruowało się w swoim czasie różne pociechy i ułatwiające psychicznie postawy, udzielałem uporczywie „dobrych rad”, których nikt nie chciał słuchać — ileż bezsensownej energii włożyłem w konkrety, w szczegółowe sprawy, np. w zwalczanie „wielkiej płyty”, tragedii naszego budownictwa, ileż sobie nastrzępiłem języka na gospodarkę morską, prywatną inicjatywę, rzemiosło, usługi, turystykę, remonty starych miast etc., sądząc w mej naiwności, że choć częściowe zmiany będą uwzględnione. Dziś, gdy jest za późno, wszyscy już wiedzą... Ale bezsilność perswazji i działania kiedyś brzydnie, wytrzymałość publicystyki wymierzonej w próżnię ma swoje granice.

Bywają społeczeństwa pechowe, bywają sytuacje historyczne bez doraźnego wyjścia — kiedyś się sprawy na pewno rozwiążą, lecz nie musi się to stać na przestrzeni jednego ludzkiego życia, są i pokolenia pechowe: obyś żył w ciekawych czasach! Czasy są rzeczywiście ciekawe i będę na nie pilnie patrzył — pasjonujące jest to widowisko, ale też całościowa gra o los narodu. Gra poważna, nie na felieton ani na próby prorocत्व, nie docierających nigdy tam, gdzie się coś rzeczywiście decyduje, choć i mnóstwo ludzi myśli to samo. Trzeba więc skończyć zabawy, wziąć się na resztę życia do innej roboty, twórczej może — tej szczęściem jeszcze nie zabraknie.

Czyżby więc ostatnim owocem wieloletnich usiłowań publicystycznych miała być sformułowana powyżej „utopia”? Wróć jeszcze do niej na chwilę, boć to moja ostatnia sugestia — dążenie do niej, to jak dążenie do limitu „plus nieskończoność”. Nie ma takiego punktu w świecie fizycznym, ale ludzkie dążenie doń istnieje. Polskie dążenia do zmiany sytuacji wewnętrznej bez zmiany sytuacji geopolitycznej i międzynarodowej mają przecież swoją wieloletnią już historię i na swym koncie również niemałe osiągnięcia. Na przykład polski Kościół i katolicyzm wytrwały, oparły się prześladowaniom, dziś Kościół jest autorytetem nawet dla Partii... Chłop polski latami opierał się kolektywizacji, zachowany po wielu walkach i tragediach jest dziś jedyną gospodarczą ostoją kraju. A i partia komunistyczna osiągała swą odrębność i autorytet, gdy decydowała się iść z narodem — świadkiem Gomułka z roku 1956 — nie na długo niestety — lecz co wtedy osiągnął, to osiągnął. Zatem postępy na tej rzekomo utopijnej drodze nie są niemożliwe, dlategoż by nie próbować posunąć się dalej? Może znajdzie się ktoś i w Partii, kto zrozumie sytuację i stanie się słuchanym adwokatem, śmiałym orędownikiem sprawy koniecznych polskich przemian, orędownikiem, oczywiście, wobec Wschodu? Wszakże i Wschód podlega ewolucjom, czemużby nie miał we własnym interesie poszerzyć swych kryteriów? Zwłaszcza gdy bankructwo polskiej wersji ustroju woła wprost do nieba?!

Trzeba wreszcie skończyć tę moją przydługą mowę próbną, próbną — bo nie wiem czy i jak się ten artykuł ukaże. Jeśli coś się zmieni, jeśli bodaj odezwie się echo (nie z ust Krasickiego oczywiście), to będę się do Was jeszcze czasem odzywał. W przeciwnym wypadku — chyba już nie. W Polsce dzisiejszej jedni chcą „normalizacji” i władzy w formach ustalonego od dziesięcioleci systemu urzędniczego, drudzy maksymalistycznych, wewnętrznych i zewnętrznych przemian politycznych, trzeci — czekają na cud, który naprawi wszystko. Nie chciałbym zaliczać się do żadnej z tych kategorii. A powtarzać w próżni i bez szans

moją utopię — to kolidowałoby z honorem publicysty. Wprawdzie generał de Gaulle powiedział kiedyś, że w polityce nie ma honoru, ale publicystów się to nie dotyczy: publicysta, uparcie powtarzający propozycje nie mające ani szans, ani posłuchu, naruszyłby zasady honoru zawodowego. Byliśmy już świadkami, jak ludzie honorowi przegrywali politycznie. Nie idźmy w ich ślady! Zbyt to bolesne i kosztowne doświadczenia.

Zając prywatnych na resztę życia chwała Bogu nie zabraknie. Na Zachodzie w cenie jest przede wszystkim życie prywatne, podniesione do wysokiej rangi ideału „człowieczeństwa”. U nas rangę ma tylko życie narodowe, żyje się Polską, a w konsekwencji polityką. Ale można chyba po wielu latach pożyć czasem Polską bez polityki, czy bez rzekomej polityki, wcielanej w bezpłodne usiłowania i oczekiwania? Przypomina mi się aforyzm Sienkiewicza „biada narodom, które bardziej kochają wolność niż ojczyznę”. Sporo jest u nas dzisiaj wykształconych młodych ludzi, którzy woleliby kochać ojczyznę z daleka, z zagranicy (czyżby nowa Irlandia — naród emigrantów?). Sienkiewicz też dużo podróżował po świecie i po historii, ale zawsze wracał... Można wszakże i bezpolitycznie wspierać sprawę, po prostu tkwiąc solidarnie wewnątrz głęboko obolałego narodu. A nawet z cierpliwie znoszonego przymusu (nie wszyscy go lubią, oj nie wszyscy, zwłaszcza młodzi!) uda się czasem zacerpnąć satysfakcję. Leonardo da Vinci twierdził, że wielkie dzieła tworzą się nie z wolności, lecz właśnie z przymusu. Kto wie? Przyjdzie może zacerpnąć trochę takiej kwaśnogorzkiej mądrości na resztę niezbyt udanego doczesnego żywota? Resztę, spędzaną „w poszukiwaniu straconego czasu”.

Czego zresztą nikomu poza mną nie życzę. Bo każdy przeżyć musi swoje.

sierpień-wrzesień 1982

Stefan KISIELEWSKI

„POLAK” PROF. ADAM SCHAFF

Radio Warszawa 1 nadało 13 grudnia następujący komunikat:

Program „studia wschód” w TV austriackiej, który nadano wczoraj, był w całości poświęcony problemom polskim. Na pytanie prowadzącego dyskusję, czego można się spodziewać obecnie w Polsce po ewentualnym zawieszeniu stanu wojennego jako pierwszy głos zabrał prof. Adam Schaff przedstawiony jako czło-

nek PAN-u oraz profesor uniwersytetu wiedeńskiego, który stwierdził, iż po raz pierwszy od 2 lat z optymizmem patrzy na sytuację w naszym kraju.

Nawiązując do projektu ustanowienia europejskiej nagrody pokojowej prof. Adam Schaff oświadczył, iż najlepszym kandydatem do tej nagrody jest gen. JARUZELSKI.

NOTY

SPRAWOZDANIE WICEMINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH PRL

Wiceminister spraw wewnętrznych PRL gen. Bogusław Stachura złożył przed sejmową komisją sprawiedliwości 9 grudnia 1982 sprawozdanie z działalności represyjnej WRON w ubiegłym roku. Według podanych przezeń danych przez obozy internowania przeszło od 13 grudnia 1981 10.131 osób; w dniu 9 grudnia 317 spośród nich znajdowało się jeszcze pod kluczem. Aresztowanych za działalność polityczną zostało 3.616 osób; 2.822 spośród nich stanęły przed sądem. W toku różnych manifestacji zabito 15 osób a raniono 991. Policja skonfiskowała między 13 grudnia 1981 a 9 grudnia 1982 730.00 ulotek i 340.000 nielegalnych publikacji, 1.196 powielaczy, 468 maszyn do pisania i ponad 4.000 plakatów oraz wykryła 677 podziemnych grup opozycyjnych i 360 drukarni. Z tych samych ust dowiadujemy się, że policja zlikwidowała 11 stacji nadawczych Radia Solidarność oraz jeden warsztat produkujący sprzęt nadawczy. Cyfry te (których wiarygodność jest oczywiście wątpliwa) świadczą w równym stopniu o zaciętej akcji represyjnej co o zasięgu i sile ruchu oporu.

POMOC DLA POLSKI

Francuska organizacja charytatywna *Secours Catholique* szykuje kolejną akcję pomocy dla Polski. Przewidziana jest wysyłka trzydziestu 20-tonowych ciężarówek z cukrem, ryżem, odżywkami dla dzieci, suszonymi sliwkami, sardynkami, pasztetami i konserwami mięsnymi. Pierwszych pięć ciężarówek dotarło do Polski przed Bożym Narodzeniem. Żywność dostarczana jest do Komisji Charytatywnej episkopatu polskiego i przeznaczona dla najuboższych warstw ludności.

W okresie od grudnia 1980 do lipca 1982 *Secours Catholique* wysłała do Polski — z własnych funduszy — 1.440 ton żywności i lekarstwa wartości 10.000 franków oraz: 132 ton żywności z kredytów EWG, 100 ton śledzi z kredytów Północnofrancuskiego Związku Rybaków, 22 ton żywności z funduszy pewnej kongregacji religijnej oraz 100 ton mleka w proszku i 5.000 ton mąki z funduszy rządu francuskiego.

MIĘDZYNARODOWA KOMISJA PRAWNIKÓW WYZNACZYŁA OBSERWATORA NA PROCES KOR-u

Międzynarodowa Komisja Prawników złożyła na ręce *chargé d'affaires* Misji Polskiej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Genewie wniosek do rządu PRL o dopuszczenie międzynarodowego obserwatora na mający się wkrótce rozpocząć proces przywódców KOR-u.

Na obserwatora wyznaczono dr. Rudolfa Machacka, znanego adwokata, członka Trybunału Konstytucyjnego Austrii i Międzynarodowej Komisji Prawników.

CZESŁAW MIŁOSZ

«DZIEŁA ZBIOROWE»

POEZJE, T. I, str. 292 cena F. 75,00 (\$US 18,00).

POEZJE, T. II, str. 240 — cena F. 70,00 (\$US 17,00).

ZNIEWOLONY UMYŚL, T. III, str. 240 —
cena F. 60,00 (\$US 15,00).

ZDOBYCIE WŁADZY, T. IV, str. 160 —
cena F. 50,00 (\$US 13,50).

DOLINA ISSY, T. V, str. 196 —
cena F. 60,00 (\$US 15,00).

RODZINNA EUROPA, T. VI, str. 248 —
cena F. 60,00 (\$US 15,00).

PRYWATNE OBOWIĄZKI, T. VII, str. 256 —
cena F. 60,00, (\$US 15,00).

ZIEMIA ULRO, T. VIII, str. 224 —
cena F. 60,00, (\$US 15,00).

WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO,
T. IX, str. 172 — cena F. 40,00 (\$US 10,50).

OGRÓD NAUK, T. X, str. 256 —
cena F. 65,00 (\$US 15,75).

POEZJE, T. III, str. 112 — cena F. 30,00 (\$US 7,00).

Archiwum polityczne

Aktualność strategii i taktyki Lenina

*„Człowiekiem naprawdę groźnym jest Lenin... jest on człowiekiem przebiegłym. Przy całym swoim marksizmie niezwykle elastycznym, potrafi iść na przejściowe kompromisy, umie się cofać, umie czekać”**

Józef Piłsudski, 1919.

Okres bezkrwawej rewolucji pod znakiem Solidarności na zawsze pozostanie złotą kartą w historii Polski. Nie umniejsza dziejowej doniosłości tego „wichru wolności” złudzenia i błędy przywódców Związku. Dziś jeszcze za wcześnie, aby beznamiętnie i obiektywnie rozpatrywać te omyłki, gdyż w niedalekiej zapewne przyszłości będą one oceniane odmiennie. Niemniej jeden błąd Związku i jego doradców musi być omówiony już teraz dla uniknięcia powtórzenia go w przyszłości.

Chodzi tu o zlekceważenie przemysłnej i giętkiej strategii i taktyki marksistowsko-leninowskiej, która odegrała i odgrywa dotychczas wielką rolę w polityce Kremla i jego satelitów. Dzięki niej nieliczna partia bolszewików w 1917-18 roku zdołała zepchnąć na drugi tor a później całkowicie zlikwidować wszystkie konkurencyjne partie niebolszewickie z popularną w masach partią eserów na czele. Taktyka ta i strategia wskazały komunistom metodę wywikłania się z wojny domowej i interwencji mocarstw, przełamania oporu chłopstwa, ujarznienia niepodległościowych ruchów narodów imperium... Kierując się wskazaniami tej strategii i taktyki Moskwa, mimo że bez pomocy Zachodu nie była w stanie obronić się przed Niemcami, potrafiła jednak wydzwignąć zniszczony kraj do pozycji supermo-

* W. Jędrzejewicz, *Kronika życia J. Piłsudskiego*, t. 1, str. 465.

carstwa. I dziś, na naszych oczach, próbuje tymi samymi metodami zdławić powszechny nurt odnowy w Polsce.



Od najdawniejszych czasów aż do Wielkiej Rewolucji Francuskiej ruchy społeczno-rewolucyjne były spontanicznymi powstaniami niewolników, buntami proletariatu miejskiego lub chłopstwa. Często długotrwałe i groźne, kończyły się okrutnymi klęskami. Dopiero Marks i Engels zapoczątkowali nową dobę owocnych rewolucyjnych ruchów społecznych. Po Marksie czołowe miejsce w historii tej nowej doby zajął Lenin jako działacz, badacz, organizator oraz, co z czasem stało się najważniejsze, strateg i taktyk.

Pierwsze nauki rewolucyjnej walki Lenin czerpał z pism Marksa i Engelsa. Do zainteresowania się tymi zagadnieniami pchnęła go beznadziejna sytuacja w rewolucyjnych organizacjach w Rosji, przeartych wadami jakie ongiś wytykał zachodnim rewolucjonistom K. Marks. Amatorstwo, awanturnictwo, zamiłowanie do „frazesu rewolucyjnego” oraz nieodpowiedzialne szafowanie życiem najbardziej ideowych rewolucjonistów. Tak zdarzyło się na przykład ze starszym bratem Lenina, Aleksandrem, który zawisł na szubienicy za udział w nieudolnie przygotowanym zamachu na Aleksandra III.

Jako lekarstwo na te choroby Lenin domagał się wprowadzenia wojskowej prawie dyscypliny w centralnie kierowanej partii. Tylko taka partia, pod kierownictwem zawodowych rewolucjonistów, może osiągnąć wytknięte cele i podejmować śmiałe decyzje. W groźnych dla niej chwilach może ona np. zawierać kompromisy i decydować się na daleko idące odwroty, aby unie możliwić wrogowi zniszczenie swych sił i możliwości walki w przyszłości. Równocześnie — dodawał Lenin — w okresach kompromisów i odwrotów partia winna w dalszym ciągu, *innymi metodami*, kontynuować walkę z nieprzyjacielem, z którym zawarła kompromis.

Lenin podkreślał również niezbędność cierpliwego wyczekiwania odpowiedniej koniunktury dla ofensywy, co zilustrował na przykładzie apelu do niemieckich komunistów, aby pogodzili się chwilowo z Wersalskim Traktatem „grabieżców i bandytów”, by utorować sobie drogę do większych wpływów w życiu politycznym ówczesnych Niemiec. Partia, pouczał Lenin, winna wystrzegać się jak ognia oportunistycznego odchylenia prawicowego oraz tromtadrackiego odchylenia lewicowego, przy tym unikać szablonu i dogmatyzmu w konkretnych sytuacjach w walce.

Wczytując się w ulubione dzieło Clausewitza „O wojnie”, Lenin umocnił się w przekonaniu, iż wojna jest dalszym ciągiem polityki, a polityka dalszym ciągiem wojny. Gdziekolwiek toczy się walka polityczna Kremla z którymkolwiek z jego nieprzyjaciół (uważana przez zachodnich profanów za pokojową rywalizację) — podobnie jak na wojnie — *silent leges*. A więc wszelkie fortele, podstępny, zaskoczenia uśpionego zapewnieniami przyjaciela wroga jak również wszystko co wypływa z ducha tych zaleceń, jak terror, porwanie lub morderstwa niebezpiecznych dla komunistów polityków, inspirowanie niepokoju, łamanie traktatów — jest nie tylko dopuszczalne, ale konieczne.

Ogromny dorobek Lenina w dziedzinie strategii i taktyki w postaci drobnych uwag lub dłuższych rozważań mieści się na około 1.500 stronicach pełnego piątego wydania *Soczinienij* Lenina. Do tej liczby należy dodać około 350 stron rozsypanych w *Soczinieniach*, na których wtrąca on pobieżne wzmianki lub dłuższe wywody o strategii i taktyce wojennej.

W tym ogromie materiału szczególne miejsce zajmuje odrębna praca, reasumująca dużą część doświadczenia rewolucyjnego podziemia rosyjskiego i zachodniej Europy pt. *Detskaja boleźn „lewizny” w komunizmie* („Dziecięca choroba 'lewicowości' w komunizmie”, cytowana w skrócie jako „Dziecięca choroba”...). Napisana w kwietniu-maju 1920 roku, była ona wydana w lipcu tegoż roku w języku rosyjskim oraz w tłumaczeniu francuskim, angielskim, a później niemieckim. Pracę tę Lenin pisał w podnieceniu, *strastno i wdochnowienno* (namiętnie i w natchnieniu), jak swego rodzaju testament. (*Sowietskaja Wojennaja Encikłopedia*, 1976-80, t. 3, str. 160-161).

„Dziecięca choroba”... zyskała ogromną popularność w sferze wpływów komunizmu. Świadczą o tym liczby jej wydań. Do lipca 1975 roku w Rosji ukazało się 235 jej oddzielnych wydań w 57 językach w nakładzie 9.822.000 egzemplarzy. W okresie od 1920 do 1969 roku poza Rosją ukazało się 151 wydań w 32 krajach. (*Ibidem*, str. 160-161). Jest ona umieszczona we wszystkich pięciu zbiorowych wydaniach dzieł Lenina oraz we wszystkich wydaniach dzieł wybranych, jak też omawiana i cytowana niezliczoną ilość razy przez komunistycznych autorów. Od samego początku stała się obowiązującym regulaminem strategii i taktyki partii komunistycznych w bloku sowieckim i w całym świecie, co różne źródła potwierdzają wielokrotnie i w różnych okresach czasu.

Np. Edward Hallett Carr, historyk rewolucji rosyjskiej, omawiając wczesny, porewolucyjny okres w Rosji pisał, iż „Dziecięca choroba”... to ostatnia z jego [Lenina] większych prac i

wywarła wśród tych prac największy wpływ". (*The Bolshevik Revolution 1917-1923*, t. 3, 1953, str. 177).

Najnowsza, wielotomowa „Historia Partii Związku Sowieckiego” analizując obszernie treść tej pracy dodaje, iż stała się ona *vade mecum* dla komunistów i „nie straciła aktualności również i dzisiaj”. (*Istoria KPSS*, t. 3, 1968, część 2, str. 449-461). Inne, „niekonkretne” źródło — *Bolszaja Sowietskaja Encyklopedia*, wyd. trzecie — głosi, iż praca ta „miała i nadal ma... ogromne znaczenie dla rozwoju komunizmu i ruchu robotniczego”. (T. 8, str. 152-153, 1972).

L. I. Breżniew w przemówieniu z okazji stulecia urodzin Lenina w kwietniu 1970 roku powiedział, iż „Dziecięca choroba” „stała się podręczną książką [*nastolnoj knigoj*] dla komunistów wszystkich krajów... pozostaje ona [nadal] prawdziwą encyklopedią strategii i taktyki światowego ruchu komunistycznego”. (*Leninskim kursom*, 1970, t. 2, str. 560).

W 11 lat później w trzytomowym zbiorze wybranych prac L. Breżniewa myśl ta zostaje powtórzona:

„Prawdziwą encyklopedią strategii i taktyki światowego ruchu komunistycznego do dziś dnia pozostają wystąpienia Lenina na kongresach Kominternu, jego klasyczna praca «Dziecięca choroba 'lewicowości' w komunizmie»”. (*Izbrannyje proizwiedienia*, Moskwa, Izdat. Polit. Lit., 1981, t. 1, str. 440).



Przypatrzmy się „Dziecięcej chorobie”... na przykładzie kilku wybranych wypisów pochodzących z tekstu zamieszczonego w IV wydaniu *Soczinienij* Lenina, tom 31, str. 5-96. Styl autora — nużące czytelnika stałe powtarzanie tych samych myśli i rozszczepianie włosa na czworo — celowo został zachowany. Odzwierciedla to bowiem atmosferę napięcia oraz tłumaczy wnikliwość i ogromne zaangażowanie uczuciowe Lenina tematem.

Lenin a Związki Zawodowe

Lenin uważa Związki Zawodowe za jeden z pasów napędowych od partii ku masom, za niezastąpione narzędzie partii w polityce wobec mas. W stabilizacji Związku Sowieckiego, pisał Lenin, odegrały one wyjątkową rolę:

„Nie bylibyśmy w stanie rządzić krajem... nawet przez dwa i pół miesięcy... bez najściślejszej łączności ze związkami zawodowymi, bez największego z ich strony poświęcenia się w pracy

nie tylko w dziedzinie gospodarczej, ale i w budowie sił zbrojnych”. (*Socz.*, wyd. IV, t. 31, str. 30).

W stosunku do związków zawodowych w krajach niekomunistycznych, w których istnieją legalne lub nielegalne partie komunistyczne lub ich załączki — Lenin zaleca komunistom należenie do „reakcyjnych” związków, ich penetrację i zarzucenie myśli o tworzeniu własnych związków komunistycznych:

„Właśnie niedorzeczna 'teoria', że komuniści nie powinni brać udziału w reakcyjnych związkach zawodowych wskazuje jak najbardziej, jak lekkomyślnie ci 'lewicowi' komuniści odnoszą się do sprawy wpływu na 'masy', jak nadużywają swych gromkich frazesów na temat 'mas'. Aby umieć pomóc 'masom' oraz zdobyć sympatie i poparcie 'mas', trzeba się nie obawiać trudności, zyskan, podstawiania nogi, zniewag, prześladowań ze strony 'przywódców'... i trzeba bezwarunkowo pracować tam gdzie są masy. Trzeba umieć ponosić wszelkie ofiary, przewycięzać największe przeszkody, aby systematycznie, uporczywie, zawzięcie, cierpliwie propagować i agitować właśnie w tych instytucjach, stowarzyszeniach, związkach — choćby najbardziej reakcyjnych — gdzie są masy proletariackie lub półproletariackie... Całe bowiem zadanie komunistów polega na tym, aby umieć przekonać zacofanych, umieć pracować wśród nich, a nie odgradzać się od nich wymyślonymi, dzieciennie 'lewicowymi' hasłami... Bez wątpienia panowie 'przywódcy' oportunistów uciekną się do wszelkich sztuczek dyplomacji burżuazyjnej (...), aby nie dopuścić komunistów do związków zawodowych (...), znieważać ich, prowadzić przeciw nim nagonkę, prześladować ich. Trzeba umieć przeciwstawić się temu wszystkiemu, ponieść wszelkie ofiary, nawet, w razie potrzeby, zastosować wszelkie podstępny, fortele, nielegalne sposoby, przemilczanie, ukrywanie prawdy, byle by się dostać do związków zawodowych, pozostać w nich, bezwzględnie prowadzić w nich działalność komunistyczną...” (*Ibidem*, str. 35-37).

Kojarzenie legalnych i nielegalnych form walki, zaskakujące zmiany metod, opanowanie wszelkich form walki

„Należy połączyć bezwzględną wierność ideom komunizmu z umiejętnością decydowania się na wszystkie kompromisy praktyczne, na lawirowanie, porozumienia, zygzaki, cofanie się, ... klasa rewolucyjna w celu spełnienia swego zadania musi umieć opanować wszystkie, bez najmniejszego wyjątku formy albo strony działalności społecznej (doprowadzając do końca po zdobyciu władzy politycznej, niekiedy z wielkim ryzykiem i ogromnym niebezpieczeństwem to, czego nie wykończyła przed tym zdobyciem), ... klasa rewolucyjna powinna być gotowa do naj-

szybszego i nieoczekiwanego zastępowania jednej formy walki przez drugą". (*Ibidem*, str. 75-76).

Subtelne wyzyskiwanie najmniejszych rozdzwieńców u przeciwnika

„Kapitalizm nie byłby kapitalizmem, jeżeli by 'czystego' proletariatu nie otaczały masy nadzwyczaj różnobarwnych typów przejściowych od proletariusza do półproletariusza... od półproletariusza do drobnego chłopca (...) — jeżeliby wewnątrz samego proletariatu nie było podziału na warstwy mniej i bardziej rozwinięte, podziałów dzielnicowych, zawodowych, niekiedy religijnych itp. A z tego wszystkiego wynika (...) dla partii komunistycznej bezwzględna konieczność uciekania się do lawirowania, do porozumień, do kompromisów z różnymi grupami proletariatu, z różnymi partiami robotników i drobnych posiadaczy, wynika jako absolutna konieczność". (*Ibidem*, str. 55-56).

Lenin zaleca uwzględnianie różnic etnicznych, społecznych, kulturowych, itd. Podkreśla długowieczność tych różnic

„Cała rzecz polega na tym, aby komuniści każdego kraju zupełnie świadomie wzięli pod uwagę zarówno podstawowe zadania walki z oportunizmem i 'lewicowym' doktrynerstwem, jak też konkretne osobliwości, jakimi odznacza się ta walka i nieuchronnie odznaczać się musi w każdym poszczególnym kraju, zgodnie z oryginalnymi cechami jego ekonomiki, polityki, kultury, składu narodowościowego, jego kolonij, jego podziałów religijnych, itd., itp.”.

„Trzeba zdać sobie jasno sprawę z tego, że w żadnym razie nie można budować takiego ośrodka kierowniczego na zasadach szablonu, mechanicznego niwelowania, utożsamiania taktycznych reguł walki. Póki istnieją różnice narodowe i państwowe między ludami i krajami — a różnice te będą trwały jeszcze bardzo, bardzo długo, nawet po urzeczywistnieniu dyktatury proletariatu w skali światowej — póty jednolitość międzynarodowej taktyki komunistycznego ruchu robotniczego wszystkich krajów wymaga nie usunięcia, nie unicestwienia różnic narodowych (...) lecz takiego zastosowania podstawowych zasad komunizmu ... które by trafnie modyfikowało te zasady w szczególności, prawidłowo je dopasowywało i przystosowywało do różnic narodowych i narodowo-państwowych. Zbadać, przestudiować, odnaleźć, odgadnąć, uchwycić to, co jest pod względem narodowym swoiste (...) w konkretnym dla każdego kraju podejściu do sprawy rozwiązania jednolitego zadania międzynarodowego, do zwycięstwa nad oportunizmem i 'lewicowym' doktrynerstwem wewnątrz ruchu robotniczego, do obalenia burżuazji, do urzeczywistnienia radzieckiej republiki i dykta-

tury proletariatu — oto na czym polega główne zadanie chwili dziejowej, przeżywanej przez wszystkie kraje przodujące (i nie tylko przodujące). (*Ibidem*, str. 71-72).

Problem likwidacji żywej warstwy drobnych wytwórców

„Klasy pozostały po zdobyciu władzy przez proletariatus i pozostawać będą wszędzie w ciągu lat... Zlikwidować klasy znaczy nie tylko przepędzić obszarników i kapitalistów — to zrobiliśmy względnie łatwo — znaczy to również zlikwidować drobnych wytwórców towarowych, tych zaś przepędzić nie można, nie można ich zgnieść, należy znaleźć sposób współżycia z nimi i tylko niezmiernie długą, powolną i ostrożną pracą organizatorską można (i trzeba) przeobrazić ich i wychować na nowo. Otaczają oni proletariatus ze wszystkich stron żywiołem drobnomieszczańskim, przepają go nim, deprawują go nim, wywołują ciągle wewnątrz proletariatus recydywy drobnomieszczańskiego braku charakteru, rozdrobnienia, indywidualizmu, przerzucania się od nastrojów zapału do zniechęcenia. Potrzebna jest jak najściślejsza centralizacja i karność wewnątrz politycznej partii proletariatus, żeby się temu przeciwstawić, żeby organizatorską rolę proletariatus (...) spełniać prawidłowo, skutecznie, zwycięsko. Dyktatura proletariatus to uporczywa walka, krwawa i bezkrwawa, prowadzona środkami przemocy i pokoju, zbrojna i gospodarcza, pedagogiczna i administratorska — przeciwko siłom i tradycjom starego społeczeństwa. Siła przyzwyczajenia milionów i dziesiątków milionów — to siła najstraszniejsza. Nie podobna prowadzić skutecznie takiej walki bez partii, żelaznej i zahartowanej w boju... (*Ibidem*, str. 26-27).

Komuniści winni zdawać sobie sprawę z semantycznych przeobrażeń w różnych składnikach koniunktury politycznej

Niektórzy politycy i marksiści nie byli dialektykami, nie uwzględniali szybkiej zmiany i szybkiego wypełniania starych form nową treścią i nadal głosili „wyuczone, na pierwszy rzut oka bezsprzeczne prawdy: trzy to więcej niż dwa”.

„Ale polityka jest bardziej podobna do algebry niż do arytmetyki, a jeszcze bardziej do wyższej niż do niższej matematyki. W istocie rzeczy wszystkie stare formy ruchu socjalistycznego zostały wypełnione nową treścią, i wobec tego przed cyframi pojawił się nowy znak: 'minus', a nasi mędrcy nadal zapewniali (i zapewniali) siebie i innych, że 'minus trzy' — to więcej niż 'minus dwa’". (*Ibidem*, str. 82).

Decyduje jakość nie liczba

W oczach Lenina wielka liczba członków partii nie miała wielkiego znaczenia. Istotną wartość stanowi jej jądro, awangarda. To zaś co jest poza nimi, to są partyjne ciury, potrzebne do tworzenia pozorów masowości zjawiska i z ich pomocą łatwiejszego manipulowania masami. Zawsze trzeba pamiętać, iż na nich nie można polegać, gdyż w chwilach kryzysu zapanuje wśród nich „stan oportunistycznej chwiejności”, staną się „ofiarami drobnoburżuazyjnego awanturnictwa” lub wręcz „zdobyczą nieprzyjaciela”:

„Obawiamy się nadmiernego rozszerzenia partii, gdyż do partii rządowej nieuchronnie starają się wkręcić karierowicze i aferzyści, którzy zasługują tylko na to, aby ich rozstrzeliwać. Ostatni raz otworzyliśmy szeroko podwoje partii — wyłącznie dla robotników i chłopów — w owe dni [zima 1919 r.], kiedy to Judenicz był o kilka wiorst od Piotrogradu, a Denikin w Orle (około 350 wiorst od Moskwy), tj. kiedy Republice Rad groziło krańcowe, śmiertelne niebezpieczeństwo i kiedy awanturnicy, karierowicze, aferzyści i w ogóle ludzie niepewni w żaden sposób nie mogli liczyć na korzystną karierę (raczej mogli oczekiwać szubienicy i tortur), przystępując do komunistów”... (*Ibidem*, str. 29).

Podobnie było w okresie drugiej wojny światowej, gdy równoległe z szeroko zakrojoną akcją budzenia tradycyjnych uczuć patriotycznej walki z wrogiem, partia na oczach patriotów-nacjonalistów szeroko otworzyła bramy dla nowych członków, których liczba gwałtownie rosła. W jednym tylko 1942 roku przyjęto ponad dwa miliony ludzi. Partia, która przed wybuchem wojny liczyła 3.876.885 członków w styczniu 1945 roku osiągnęła 5.760.000, mimo że bardzo wysoki odsetek młodych komunistów, wysyłanych na front i na zagrożone odcinki, zginął.

Lenin o terrorze indywidualnym oraz masowym

„Oczywiście odrzucaliśmy terror indywidualny wyłącznie ze względów celowości, jeśli zaś mowa o ludziach, którzy byli zdolni 'ze względów zasadniczych' potępiać terror Wielkiej Rewolucji Francuskiej, albo w ogóle terror stosowany przez zwycięską partię rewolucyjną osaczoną przez burżuazję całego świata, to takich ludzi wyśmiewał już i potępiał Plechanow w latach 1900-1903, kiedy był marksistą i rewolucjonistą”... (*Ibidem*, str. 16-17).

Ten jakobiński terroryzm Lenina ujawnił się jaskrawie m.in. w okresie wojny domowej. W sierpniu 1918 roku Lenin, w związku z obawą przed powstaniem „Białych” w Niżnym Nowogrodzie rozkazywał:

... „mianować trójkę dyktatorów, wprowadzić natychmiast masowy terror, rozstrzeliwać lub wywozić z miasta prostytutki, białych oficerów także... Rozstrzeliwanie za posiadanie broni. Zmienić ochronę przy składach broni”...

W tym samym miesiącu w depeszy do Penzy domagał się zastosowania „bezlitosnego masowego terroru wobec kułaków, popów i białogwardzistów, podejrzanych zaś posyłać do obozu koncentracyjnego (*koncentracjonnowo lagieria*)”.

Rozkaz z 8 września 1918 roku: „Jestem pewien, że rozbić kazańskich Czechów i białogwardzistów oraz kułaków-krwiopijców dokonane będzie wzorowo — bezlitośnie”. (W.I. Lenin, *Wojennaja pierepiska*, 1917-1920, Gospolitizdat, 1943).

Haniebny Traktat Brzeski

Najbardziej kontrowersyjnym kompromisem Lenina było w oczach większości bolszewików (i niebolszewików) podpisanie traktatu pokojowego z Niemcami 3 marca 1918 roku.

Traktat ten budził ostre zastrzeżenia opozycji, gdyż szedł na granicę z kapitulacją ustępstwa na rzecz Niemiec. Na mocy tego traktatu Moskwa zrzekała się większej części Białorusi, Nadbałtyki, godziła się na samodzielność Finlandii i Ukrainy wraz z Krymem. Innymi słowy traciła 34 % swej ludności, 32 % ziemi uprawnej, 89 % produkcji węgla. W zamian zaś uzyskiwała to, o co Leninowi wówczas najbardziej chodziło — zawieszenie walk i zawarcie pokoju. W owym czasie Lenin pokładał swoje nadzieje na rychły wybuch rewolucji w Niemczech i ewentualnie w pozostałej Europie, co automatycznie anulowałoby traktat Brzeski i umożliwiło pochod rewolucji niesionej na bagnietach bolszewickich po trupie Polski na zachód.

Opór przeciw traktatowi był tak zaciepły, że Lenin musiał poruszyć wszystkie sprężyny aby go przełamać. Ale nawet po podpisaniu traktatu 3 marca 1918 roku aż do chwili anulowania go 13 listopada 1918 roku — toczyły się zażarte spory o to, czy Lenin miał rację czy też nie.

Np. w cztery dni po podpisaniu traktatu, tj. 7 marca, Lenin uzasadniając słuszność swej polityki dowodził, iż traktat ten

stanowił ostatnią szansę wyjścia z beznadziejnej sytuacji na froncie, gdzie dezercja żołnierzy przybrała nagminny charakter. Przekładanie więc wojny mogło sprowokować Niemców do dalszej ofensywy, co po zajęciu stolicy doprowadziłoby do upadku Sowietów i przywrócenia dawnego ustroju.

Przemówienie to wygłaszał Lenin w nastroju pesymistycznym, gdyż wyczekiwana rewolucja w Niemczech nie wybuchała, zaś widoki na rewolucję w Europie były bardziej mgliste niż kiedykolwiek. Licząc się z dłuższym trwaniem trudnej sytuacji Lenin dowodził, że należy być przygotowanym na wielkie trudności, których przewyciężenie wymagać będzie wielu ofiar i dostosowania się do bardzo ciężkich warunków. Myśl tę Lenin sformułował jak następuje:

„Jeśli nie będziesz gotów dostosować się, jeśli nie jesteś jeszcze gotów [w imię dobra sprawy] czołgać się na brzuchu w błocie, to znaczy że nie jesteś jeszcze rewolucjonistą, a jesteś tylko gadułą...” (*Ibidem*, „Referat o wojnie i pokoju”, 7 marca 1918, t. 27, str. 79).

W tym samym przemówieniu, polemizując z lewicą komunistyczną, która zwalczała umowę z Niemcami, Lenin mówił:

„Ich lewych komunistów pismo nazywa się *Kommunist*, lecz powinno się nazywać *Szlachcic*, gdyż patrzy ono z punktu widzenia szlachcica, który umierając w pięknej pozie ze szpadą w rękę powiedział 'pokój to hańba, wojna to honor'” (*Ibidem*, t. 27, str. 82).

W sowieckiej propagandzie partyjno-politycznej traktat Brzeski oceniany jest jako bezcenny wzór postępowania w najtragiczniejszych sytuacjach. Temat ten porusza G. Nikolnikow w książce „Wybitne zwycięstwo leninowskiej strategii i taktyki: Pokój Brzeski od jego zawarcia do zerwania”, 1968. Praca ta ukazała się w 50-lecie podpisania traktatu pod egidą Wyższej Szkoły Partyjnej oraz Akademii Nauk Społecznych przy KC partii, dwóch najwyższych szkół partyjnych. W książce autor cytuje fragmenty przemówienia Lenina na VIII zjeździe partii w marcu 1919 roku, w których podkreślał, iż „jedynie słuszna była ta polityka, którą przyjęliśmy w Brześciu”. W polityce tej „historia dała nam przykład, który należy sobie dobrze uświadomić, gdyż nie ma wątpliwości, iż wypadnie nam niejednokrotnie korzystać z takich okazji”; w innym miejscu: „... nasza polityka będzie prawidłowa, jeśli uzbroimy się w doświadczenie brzeskiego pokoju”. Ugoda ta — pisze Nikolnikow — była z powodzeniem zastosowana metodą lawirowania i rozumnych kompromisów, uchylania

się od walki w warunkach wyraźnie niekorzystnych... Ugoda ta stała się „własnością całego międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego”.

Największą przeszkodę w walce o zawarcie tej ugody Lenin widział w opozycji lewych komunistów, zwolenników forsowania rewolucji gwałtem. Nazywał ich „awanturnikami” i „provokatorami”, „dezorganizatorami” i „wrogami światowej rewolucji socjalistycznej przeszkadzającymi jej powodzeniu”. Lenin parokrotnie podkreślał, że gdyby w okresie kryzysu lewicowi komuniści uzyskali przewagę, to klęska Sowietów byłaby nieunikniona (G. Nikolnikow, str. 347-379).

U Lenina ciężar gatunkowy kompromisu rośnie wraz z rozwojem niebezpieczeństwa. Na III Kongresie Kominternu 11 lipca 1921 roku mówił on:

„Naszą jedyną strategią obecnie jest nabrać sił i dlatego musimy stać się mądrzejszymi, rozsądniejszymi, bardziej oportunistycznymi... ale po tym jak masy zostaną pozyskane dzięki naszemu rozsądkowi, zastosujemy ofensywę w najpełniejszym tego słowa znaczeniu”. (*Soczinienia*, IV wyd., t. 42, str. 281).



Traktat Brzeski stanowi w leninowskiej strategii i taktyce szczytowy punkt w szeregu takich kompromisów jak pseudougoda z eserami, kompromis z *sieredniakiem* (chłopem średnio-rolnym), masowe przyciąganie carskich oficerów do służby w armii czerwonej, NEP, nadawanie koncesji korporacjom kapitalistycznym, zawarcie umowy z Niemcami w Rapallo.

Najważniejszym i najbardziej złowrobnym leninowskim „brześciem” było porozumienie Stalina z Hitlerem w 1939 roku. W tym ostatnim wypadku należy podkreślić, że bez indoktrynacji aktywu partyjnego i opinii szerszych kół partyjnych w Sowietach w duchu „gloryfikacji” Traktatu Brzeskiego — pakt z Hitlerem byłby niezwykle trudny do przeprowadzenia.

Strategia i taktyka leninowska a Zachód

„My [komuniści] wprowadziliśmy neo-makiawelizm w bieżące stulecie; inni, kontrrewolucyjne dyktatury, nieudolnie go naśladowali”.

Arthur Koestler, „Darkness at Noon”.

Żadne z zachodnich państw nie posiada odpowiednika „Dzie-

cięcej choroby 'lewicowości' w komunizmie", który byłby uznany i autorytatywnym podręcznikiem makiawelskiej strategii i taktyki politycznej. W otwartych społeczeństwach demokratycznych metody makiawelskie traktowane są jako *malum necessarium*. Nawet prace wywiadu, nieodzowny element w prowadzeniu polityki, są wręcz — np. w USA — na cenzurowanym, jak tylko rozwiną szerszą, dyktowaną sytuacją działalność i zwrócą na siebie uwagę liberalnych demagogów. Znamienne pod tym względem były zaczepne badania pracy CIA za administracji Cartera przez jedną z komisji Kongresu, które w rezultacie podważyły zaufanie wielu kół amerykańskich do tej instytucji i nadweńczyły na pewien czas morale wielu pracowników CIA.

W krajach rządzonych przez komunistów nic nie stoi na przeszkodzie w stosowaniu metod makiawelskich w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej, ani na drodze rozbudowy wywiadu, kontrwywiadu, sił bezpieczeństwa i innych dziedzin łączących się z tymi sferami działalności lub wynikających z ich potencjalnych możliwości.

W krajach komunistycznych wszystkie prawie resorty administracyjne i aktywy partyjnych organizacji współdziałają z odpowiednimi instytucjami nad zniewoleniem szarych mas oraz w dziedzinach związanych z ekspansją komunizmu w świecie. W inspiracji i dezinformacji biorą udział najwyżsi dostojnicy partii i rządu. Np. w 1943 roku w czasie rozmów w Teheranie „po przyjacielsku i w zaufaniu” Stalin informował Roosevelta o swoich „zamiarach” wprowadzenia po wojnie mieszanej gospodarki kapitalistyczno-socjalistycznej, przywrócenia prywatnej inicjatywy, zniesienia ograniczeń swobody religii, a nawet przywrócenia dawnej nazwy kraju — Rosja. Wpływ tych słów Stalina najlepiej ilustruje postawa jednego z członków delegacji amerykańskiej, gen. Arnolda, dowódcy sił powietrznych USA, który w Teheranie doszedł do przekonania, iż Stalin wcale nie jest komunistą. (Ambasador Jan Ciechanowski, *Defeat in Victory*, 1947, str. 249).

Makiawelskie metody, odwieczne i powszechnie stosowane — nabrały od czasów Lenina szczególnego znaczenia w sferze wpływów komunizmu. Z niewielką przesadą można powiedzieć, iż stało się to od chwili wydania i zapoznania się przywódców światowego ruchu komunistycznego z zaleceniami „Dziecięcej choroby 'lewicowości' w komunizmie”.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

Między Wschodem i Zachodem

NIEMCY: ZAKRĘT CZY DZIURA?

Dwa widma krążą po dzisiejszych Niemczech i spędzają politykom sen z powiek: bezrobocie i strach przed przyszłością. Bilans minionego roku zamyka się przeszło dwoma milionami bezrobotnych. Rok 1983 nie rokuje bynajmniej nadziei, że ta cyfra wkrótce się zmniejszy. Przeciwnie, bankructwa przedsiębiorstw będą się mnożyć. Złoty okres dobrobytu odchodzi w niebyt i chyba już do końca tego tysiąclecia nie powróci. Przeciwny Niemiec, pomny niedawnej historii (nie tyle ze szkół, gdzie od lat przedmiot ten znajduje się w oplakany stanie, ile z pogadarek w telewizji, artykułów w popularnych czasopismach i opowiadań lub porzekadeł starszych ludzi), traktuje podnoszącą się stale krzywą statystyczną bezrobocia jak dopust Boży. Wpatruje się wybałuszonymi oczami w groźne tytuły w prasie rewolwerowej i nic nie rozumie. Bo i jakże ma rozumieć, skoro od lat nauczono go wierzyć w nieśmiertelność niemieckiego cudu gospodarczego. Utwierdzali go w tym przekonaniu politycy niemieccy — od chadeckiego ojca chrzestnego zachodniemieckiego „cudu gospodarczego” Ludwiga Erharda do socjaldemokratycznego kanclerza Helmuta Schmidta. Umacniały go w tej wierze urlopy w Grecji, we Włoszech, w Hiszpanii, gdzie co roku paradował z nabitym portfelem i głową dumnie zadartą do góry. Myślał, że tak będzie zawsze.

A tu nagle bankructwo za bankructwem, i to takich między innymi potęg przemysłowych jak na przykład koncern AEG w Berlinie. Kurczy się budownictwo prywatne i komunalne. Rośnie zadłużenie rządu federalnego i administracji regionalnej. Nie ma jeszcze objawów nędzy, ale strach przed jutrem podnosi falę wrogości wobec cudzoziemców. W latach obfitości nadszkwiano Turkom, Serbom i Włochom, byle tylko wykonywali czarną robotę. Dziś słyszy się i czyta na murach miast hasło „Precz z Turkami”. Gdy szerzy się lęk o pracę, własny samochód i urlop na Costa Brava, przedmiotem zawiści stają się automatycznie „inni”, którzy *nota bene* nie tylko pracują chętnie za mniejsze wynagrodzenie, ale gotowi są także do pracy „na lewo” za liche grosz. Szczególna niechęć kieruje się przeciw Turkom, nigdy zresztą nie lubianym, bo pracują jak na akord i nie gustują w piwie. Włochom też się dostaje, chociaż mniej: chronią ich, prócz obawy przed mafią, przepisy Wspólnoty Europejskiej. Fala ksenofobii nie dotknęła jeszcze w pełni masy robotników z Jugosławii, przeważnie Chorwatów i Albańczyków z okręgu Kosowo. W wypadku Chorwatów hamulcem jest częściowo ich katolicyzm, a częściowo świadomość że nie puszczają płazem afrontów.

Wróćmy jednak do podstawowego problemu bezrobocia. Otóż wydaje mi się, że polega on na zapóźnieniu struktur przemysłu niemieckiego. Zbyt długo kontynuowano tradycyjne gałęzie przemysłu, jak stal, chemia, budowa maszyn, produkcja samochodów. A tymczasem nowe technologie rozwijane i wprowadzane były systematycznie w Japonii, w Ameryce, a nawet we Francji. Zwłaszcza konkurencja japońska daje się Niemcom we znaki. Ten stan rzeczy potrwa zapewne jeszcze długo, bo dystans technologiczny między Japonią a Niemcami wciąż rośnie. Wystarczy porównać dane w międzynarodowych spisach patentów, by stwierdzić jak bardzo Niemcy zostali zdystansowani w procesie innowacji przemysłowej. A nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, chemii, medycyny? Od kilkunastu lat przodujący niegdyś Niemcy wloką się na szarym końcu. W czasopiśmie fachowych spotyka się coraz częściej lamenty, że z literatury naukowej na Zachodzie znikają stopniowo odsyłacze do dorobku uczonych niemieckich (dawniej prawie obowiązkowe).

Równocześnie kwitnie ruch ekologiczny, ze swoim hasłem powrotu do natury. Udało mu się zahamować budowę elektrowni atomowych. Ruch tzw. zielonych łączy się z szerokim nurtem pacyfizmu i antyamerykanizmu. Mamy do czynienia z nową jakby reformacją antyprzemysłową i antyzachodnią. Co prawda, Niemcy nigdy nie należały ani do Wschodu ani do Zachodu. Są po prostu Środkiem, oscylującym stale w historii to w jedną to w drugą stronę. W jakimś sensie dzisiejszy podział Niemiec odzwierciedla to rozdwojenie. Koncepcja odprężenia podziałała odurzająco na umysły niemieckie. Ten narkotyk polityczny okazał się najskuteczniejszym sposobem obezwładnienia oporu niemieckiego wobec Moskwy. Brandt i Bahr — architekci niemieckiej *Ostpolitik*, która nigdy nie pokrywała się z postulatami i celami Waszyngtonu, co za późno dostrzegł jej amerykański wynalazca Kissinger — odwrócili orientację w owym ruchu wahadłowym z jednoznacznej za Adenauera wspólnoty z Zachodem na pozycję Środka z tendencją neutralistyczną. Polska (nie mówiąc już o republikach nie rosyjskich w ZSSR, które jak Ukraina, Białoruś i państwa bałtyckie poniosły w drugiej wojnie światowej ogromne straty, miały więc moralne prawo do jakiegoś zadośćuczynienia, zostały natomiast okrutnie zignorowane) zesłała w tej polityce na dalszy plan. Z początkowej mglistości wynurzyła się koncepcja specjalnych związków z Moskwą i NRD. Umizgi do Breżniewa, zainicjowane pocałunkami w Oreandzie w roku 1972, miały utworować drogę ogólnoniemieckiej polityce narodowej. W NRD odczytano szybko te sygnały i ustalono z Moskwą, że należy ofertę przyjąć, bo dzięki niej blok wschodni via NRD zapewni sobie tanie źródła gospodarcze (handel bezcłowy), a RFN dokona procesu reorientacji historycznej. Oczywiście nikt nie ma prawa odmawiać Niemcom naturalnych tendencji do zjednoczenia. Ale rzecz w tym jak się to robi. Otóż poprzednie rządy w Bonn robiły to metodą słabo zamaskowanej lojalności wobec wielkorządców niemieckiej sprawy narodowej

w Moskwie i ich podopiecznych we Wschodnim Berlinie. Jedyne to klucze do zrozumienia niezrozumiałych na pozór posunięć Brandta, jak rozbrojenie partii socjaldemokratycznej w ideologicznym konflikcie z komunizmem sowieckim i imperializmem moskiewskim; rozbrojenie, które w ciągu jednego dziesięciolecia wywołało spustoszenie w umysłach średniego i młodego pokolenia. Do tej również dziedziny należy zdławienie emigracyjnych przedstawicielstw socjalistycznych w Międzynarodówce Socjalistycznej za prezesury Brandta. Ze zgrozą śledził to zjawisko Adam Ciołkosz, a wraz z nim żyjący jeszcze nestor socjalizmu łotewskiego Bruno Kalnins.

Specjalna atencja wobec Moskwy i Wschodniego Berlina, rozbrojenie ideologiczne socjaldemokratów i liberałów zachodni-niemieckich, ignorowanie ruchów wolnościowych i demokratycznych we wschodniej Europie, a potem fala antyamerykanizmu i odurzenie narkotykiem odprężenia: wszystko to zneutralizowało poważny odłam społeczeństwa w RFN. Powstało realne niebezpieczeństwo niemieckiej dziury w Sojuszu Atlantyckim. Do zmiany warty w Bonn nie doszło jednak z tego powodu. I w tym sęk.

Nowy rząd zastał tak głęboko już wyżłobione koleiny zmienionych orientacji i postaw w społeczeństwie, że postanowił ogłosić kontynuację dotychczasowej linii w polityce zagranicznej. Co to zresztą za rząd, jeśli boi się zasiadziać z poprzednich układów biurokracji ministerialnej, nastawionej na hasło odprężenia. Dodajmy do tego, że niestety i chadecja niemiecka nie ma żadnej konkretnej koncepcji politycznej. Szarpie się w wewnętrznych sporach między „atlantystami” i „kontynentalistami”. Protestancka północ ma inne ciągoty, katolickie południe inne.

Wewnętrzna szarpanina chadecką można zaobserwować na przykładzie stosunku do spraw polskich. Ogromna pomoc paczkowa jest rzeczą chwalebna i potrzebną, ale za darami nie widać zarysu choćby jakiejś myśli politycznej. Jesienią, na otwarciu w Bonn wystawy na rzecz „Solidarności”, główny mówca Leisler Kiep (z centrum chadecji) wygłosił niesłychanie mętne przemówienie. Na lewo od chadeków konfuzja jest jeszcze większa. Od roku hrabina von Dönhoff, redaktorka *Die Zeit*, ubolewa że niewdzięczni Polacy nie doceniają Jaruzelskiego. Wybitni pisarze Böll i Grass interweniują listownie u tegoż Jaruzelskiego w obronie internowanych doradców i członków „Solidarności”, nazywając ją przedłużeniem dzieła Róży Luksemburg. Głupota? Obłąd? Chyba raczej *połundra*. Kiedy na Morzu Czarnym mgła gęstnieje tak że trudno cokolwiek zobaczyć nawet w pobliżu, marynarze w Odessie mówią: *połundra*.

Bohdan OSADCZUK

Chadecja i socjaliści w perspektywie Watykanu

„Kościół prosperuje lepiej tam, gdzie rządy są mniej katolickie. Socjalizm reformistyczny, umiarkowany, nie szkodzi Kościołowi, a nawet wychodzi mu na dobre”. Te słowa arcybiskupa Madrytu, kardynała Tarancon, wypowiedziane w toku kampanii wyborczej, Jan Paweł II przypieczętował w czasie swej podróży po zwycięstwie PSOE, hiszpańskiej partii socjalistycznej. Papież potwierdził to, co już przedtem deklarował: uznał mianowicie, że przynależność katolików do różnych ugrupowań politycznych „jest uprawniona”, że „pluralizm w życiu publicznym jest prawowity w demokracji” i że wobec tego szanuje „wolę wyborców wyrażoną w wolnych wyborach”. Filipe Gonzalez i inni przywódcy PSOE przyjęli słowa Papieża z wielkim uznaniem (oblicza się, że co najmniej połowa, jeśli nie więcej, bazy wyborczej socjalistów składa się z praktykujących katolików). Kościół hiszpański zachował neutralność w czasie kampanii wyborczej, uniknął postawienia na chadeków, którzy *nota bene* rozplynęli się pomiędzy prawicą a resztkami pokonanej unii centrowej (UDC).

Kościół w pontyfikacie Jana Pawła II przestał być *instrumentum regni*, narzędziem panowania, przyjął na siebie własną odpowiedzialność również za sprawy polityczne, za wyzwolenie człowieka i społeczeństwa, oczyścił się niejako przez odcięcie się od wszelkiej władzy doczesnej. Chce być wolny, co Jan Paweł II tak często podkreśla, wobec przeciwnych bloków, wobec wszelkich ideologii, by móc oddziaływać od wewnątrz na przemiany różnych panujących systemów, starając się o ich „uetycznienie”. Kościół ma zachować swobodę ruchów po to, by wywierać wpływ na te realia, gdzie człowiek jest uciskany, dyskryminowany, manipulowany lub jest ofiarą niesprawiedliwego podziału dóbr. Równocześnie jednak Kościół nie może być, i faktycznie nie jest moralnie neutralny. Na tym polega główna racja szczególnej harmonii, zachodzącej pomiędzy polityczno-międzynarodową funkcją Kościoła a wyborem Papieża-Polaka, przedstawiciela Wschodu, będącego zarazem rzecznikiem zacoфанego Południa. Może to przyspieszyć prawdziwą integrację, nie tylko tak jak dotąd komercyjną i technokratyczną w obrębie samej EWG, pomiędzy Europą zachodnią i wschodnią, pomiędzy uprzemysłowaną Północą i niedorozwiniętym Południem, pomiędzy chrześcijańskim humanizmem i socjaldemokratycznym humanizmem”. Jan Paweł II powiedział kiedyś („Il Papa dal volto umano”, 1979), że opcja socjalistyczna katolików zaangażowanych w życie polityczne jest do przyjęcia, jeśli jest to „wersja socjalizmu, który akceptuje wymiar religijny i gwarantuje go w państwie”. O sto-

sunku Papieża do socjaldemokracji pisałem szerzej z okazji wizyty w Watykanie b. kanclerza H. Schmidta (*Kultura* nr 9/384).

Parę słów poświęcę chrześcijańskiej demokracji, bo sprawa ta nabiera aktualności w związku z pogłoskami o projekcie powołania do życia w kraju stronnictwa chadeckiego, rzekomo popieranego przez Kościół. Faktycznie byłby to manekin poruszany przez reżym wojskowy.

Zanim dojrzał wybór kardynała Wojtyły na tron apostolski, wzrastał ciężar polityczny Kościoła we Włoszech, od 30 przeszło lat rządzonych przez chadeków — spadał zaś równocześnie jego ciężar duchowy. Kościół, w rzeczy samej, utracił pozycję przewodnika duchowego w społeczeństwie, ingerując w życie publiczne pod osłoną papieża powiązanych z chadeckimi koteriami. Ten paradoks wynikał w dużej mierze z ideologicznej i politycznej instrumentalizacji chrześcijaństwa. Podobnego użytku próbują dokonywać dyktatury wojskowe w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej, przy rosnącej jednak opozycji ze strony lokalnego episkopatu i duchowieństwa. Obecny pontyfikat przyspieszył kryzys partii wyznaniowej, zwłaszcza we Włoszech, gdzie okazuje się ona coraz bardziej przeżytkiem. Świadczy o tym kryzys tożsamości partii chadeckiej, niezależnie od jej bezpośredniego udziału względnie uwikłania w afery mafijne i skandale gospodarcze. W obecnym pontyfikacie musi ona brać na karb własnej odpowiedzialności takie czy inne opcje i stąd powszechnie obserwujemy jej schyłek i degrengolada.

W ubiegłych latach jej opcją był najpierw klasyczny antykomunizm (demagogiczne wygrywanie funkcji bariery przeciw groźbie przejęcia władzy przez komunistów), potem sławetny „kompromis historyczny” z komunistami który jednak komuniści odrzucili), dziś tę opcję stanowi próba wskrzeszenia aliansu z partiami centrolewicy (socjaliści, republikanie, liberałowie). Jak twierdzą włoscy jezuici i szereg intelektualistów katolickich zrążonych definitywnie do chadecji, jej era skończyła się. Dotychczasowe próby odnowy nie powiodły się. W organie jezuitów *Civiltà Cattolica* czytamy: „Sprzeniewierzyła się ona (tzn. chadecja) nie tylko swej pierwotnej inspiracji chrześcijańskiej, ale stała się obrońcą przywilejów oraz interesów partykularnych, korporacyjnych”. Przeżarta na wskroś korupcją i mafijnymi powiązaniem, jest przede wszystkim aparatem kontrolującym głosy wyborcze i rozdzielającym posady (*lottizzazione*) z ramienia *boss'ów* odnośnych frakcji.

Sprzężenie władzy i pieniądza musiało z konieczności doprowadzić do postawienia w centrum życia publicznego Włoch tzw. kwestii moralnej. Także inne stronnictwa chadeckie w Europie dawno utraciły swą tożsamość chrześcijańsko-społeczną, przeksztalcając się w konserwatywny blok interesów elektoralnych. Wszelkie więc rzekome wzorce zachodnie dla ewentualnego powołania do życia partii chadeckiej w kraju są nie tylko anachroniczne, ale wręcz odstrasające i nie pasują do rzeczywistych problemów Polski A.D. 1983. U podłoża 16 miesięcy wolności-

wego poddmuchu w kraju, ale jeszcze przed eksperymentem „Solidarności”, tkwi rozpoczęty proces zbliżania się dwóch humanizmów: chrześcijańskiego i socjalistycznego, proces przecięcia wielkiego sporu trwającego od XIX wieku pomiędzy chrześcijaństwem a orientacją laicką, liberalną i socjalistyczną.

Ks. prof. J. Tischner w książce „Polski kształt dialogu” opowiada się na rzecz spotkania pomiędzy wartościami chrześcijańskimi i wartościami „socjalizmu etycznego”, opartego na obronie godności człowieka. W trzecim raporcie konwersatorium DiP, opublikowanym przez *Kulturę* w roku 1981, znajduje się taki fragment: „Obecny papież w swym nauczaniu społecznym odwołuje się do chrześcijaństwa ludowego, co przybliżyło to nauczanie do ideałów głoszonych przez lewicę społeczną. Zapewnia to wzrost wpływu — pośrednio także politycznego — Kościoła w całym świecie, wpływu opartego na autorytecie moralnym uznawanym coraz powszechniej również przez ludzi i siły społeczne tradycyjnie mu obce, a nawet przeciwstawne”. Po przełamaniu uprzedzeń po obydwu stronach intelektualiści katolicy z prawdziwego zdarzenia, nie chorujący na ciągoty chadeckie („neo-chrześcijaństwo”, jak ich nazywa ks. Tischner), odrzuciwszy wszelki integralizm, a intelektualiści laicy, zaprzestawszy wojującego ateizmu — powinni być świadomi konieczności odpowiedzi na wielkie wyzwanie naszych czasów: dokonania syntezy chrześcijaństwa i socjalizmu w duchu demokracji i humanizmu. Nie ma modelu na Zachodzie, który odpowiadałby naszej sytuacji historycznej i społecznej. Trzeba go dopiero stworzyć.

Dominik MORAWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 359 — MAREK TARNIEWSKI

PŁONIE KOMITET

(grudzień 1970 - czerwiec 1976)

z odniesieniami do ostatnich wydarzeń w Polsce

Str. 200.

F. 65,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Mniej więcej rok temu — po śmierci odwiecznego stróża ideologii Michaiła Susłowa — dla moskiewskich przywódców stało się jasne, że zaczął się czas wielkich pogrzebów. Leonidowi Iljiczowi Breżniewowi, głównodowodzącemu kraju który walczył z całym światem, urządzono pochówek pierwszej klasy: po pustym placu, otoczonym wojskami KGB, jechała na czołgu trumna, a za nią maszerowało czterdziestu trzech generałów niosących 52 odznaczenia marszałka Breżniewa — ordery, medale, złote odznaki... Nie wiadomo, dlaczego nie starczyło generałów dla każdego orderu. Nie wykluczone, że nawet sowiecka armia nie mogła sobie pozwolić na odkomenderowanie na uroczystości pogrzebowe więcej niż 43 generałów (pamiętajmy, że część ich zajęta jest w Afganistanie, Etiopii, na granicy chińskiej itd.). Trudno jednak nie przyznać, że przy całym splendorze pogrzebu Breżniewa pogrzeb Stalina był ładniejszy. Może dlatego, że trumnę wiozł zaprzęg białych koni idących hiszpańskim krokiem... Ale może z innych, mniej estetycznych powodów.

Tym razem sowieckie gazety nie kłamały: cała planeta utkwiała wzrok w małej grupce najmocniejszych starców w historii, stojących na mauzoleum Lenina i czytających napisane dużymi czcionkami mowy pogrzebowe.

Odkąd istnieje Związek Sowiecki, czyli od 65 lat, jego przywódcy dopiero trzeci raz wstępują na mauzoleum żeby grzebać Wodza. Jeśli ustawimy na stole fotografie tych, którzy opłakali Lenina, Stalina i Breżniewa, dostrzeżemy po pierwsze, że w pierwszych dwóch ceremoniach uczestniczyli ludzie młodzi albo w średnim wieku, a w trzeciej — zgrzybiali starcy; po drugie, że w pierwszych dwu przypadkach przepychający się ku przodowi trybuny wodzowie byli doświadczonymi działaczami rewolucyjnymi, zahartowanymi przez lata rewolucji, wojny domowej i terroru, wytresowanymi ponadto przez Stalina do peł-

nienia wyższych funkcji. Tym razem na trybunie stali urzędnicy partyjni, podobni do siebie jak dwie krople wody. Tylko po czapkach można było odróżnić, kto jest kto. Dzisiejsi żałobnicy nie mają za sobą ani rewolucyjnych, ani bojowych zasług, nie mają też na sumieniu specjalnie krwawych zbrodni (poza byłym przewodniczącym KGB). Każdy z nich mógłby zostać pierwszym sekretarzem KC, nie tyle z tytułu wybitnych zasług, ile z tytułu swojej miernoty połączonej z wieloletnim doświadczeniem partyjnego intrygantstwa, które pozwala wspinać się na wyżyny sowieckiej hierarchii.

Brak wyraźnych osobowości, brak pretendentów rwących się do tronu to niewątpliwy dowód stabilności systemu. I jest to bezsporna zasługa Breżniewa. W ciągu 18 lat kierowania partią usunął wszystkich, którzy przejawili jakiegokolwiek znamiona indywidualności i podciągnął pod jeden strychulec tych, których zostawił w kierowniczych instancjach. Socjalizm w Związku Sowieckim dojrzał i nie potrzebuje już wybitnych indywidualności.

Z wdzięczności za oddane usługi nazwisko Breżniewa usunięto ze szpalt gazet sowieckich, ledwie tylko zasypano jego grób. 24 listopada w dolnym rogu piątej strony *Izwestii* ukazało się zawiadomienie TASS-a o pełnych wdzięczności oświadczeniach mieszkańców miasteczka nad Kamą, przemianowanego na „miasto Breżniew”, i moskiewskiej dzielnicy Czeremuszki, nazwanej „rejonem Breżniewa”. Notatka nosiła tytuł: „Na wieki zapadł w pamięć narodu”. Na tym skończyły się wspomnienia o pierwszym sekretarzu.

Za to zaczęto cytować nowego pierwszego sekretarza, Jurija Władimirowicza Andropowa. Przemówienia jego ukazują się w rubryce „Leninowską drogą”. Oznacza to, że między Leninem a Andropowem nie było nikogo: Jurij Władimirowicz został oficjalnie mianowany bezpośrednim następcą Lenina. Czas znowu liczy się od zera: od listopadowego (1982) plenum KC KPZS.

Jak podaje artykuł wstępny *Izwestii* z 26 listopada ub. r. „ludzie sowieccy i cała postępową ludzkość przyjęli z ogromnym entuzjazmem decyzje listopadowego plenum KC...”.

Pierwsze przemówienie Andropowa w nowej funkcji pierwszego sekretarza (22 listopada) warto porównać z pierwszymi przemówieniami innych następców wstępujących na opróżniony tron. Po śmierci Lenina wszyscy pretendenci obiecywali, że będą trwać przy polityce NEP-u; po śmierci Stalina Malenkow a potem Chruszczow ogłosili początek epoki gruntownych reform, przede wszystkim w rolnictwie i przemyśle lekkim, któremu miano dać priorytet nad ciężkim; Breżniew zapowiedział początek reform gospodarczych. Jurij Andropow zdecydowanie oświadczył, że żadnych zmian w stosunku do dnia wczorajszego nie będzie.

Przyznawszy, że istnieją „pewne trudności” a „szereg ważnych wskaźników dowodzi”, że plan na pierwsze dwa lata „nie został wykonany”, Andropow nakreślił „główne zadania” dla prze-

zwyciężenia trudności: „powrót do efektywności produkcji spożywczej” na bazie „naukowo opracowanej polityki gospodarczej”, „przyspieszenie udoskonalania całej sfery zarządzania gospodarką — kierownictwa, planowania, mechanizmów gospodarczych”, wykorzystanie „dużych rezerw, którymi dysponuje nasza gospodarka narodowa”. Jałowość tych słów dowodnie świadczy, że Andropow nie ma najmniejszego zamiaru (bo jak?) przeprowadzenia reform strukturalnych. Sakramentalną obietnicę, składaną nieodmiennie przy wstępowaniu na tron Demiurga, powtórzył i Andropow: „Troska o człowieka sowieckiego, o jego warunki pracy i bytu, o jego rozwój duchowy pozostaje najważniejszym programowym założeniem partii”. Z dalszego ciągu tej myśli wynika jasno, że nowy pierwszy sekretarz zamierza głównie troszczyć się o „pracę”, tj. wymagać od człowieka sowieckiego zwiększenia jej wydajności, w następnej kolejności zaś zajmować się jego „rozwojem duchowym”, czyli zwiększyć nacisk propagandy i agitacji. Jeśli zaś chodzi o „byt”, to „centralne miejsce w planach partii i państwa będą jak dawniej zajmować środki, związane z realizacją programu żywnościowego”. Program ten, ostatnie dziecie Breżniewa — zbiór haseł i zaleceń, których bezpłodności dowiodły ubiegłe dziesięciolecia — pozostaje generalną linią partii w rolnictwie. Nie jest to przypadek. Utrzymując w mocy wszystkie zasady zwiększania wydajności w rolnictwie, które od czasów kolektywizacji nie dały najmniejszych rezultatów, Breżniew wytyczył zarazem produkcji rolnej zupełnie nowy kierunek, który Andropow zamierza utrzymać. Do ostatnich lat generalną zasadą partii było zwiększanie produkcji rolnej dla zaspokojenia potrzeb ludności. Program żywnościowy, zachowując na pozór dawną zasadę, stawia jednak nowe zadanie, mianowicie ograniczenie potrzeb. Wywód jest bezspornie logiczny: o ile nie można zwiększyć produkcji żywności, można zawsze zmniejszyć zapotrzebowanie na nią.

Pierwsze praktyczne posunięcia po listopadowym plenum można, przy dużej dozie dobrej woli, zaliczyć do rozdziału „troska o człowieka”. Przemawiając na plenum, Andropow nazwał po imieniu konkretne zło: „Biuro Polityczne jest zaniepokozone sytuacją w transporcie. Ministerstwo Łączności nadal nie zaspokaja potrzeb gospodarki narodowej w dziedzinie przewozu paliwa, drzewa i innych ładunków”. Przez „inne ładunki” należy rozumieć pasażerów. Nazwawszy po imieniu zło, pierwszy sekretarz natychmiast je naprawił: minister łączności został usunięty ze swego stanowiska.

Także pierwszą ustawę przyjętą po wyborze Andropowa można zaliczyć do działu „troska o człowieka”. Nazywa się ona „ustawą o granicy państwowej ZSSR” i przedstawiona została na sesji Rady Najwyższej ZSSR przez przewodniczącego KGB, W. Fiodorczyka, stającego po raz pierwszy przed sowieckim narodem. Nowa ustawa „odzwierciedla — jak zauważył przewodniczący KGB — bezustanną troskę partii komunistycznej i państwa sowieckiego o ochronę granic...”. W tekście ustawy, zajmu-

jącej półtorej stronie gazety drobnym druczkiem (26 listopada), zwraca uwagę dwukrotne powtórzenie tej troski KPZS i państwa sowieckiego. W artykule 28, dotyczącym „głównych obowiązków wojsk pogranicza”, paragraf 6 brzmi: „Wojska ochrony pogranicza winny uniemożliwić przewóz przez granicę państwową ZSSR druków, klisz, rękopisów, dokumentów, materiałów zapisanych na taśmie video i dźwiękowej, kopii filmowych i fotografii oraz innej produkcji drukowanej i obrazowej zawierającej świadectwa mogące wyrządzić szkodę politycznym i gospodarczym interesom kraju, bezpieczeństwu państwowemu i porządkowi publicznemu, zdrowiu i moralności ludności”. W artykule 29, zatytułowanym „Główne prawa wojsk ochrony pogranicza”, przytoczone wyżej wyliczenie wszystkiego, co może zaszkodzić duchowemu zdrowiu i moralności człowieka sowieckiego powtórzone jest raz jeszcze, po czym następuje dodatek: „Wojska ochrony pogranicza mają prawo... zatrzymać dla sprawdzenia wymienione materiały oraz konfiskować...”. Nowością w tej ustawie jest zaliczenie zwykłych obywateli sowieckich w poczet tych, którzy „mają obowiązek strzec granicy państwowej ZSSR”. Wspólnie z organami państwowymi, organizacjami społecznymi i osobami urzędowymi zwykli ludzie mają obowiązek „aktywnie uczestniczyć w obronie granic”.

Przewodniczący KGB Fiodorczuk wspominał o roli, jaką były przewodniczący KGB Andropow odgrywał przez 15 lat pracy na tym stanowisku — „wybitnej roli w nieustępliwym wprowadzaniu w życie linii partii, tj. pełnego ustanowienia i umocnienia leninowskich zasad w pracy organów bezpieczeństwa”. Sam obiecał kontynuować dzieło swego poprzednika i dbać, by organy KGB nie przestały grać roli „zbrojnego ramienia partii w obronie zdobyczy Października”.

Przewodniczący KGB życzył Jurijowi Władimirowiczowi „w imieniu sowieckich czekistów” nowych „wielkich dokonań dla dobra narodu sowieckiego, ku chwale naszej ukochanej ojczyzny, w interesie pokoju na świecie, w imię zwycięstwa komunizmu”.

Trzeba przyznać, że przemówienie przewodniczącego KGB było nie tylko najdłuższe, ale zawierało także najładniejsze życzenia. Wzruszającemu posłaniu czekistów nie należy się dziwić: nigdy jeszcze w historii państwa sowieckiego nie otwierały się przed szefami organów tak różowe perspektywy. Pierwszym posunięciem nowego pierwszego sekretarza było powołanie do Biura Politycznego i na stanowisko pierwszego wiceprzewodniczącego Rady Ministrów Gejdara Alijewa, starego czekisty, zajmującego od 1969 roku stanowisko pierwszego sekretarza KC kompartii Azerbejdżanu. Pięćdziesięciodziewięcioletni Alijew był od marca 1967 roku kandydatem na członka Politbiura. Teraz droga na sam szczyt stoi przed nim otworem. Można uważać, że Alijew — który w 1969 roku przeszedł ze stanowiska przewodniczącego KGB Azerbejdżanu na stanowisko pierwszego w dziejach ZSSR sekretarza KC do walki z korupcją, która w malut-

kiej kaukaskiej republice przybrała homeryckie wprost rozmiary — wezwany został do Moskwy, aby nasilić kontrolę nad korupcją na skalę całego pierwszego w świecie państwa socjalistycznego.

W Azerbejdżanie korupcji oczywiście nie zlikwidowano, tylko wytyczono jej ścisłe ramy, poza które wyjść jej nie wolno. Szczególnie twardy porządek zaprowadził Alijew w kierowniczych organach republiki, domagając się od pracowników KC, Rady Ministrów itd., aby „brali według urzędowego stopnia”. Można przyjąć, że w Biurze Politycznym Alijewowi powierzą „organy”. Wskazuje na to zwłaszcza fakt, że przewodniczącego KGB Fiodorczuka nie włączono w skład KC. Niewykluczone, że Andropow chciał zrobić z Alijewa szefa KGB ZSSR, ale po Berii Kaukazczyk na tym stanowisku może budzić „mimowolne skojarzenia”, by użyć formuły cenzorów sowieckich.

Niewykluczone, że towarzyszy Lenin byłby zadwolony z wyboru Andropowa i Alijewa. Ponad sześćdziesiąt lat temu prorocho przewidywał: „Bez takiego organu (jak WCzK — A.K.) władza ludu pracującego nie może się obyć, dopóki istnieją na świecie wyzyskiwacze...”.

W swym pierwszym przemówieniu towarzyszy Andropow nie ukrywał, że wyzyskiwacze nadal istnieją. W związku z tym część swego wystąpienia poświęcił polityce zagranicznej ZSSR. Oświadczając, że „sowiecka polityka zagraniczna była i pozostanie zgodna z wytycznymi XXIV, XXV i XXVI zjazdu”, tzn. taka, jaka była za Breżniewa, pierwszy sekretarz powtórzył podstawowe zasady tej polityki: świat dzieli się na trzy obozy — agresywnych imperialistów, wspólnotę socjalistyczną i grupę państw niezaangażowanych. Imperialistom zaproponował powrót do polityki odprężenia, do której — jak oznajmił — „należy przyszłość”. Polityka ta powinna się opierać na zgodzie Stanów Zjednoczonych na parytet w dziedzinie zbrojeń, tj. na *status quo*. Obozowi socjalistycznemu Andropow obiecał „dalsze zacieśnienie wspólnoty”, bo — jak podkreślił — „w jedności nasza siła, rękojmia niewątpliwego zwycięstwa nawet w najtrudniejszych okolicznościach”. Pierwszy sekretarz obiecał też „dalsze wspólne kroki” w rozwiązywaniu „zadań naukowo-technicznych, przemysłowych, transportowych, energetycznych i innych”, czyli innymi słowy dalszą unifikację. Krajom niezaangażowanym zaproponował jako model stosunki ZSSR z Indiami i obiecał „solidarność z narodami broniącymi niepodległości” — czyli poparcie dla wszelkich ruchów destabilizujących świat.

Zachód oczekiwał, że „liberał Andropow” zrobi gest, wyciągnie rękę. Czekał na to w swojej niepoprawnej naiwności, nie umiając się wyzbyć dziecinnej nadziei na cud, na pojawienie się na Kremlu człowieka, który wszystko wie, wszystko rozumie i chce dobrze.

Chruszczow, doszedłszy do władzy, pojechał do Tito aby się z nim pogodzić i obiecał zapomnieć o wszystkich sporach, za które, jak się okazało, winę ponosił nieboszczyk Beria.

Andropow wyciągnął dłoń do Chin, powtarzając przy tym „myśl sformułowaną przez L. I. Breżniewa”.

Pod wodzą nowego pierwszego sekretarza Związek Sowiecki kroczy ku świętu: 21 grudnia będzie z pompą obchodzić 60-lecie utworzenia ZSSR, czyli „ucieleśnienia marzeń ludzi pracy na całym świecie”, „jak stwierdził znany amerykański działacz związkowy i publicysta Herb Key” (jak to przyjemnie raz jeszcze stwierdzić, że możliwości ludzkie są nieograniczone: sowieccy dziennikarze zawsze znajdują na dzikim Zachodzie kogoś, kto powtórzy wszystko, czego im trzeba!).

Gazety sowieckie publikują korespondencje, w których widać, z jaką radością oczekują tego święta mieszkańcy wszystkich zakątków planety, np. Afgańczycy, którzy „wysoko sobie cenią poparcie Związku Sowieckiego”. W Afganistanie — donosi korespondent *Izwestii* z 30 listopada — „dojrzałe owoce przyjaźni i współpracy naszych dwóch narodów widoczne są w wielu dziedzinach”. Przede wszystkim w dalszej obecności „ograniczonego kontyngentu sowieckich wojsk”, który zresztą — jak oznajmił Babrak Karmal — „zostanie w Afganistanie dopóty, dopóki nie dostaniemy międzynarodowych gwarancji, że zostaną przerwane wszelkie akty ingerencji, agresji albo prowokacji z zagranicy”.

Jak wynika z sowieckich gazet, także obywatele PRL cieszą się na święto. Świadczą o tym nieduże wzmianki o plenarnym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, wieczornym poświęconej 60-leciu ZSSR, itp. Błędem byłoby jednak mniemanie, że w ZSSR przebaczone Polsce jej niedawne grzechy. Czołowy sowiecki krytyk literacki Jurij Surowcew ogłosił w gazecie *Znamia* nr 11/1982 głęboko teoretyczny artykuł pt. „Na gruncie realnego socjalizmu” (rubryka „Zagadnienia teorii”). Z artykułu wynika, że „przebiegłe, modernistyczno-giętkie umysły, wrocie obecnemu światu realnego socjalizmu, stawiają na nacjonalizm”. Właśnie o tym przekonuje sowieckiego teoretyka „doświadczenie polskiej wewnętrznej kontrrewolucji, od zawsze podtrzymywanej z Zachodu, kontrrewolucji, która u schyłku lat 70-tych i na początku 80-tych przypuściła atak na *socjalistyczną* (podkreślenie teoretyka) Polskę”. Zdaniem J. Surowcewa wydarzenia w Polsce były rezultatem „przeciwstawienia socjalistycznym zdobyczom narodu abstrakcyjnie pojętego czynnika nacjonalistycznego”, czyli dywersji ideologicznej, która „umiejętnie inspirowała i aktywizowała 'lokalną' drobnomieszkańską świadomość nacjonalistyczną”. Głównym (a może jedynym) źródłem odkryć J. Surowcewa jest obszernie cytowany artykuł Tadeusza Hołujy z *Trybuny Ludu*.

Nieszczęście Polski polega na „abstrakcyjnie pojmowanym czynniku nacjonalistycznym”. Kiedy czynnik ten pojmowany jest „konkretnie”, kiedy służy „realnemu socjalizmowi”, wszystko jest w porządku. Dlatego korespondent *Izwestii* w Kabulu radośnie notuje: „Kroczący na spotkanie nowego życia Kabul jak świętości broni tradycji narodowych”.

Właściwe wszystkim sowieckim teoretykom i praktykom mistrzostwo dialektyczne przejawiał również minister obrony ZSSR marszałek Ustinow, oświadczając korespondentowi TASS-a, że sowieckie rakiety SS-20, wycelowane w zachodnią Europę, są orężem pokoju, a amerykańskie rakiety Pershing, które mają dopiero być zainstalowane, są bronią agresywną.

Marszałek Ustinow uprzedza: Europa znajduje się w niebezpieczeństwie. Najlepszą jej obroną będzie rezygnacja z obrony. Pierwszy miesiąc urzędowania nowego pierwszego sekretarza nie pozwala dostrzec w nim rysów miłośnika pokoju i liberała...

Adam KRUCZEK

12 grudnia 1982

Kronika niemiecka

W Lipsku odsłonięty został ponownie pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Pomnik ten, wzniesiony w 1834 roku, zrekonstruowany w 1945 roku, obecnie orestaurowany został bezpłatnie przez pracowników wrocławskiego Oddziału Pracowni Konserwacji Zabytków, którzy odnawiają kilka pałaców w Poczdamie. ■ W listopadzie 1982 roku przybyło do RFN 2.091 przesiedleńców z Polski; w tym samym czasie ze Związku Sowieckiego przyjechało do Republiki Federalnej 126 osób deklarujących narodowość niemiecką. ■ Fundacja im. Maksymiliana Kolbego z siedzibą we Fryburgu Bryzgowijskim wspomaga aktualnie ponad 3 tys. b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (30 do 50 marek miesięcznie); ok. 2 tys. osób otrzymało pomoc jednorazową w wysokości 200-500 marek. Byli więźniowie korzystają również z pomocy w postaci sprzętu medycznego (protezy, aparaty słuchowe, wózki inwalidzkie itd.). ■ Grupa niemieckich pisarzy, naukowców i dziennikarzy, założycieli i współpracowników czasopisma literacko-politycznego *L'80*, m.in. Heinrich Böll, Günter Grass i Heinrich Vormweg, wystosowała list otwarty do gen. W. Jaruzelskiego. Fragmenty: „Proklamując stan wojenny w Polsce w nocy z 12 na 13 grudnia 1981, zniszczył Pan wielką nadzieję narodu, aspirującego do wolności i pokojowego rozstrzygnięcia konfliktów. Od tego czasu minął już prawie rok, ale nie nastąpiła dotąd normalizacja, którą Pan obiecywał. (...) Intelktualiści polscy nie są gotowi uznać prawowitości władzy opartej na przemocy. (...) Niepokoi nas fakt, że od czasu proklamowania stanu wojny sytuacja gospodarcza Polski uległa dalszemu pogorszeniu. Zaprzeczta to twierdzeniu, jakoby kryzys ekonomiczny Polski był wynikiem strajków, organizowanych przez *Solidarność*. (...) Obserwujemy z przerażeniem, jak Polska coraz głębiej pogrąża się w kryzys, od którego akt przemocy z 13 grudnia 1981 roku miał ją rzekomo uratować”. ■ Sąd monachijski skazał na karę 4,5 roku więzienia Anatola von Auera za paserstwo i próbę oszustwa. Rozprawa związana była bezpośrednio z kradzieżą obrazów w Muzeum Sztuki w Łodzi w lipcu 1981 roku. ■ Polacy zatrudnieni na budowach eksportowych w NRD zebrali 512 tys. marek na zakup leków przeznaczonych dla szpitali

dziecięcych w Polsce. ■ W wydawnictwie *Subrkamp* (Frankfurt n/Me-nem) *Biblioteka Polska* wystartowała 5 tomami: dwie antologie (poetycka za przelomu wieku i druga, obejmująca portrety 100 polskich pisarzy z próbkami ich dzieł), zbiór wierszy Czesława Miłosza, powieść Leona Kruczkowskiego *Kordian i cham* (sic!), dziennik J. C. F. Schulza z XVIII wieku pt. *Podróż do Warszawy*. *Biblioteka Polska* jest redagowana przez Karla De-deciusa i wspierana finansowo przez *Fundację im. Roberta Boscha*. ■ Prasa RFN uznaje spotkanie prezydenta Karla Carstensa z papieżem Janem Pawłem II za sukces na drodze pojednania niemiecko-polskiego; czołowe dzienniki podkreśliły, że Jan Paweł II wyraził zrozumienie dla „dążeń Niemców do posiadania jednego państwa”. ■ Na *Zamku Królewskim* w Warszawie otwarta została wystawa nabytków *Zamku* z lat 1971-1982. Ekspozowano m.in. serię portretów Sasów — dar NRD, rzeźby i portrety panujących — dar RFN (prawdopodobnie z posagu polskiej królowej Anny Konstancji pochodzą portrety, ofiarowane przez rząd boński); za pieniądze ofiarowane przez władze zachodniemieckie *Komitet Odbudowy Zamku* był w stanie nabyć szereg marmurowych popiersi monarchów europejskich z różnych epok. ■ W niemieckim kwartalniku *Kontinent* (nr 23) ukazały się eseje, opowiadania i artykuły następujących polskich autorów: Andrzeja Zagody, Tadeusza Nowakowskiego, Mirosława Drzewieckiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Marka Nowakowskiego (*Kontinent*, 5300 Bonn 2, Godesberger Allee 75). ■ Wiceprezydent *Bundestagu* Annemarie Renger (*SPD*) zainicjowała akcję pn. *Dzieci niemieckie pomagają polskim dzieciom*. Transporty żywnościowe kierowane głównie do *Domów Dziecka* w PRL są finansowane z dochodu uzyskanego ze sprzedaży naklejek *Bolka i Lolka* (znany serial telewizyjny dla dzieci). ■ W lokalu *Grupy Roboczej Solidarność* w Berlinie Zachodnim otwarto wystawę rysunków Andrzeja Krauze, polskiego grafika zamieszkałego obecnie w Londynie. Wystawa karykatur okresu stanu wojennego cieszy się powodzeniem i ma dobrą prasę. ■ *Biuro Informacyjno-Koordynacyjne NSZZ Solidarność* w Bremie rozpoczęło wydawanie *Biuletynu Informacyjnego* w języku niemieckim. Są to bardziej niż nieudane przekłady materiałów ukazujących się w paryskim *Biuletynie Informacyjnym Solidarność*. ■ Wypowiedź Dietricha Scholze, historyka literatury polskiej, pracownika *Akademii Nauk NRD* opublikowana na łamach *Gazety Lubelskiej*: „Urodziłem się i wychowałem w Budziszynie. Tam mieszkając prawie nic o Polsce nie słyszałem. (...) Moi koledzy też nic nie wiedzieli i nie interesowali się Polską. Nikt w nich tych zainteresowań nie rozbudził. Temat — Polska — w szkole występował rzadko. (...) Może teraz sytuacja się zmienia, ale ja mam właśnie takie wspomnienia ze szkoły, którą ukończyłem w 1969 roku”. Dietrich jest zdania, że ostatnio jest nieco lepiej: „Ludzie jechali na urlop i znajdowali w Polsce przyjaciół. Wracali z pozytywnymi odczuciami. Są na przykład młodzi w NRD, którzy fascynują się Polską, polskim stylem życia. Nie jest to liczna grupa, ale jest. Najczęściej są to osoby skłócone z własnym środowiskiem”. Dietrich kończy słowami: „Nie mógłbym jednak zamieszkać na stałe w Polsce. Jestem za bardzo niemiecki, żeby przestawić się na pewien luz, który u was panuje. To jest dobre na parę dni, ale nie na całe życie. Mnie by to po prostu przeszkadzało”. ■ Na urządzonym w Berlinie Zachodnim przez *Comenius Club* seminarium dr Machowski z tamtejszego *Institutu Wiedzy Gospodarczej* stwierdził, że obecna sytuacja PRL, a także poczynania jej społeczeństwa skłaniają do zastanowienia się nad udzieleniem Warszawie 10-letniego moratorium w spłatach zaciągniętych pożyczek i odsetek od nich. Dr Machowski, zdecydowany przeciwnik *Solidarność*, uznał też, że Polsce potrzebne są dalsze kredyty. Z polskiej strony na sympozjum obecni byli: dr Eugeniusz Tabaciński z *Institutu Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego* w Warszawie oraz dziennikarz dr Julian Bartosz z Wrocławia.

wia. Ten ostatni należy do grupy polskich publicystów, którzy zawzięcie torpedowali wszelkie inicjatywy zmierzające do odprężenia między Bonn a Warszawą. ■ W 1981 roku RFN zajmowała czwarte miejsce na polskiej liście importatorów. W 1981 roku import zmniejszył się o ponad 25 %, zaś eksport o ponad 17 % w porównaniu do 1980 roku. RFN jest głównym wierzycielem Polski. Jerzy Kleer w *Polityce*: „Spłacanie odsetek, a także długu tylko za pośrednictwem eksportu dóbr jest bardzo trudne czy wręcz niemożliwe, przynajmniej w latach najbliższych. Trzeba szukać innych rozwiązań. Wydaje się, że jednym z nich mógłby być eksport usług, w kooperacji z firmami zachodniemieckimi, na rynki trzecie”. ■ Zbigniew Bujak wystosował w połowie października 1982 roku list do zachodniemieckiej centrali *Niemieckich Związków Zawodowych DGB*, z którą nawiązał osobiste kontakty podczas swojej wizyty w RFN w 1981 roku. W liście poinformował, że mimo decyzji władz *Solidarność* pozostaje legalnym związkiem zawodowym i tak też powinna być traktowana przez światowe organizacje związkowe. Bujak zaapelował o poparcie na forum tych organizacji walki *Solidarność* o odzyskanie pełnych praw związkowych. ■ W Monachium ukazał się polski tom międzynarodowej serii *Who's Who in Poland*. Wydawcą opublikowanej w języku angielskim pozycji jest oficyna *Redseries Verlag GmbH*. Zawierający ok. 4 tys. biogramów tom polski przygotowany został przez reżymową *Agencję „Interpress”*. Recenzja w warszawskiej *Polityce* nie jest pochlebna: „Lesław Tokarski jest, a Edwarda Gierka nie ma. (...) Wśród działaczy byłej *Solidarność* selekcja jest dziwna — jest Lech Wałęsa, niektórzy ówczesni doradcy są, innych nie ma. (...) Nie ma też Osieckiej, Mikołajskiej, Mrozowskiej ani Beaty Tyszkiewicz. (...) Andrzej Słowik jest (przy skazanych za działalność przeciw stanowi wojennemu podane są nawet wyroki), natomiast Rulewskiego i Bujaka nie ma. (...) Ponadto, poważnie mówiąc, niewybaczalnym błędem jest brak Józefa Cyrankiewicza i innych centralnych postaci”. *Who's Who in Poland* kosztuje \$ US 80,00. ■ W Berlinie Zachodnim i w innych miastach niemieckich koncertowały polskie zespoły jazzowe: *Old Timers, Come Back, Spirituals and Gospels, Gold Washboard i Osjan*. ■ W porównaniu z RFN i Francją, wydajność pracy w NRD jest o 30 % niższa — oświadczył na *V Plenum KC NSPJ* Erich Honecker. ■ Do Berlina Zachodniego został uprowadzony kolejny samolot *PLL LOT*, odbywający rejs na linii wewnętrznej z Wrocławia do Warszawy. Porywaczem samolotu był 22-letni Piotr Winogrodzki, funkcjonariusz *MO* i członek ochrony samolotu. Winogrodzki postrzelony został na lotnisku Tempelhof przez jednego z pozostałych członków ochrony samolotu *AN-24*. Poza porywaczem 4 pasażerów poprosiło o azyl w Berlinie Zachodnim. ■ Z oficjalną wizytą przebywali w PRL przedstawiciele zachodniemieckiego koncernu *Badische Anilin- und Soda Fabrik (BASF)*. *BASF* zakupuje w Polsce siarkę, surowce farmaceutyczne i inne chemikalia. PRL importuje: środki ochrony roślin, barwniki, surowce farmaceutyczne i półprodukty chemii organicznej. Rozmowy dotyczące współpracy w latach 80-tych między koncernem *BASF* a centralą *CIECH*. ■ *Katolicki Chór Studentów św. Anny* z Warszawy nagrał podczas występów w RFN płytę gramofonową (cena 25 DM). Zamówienia: Pastor J. Pohlmeier, Silmecke 19, D-5768 Sundern. ■ Kazimierz Braun pracuje w Esslingen nad *Wieczorem trzech królów* według Szekspira: choreografię przygotowuje Marta Bochenek. ■ Adam Hanuszkiewicz podjął współpracę z zespołem aktorskim *Städtische Bühnen* w Monastyrze (Westfalia). Wyreżyseruje tam spektakl zatytułowany *Markiza von Villers*. ■ Podczas *Katholikentag* w Düsseldorfie sporem zainteresowaniem zwiędzających cieszyło się stoisko *Stowarzyszenia Katolików Polskich — Polonia semper fidelis* z siedzibą w Moers (Erich-Kästner-Str. 13, D-4130 Moers 2). *Stowarzyszenie* wydaje biuletyn pn. *Znak Czasu*; redaguje dr inż. Jan A.

Szponder. ■ Liczba prenumerat periodyków naukowych sprowadzanych z RFN przez biblioteki *Polskiej Akademii Nauk* zmniejszyła się o 498 tytułów w porównaniu z r. 1980. ■ *Ostatnie Wiadomości* informują, że *Teatr Narodowy* w Mannheim wysłał po raz drugi 2,5 ton żywności oraz 0,5 ton odzieży do *Teatru Współczesnego* we Wrocławiu. *Parafia Dwunastu Apostołów* z dzielnicy Vogelsang po raz trzeci zawiozła do Nysy i Zabrze 9 ton żywności i lekarstw. Na granicy NRD musiano cały transport wyładować, przedstawić do skrupulatnej kontroli i ponownie załadować na ciężarówki. ■ W NRD aresztowano trzech obywateli RFN, konwojujących transporty żywności i leków do Polski. Jednym z nich jest działacz związku zawodowego pracowników koncernu *Neue Heimat*, kontrolowanego przez centralę *Niemieckich Związków Zawodowych (DGB)*, u którego ponoć wschodniemiecka straż graniczna znalazła antynerdowską bibułę. ■ Günter Grass został wyróżniony nagrodą *Fundacji Feltrinelli* (175 tys. marek) za całokształt twórczości pisarskiej. ■ Wacław Piątkowski, b. ambasador PRL w Bonn, jeden z głównych sprawców bezmyślnego brania pożyczek przez Polskę w Niemczech Zachodnich i zawierania *ad hoc* niekorzystnych umów z niemieckimi firmami (w wyniku zupełnej nieznajomości podstawowych zasad rachunku ekonomicznego), opublikował swoje wspomnienia w tygodniku *Rzeczywistość*. ■ *Unionsverlag* w Zurychu wydał powieść Adama Zagajewskiego *Das absolute Gehör (Absolutny słuch)* w przekładzie Christy Vogel. ■ Opowiadanie Sławomira Mrożka pt. *Der Affe und der General (Matka i General)* ukazało się w ilustrowanym dodatku *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Tłumaczył Witold Kośny. ■ W *Galerii Teatrów Miejskich* w Osnabrück otwarto wielką wystawę europejskich plakatów teatralnych z lat 1960-1982 ze zbiorów Tini i Erdmuta Augustów. W ekspozycji bierze udział 80 autorów z 18 państw; na wystawie znalazło się 29 plakatów polskich autorstwa Aleksiana, Cieslewicza, Czerniawskiego, Klimowskiego, Lenicy, Marcina Mroszczaka, Młodożeńca, Pagowskiego, Sawki, Starowieyskiego, Świerzego, Tomaszewskiego i Urbanca. Osobne miejsce na wystawie zajęły prace Polaków anonujących premiery w teatrach zachodniemieckich. ■ W *Polskim Ośrodku Informacji i Kultury* w Lipsku wręczono odznaki *Zastużony dla kultury polskiej* 29 obywatelom NRD, m.in. prezesowi lipskiego *Towarzystwa Naukowego Jabłonowskich „Societas Jabloviana”* dr Heinzowi Schuster-Sevc. Zespołową odznakę otrzymała lipska sekcja *Towarzystwa im. Chopina*. ■ W zachodnioblińskiej *Kommunale Galerie* wystawiano prace polskich malarzy i grafików: Heleny Szackiej-Bochle, Jana Abstawskiego, Edmunda Gunschca i Andrzeja Woronca. ■ Krajoznawczy album omawiający jednocześnie dorobek kulturalny Polski wydał Karl Dedecius w serii *Merian-Buch*, nakładem hamburskiego domu wydawniczego *Hoffman und Campe Verlag*. Szkoda tylko, że wydawca znów po macoszemu potraktował polskich pisarzy emigracyjnych. Zamówiony u Witolda Wirpszy artykuł z niewiadomych przyczyn nie został opublikowany. Zaliczanie przez wydawcę Isaaka Singera w poczet „polskich laureatów Nagrody Nobla” jest grubym nieporozumieniem. We wspaniałej szacie graficznej wydany album *Polen* kosztuje 125 DM (str. 256). ■ Niemiecka sekcja międzynarodowej organizacji *PAX-Christi* (Frankfurt) kontynuuje akcję zbiórki pieniędzy na *Fundusz Pomocy Więzionym w Polsce*. ■ Xymena Zaniewska i Mariusz Chwedeckich opracowują scenografię do *Kariery Artura Ui* Brechta w Hamburgu oraz wraz z Iwo Zaniewskim scenografię do *Ambasadora* Mrożka dla teatru w Getyndze. ■ *Życie Warszawy*: „Przedstawiciele polonijnych kół przemysłowych w RFN (dowiadują się po raz pierwszy, że istnieje polscy przemysłowcy w Niemczech Zachodnich! — A. J. Ch.) wyrazili żywe zainteresowanie rozwojem współpracy gospodarczej z Polską. (...) Najnowsze posunięcia ustawodawcze rządu polskiego stwarzają korzystne warunki dla wszyst-

kich, którzy chcieliby zainwestować swoje środki w uruchomienie przedsiębiorstw lub zakładów, pracujących na potrzeby rynku i eksport”. Dotąd te „polonijne inwestycje” z RFN ograniczyły się do otwarcia... myjni samochodów w Warszawie. ■ *Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP)* działająca w RFN otrzymuje subsydia z NRD w wysokości 60 mln marek rocznie. Centrala *DKP* w Düsseldorfie kieruje pracą 200 biur na terenie RFN i dysponuje 4 ośrodkami szkolenia; specjalne kursy ukończyło ok. 3 tys. agitatorów. ■ Jan Paweł II przyjął na prywatnej audyencji delegację *Komisji Katolików* z Kolonii. *Komisja* zorganizowała już 58 transportów z żywnością, która została rozdzielona wśród mieszkańców *Archidiecezji Krakowskiej*. ■ Głosami partii chadeckich i *Wolnych Demokratów* przyjęto w *Bundestagu* rezolucję domagającą się m.in. uwolnienia wszystkich więźniów politycznych z Janem Józefem Lipskim, oddzielnie wymienionym, na czele. ■ Sekretarz Stanu w Bońskim *Auswärtiges Amt* Jürgen Mollmann: „Rząd Federalny potępia likwidację *Solidarności*. Zakaz ten przeczy wszystkim obietnicom rządu PRL i jest ciężkim pogwałceniem *Końcowego Aktu* z Helsinek i innych międzynarodowych porozumień. (...) Poza tym zakaz *Solidarności* jest jeszcze jedną przeszkodą we wznowieniu normalnej współpracy z PRL”. ■ Kanclerz Helmut Kohl podkreślił, jak ważne i istotne są dla RFN losy polskiego sąsiada, raz jeszcze zaakcentował z naciskiem potrzebę dalszej pomocy materialnej ze strony obywateli niemieckich, która najlepiej służy sprawie pojednania między obydwoma narodami. „My, Niemcy, nie będziemy — stwierdził Kohl — oportunistycznie uchylać się od zajęcia stanowiska w sprawach godności człowieka, w sprawach praw obywatelskich i demokracji w Polsce. Będziemy o tym głośno mówić, bo Polska jest naszym sąsiadem, jest naszym ważnym sąsiadem” — podkreślił kanclerz Kohl w udzielonym dla *Deutschlandfunk* wywiadzie. ■ Cztery organizacje charytatywne: *Caritas*, *Malteser-Hilfswerk* i *Diakonisches Werk* Kościoła Ewangelickiego wysłały do Polski w ciągu ostatnich 18 miesięcy (do 1.12.1982) 32.500 ton żywności, odzieży i lekarstw wartości 144,1 mln marek. Tylko w listopadzie 1982 roku osoby prywatne wysłały do Polski 1.184.000 paczek (w ciągu całego roku 1982 przez centralną rozdzielnię pocztową w Hanowerze przeszło ponad 6,5 mln paczek w kierunku Polski). ■ *Bundesrepublik Deutschland — Volksrepublik Polen. Kulturelle Zusammenarbeit (RFN - PRL: Współpraca kulturalna)* nosi tytuł znakomicie zestawionej dokumentacji przez Wienfrieda Lipschera i wydanej przez *Deutsches Polen-Institut* w Darmstadtzie. W dokumentacji zebrano m.in. umowy o partnerstwie miast i uniwersytetów, zamieszczono dokładną kronikę polskich imprez kulturalnych w RFN i niemieckich w PRL. Książka zawiera spis wszystkich fundacji, odnotowuje polskich laureatów różnych nagród w Republice Federalnej i odwrotnie, podaje wskazówki dotyczące korzystania z bibliotek i archiwów, przynosi dokładne sprawozdania z działalności prozeżymowego *Towarzystwa Niemiecko-Polskiego* i wreszcie zamieszcza kompletną listę PRL-owskich placówek w RFN. Cenna dokumentacja-przewodnik odnotowuje wreszcie adresy polskich organizacji emigracyjnych. Zamówienia: *Deutsches Polen-Institut*, D-6100 Darmstadt, Alexandraweg 28 (str. 288, cena 5 DM). ■ *VIII Zjazd Polskiej Partii Socjalistycznej* w *Obczyźnie* obradował w Kolonii, w 90-tą rocznicę powołania PPS. Znaczną większość delegatów stanowili nowi emigranci polityczni. Wśród 52 pełnoprawnych delegatów emigranci z okresu drugiej wojny światowej stanowili już mniej niż 20%. Referaty wygłosili prof. J. Lerski (San Francisco), M. Chojecki (Paryż), Krystyna Nurkowska (Wuppertal), Julian Sak (Chicago), prof. Andrzej Zięba (Wiedeń) i inż. W. Gruszewski (Berlin Zachodni). Przewodniczącym *CK PPS* wybrany został Tadeusz Podgórski (Monachium), a stanowiska sekretarzy powierzono: Mieczysławowi Magierze (Londyn) i inż. Wojciechowi Słomkowskiemu (Monachium).

■ Przebywający od października 1982 w Berlinie Zachodnim jako stypendysta *Institute for Advanced Study* Władysław Bartoszewski udzielił kilku obszernych wywiadów prasowych, m.in. tygodnikowi *Der Spiegel*, *Katholische Nachrichten Agentur* oraz rozgłośni radiowej RIAS. Dr Albus z ogólnoniemieckiego programu telewizyjnego ZDF odbył z nim półgodzinną rozmowę (powtórzoną dnia następnego w programie dla szkół). Echa wywiadów Bartoszewskiego znajdujemy w niemieckim wydaniu *Osservatore Romano*, gdzie obszernie zreferowano jego wypowiedzi na temat moralnego znaczenia ruchu *Solidarność* w społecznym życiu Polski oraz przeciw używaniu siły zarówno przez reżym, jak i przez obywateli. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* poświęciła specjalne felietony rozmowie telewizyjnej z Bartoszewskim oraz jego wykładowi na Uniwersytecie we Frankfurcie (o roli kościołów chrześcijańskich w okupowanej Polsce w latach 1939-1944, na przykładzie Warszawy). Bartoszewski uczestniczył też w walnym zjeździe delegatów sekcji niemieckiej międzynarodowej organizacji *Pax Christi* w Osnabrück, gdzie zegnał — w imieniu redakcji *Tygodnika Powszechnego* i środowisk z nim związanych — Reinholda Lehmana, ustępującego po 13 latach sekretarza generalnego niemieckiej sekcji *Pax Christi*, szczególnie zasłużonego w dziele rozwoju stosunków katolików niemieckich i polskich oraz w akcji pomocy dla Polski.

W końcu listopada 1982 odbyła się w Stuttgarcie sesja naukowa zorganizowana przez *Akademii Diecezji Rottenburg-Stuttgart* wraz z *Fundacją im. Maksymiliana Kolbe* pod hasłem: *Pamięć Oświęcimia. Maksymilian Kolbe i siła pojednania*. Referat wstępny wygłosił specjalnie zaproszony przez organizatorów Władysław Bartoszewski, który zwracał m.in. uwagę na niepodzielność pojęć pokoju i praw osoby ludzkiej w nawiązaniu do nauki Jana Pawła II.

Andrzej J. CHILECKI

SOLIDARNOŚĆ Z „SOLIDARNOŚCIĄ” W KOLONII

Na imprezę zorganizowaną 11 grudnia 1982 roku przez lewackie ugrupowania studenckie, do *Hali Miejskiej* w Kolonii-Mülheim przybyło ok. 500 osób. Wśród organizatorów, rzecz jasna, dominowali komuniści różnych kolorów i odcieni, z przewagą wszechobecnych trockistów i niesłychanie aktywnych aparatczyków spod znaku „zielonych”. Na znak protestu przeciwko obecności komunistów z udziału w wiecu zrezygnowali: Simone Langrock, wydalona z NRD entuzjastka „*Solidarności*”; przedstawiciel nielegalnej węgierskiej grupy demokratycznej „*Szeta*” i sekretarz *Niemieckich Związków Zawodowych (DGB)* — Klaus Westermann. Odmówił również przybycia znany pisarz rosyjski, obecnie zamieszkały w Kolonii, Lew Kopelew. Za to licznie zjawili się młodzi Polacy, całkowicie zdezorientowani i nie mający pojęcia jakie są układy na peryferiach życia politycznego w RFN. Np. na wiecu przemawiał Kazimierz Kunikowski z *Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność”* w Bremie, opłacanego przez *Niemieckie Związki Zawodowe*... Impreza była zresztą dobrze rozreklamowana (organizatorzy podali na plakatach złożone maleńką czcionką zaledwie enigmatyczne skróty nazw poszczególnych partii, ugrupowań i związków. Można było jednak wiedzieć, że pod skrótem „*KBW*” kryje się *Związek Komunistów Niemiec Zachodnich*).

Część artystyczna była niezła. Występował popularny na Zachodzie polski

piosenkarz Jacek Kaczmarski oraz wydalona z NRD kontrowersyjna artystka estradowa — Ewa Maria Hagen. Imprezę tak ważną i potrzebną jednak wykorzystwały i zdyskontowały dla siebie różne ugrupowania i partie lewackie, polujące stale na takie okazje, wciskające się gdzie można, starające się za wszelką cenę przechwytywać społeczne inicjatywy. Jeden z uważnych obserwatorów: „Ich programy nie są popularne, po prostu puste, więc od trzech lat wygodnie im ujeżdżać *Solidarność*”.

W *foyer Hali Miejskiej* rozłożyły w ten dzień swoje liczne stoiska wydawnictwa różnych lewackich ruchów z anarchistami włącznie. Niektóre tytuły: *Trocki dla początkujących*, *Lenin dla początkujących*, *Brytyjski imperializm w Irlandii*, książki przeciw *Bundeswehrze*, *CIA*, statuty *KPD*, było pismo *Rote Fahne (Czerwony Sztandar)* organ *Marksiwistowsko-Leninowskiej Partii Niemiec*, założonej w sierpniu 1982 roku. Nigdzie natomiast nie można było znaleźć publikacji o sowieckich zbrojeniach, o *KGB*, o przesładowaniu opozycji w Sowietach. Zaledwie kilka dość ciekawych pozycji dotyczących spraw polskich, np. zbiór artykułów Adama Michnika i Jacka Kuronia; ich ukazanie się należy zawdzięczać kilku lewicowym naukowcom i dziennikarzom, którzy nasze problemy traktują jak trzeba. Na szczęście ruch „*Solidarności*” okazał się silniejszy od politycznych spekulacji organizatorów, którzy na samym początku imprezy puścili w ruch mocne akcenty antyamerykańskie („protestujemy przeciwko rakietom amerykańskim, stacjonującym w RFN”). Duża w tym zasługa Jiří Pelikana, członka *Parlamentu Europejskiego*. Powiedział on wyraźnie, że Europa myśląc o przyszłości, o walce o wolność i sprawiedliwość, powinna stale pamiętać kto jej udzielił historycznych lekcji: Budapeszt 56, Praga 68 i Warszawa 81. Z naciskiem podkreślił, że trudno zrozumieć lewicowych polityków wychwalających np. Breżniewa, jako wielkiego męża stanu, a zapominających, że dla ruchu wolnościowego w Czechosłowacji, Afganistanie i Polsce z jego nazwiskiem związane są najgorsze doświadczenia: „Nie żądaliśmy jedynie zwolnienia Lecha Wałęsy i innych internowanych, ale także i tego by mogli dalej działać w wolnych związkach zawodowych, i o to będziemy walczyć dalej”. Również wystąpienie przedstawicielki studentów polskich, Anki Krajewskiej z Paryża, stanowiło jeden z ciekawszych momentów omawianej imprezy. Krajewska przedstawiła działalność *Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS)* od powstania we wrześniu 1980 roku, jako pierwszej niezależnej organizacji studenckiej po drugiej wojnie światowej, do bogatej działalności obecnie po jej zdelegalizowaniu. Anka Krajewska omówiła dalej struktury podziemne *NZS* walczące z próbą zniewolenia studentów. Dowodem tego były manifestacje na uniwersytetach w dniu 10 listopada, ub.r. kiedy nie powiódł się zapowiadziany strajk generalny.

Na tle tych wystąpień niezrozumiałym i dużym zgrzytem było przemówienie Seweryna Blumsztajna z Paryża, wydawcy *Biuletynu Informacyjnego „Solidarność”* i byłego członka *KSS „KOR”*. Stwierdził on dosłownie, iż „*Solidarność*” w Polsce „liczy na lewicę zachodnią”, bo ona jest jej „ideowo najbliższa; jest naszym najwierniejszym sojusznikiem, zwłaszcza lewica niemiecka; program *Solidarności* był ruchem lewicy; lewica zachodnia i *Solidarność* są gwarantem pokoju w Europie”...

Może najlepszą i najbardziej dosadną odpowiedzią na te wynurzenia były słowa zawarte w piosence Jacka Kaczmarskiego, poświęconej polskim dzieciom:

„Gdy się skończy już to uszystko,
gdzieś kolo lata,
będę antysocjalistą,
takim, jak mój tata”.

(ajch)

Kronika austriacka

Prasa austriacka szeroko rozpisująca się o „wiedeńskim rozdziale” w życiu autora zamachu na ambasadę PRL w Bernie, podkreślając, że był on skazany w Austrii za działalność wywiadowczą na rzecz PRL. W związku z tym *attaché* prasowy ambasady w Wiedniu miał pełne ręce roboty: m.in. zjawiał się w redakcji tygodnika *Profil*, żądając zamieszczenia sprostowania artykułu o Kruszyku. Jeszcze ciężiej pracują pracownicy polskiego konsulatu w Wiedniu. Ponieważ po zamachu berneńskim interesanci nie są wpuszczani do ambasady, portier rezyduje przy furtce, biegając z papierkami od petenta do gabinetu danego urzędnika i z powrotem. Należy się spodziewać, że tej wiedeńskiej zimy ulubionym strojem polskiego dyplomaty będzie waciak. ■ Od 13.12.1981 r. 5.200 obywateli PRL poprosiło o azyl polityczny w Austrii. W dniu 1.10.ub.r. na ogólną liczbę 12.554 azylantów w obozach było 8.172 Polaków. ■ W związku z setną rocznicą urodzin Karola Szymanowskiego odbyło się w Wiedniu wiele imprez muzycznych poświęconych twórczości polskiego kompozytora. Mimo znakomitego poziomu artystycznego jubileuszowy koncert w sali mozartowskiej największego zespołu sal koncertowych Wiednia, tzw. Konzerthaus, cieszył się niezbyt dużym zainteresowaniem. Występowali pianista Andrzej Ratuśki, mezzosopranistka Ewa Podlęś z akompaniamentem Haliny Krystenko i Warszawski Kwartet Smyczkowy. 11.10.ub.r. radio austriackie poświęciło Karolowi Szymanowskiemu dłuższą audycję. ■ 14.10.ub.r. 28-letni Zbiegniew Purgal wprowadził do Wiednia samolot bułgarskich linii lotniczych, lecący z Burgos do Warszawy. 18.11 został on wraz z żoną Marią skazany na (odpowiednio) dwa lata więzienia i rok z zawieszeniem. Po zakończeniu rozprawy obrońcy oskarżonych zainicjowali na sali sądowej zbiórkę pieniędzy dla skazanych, w której uczestniczył również cały Wysoki Sąd. ■ „Rozwój sytuacji w Polsce obala mit, jakoby komunizm reprezentował interesy klasy robotniczej” — stwierdził szef austriackiej opozycyjnej Partii Ludowej Alois Mock. W dalszej części swojej wypowiedzi na posiedzeniu zarządu Stowarzyszenia Konserwatywnych Partii Europy zauważył on, że przy pełnym poszanowaniu dla dorobku tegorocznych kandydatów pokojowej nagrody Nobla należało należeć, że nie wyróżniono tą nagrodą tych, którzy z narażeniem własnej egzystencji walczą o pokój. Zarząd Stowarzyszenia Konserwatywnych Partii Europy (EDU) obradujący 17 października w Wiedniu w swojej rezolucji żąda przywrócenia swobód związkowych w Polsce i wypuszczenia wszystkich internowanych. Przy Stowarzyszeniu utworzono komisję zajmującą się sprawami związanymi z Polską, w szczególności zaś ich aspektem gospodarczym. ■ Komentarz *Kuriera* z 18.10.ub.r.: „Rząd racjonujący majtki sam siebie obraża”. ■ 21.10.ub.r. został zatrzymany w Kufstein (Tyrol) pięćdziesięcioletni obywatel polski Andrzej Filipkowski pod zarzutem szpiegostwa w czasie trwających manewrów armii austriackiej. ■ Austriacka Partia Ludowa zgłosiła w parlamencie wniosek o zniesienie obowiązku posiadania wizy wobec obywateli PRL. Obowiązek ten został wprowadzony na początku grudnia ub. roku. ■ 22.10.ub.r. odbyła się w Instytucie Polskim w Wiedniu prelekcja prezesa Stowarzyszenia Prawników Polskich i posła na Sejm Zdzisława Czeszejki-Sochackiego o nowej ustawie o związkach zawodowych. Na pytanie z sali, dlaczego w nowej ustawie wykluczono z góry możliwość ponownej rejestracji NSZZ „Solidarność” prezes odpowiedział, że opracowując ustawę

musieli w końcu przyjąć jakąś koncepcję i że zdecydowali się akurat na taką, a poza tym teraz przynajmniej wszyscy mają równe szanse (zespół redakcyjny *Kroniki* rozważa wobec tak bogatego materiału możliwość wprowadzenia stałej rubryki „Nonsens miesiąca”). ■ Do 1984 roku PRL zamierza podnieść eksport węgla do 40 mln ton. W roku bieżącym Austria importuje z Polski 1 mln ton węgla, w latach następnych import ten ma być zwiększany o 0,2 mln ton rocznie. Głównym odbiorcą polskiego węgla są państwowe Zjednoczone Zakłady Przerobu Stali Szlacheńnych (VÖEST). PRL podpisała z Austrią 20-letni kontrakt na dostawy węgla. ■ Władze finansowe Wiednia, Austrii Dolnej i Burgenlandu wydały nieoficjalne pouczenie dla urzędników podatkowych dotyczące możliwości odliczenia prowizji wypłacanych przedstawicielom handlowym krajów socjalistycznych. Prowizje i prezenty oferowane przez zainteresowane firmy mogą być odliczane od podatku bez obowiązku podawania personaliów obdarowanego. ■ Już druga książka ks. Józefa Tischnera (po „Etyce Solidarności” „Polski kształt dialogu”) ukazała się nakładem wydawnictwa *Styria* z Grazu. 3 listopada ub.r. ks. dr Józef Tischner wystąpi z wykładem w sali Stowarzyszenia Studentów Katolickich w Wiedniu. ■ W austriackim *Zsolny Verlag* ukazała się książka Brigitte Szwajger i Evy Deutsch pt. „Galizianerinnen”. Monolog polskiej Żydówki notowany przez austriacką pisarkę uważany jest za majstersztyk językowy i narracyjny. Dużo miejsca zajmują w nim wojenne przeżycia autorki — wówczas paronastoletniej dziewczynki — w Polsce. ■ Z obszernego wywiadu z Milovanem Džilasem, zamieszczonym w tygodniku *Profil*: „... Obecny rząd polski zmierza najwidoczniej do następującego rozwiązania: chce zejść z drogi reform, oszukać i wymanewrować zarówno własny naród jak i Sowietów, tak, aby wszystko pozostało po staremu. Ale to właśnie może doprowadzić do sytuacji bez wyjścia... Według mnie wydarzenia w Polsce będą miały ciąg dalszy. Już w tej chwili osłabły one znacznie spójność Europy Wschodniej, w tym także jej spójność militarną”. ■ Młoda Austriaczka z Karyntii, Sonia L'Allemand, zorganizowała prywatną akcję pomocy rodzinom polskim. Rodziny austriackie, szwajcarskie i niemieckie przejęły w ramach tej akcji patronat nad 1.361 rodzinami polskimi. W Tyrolu akcję pomocy Polsce od wielu lat prowadzi inż. Bruno Gottwald. W czasie tradycyjnej już tegorocznej akcji świątecznej zebrał i zawiązał do Polski 30.000 paczek, przeznaczonych dla dzieci z niezamożnych rodzin i dla mieszkańców domów starców. ■ Na temat niezwykle powolnej odprawy celnej na granicy czesko-austriackiej prowadzone są od lat rozmowy między Austrią a Czechosłowacją. Ostatnio udało się osiągnąć pewne sukcesy: postój graniczny ekspresu „Chopin”, będącego jedynym połączeniem na trasie Wiedeń-Warszawa-Moskwa, został przez Czechów skrócony z dwóch godzin do 40 minut. Wiadomość o stałym drastycznym opóźnieniu tego pociągu była od lat nieodłącznym punktem programu radiowego dziennika porannego. ■ 3 listopada ub.r. podpisano w Wiedniu porozumienie w sprawie niegwarantowanych płatności PRL przypadających do spłaty w 1982 roku (niegwarantowane płatności stanowią ok. 40% długów PRL, reszta to kredyty rządowe). Przedstawiciele ponad pięciuset banków zachodnich zgodzili się na następujące warunki: odroczenie 95% płatności kapitałowych przypadających do spłaty w roku 1982 (2,4 mld dolarów). Pozostałe 5% zostanie spłacone w dwóch ratach w 1983 roku. Odsetki zostaną spłacone w pełni w trzech ratach poczynając od 19 listopada ub. roku. Ponadto podpisano porozumienie o krótkoterminowych tzw. rewolwingowych kredytach transakcyjnych na okres trzech lat. Polscy ministrowie finansów i handlu zagranicznego przeprowadzili również szereg rozmów z przedstawicielami rządu i banków austriackich. Porozumienie o odłożeniu i restrukturyzacji zadłużeń jest przez wielu ekspertów zachodnich określane jako odroczenie bez szans na realizację. Mimo to uważa się,

że obie strony odniosły pewien sukces: Polska nie musiała ogłosić bankructwa i otrzymała od banków zachodnich kredyty na pokrycie spłat procentów, a banki zachodnie mogły wpisać swe kredyty dla Polski ciągle jeszcze po stronie „wierzytelności” w bilansach. Helmut Ferenz, przedstawiciel wiedeńskiego instytutu zajmującego się poradnictwem w dziedzinie handlu ze Wschodem, uważa natomiast za realistyczne następujące rozwiązanie: należałoby zapewnić Polsce duży kredyt na 15-20 lat na dobrych warunkach — podobnie jak to uczyniono w latach sześćdziesiątych wobec Indonezji. Jednocześnie należałoby ułatwić Polsce wejście na rynki zachodnie, a nawet rozważyć możliwość luźnego związania PRL ze Wspólnym Rynkiem. Zachodnie banki i przedsiębiorstwa powinny by utworzyć konsorcjum gospodarcze dla odbudowy gospodarki PRL. ■ 10 listopada ub.r. również i austriackie związki zawodowe przyłączyły się do akcji solidarnościowej. Nie odjechał ekspres Chopin i nie odprawiano przesyłek pocztowych do Polski, a odlot samolotu do Warszawy odbył się z wielogodzinnym opóźnieniem. 1.11.ub.r. zorganizowano w centrum miasta pochód z pochodniami na znak protestu przeciwko delegalizacji „Solidarności”. ■ W przyszłym roku władze PRL planują otwarcie ośrodka kultury austriackiej w Krakowie. ■ Kanclerz Austrii dr Bruno Kreisky przedstawił podczas konferencji pokojowej w Instytucie im. Rennera inicjatywę Austrii w sprawie Polski: „Zadaniem rządu austriackiego jest opracowanie dokumentu o możliwościach gospodarczej pomocy narodowi polskiemu”. U źródeł tej inicjatywy leży nie tylko chęć uregulowania gospodarki PRL, ale i obawa przed politycznymi konsekwencjami kryzysu. Kreisky: „W związku ze sprawą polską widzę prawdziwe niebezpieczeństwo wojny”. ■ W październiku i listopadzie odbył się szereg imprez związanych z Polską, m.in. w Baden i w Klagenfurt, w Bad Vöslau, Innsbrucku i Grazu.

Redaguje ZESPÓŁ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

WZNOWIENIA FOTO-OFFSETOWE

„DZIEŁ ZEBRANYCH”

WITOLDA GOMBROWICZA

TOM 360 — FERDYDURKE. Str. 296 — F. 55.

TOM 361 — PORNOGRAFIA. Str. 168 — F. 40.

**TOM 362 — WSPOMNIENIA POLSKIE. — WE-
DRÓWKI PO ARGENTYNIE.** Str. 256 — F. 50.

Doroczne Nagrody «Kultury»

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA
IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO:
TADEUSZ MAZOWIECKI

Działalność publiczna Tadeusza Mazowieckiego stanowi w powojennej polskiej kulturze niezwykle przykład wierności tej prawdzie, którą lapidarnie wyraził Stanisław Brzozowski: „Kultura i swoboda to równoważniki”. Dotyczy to przede wszystkim dzieła jego życia — założonego przezeń w roku 1958 i redagowanego na przestrzeni niemal ćwierćwiecza katolickiego miesięcznika *Więź*, jednego spośród tych bardzo nielicznych czasopism, które po Sierpniu nie musiały się swej przeszłości wyrzekać i wstydić. Zbiorowe dążenie do autentyczności i nieskrępowanego rozwoju szeroko rozumianej kultury i jednocześnie życia społecznego w ogóle spotkało się w tamtych miesiącach z wcześniejszymi wysiłkami takich właśnie środowisk jak *Więź*. Pisma, które od wielu lat, nękane przez cenzurę, zbywane milczeniem w środowiskach masowego przekazu, poddawane policyjno-administracyjnym restrykcjom — w poczuciu wewnętrznej wolności wytrwale pełniło swą służbę tym zwłaszcza wartościom, które od początku wyznaczały jego filozoficzno-społeczną orientację: potrzeba transcendencji osobowej, prymat osoby a nie jakichkolwiek kategorii zbiorowych, obrona człowieka przed każdym totalizmem poprzez obronę autentycznego życia wspólnoty.

W duchu tych wartości dokonywała się na łamach *Więzi* konsekwentna, widoczna we wszystkich rejonach zainteresowań pisma praca nad kształtowaniem postaw: światopoglądowej, społecznej, ekonomicznej czy kulturalnej. Widoczna także — dzięki redatorskiej pasji Tadeusza Mazowieckiego — w sposobie redagowania miesięcznika, w wyjątkowo skrupulatnej trosce o moralno-intelektualną jednolitość każdego spośród 273 wydanych pod jego kierunkiem numerów. Antoni Słonimski napisał kiedyś o *Więzi*, że jest to najlepiej redagowane pismo w Polsce.

W obu nurtach swej działalności: na łamach miesięcznika oraz w serii wydawniczej pod nazwą Biblioteka *Więzi* (ukazało się w niej dotąd niemal 50 książek autorów polskich i zagranicznych) — pismo Mazowieckiego nierzadko bywało prekursorem. Oto rejestr niektórych jego prekursorskich dokonań. Zapoznanie polskiego czytelnika z personalizmem mounierowskim. Systematyczne rozwijanie problematyki dialogu z niewierzącymi (zagadnieniu temu poświęcona jest książka Mazowieckiego „Rozdroża i wartości”, 1971). Podjęcie na długo przed znanymi układami politycznymi wysiłków na rzecz polsko-niemieckiego pojednania. Szczególne zainteresowanie okazywane takim zagadnieniom nowoczesnej socjologii jak kultura masowa czy socjologia religii. Próba pogłębionej charakterystyki postaw społeczno-etycznych polskiej inteligencji radykalnej z okresu ostatnich kilkudziesięciu lat (główna książka B. Cywińskiego „Rodowody niepokornych”), a także systematyczne nawiązywanie do jednej z najważniejszych tradycji intelektualno-duchowych w polskim katolicyzmie: do dzieła Lasek (m.in. pierwsza monografia ks. W. Kornilowicza, opatrzona przedmową Prymasa Wyszyńskiego). Podjęcie historycznej i teologicznej analizy zagadnienia praw człowieka.

Pionierską rolę pełniła zwłaszcza historyczna publicystyka *Więzi*, dotycząca września 1939 i okupacji niemieckiej w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem martyrologii społeczności żydowskiej; różniła się ona w sposób zasadniczy od oficjalnej historiografii tego okresu.

W ostatnich latach wartość niezwykłego świadectwa miały numery specjalne *Więzi* poświęcone wyborowi Jana Pawła II i jego podróży do Polski — podjęta na samym wstępie obecnego pontyfikatu próba interpretacji tych wydarzeń nie w kategoriach wyjątkowo emocjonalno-opisowych, ale intelektualnego i moralnego wyzwania. Lista wypowiedzi w tych „papieskich” numerach najwybitniejszych przedstawicieli polskiej elity umysłowej i artystycznej to także niejako symbol trwającego od lat uczestnictwa *Więzi* we współczesnej polskiej kulturze. Uczestnictwa, które wyrażało się przede wszystkim w konsekwentnym i niezależnym ujawnianiu własnego modelu kultury, własnych ocen i diagnoz na tematy kulturalne, w dostrzeganiu zjawisk przemilczanych bądź przedstawianych nieprawdziwie (np. eseistyka na temat polskiej literatury i życia literackiego w Dwudziestoleciu, a także literatury emigracyjnej). Szczególnym przykładem tego uczestnictwa była edycja dzieł zebranych Jerzego Lieberta (1976), powszechnie uznana za znaczące wydarzenie nie tylko w powojennej kulturze katolickiej.

W charakterystyce dzieła życia T. Mazowieckiego trzeba wreszcie podkreślić fakt, że to dzięki niemu przede wszystkim, począwszy od lat siedemdziesiątych, *Więź* stawała się coraz bardziej znaczącym w polskim życiu kulturalnym i społecznym środowiskiem

niezależnej myśli i poszukiwań, ważnym miejscem spotkania ludzi o różnych orientacjach ideowych i społecznych. Dzięki niemu także pełniona przez pismo służba wartościom chrześcijańskim i ludzkim przybierała w tym okresie coraz to nowe formy obecności w różnych, także niezależnych inicjatywach społecznych. Zaangażowanie obywatelskie samego redaktora naczelnego *Więzi* wyraziło się m.in. w takich najbardziej znanych posunięciach, jak przyjęcie roli męża zaufania podczas słynnej głodówki w warszawskim kościele św. Marcina na rzecz aresztowanych robotników i ich obrońców, czy udział w powstaniu i pracach Towarzystwa Kursów Naukowych.

Niejako naturalne przedłużenie i konsekwencję działalności Mazowieckiego jako redaktora naczelnego *Więzi* stanowiły te późniejsze jego zaangażowania, które znane są dzisiaj milionom Polaków. Najpierw jako szefa zespołu ekspertów opracowującego tzw. porozumienia gdańskie i głównego doradcy w kolejnych kryzysowych negocjacjach z rządem, a następnie jako redaktora naczelnego *Tygodnika Solidarność* — pisma, które choć zdołało ukazać się zaledwie 37 razy, nosi na sobie wyraźne ślady wybitnej indywidualności swego szefa i jego wcześniejszych doświadczeń. To zwłaszcza umiejętność zastosowania w niezwykle trudnej formule tygodnika o charakterze masowym równowagi pomiędzy informacją związkową a dojrzałym programem pracy kształcącej w zakresie zagadnień kultury, polityki czy historii; dyskretna obecność religii i chrześcijaństwa, wyrażająca się raczej w sposobie wartościowania świata niż w bezpośrednich deklaracjach światopoglądowych. Nade wszystko zaś — ujawniana często świadomość potrzeby długofalowych działań społecznych, opartych na mediacji i poczuciu realizmu, na zasadzie pluralizmu i dialogu. Możliwość publicznego wyrażania takiej właśnie postawy została przerwana w nocy 13 grudnia 1981.

W niemal rok później, w końcu listopada 1982, na łamach włoskiego tygodnika katolickiego *Il Sabato* ukazał się list Tadeusza Mazowieckiego, przesłany zza krat obozu w Darlówku. Autor tego listu-medytacji radzi swoim włoskim przyjacielom, by dla pełnego zrozumienia polskiego dramatu, dramatu ludzi „drugiego świata”, sięgnęli do słów Dantego: „Powiedz więc, co byłoby gorsze dla człowieka na ziemi, niż jeśli nie byłby obywatelem...”. Zawiera się w tym przytoczeniu z Dantego istotna treść wieloletniej służby społecznej Tadeusza Mazowieckiego, służby na rzecz podmiotowości człowieka i podmiotowości społeczeństwa. Uzupełnijmy jednak to stwierdzenie uwagą, bez której dotychczasowa charakterystyka jego zaangażowań nie byłaby pełna: jego służba sprawie „obywatelskości” człowieka łączyła się ściśle z coraz wyraźniej uświadamianym sobie i innym poczuciem przylegu do „obywatelskości” w Kościele, w Państwie Bożym i tej wolności wewnętrznej, którą Pismo nazywa „wolnością dzieci Bożych”.

NAGRODA LITERACKA
IM. ZYGMUNTA HERTZA:
MARIAN BRANDYS

Stosunek zawodowego historyka do pisarza zajmującego się tematyką historyczną jest często ambiwalentny. Odeszliśmy już wprawdzie od późno-dziewiętnastowiecznej historiografii, która starała się za wszelką cenę upodobnić historię do nauk ścisłych, ale nowsze studia metodologii stanowią też próbę maksymalnego uściślenia warsztatu naukowego, operując modelami zaporczyzanymi z socjologii, ekonomii czy nawet psychologii. Historyk niechętnie przyznaje się do tego, że jego dziedzina jest sztuką a nie tylko nauką i że „instykt” historyczny wrodzony, a nie nabyty w czasie studiów, jest często pewniejszym przewodnikiem od kanonów metodologicznych, krytyk i dokumentów czy postulatów nakazującego wyczerpanie istniejących źródeł. Oczywiście zachodzą też poważne różnice w zależności od typu i dziedziny historii; pogłębia się specjalizacja, w efekcie której ekspert dziejów najnowszych traci wspólny język z mediewistą czy fachowcem od dziejów starożytnych. Niemniej pewien *esprit de corps* i wspólna formacja historyka-naukowca sprawiają, iż drażni go fakt możliwości uprawiania z powodzeniem dziejopisarstwa przez amatorów i popularyzatorów. Matematyk wie, że przeciętnie wykształcony inteligent nie będzie próbował zabierać głosu w jego dziedzinie. Historyk pragnie równocześnie być dostępny dla szerszego ogółu i zachować monopol autorytetu naukowego. Chce być popularny, a jednocześnie jest przeświadczony — często słusznie — że lata pracy naukowo-badawczej stawiają go w kategorii innej (wyższej?) od miłośnika historii, który z kolei uważa, że też ma wiele do powiedzenia na ten sam temat, a czasem „wie lepiej”.

Postawa historyka-fachowca może prowadzić do lekceważenia, względnie niedoceny ważkiej roli jaką odgrywa historyk-amator. Nieskrępowany kierunkami przeważającymi w danym okresie w zawodzie historycznym, wolny od niektórych objawów *déformation professionnelle*, pisarz historyczny nie tylko zajmuje miejsce, którego „zawodowiec” nie chce czy nie umie wypełnić, ale jest często bardziej wyczulony na „zapotrzebowanie społeczne” (jakże nadużywane słowo, ale trudne do zastąpienia) i ma bardziej wyostrzony instykt dziejopisarski. Historyk piszący często dla zamkniętego grona zazdrości mu nieraz powodzenia i wpływów. Niezależnie od ogromu uczonych prac o Napoleonie, *Napoleon* Jacquesa Bainville’a pozostanie fascynującą lekturą, nie tylko przez oryginalne i sugestywne podejście autora, ale po prostu dlatego, że jest świetnie napisaną książką. Chrzanowski

mógł z wyżyn swej katedry piorunować na „dyletanta” Boya, ale zwycięzcą w tym pojedynku był Boy, a nie uczonej polonista. Na *Marysięnkę Sobieską* mogli spoglądać niechętnie fachowcy, ale słusznie pisał Władysław Czapliński — wielki bądź co bądź autorytet od XVII wieku — iż obraz „nakreślony wyrazistym i mistrzowskim piórem Boya wbija się lepiej w pamięć niż podobizna narysowana ze wszystkimi szczegółami przez sumiennego, ale zarazem rozwlekłego historyka, co to zasypuje czytelnika mnóstwem drobnych, czasem nieważnych szczegółów” (wstęp do wydania 1967 r., str. 6-7).

Cykl popularyzatorskich dzieł Pawła Jasienicy wniósł niezależnie od często uzasadnionych krytyk specjalistów powiew świeżego powietrza do dziedziny powojennej historii wypełnionej drętwą mową, odbarwionej z życia i kreślącej schematyczny obraz przeszłości. Przywrócił naszym dziejom koloryt i głębię, wywołał polemiki i spory, stał się jednym z ważkich czynników fermentu, który objął szerokie rzesze czytelników.

Marian Brandys należy niewątpliwie do tego samego grona wybitnych pisarzy i eseistów, których książki o tematyce historycznej zasługują w pełni na wyróżnienie i uznanie. Mija już wiele lat od chwili kiedy zetknąłem się po raz pierwszy z *Nieznany Księciem Poniatowskim* i wracałem wielokrotnie do tej lektury. W jakimś sensie była to książka odkrywczą i to nie tylko dlatego, że zajmowała się postacią o której tak mało się wiedziało. Rzecz jasna, że Brandys nie mógł w pełni opracować biografii ks. Stanisława, ale był stanowczo zbyt skromny, gdy pisał w przedmowie: „Jestem tylko reporterem i nie mam tyle czasu i cierpliwości co historycy. Ostatecznie i to, co zebrałem, wystarcza do wyrobienia sobie ogólnego sądu o ks. Stanisławie Poniatowskim, który różnił się prawie pod każdym względem od swego sławnego kuzyna księcia Józefa, ale był postacią równie jak tamten interesującą i równie charakterystyczną dla swego czasu” (str. 9). Po ks. Stanisławie przyszła kolej na Józefa Sułkowskiego. *Oficer największych nadziei* to tomik nieduży, nie mający nawet bibliografii (w odróżnieniu od poprzedniej książki), ale jak dobrze napisany i jak bardzo wciągający czytelnika w dzieje dość zawiłych losów bohatera.

Termin „opowieść historyczna”, widniejący na obwolucie, może się odnosić do *Nieznanego księcia Poniatowskiego* i do *Oficera największych nadziei*; pasuje on już o wiele mniej do *Kozietulskiego i innych*, a jest wręcz mylący jeśli próbowałoby się go użyć dla scharakteryzowania ambitnego, wielotomowego dzieła *Koniec świata szwoleżerów*. *Kozietulski*, pisany w podobnej konwencji co wyżej wymienione książki, przewyższa je wnikliwością i rozmachem. Już sam fakt, że autor miał do dyspozycji nieznaną korespondencję Kozietulskiego wniósł nowy element zbliżający czytelnika do słynnego szwoleżera. Konfrontując listy Kozietulskiego z ogromną ilością współczesnych relacji i przekazów, Brandys dał nam obraz wielopłaszczyznowy i przepojony autentyzmem. Ta „spora (ponad 500-stronicowa — P.W.)

niecو rozwichrzona kronika-opowieść", jak pisze autor, stanowi fascynującą lekturę dla miłośnika epopei napoleońskiej i zbliża nam ówczesny świat i jego ludzi w sposób nieosiągalny dla pracy ściśle naukowej, a prawdziwszy od powieści czy filmu, które noszą pieczęć osobowości i wizji autora czy reżysera.

Koniec świata szwoleżerów rozrósł się pod piórem Brandysa w pięciotomową epopeję, wnoszącą chyba więcej niż to początkowo zamierzał sam autor. Brandys poświęca ją Ferensowi, „który nauczył mnie widzieć w historii przede wszystkim ludzi” i rzeczywiście jest to książka o ludziach i ich ewolucji, reakcjach i doświadczeniach w zetknięciu z nową epoką i nowym ładem. Okres Królestwa Kongresowego jest szczególnie bliski dzisiejszemu Polakowi. Ileż tu skojarzeń z obecną rzeczywistością, ile pokus szukania analogii i podobieństw. O wielu z nich pisano już niejednokrotnie. Czytelnik pracy Bronisława Łagowskiego *Filozofia polityczna Maurycego Mochnackiego* jest aż zaskoczony ilością sformułowań i ujęć wielkiego politycznego pisarza, w których — gdyby usunąć daty i nazwiska — odczytalibyśmy wypowiedzi działaczy KOR-u czy ROPCiO. Już Ksawery Pruszyński widział podobieństwa, gdy świadomie pisał o powrocie wojska „z bronią i sztandarami”, nawiązując do niedobitków armii Księstwa Warszawskiego wiedzionych po klęsce cesarza do Kraju. Nawet Gierek, którego o to nie podejrzewałem, mówił ambasadorowi USA, Richardowi Daviesowi, że jego program działań ma swój pierwowzór w aktywności Druckiego-Lubeckiego. Ale nie chodzi tutaj o to jak ściśle czy nieściśle są te analogie, ale o ładunek emocjonalny z którym podchodzimy do piętnastu lat dzielących upadek Napoleona od Powstania Listopadowego.

Byli szwoleżerowie Brandysa reagowali różnie na otaczającą ich nową rzeczywistość, a ich krąg obejmował najciekawsze może postacie tego okresu. Wydarzenia tych lat wzmagające się w swym dramacie stanowią fascynujące tło i oprawę przeżyć bohaterów tych tomów. „Opinogórczyk”, „Klan Łubieńskich”, „Szwoleżer złej konduity” (Zwierkowski) to nieprzeciętne typy, a równocześnie jakże nam dobrze znajome. Zbierając materiały w dziale rękopisów Archiwum Biblioteki Narodowej przy placu Krasińskich, autor wchłaniał i sugerował się atmosferą Pałacu Rzeczypospolitej, nierozzerwalnie związanego z tamtą epoką. *Koniec świata szwoleżerów* to epos o rzeczach dawnych, a równocześnie tak bliskich, o ludziach innej epoki, a tak bardzo nam współczesnych. Nic dziwnego, że książka ta zajęła miejsce szczególne w sercach czytelników. Tom piąty wydany w dwóch częściach z podtytułami „Nieboska komedia”, „Odejścia i powroty”, a wreszcie „Ogień i popiół” kończy się akordem popowstaniowym i rozliczeniami z historią. „Przeprowadzano je wszędzie tam, gdzie przybywali Polacy: w mieszczańskich kamienicach i w ziemiańskich dworach Królestwa, Wielkopolski i Galicji; w emigracyjnych hotelikach Paryża, Brukseli, Drezna i Londynu; w lochach Szlisselburga i w kopalniach Sybiru; w kazamatach fortecznych wjeździeń pruskich i austriackich... W rozpędzonej,

nie ustającej ani na chwilę centryfudze czasu scedzała się światomość historyczna narodu. Aby wszystko co dobre mogło być nazwane dobrym, a wszystko co nikczemne — nikczemnym”. Zdania te pisane w 1976 roku mają chyba jeszcze bardziej przemijający wydźwięk, gdy czyta się je w roku 1982.

Piotr WANDYCZ

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: ANDRZEJ J. CHILECKI

Czytelnicy *Kultury* znają Andrzeja Chileckiego jako autora stałej *Kroniki niemieckiej*, wiedzą jak duża i rzetelna jest jej wartość informacyjna. Nie wiedzą jednak, ile za tymi pracowicie i umiejętnie zbieranymi wiadomościami kryje się wysiłków Chileckiego, by *Kultura* miała zapewniony kontakt z życiem naszego zachodniego sąsiada, zwłaszcza we wszystkim co dotyczy spraw polskich. Chilecki stał się instytucją polską w RFN: mogliby coś o tym, między innymi, powiedzieć działacze emigracyjni i przybysze z PRL, dla których jego dom w Kolonii jest od lat punktem orientacji i pomocy. (Nie należy przy tym zapominać o bezinteresownej i pełnej poświęcenia dla sprawy polskiej pomocy p. Eriki Chileckiej). Chileckiemu zawdzięcza też *Kultura* w znacznej mierze swą obecność na corocznych Targach Książki we Frankfurcie. On wreszcie, jako bliski współpracownik śp. Andrzeja Stypułkowskiego (a obecnie Jana Chodakowskiego) dołożył wiele starań, by dobrze ułożyły się nasze stosunki z wydawnictwem *Polonia Book Fund* w Londynie. Tegoroczna nagroda przypada jednemu z naszych najbardziej wypróbowanych przyjaciół i współpracowników.

Księgarnia POLEMIKA

Wydawnictwa polskie i obcojęzyczne na temat
Polski i Europy Wschodniej. — Antykwariat

49, rue Gay-Lussac, 75005 Paris

Tel.: 354 25 48

Métro Luxembourg, autobusy 21 i 27: Feuillantines

Kronika kulturalna

Przygodne notatki o słowach

OD ŚWINIARKI DO PTASZYNY

Zastanawianie się nad pochodzeniem słów, jeżeli nawet jest czynnością bez wyraźnego znaczenia praktycznego (choć można sądzić że je ma i wcale niemałe), zajmuje od wieków wiele umysłów większego i mniejszego kalibru. Już Platon rozwijał metodę dochodzenia źródeł wyrazów, konstruuąc z tego ich podstawowe znaczenia — jakby „esencję” znaczeń. Poświęcił temu jeden cały obszerny dialog filozoficzny, w którym Sokrates rozmawia z Hermogenesem (*Kratylus*). Tę samą metodę stosował fragmentarycznie i w innych dialogach, np. w obu Hippiaszach („większym” i „mniejszym”), gdzie zastanawia się nad „istotą” piękna (*to kalon*) i dobra (*agathon*). Taką samą metodą posługiwali się bibliotekarze Muzeum w Aleksandrii dla komentowania Homera. Była to powszechnie przez stulecia stosowana „etymologia”. Jeszcze Norwid w podobny sposób wywodzi pochodzenie wyrazu „piękno” od „jęku — pojęku”, choć w tym przypadku jest to już prawdziwa *licentia poetica*.

Od czasu odkrycia (dopiero w osiemnastym stuleciu), że wszystkie prawie języki europejskie (wyjątek stanowią: baskijski, estoński, fiński i węgierski) pochodzą z jednego źródła, tzn. z hipotetycznego języka praindoeuropejskiego, etymologia ze sztuki staje się powoli nauką i rozwija nowe metody poszukiwania źródeł i pochodzenia słów. Niestety nie tylko język pierwotny, ale i wszystkie języki pochodne, tj. prajęzyki naszych europejskich języków są dużo starsze niż sztuka pisania, która zastawiłaby trwałe dokumenty dla badań językoznawczych. W naszym języku fragmentaryczne choćby ślady jego źródłowej mowy nie sięgają poza ósmy wiek naszej ery, ale dla bardzo dużej liczby wyrazów materialne dowody pochodzenia i rozwoju są dużo późniejsze. Toteż w wywodach etymologicznych wielką rolę gra domysł. Naturalnie oparty na wielu poszlakach oraz mniej lub bardziej przekonujących porównaniach, ale ponieważ

istotnym tutaj określeniem jest „mniej lub bardziej”, wiele wywodów etymologicznych opatrzonych jest mniejszymi lub większymi znakami zapytania.

Jednym z wyrazów o nieustalonym pochodzeniu jest rzeczownik „kobieta”, który zajmował uwagę wielu językoznawców. Wyraz ten nie istnieje w języku staropolskim ani starosłowiańskim. Jego śladów nie znajdujemy w żadnym z innych języków słowiańskich, musi on zatem być pożyczką z jakiegoś języka obcego. Możemy nawet odgadnąć, kiedy został zapożyczony, bo wiemy, że pojawia się na widowni dopiero w XVI stuleciu.

Przy szukaniu etymologii wyrazu „kobieta” na błędny tor dał się skierować pierwszy zajmujący się obszerniej tym tematem, wybitny (choć ulegający kaprysom) językoznawca i uczyony Aleksander Brückner. Poszlaką, która jego (i innych autorów) skierowała na fałszywy trop było spostrzeżenie, że w kilku przykładach zwrotów zawierających wyraz „kobieta”, zanotowanych w XVI i XVII stuleciu, użyte są określenia pejoratywne lub nawet obelżywe. Poszlakę tę pozornie potwierdził poemat Marcina Bielskiego „Sejm nienawiści”, w którym jedna z postaci mówi:

Meże nas... ku większemu zelzeniu kobietami zowię

Jak wiemy, Bielski pisał to w szóstym dziesięcioleciu XVI stulecia, co wskazuje na okres, w którym wyraz „kobieta” wszedł już w dość powszechne użycie, mimo głoszonych protestów. Nie musiały to być zresztą protesty bardzo wymowne, skoro już w następnym stuleciu wyraz „kobieta” jest powszechnie stosowany bez żadnych zastrzeżeń i ujemnych znaczeń.

Nawet określenie Bielskiego jest znacznie mniej negatywne niż się to w pierwszej chwili może wydawać. Dziś „wyrażenie zelżywe” rozumiemy jako obelżywe, hańbiące. Ale pierwotne znaczenie wyrazu „zelżywy” — „lżywy” pochodzi od pojęcia „lekkki”. Lżywy to jest taki który „czyni się lekkim”, jest „traktowany lekko” albo „lekceważąco”. Jest to określenie „krzywdzące na sławie”, ale najmniej nie hańbiące. Znaczenie hańbiące tego określenia utrwała się powoli, początkowo jako oboczność. W innym przypadku nie mógłby Skarga w jednym ze swych kazań mówić:

*Jeśli przyszedł nasz czas umierajmy za bracią naszą
a nie czynmy zelżywości sławie naszej.*

Tak więc i w „Sejmie niewieścim” zelzenie nie jest wyzwiskiem, ale określeniem które można uważać za „uwłaczające dobremu imieniu” matron szlacheckich. Słownik Lindego nazywa „zelzenie” określeniem „pierwiastkowo wzdardliwem”.

Ale poszlaka przyjęta jako wskazówka pochodzenia wyrazu od hańbiącego określenia kieruje poszukiwania na błędne tory. Brückner wywodzi wyraz „kobieta” — wymawiany wtedy z „é” pochylonym, a więc brzmiący prawie jak „kobita” — od prapolo-

skiego wyrazu *kob'* = chlew. Rozumuje, że jednym z zajęć gospodyni była hodowla świń, a więc określenie „kobita” miałyby znaczyć „zajmująca się trzodą chlewną”, „świniarka”. Przy tym trudna do wyjaśnienia końcówka wyrazu „eta”, której niezwykłość sam Brückner przyznaje, miałyby być utworzona przez analogię do końcówek imion własnych jak Elżbieta, Greta, Beta.

Brückner, który bardzo dociekliwie analizuje wywody innych autorów, pomija gładko trudności i sprzeczności własnego wywodu. Między innymi to, że wyraz *kob'* wyszedł z użycia na wiele wieków przed pojawieniem się wyrazu „kobita”, zaś końcówki imion własnych na „eta” nie miały „é” pochylonego, a więc nie stanowią wzoru dla końcówki wyrazu „kobita”. Wreszcie wyraz *kob'* jest w istocie niewiele mniej zagadkowy niż „kobieta”. Choć jest on niewątpliwie rodzimy, jego wywód i znaczenie jest trudne do zrekonstruowania wobec braku przykładów. Zdaje się, że obejmował takie pojęcia jak zagroda (mała?) i pojemnik, stąd miałyby pochodzić kubek, kubek, kufel. Jest w nim jakoby także pojęcie ducha opiekuńczego oraz wróżb. Wreszcie z tego źródła wywodzi się nazwa ptaka kobuz oraz wróżenie z lotu ptaków. Wyraz wyszedł z użycia już w okresie rozchodzenia się jedności językowej bałto-słowiańskiej. Wyraz pochodny powraca do nas jako pożyczka z niemieckiego w XV stuleciu dla określenia zarówno kubła — wiadra, jak kibla, zagrody dla knura w chlewie. Tak więc wyraz „kobieta” jako „świniarka” miałyby się wywodzić nie tyle od chlewu ile od jego części odgródzonej dla knura.

„Hańbiących” określić szuka także zajmujący się etymologią polskiego języka czeski językoznawca Machek, który proponuje wywód wyrazu „kobieta” od staroniemieckiego *gabetta* = nadożnica, utworzony jakoby w środowisku (niemieckich) mieszczan Krakowa. W tym przypadku wyraz miałyby powstać znacznie przed XVI stuleciem, tj. przed okresem całkowitego spolszczenia mieszczaństwa krakowskiego, nie mówiąc już o tym, że sam wywód jest utrudniony niemożliwym do wytłumaczenia przejściem niemieckiego „g” i „a” w polskie „k” i „o”.

Inni autorzy odchodzą od kierunku „hańbiących” określić, ale nie wprowadzają nowych poszlak. Żebrowski stara się przekonywać, że staropolski wyraz *kob'* — *kobia*, który mógł oznaczać również młodą wiedźmę, był także stosowany dla określenia świerszcza jako ducha opiekuńczego czarownicy. Westfal rozwija (raczej żartobliwy) wywód od wyrazu *kobię* (pisklę kobuza), tłumacząc że może to być rodzaj pieszczotliwego miana, jak np. „ptaszyna”, może na wzór języka rosyjskiego, gdzie kobietę można nazywać przymilnie „gołąbką”.

Ostatnio Laks, który do tematu „kobieta” wracał parokrotnie, zwrócił uwagę, że owa tajemnicza końcówka „eta” może stanowić wskazówkę greckiego pochodzenia wyrazu. Nie wymienia on odpowiedniego wyrazu greckiego, ale, oczywista, mógłby nim być np. *kambe* = rzecz krzywa. Wtedy ów pochodny wyraz gwarowy miałyby takie samo (metaforyczne) znaczenie jak znac-

nie wcześniej wprowadzony a utworzony z łacińskiego pierwiastka „kurwa”. Taki wywód trzeba odrzucić. Jego znaczenie byłoby nie „zelrywe”, a wręcz hańbiące, i tak samo jak odpowiednik łacińskiego pochodzenia wyraz nie mógłby się przyjąć dla ogólnego określenia osób płci żeńskiej. Musiałyby pozostać wulgarnym gwarowym wyzwiskiem. Poza tym wszystkie gwarowe neologizmy pochodzenia greckiego tworzone przez żaków powstały w pierwszym okresie wprowadzenia nauki języka greckiego, a więc na początku XV stulecia, natomiast wyraz „kobieta” pojawia się dopiero o wiek później. Można też dodać, że ze stu kilkudziesięciu wyrazów z końcówką „eta” jakie notuje Słownik Doroszewskiego, tylko kilka rzeczowników, z poetą na czele, jest pochodzenia greckiego, a więc drobny procent całości. Znaczna większość takich wyrazów nie ma nic wspólnego z greczyzną. Niemniej poszlaka ta, której Laks przypisał większe znaczenie, stanowi interesującą wskazówkę. Otóż bardzo duży procent wyrazów z końcówką „eta” jest pochodzenia włoskiego.

W pierwszych dziesięcioleciach XVI stulecia język polski przyswoił sobie wielki zespół wyrazów włoskich, z których kilkaset utrzymało się w potocznym języku do dziś. Kiedy księżniczka Bona Sforza przybyła do Polski aby zaślubić Zygmunta Wazę i zostać królową Rzeczypospolitej, przywiozła ze sobą świętą i służbę włoską, która według ówczesnych świadectw liczyła ponad 200 osób obojga płci. Większość tej służby pokojowej, kuchennej, ogrodowej itd. nie znała i nie posługiwała się żadnym innym językiem niż włoski (z dialektycznym tokańskim zabarwieniem).

Było to źródłem wielu terminów włoskiego pochodzenia, które się wtedy rozpowszechniły, niekiedy, jak np. w nazwach ogrodniczych, zastępując nawet dawne nazwy rodzime. Tak było z nazwą „cebula” która zastąpiła dawną, staropolską jeszcze nazwę „łuk” (oznaczającą łącznie i inne pokrewne rośliny jak pory i czosnek), lub z nazwą „kapusta”, którą to roślinę znano od wieków pod rodzimą nazwą „brzoskiew”. Być może iż włoskie nazwy przyszły z nowymi odmianami tych roślin. Takie nazwy jak pasternak, pory, selery, kalarepa, pietruszka, kalafior, karczoch, szparagi, które do dziś nazywamy ogólną nazwą „włoszczyzny”, stanowią tylko drobną część włoskich wyrazów wtedy zadomowionych. Poza licznymi nazwami jarzyn i owoców (np. pomidor z *pomo d'oro*, pomarańcz z *poma d'Arancio*) mamy z tego źródła dziesiątki terminów „dworskich”, nazw tańców, zabaw, gier, pojazdów, pojęć architektonicznych itd. Sporo z tych nazw, powszechnie używanych w XVI i XVII stuleciu, uległo już zapomnieniu. Nie pamiętamy dziś takich wyrazów jak „dziardyn” (ogród), „faryna” (rodzaj granulacji kaszy, przeniesiona później na cukier), „facjata” (twarz), ale bardzo liczne trwają do dziś, aby wspomnieć tylko parę przykładów: dzianet, impreza, fraszka, gracia, kredyt, konwój, kareta, korale, inżynier (dawniej indzinger) itd.

Nie wiemy, czy ówczesni włoscy ogrodnicy i majstrowie

budowniczy, jakich poza królową sprowadzali też sobie liczni ówczesni możnowładcy, a nawet zamożniejsza szlachta, pogwizdywali na widok ponętniejszych osób płci pięknej, jak to dziś czynią ich potomkowie. Nie wiemy, czy szczypali przechodzące dziewczki w pośladki, jak to czynią do dziś w swym kraju (i we Francji). Nie spotkałem nigdzie w piśmiennictwie śladów podobnego zachowania, ale można sądzić, że istniało, choć zapewne ograniczało się do wąskiej sfery społecznej. Natomiast głośno wypowiedane „zachwyty” mogły być i naturalnie nieraz były słyszane i tu i ówdzie podchwytywane przez młodych paniczów i dworaków dla własnego frywolnego użytku. Do ich uszu dobiegł też zapewne epitet „conbita”, który w ówczesnym dialekcie tokańsko-włoskim stanowił jakby zbitkę dwóch łacińskich terminów: *concupire* i *cubito*, którą można rozumieć jako „budzi pragnienie pieszczotliwego (przy)legania”. W istocie kompletny odpowiednik tego epitetu wynaleźli dużo później poeci Młodej Polski w postaci „warta grzechu”. Był on w swoim czasie bardzo popularny nie tylko w sferach kawaliarnianych. Podczas jednak gdy ten epitet nigdy nie dorósł do znaczenia przymiotnika, a tym bardziej odprzymiotnego rzeczownika „grzechu-warta” — który byłby nieco przydługi, a nadto zbyt natrętnie erotyczny — wyrażenie „konbita”, w którym „n” szybko zniknęło, a „i” przeszło w „é” pochylone, nie miało tak jawnych nachalnych znaczeń i szybko zaczęło zajmować opróżniające się miejsce ogólnego określenia osoby płci żeńskiej.

Miejsce to opróżniało się, bo od dawna pełniący taką funkcję wyraz „żona” coraz powszechniej nabierał znaczenia szczegółowego, stając się jakby skrótem wyrazu „małżona” (zdrobniale „małżonka”), makaronicznego połączenia starego polskiego wyrazu „żona” z niemieckim terminem prawniczym *Mahl*, oznaczającym umowę ślubną. Stąd „małżona” = „ślubna żona”.

Próbowano wprowadzić na to miejsce rodzimy wyraz „niewiasta”. Bielski tytułuje swój poemat „Sejm niewieści”, ale ten termin się nie przyjął. Po pierwsze nie stracił jeszcze swego pierwotnego znaczenia żony syna, synowca, wnuka czy innego członka rodu („niewiasta” znaczy „obca (bo nieznana) dziewczyna wprowadzona do rodziny”), a nadto jako termin ogólny raził negatywnym przedrostkiem, sylabą „nie-”. Wyraz „białogłowa” czy jego czeski odpowiednik „podwika” mógł właściwie stosować się tylko do osoby noszącej na głowie zawój (pozbawionej warkoczy), a więc do kobiety zamężnej (lub wdowy). „Dziewczyna” to była tylko kobieta niezamężna. „Pani”, to tylko żona (lub wdowa) szlachecka, „panna” to jego córka.

Brakujące miejsce ogólnego określenia istoty płci żeńskiej szybko zajął wyraz „kobiéta”. Jeszcze jedna z utrwalonych i przyswojonych włoszczyzn, mimo krótkotrwałych protestów matron szlacheckiego pochodzenia, które aluzję do pieszczoty, choćby ukrytą w cudzoziemskim pierwiastku, mogły uważać za uwłaczającą ich czci. Najwidoczniej jednak większość nie uważała się za „zelżoną”.

J. P. HORZELSKI

Książki

Polska rewia na lodzie

Trzecia już nieoficjalna książka* Tadeusza Konwickiego (po „Kompleksie polskim”, 1977, i „Małej apokalipsie”, 1979) nawiązuje tytułem do Miłosza „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada”, a formą do jego własnego ni to diariusza ni to autobiografii pt. „Kalendarz i klepsydra” (1976), który to utwór wywołał dużą wrzawę w kołach kolaborancko-literackich (Putrament: „*wiecie, Konwicki tam, jak to mówią Rosjanie, 'pribiedniajetsia'. Ale jakby mu się dobrać do trzeciej skóry, to by się dopiero okazało, jaki jest naprawdę*”), został rozchwytywany przez czytelników i potwierdził znaczącą rolę autora w polskiej literaturze współczesnej. „Wschody i zachody księżycy” można by uznać za jeszcze jedno takie potwierdzenie, gdyby Konwicki po „Małej apokalipsie”, książce niewątpliwie „skazanej na nieśmiertelność”, jakichkolwiek potwierdzeń jeszcze potrzebował. Ten palimpsest trzech epok biografii autora — dzieciństwa i wczesnej młodości w Wilnie, proreżymowego „upadku” (*nota bene* dość niewinnego w porównaniu z wieloma innymi literatami) w okresie stalinowskim i późniejszej postawy obserwatora nie tyle opozycyjnego co „czynnie niezaangażowanego” — palimpsest wzbogacony i urozmaicony (używając tej samej przenośni) rysunkami i komentarzami na marginesach i wsuniętymi pomiędzy stronicę strzępami niewydanej, „wzgardzonej” powieści jest lekturą fascynującą. Efekt tej książki jest efektem filmowym w tym znaczeniu, że stanowi wypadkową sekwencji wrażeń czytelnika, jego wzruszenia, irytacji (a jakże!), „przyjścia do wiadomości”, zgody z autorem, niezgody z autorem, zanurzenia się w bajce i sarkazmie, huśtawki pomiędzy groteską, fotografią, *Dichtung und Wahrheit* i rozpaczą. Jedność tego utworu jest jednością wrażenia po „wyjściu z książki”, jak po wyjściu z kina. Do konkluzji tej dojść można nie wiedząc nawet, że Konwicki jest też znanym scenarzystą i reżyserem, tak silne jest tu poczucie, że luźność kompozycji utworu jest tylko pozorna, że jest zamierzonym efektem stylistycznym.

* Tadeusz Konwicki, *Wschody i zachody księżycy*, Zapis 21, kwiecień 1982; wyd. zagraniczne: *Index on Censorship*, Londyn 1982, str. 219.

By nie być gołosłownym, przytoczę dwa przykłady. W „makroskali” kompozycyjnej za doskonały pomysł uważam wmontowanie pod sam koniec książki fragmentów „pozytywnej” powieści „Nowe dni”, toczonej się w pierwszych miesiącach powojennych na Ziemiach Zachodnich (biorę autora za słowo i zakładam, że jest to wycinanka z autentycznego tekstu; o ile to mistyfikacja, to wyśmienicie zrobiona). Mimo wyraźnych założeń na socrealistyczną chałę (por. postać „fajnego” komunisty Stępienia), tekst ten zachowuje wiele autentycznej atmosfery tamtego czasu: jakąś rzeźwość młodości kraju wprawdzie na nowo okupowanego, ale naprawdę wyszłego z prawdziwej wojny. Wtedy była jeszcze w powietrzu nadzieja, karty — jak się zdawało — jeszcze się tasowały. Ten fragment młodzieńczej prozy znakomicie podkreśla dominujące we „Wschodach” wrażenie rosnącej dezintegracji, zwiększającej się sypkości układów, spraw i zamierzeń Polski anno 1981, sypkości rozciągającej się nawet na „bezkrwawe powstanie” — jak to nazywa Konwicky — czyli ruch *Solidarności*. Autor wyraźnie tego nie mówi, ale ze wzmianek rozsianych w tekście („Czy ta nasza odnowa na pewno jest budowana na skale?”) bije sceptycyzm zmieszany ze smutkiem, będącym w istocie powściągliwą formą rozpacz. Niehistoryczna rozpacz jest zasadniczym spoiwem tej książki, która w pierwszym rzędzie jest opowieścią o sytuacji każdego wrażliwego człowieka w kraju zżerany przez komunizm i sowiecką kolonizację, a dopiero potem elegią Konwickiego o sobie samym do potomności. Więc i reakcja na wyczyn Jaruzelskiego harmonizuje z tym nastrojem: „*Wszędzie wojsko. Zmarznięte, mrukiwe i biedne jak sto nieszczęść. Jakieś samochody pancerne, które nie chcą ruszyć z miejsca. Mróz, ponowa, pod spodem cienki lód. Slizgawka. Polska rewia na lodzie. [...] Matko Boska. Który to raz? Ileż razy w życiu oglądałem ten króliczo krótki czas pyszności i potem lata łez, niedoli, upadku. Moment pawiej wspaniałości mężczyzn powstających do boju i dziesięciolecia katorgi kobiet biegających do więzień, noszących paczki i ciepłą białinę, kurujących chorych zbiegów i prowadzących ku granicom uciekinierów. Piękny tęczy rozbłysk i lata lodowatej arktycznej nocy. Matko Boska*”.

I jeszcze jeden przykład kompozycyjny, tym razem dotyczący metody przechodzenia z jednej płaszczyzny czasowej na inną: po odnotowaniu wiadomości o zamachu na papieża następuje *flash back* w lata dzieciństwa; idylliczny opis zabawy na trawach, przygotowanych do spławienia Wilią do Niemna przechodzi we wspomnienie o pierwszym zetknięciu ze śmiercią: skoku do wody, zniesieniu pod tratwę, twardym wieku nieustępliwych bali nad głową. To więcej niż asocjacja — to poczucie wspólnoty z umierającym w Rzymie i to poczucie wyrażone dyskretnie, bez wielkich słów.

Byłoby oczywiście przesadą doszukiwać się w każdym szczególnie tej książki przejawu jakiejś „nieubłaganej logiki konstrukcji”, jak się to dzieje w strukturalistycznych łamigłówkach.

Utwór Konwickiego jest w istocie *gawędą*, gatunkiem zaszczepionym i usankcjonowanym w nowszej literaturze polskiej przez Gombrowicza (i to nie tyle *Trans-Atlantykiem*, co *Dziennikiem*), a zatem rządzi nim prawo podwójnej stylizacji: narratora i narracji. Wszelkie uzewnętrznienie się jest stylizacją, ale w *gawędzie* stylizacji narratora przypada szczególnie ważna rola: to przez nią, jak przez szczególnie ukształtowane szkło, dociera do odbiorcy obraz faktów, również szczególnie ukształtowanych. Kompozycja, o której była mowa powyżej staje się sprawą drugorzędą wobec problemu jakości stylizacji samego narratora-gawędziarza. Jednolitość tej sylwetki, konsekwencja jej reakcji na świat, jej jakość intelektualna, to są momenty decydujące o udaniu się czy nieudaniu *gawędy*, a nie problem czy autor „jako taki” ukazuje się w swej wyjściowej czy trzeciej skórze, jak o to zapytuje w swej niesmacznej (i jakże nieliterackiej) uwadze Putrament. Współczesna literatura to nie Młoda Polska ani biuro przesłuchań jakiejś czerezwyczałki — nic nas nie powinno obchodzić jaki jest Konwicky „naprawdę”, interesujące jest natomiast, jakiego bohatera nie-negatywnego proponuje na obserwatora i uczestnika naszych czasów. Innymi słowy: kim jest Konwicky-narrator we „Wschodach i zachodach księżycy”? Jak wygląda inteligent polski, którego Konwicky-autor aprobeuje?

Ma on w sobie dużo cech jeńca. Jest świadom, że zakres swobody jego działania jest nader ograniczony, że ani „wolność wewnętrzna”, ani zamykanie oczu na fakt zniewolenia tej sytuacji nie zmieniają — nie stara się więc być ani Absolutem w łupinie orzecha, ani mini-mocarstwowym mini-realistą („*My, teraz, nad Wisłą*”). Jest równocześnie świadom, że świat za drutami nie jest jego światem; kultywuje wspomnienia-marzenia o świecie wolnych ludzi, nawet jeśli wydają się one nieco naiwne, harcerskie, staroświeckie. Stara się nie poddać postępującej degrengoladzie zachowań i wymagań; kultywuje w sobie nadzieję *contra spem*; używa wisielczego humoru jako środka wzmacniającego, nie jako narkotyku; stara się zachować indywidualny sąd o otoczeniu, nie poddawać się pasjom zbiorowym. Nie zapomina, że „jeniec” to nie synonim niewolnika.

Konwicky-jeniec jest postacią budzącą szacunek i sympatię, przy wszystkich swych, irytujących chwilami, idiosynkrazjach (m.in. snobizmie litewsko-wileńskim, przypominającym tak złoszczący Orwell’a „snobizm szkocki” w Anglii). Konwicky-narrator zdumiewa — na tle innych polskich „gawęd” środowiskowych — brakiem jadu i zacieklności w szkicowaniu sylwetek znajomych i nieznajomych. Rodzaj ironicznego ciepła opromienia we „Wschodach” nawet postaci Gierka, Wilhelmię i Szczepańskiego. Co mówię...! Nawet profesor Jan Kott, który (jak się dowiadujemy z książki) „przygotowuje pracę naukową o życiu nocnym niektórych stolic światowych” i celem uzupełnienia materiałów zjechał w połowie 1981 roku do Warszawy, został potraktowany z taką sympatią, jakby był co najmniej Kotem Iwanem.

Mirosław Krleża

Wiadomość o śmierci Mirosława Krleży (29 stycznia 1981) obiegła świat z szybkością należną ważnym wydarzeniom międzynarodowym. Rzeczywiście, umarł człowiek niezwykle, pisarz o niepospolitym talencie, chyba największy jakiego wydała Chorwacja, twórca o niespożytej energii, który prawie przez siedemdziesiąt lat aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym swego narodu i całej Jugosławii. Dożył sędziwego wieku (ur. 7 lipca 1893 roku), od pewnego czasu niedomagał, a w ostatnich tygodniach życia, już w szpitalu, prosił podobno natrętów, wciąż próbujących z niego coś wydobyć, aby pozwolili mu spokojnie umrzeć.

Droga pisarska

Droga twórcza Krleży wiodła przez tragiczne wstrząsy historyczne i społeczne. Debiutował w roku wybuchu pierwszej wojny światowej. Jego pierwsze poematy i szkice dramatyczne cechuje buntowniczość, przejawiająca się zarówno w odrzuceniu tradycji romantycznej kontynuowanej przez modernizm jak i w negacji naiwnego, dziewiętnastowiecznego realizmu. Krleża wprowadził literaturę chorwacką w wiek dwudziesty. Jego wczesne utwory przeniknięte są biologiczną apoteozą życia, pogańskim kultem przyrody, zdradzają wpływ Nietzschego i zainteresowanie sensem istnienia. W *Legendzie* (1914), napisanej w formie dialogu między Chrystusem a Cieniem, sformułowany zostaje wyraźnie dylemat: co należy wybrać jako zasadę postępowania — aktywność, służbę społeczną, obowiązek czy też osobistą satysfakcję, zadowolenie z samego faktu istnienia. Odpowiedzi na te pytania udzieli później, w utworach napisanych już po ciężkich doświadczeniach osobistych.

Podczas wojen bałkańskich (1912-1913) Krleża przedostaje się do Serbii, aby walczyć przeciw jej przeciwnikom: Turkom i Bułgarom. Chciał w ten sposób czynem zademonstrować swą solidarność z kielkującą już wówczas ideą państwowości jugosłowiańskiej. O mało nie przypłacił tej przygody życiem. Posądzony przez władze serbskie o szpiegostwo na rzecz Austrii, zostaje aresztowany i deportowany. Po powrocie do Chorwacji, będącej wówczas częścią monarchii austro-węgierskiej, oskarżony zostaje o dezercję, wcielony do wojska jako szeregowy, chociaż miał za sobą akademię wojskową w Budapeszcie, i wysłany w 1914 roku na front. Z przeżyć wyniesionych z wojny rodzą się takie utwory jak dramat *Galicja* (1922), słynny zbiór opowiadań *Chorwacki*

bóg Mars (1922) oraz najwcześniejszy utwór prozatorski *Chorwacka rapsodia* (1917). Wczesny okres twórczości Krleży kształtuje się wyraźnie pod wpływem pacyfistycznego i radykalnego nurtu ekspresjonizmu. Tematyka społeczna dostrzegalna jest wyraźnie w dramacie *Golgota* (1922), gdzie pisarz wykorzystuje motywy biblijne, występujące dość często w jego wczesnej twórczości jako alegoria dla wyrażenia problematyki współczesnej. W *Golgocie* podejmuje kwestię konfliktów politycznych w łonie ruchu robotniczego, szybko jednak dochodzi do wniosku, że pisarz powinien unikać tematyki, która niemal automatycznie zmusza do udzielania odpowiedzi, co jest słuszne lub niesłuszne z punktu widzenia politycznego. Pisarz nie powinien być ani mentorem ani politykiem, lecz przede wszystkim moralistą, który budzi wrażliwość człowieka i zmusza go do myślenia, do kwestionowania nie tylko otaczającego porządku, ale i idei, które kształtują naszą świadomość. Jego moralistyka ma zdecydowanie podłoże racjonalistyczne.

W twórczości Krleży dadzą się wyodrębnić dwa zasadnicze kręgi tematyczne. Jeden mówi o „straconych złudzeniach”: rzeczywistość drugocze marzenia człowieka. Drugi natomiast wyraża niezgodę na istniejące układy społeczne, moralne i obyczajowe. Ten podział widoczny jest w takich utworach jak *Hodorlahomor Wielki* oraz cykl dramatyczny *Glembajevi*, ogłoszonych w latach dwudziestych. Prawdziwy rozgłos przyniosły Krleży dwie powieści, *Powrót Filipa Latinowicza* oraz *Na krawędzi rozumu*, napisane w latach trzydziestych. Jego twórczość zamykają *Bankiet* w *Blitwie* — powieść polityczna o mechanizmie rządów dyktatorskich w wymyślonym państwie Blitwy oraz powieść-rzeka *Sztandary*, opisująca przełomowy w dziejach Chorwacji okres lat 1912-1922. O wymienionych tu utworach pisano sporo. Dlatego chcę tutaj zwrócić uwagę na te aspekty literackiego dorobku Krleży, które zostały jakoś przemilczane nawet w jego ojczyźnie, a które moim zdaniem stanowią o jego niesłabnącej aktualności.

Stosunek do Rosji

Jednym z najważniejszych źródeł twórczości Krleży jest tradycja historyczna, kulturalna i polityczna Europy środkowej, którą nie bez racji nazywał „Bałkanami północy”. Ale największej uwagi poświęcił Rosji. Wielbił jej literaturę, cenił wysoko dorobek Dostojewskiego, choć odrzucał jego filozofię. Można nawet mówić o wpływie pisarza rosyjskiego na Krleżę, przejawiającym się w *wielogłosowości*, tzn. w różnorodności postaw polemicznych jego postaci, tak charakterystycznej np. dla *Powrotu Filipa Latinowicza*. Nie bez przyczyny przyłgnął do Krleży przydomek „Dostojewskiego lewicy”. Jednak Rosja budziła w nim nie tylko nadzieje, ale i obawę. Sympatyzował z rewolucją, cieszył się jej sukcesami, co dało powód do kreowania go na tak zwanego

„pisarza postępowego”. Ale Krleża wymyka się podobnym klasyfikacjom. Kiedy czyta się dziś napisaną w roku 1925 *Wycieczkę do Rosji*, trudno się oprzeć wrażeniu, że jego obserwacjom towarzyszy nieustannie nuta sceptycyzmu. Imponują mu wyraźnie nowe eksperymenty artystyczne, życie teatralne Moskwy, rozmach rewolucji, pisze z szacunkiem o Leninie, ale zaskakuje (jak na „pisarza postępowego”) obiektywny, rzeczowy ton relacji, ton pozbawiony bałwochwalczego zachwyty. Szczególnie znamieny wydaje się być reportaż pt. „Maska admirała”, sygnalizujący nadejście „ery podejrliwości” i donosicielstwa. Stary admirał, niejaki Sergiej Michajłowicz Wróbel, wstawiony za caratu krwawym tłumieniem buntów marynarskich i rewolucji 1905-1906, okazuje się szpiclem GPU, nowej policji „o czystych rękach”. Pod pozorem negatywnego stosunku do rewolucji admirał próbuje wydobyć z Krleży informacje o emigracji rosyjskiej w Jugosławii i przekazuje swym mocodawcom tajny raport o pisarzu. Stary admirał jest świadectwem upodlenia człowieka, bo zarabia donosicielstwem, zaś GPU szpieguje pisarza lewicowego.

Jeśli w sferze społecznej i politycznej towarzyszy Krleży zdrowy sceptycyzm, to na terenie literatury widoczny już jest niebawem nieprzejednany krytycyzm i odrzucenie sowieckiego modelu kulturalnego.

O nową sztukę i literaturę

W roku 1933, a więc w okresie kiedy w Związku Sowieckim dyskutuje się i wprowadza w życie realizm socjalistyczny, Krleża ogłasza swój słynny artykuł pt. „Przedmowa do podrawskich motywów Krste Hegedusića”. Formułuje tu istotę i zadania sztuki w sposób diametralnie różny od tego, jaki propaguje się w Związku Sowieckim. Myślą przewodnią tego programu jest przeświadczenie, że między racjami ideologicznymi a prawdą i sztuką artysta musi wybrać to ostatnie. Piękno uwarunkowane jest historycznie, ale sama sztuka rodzi się ze strachu przed śmiercią, ludzkim przemianami. „Gdyby nie istniała świadomość śmierci — pisze Krleża — nie byłoby sztuki”. Ostrzega więc, że w sferze przeżyć estetycznych najbardziej „racjonalne rezolucje i dyrektywy są całkowicie zbędne”, a nawet szkodliwe. Reguły nigdy nie stworzyły i nie stworzą wielkiej sztuki.

I wreszcie dzieło najwymowniejsze: w 1939 roku, na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, ukazuje się *Dialektyczny Antybarbarus*. Jest to krytyka stalinowskiej koncepcji sztuki, zbiór szkiców polemicznych wymierzonych przeciw stalinowskiemu dogmatykom w Jugosławii, ale w gruncie rzeczy książka godząca rykoszetem w to wszystko, co propagowano w Związku Sowieckim. Niepodobna wskazać pisarza, który by z równą odwagą wystąpił przeciw wynaturzeniom stalinizmu. Mniej więcej w tym samym czasie Brecht notował swe uwagi krytyczne o poglądach estetycznych Lukačsa, ale pisał je „do szuflady”, aby

broń Boże nie doprowadzić do „rozbicia” marksizmu w okresie „złożonej sytuacji międzynarodowej”. Inni, jak np. Silone w swym *Chlebie i winie*, formułowali dylemat: jak się ustosunkować do stalinowskiej rzeczywistości i nakazów Kominternu. Dla Krleży nigdy takie dylematy nie istniały, choć uważał się za marksistę. Nietolerancja, przemoc i terror zasługiwały tylko na potępienie. Nie był zresztą nigdy skrupowany członkostwem partii, bo do niej nie należał. To prawdopodobnie spowodowało, że *Dialektyczny Antybarbarus* nie ukazał się nawet w titowskiej Jugosławii (Krleża podobno obawiał się, że przedruk może przynieść mu sporo nieprzyjemności). Dopiero w kilka miesięcy po jego śmierci czasopismo *Književnost* (Literatura) przedrukowało pełny tekst tego dzieła.

Po wojnie niechęć Krleży do sowieckiej polityki kulturalnej i samego państwa stała się niemal obsesyjna. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych potępia na kolejnych zjazdach pisarzy jugosłowiańskich żdanowskie koncepcje sztuki. Formułując pojęcie ludowości w literaturze jugosłowiańskiej, twierdził, że powinno ono być nasycone sprzeciwem wobec sowieckiego imperializmu. Oskarżał pisarzy zachodnich, takich np. jak L. Aragon, o intelektualną nieuczciwość, tchórzostwo i nawet panikę „przed ewentualnym najazdem Kozaków”.

Trudno ogarnąć całe bogactwo myśli tego pisarza w sprawozdawczym szkicu. Pozostawił po sobie ogromny, bo liczący ponad pięćdziesiąt tomów dorobek literacki. Dał w nim rzadkie świadectwo odwagi, uczciwości pisarskiej. Dorobek ten stał się punktem wyjścia dla wypracowania nowej polityki kulturalnej po zerwaniu Jugosławii z Sowietami. Świat opisany przez Krleżę jest okrutny, ale istnieje w nim zawsze iskra nadziei, bo człowiek nigdy nie chce pogodzić się ze złem. Stąd przeświadczenie, że ludzki rozsądek musi w końcu zatriumfować.

Edward MOŻEJKO

„Pamiętnik Literacki”

*Pamiętnik Literacki** rozpoczął żywot w roku 1976. Obecnie — po niespełna sześciu latach — ukazał się tom piąty, a w najbliższych miesiącach otrzymamy następny „o poezji na emigracji”. Uzupełni on tom czwarty poświęcony Miłoszowi. W kronikach Związku odnotować to należy jako nawrót do tradycji umiejętnie planowanych przedsięwzięć takich jak seria książek

* *Pamiętnik Literacki*, Londyn 1982, wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, str. 132, (4).

„żywych” (o Mickiewiczu, Wyspiańskim, Conradzie, Norwidzie, Krasińskim i Sienkiewiczu) i praca zbiorowa o „Literaturze polskiej na obczyźnie, 1940-1960” (pod red. Tymona Terleckiego). Wydawany obecnie *Pamiętnik Literacki* przynosi m.in. cenne uzupełnienia zarówno zarysu historii literatury emigracyjnej jak i krajowego „Słownika współczesnych pisarzy polskich”.

Pośrednim wyjaśnieniem nacisku położonego na dokumentację życia literackiego na emigracji jest ciekawy fragment „Rozmowy z Józefem Garlińskim przeprowadzonej przez Eugeniusza Romiszewskiego”, ogłoszonej w tomie V *Pamiętnika*. Garliński, powołując się na doświadczenia z współpracy z Anglikami, mówi: „Nasz sposób myślenia jest romantyczny — „mierz siły na zamiary”, a ich [tj. Anglików] sposób myślenia jest inny — najpierw sprawdź, czy możesz osiągnąć sukces, a potem zaczynaj”. Stąd waga znajomości faktów i „wyciąganie wniosków z tego, co mam przed sobą, a nie z tego, co mi się w głowie kojarzy albo z tego, co chciałyby, by było. I nie z tego, co będzie w przyszłości, bo historia musi wyciągać wnioski z tego, co zbała, czyli z przeszłości”.

Na to, by historycy literatury mieli w przyszłości materiały do syntez trzeba już obecnie gromadzić dla nich materiały biograficzne i bibliograficzne tudzież dane statystyczne z zakresu socjologii i literatury, a więc np. dotyczące recepcji współczesnych odbiorców, struktury placówek wydawniczych, wysokości nakładów itd. Temat ten rozwija interesująco w *Pamiętniku* Jerzy R. Krzyżanowski w „Refleksjach nad 'Słownikiem współczesnych pisarzy polskich'”, dotyczących dwu serii, opracowanych w warszawskim Instytucie Badań Literackich pod red. Ewy Korzeniewskiej i Jadwigi Czachowskiej. Autor recenzji wyciągnął bardzo istotne wnioski o tym „kto jest pisarzem”, a więc o grupach wieku, płci, pochodzeniu, wykształceniu — oraz o tym „co piszą”. Nie jest zaskoczeniem przewaga ilościowa prozaików nad poetami, rewelacyjnie brzmią jednak dane dotyczące wykształcenia: Krzyżanowski obliczył, iż ok. 85 % pisarzy objętych „Słownikiem” ma wykształcenie uniwersyteckie, pochodzenie chłopskie podało 6 %, robotnicze 5 %, a koło 88 % pochodzi ze środowisk inteligentnych. Dalsze obliczenia dotyczą udziału pisarzy w „przeżyciu pokoleniowym”, jakim była druga wojna światowa. W kampanii wrześniowej — pisze Krzyżanowski — wzięło czynny udział 116 pisarzy, a więc 8 % środowiska przedwojennego, co, jak stwierdza dalej, stworzyło „zasadniczy zrąb późniejszej [ich] twórczości”. Pisarze stanowili wysoki procent (aż 6 %) deportowanych do ZSSR — 15 zmarło na zesłaniu, w tym dwu, Władysław Sebyła i Henryk Życzyński, w Katyniu. 9 % pisarzy przeszło przez obozy koncentracyjne, więzienia i inne formy ucisku pod okupacją niemiecką, 1 % zginął w gettach a 3 % zginęło w wyniku różnych form terroru nazistowskiego. Krzyżanowski zastrzega, że „Słownik” krajowy uwzględni ułamek tylko procent pisarzy emigracyjnych. Włączenie ich przyniosłoby raczej podwyższenie procentów bez zasadniczych zmian.

Podniosłoby jednak, co jest bardzo ważne, wiarygodność i znaczenie statystyk.

Potrzeba gromadzenia biogramów pisarzy emigracyjnych znalazła konkretny wyraz już w II tomie *Pamiętnika* w wynikach ankiety „W pracowniach pisarzy polskich”, a następnie w tomie III w pierwszej dawce biogramów w „Słowniku pisarzy polskich na obczyźnie” (65), uzupełnionej 33 biogramami w tomie IV i 17-oma w tomie V. W sumie daje to już 115 biogramów ujętych co prawda w formę bardzo lakoniczną zarówno w zakresie danych życiorysowych jak i bibliograficznych. Ale nawet w tej formie stanowią oni punkt wyjścia do dalszych poszukiwań! Warto wymienić nazwiska 17-tu, których bio- i bibliogramy weszły do tomu V. Są to nazwiska następujące: Marian Czuchnowski, Gustaw Herling-Grudziński, Stanisław Kirkor, Jan Kott, Zofia z Gawrońskich Kozarynowa, Zygmunt Ławrynowicz, Alicja ze Skulskich Moskalowa, Sławomir Mrozek, Zdzisław Najder, Włodzimierz Jan Odojewski, Marian Pankowski, Stanisław Mariusz Piaskowski, Zbigniew S. Siemaszko, Bolesław Taborski, Leopold Tyrmand, Witold Wirpsza, Bohdan Wroński.

W niektórych tylko biogramach uwzględnione są szerzej przekłady na języki obce. Rejestracja ich jest jednak od początku istnienia *Pamiętnika* troską redakcji. Prace z tego zakresu zapoczątkowane przez śp. Bronisława Przyłuskiego w tomie I kontynuują od tomu IV Maja Elżbieta Cybułska.

Stałymi rubrykami są także wykazy nagród pisarskich na obczyźnie i aktualnych adresów „polskich fundacji, instytutów, bibliotek, muzeów i firm wydawniczych na obczyźnie” oraz kronika Związku. Między innymi trzeba odnotować, że Fundacja Kościelskich, wraz z dotychczasowym prezesem, ma obecnie adres: 9, rue Cramer, 1202 Genève, i tam należy zgłaszać kandydatury i przesyłać życiorysy i książki.

Tom V *Pamiętnika* ma wyraźne zadanie: jest nim rozpatrzenie sytuacji i dorobku pisarzy polskich przebywających poza krajem, którzy „wydobyli się na obcy rynek wydawniczy”. To co ogłoszono na ten temat w tomie V jest — jak to było w kilku poprzednich wypadkach — punktem wyjścia prowokującym uzupełnienia. I znów, aby do nich zachęcić, przytaczam uwzględnione już nazwiska: Michał Borwicz, Józef Garliński, Zbigniew Grabowski, Gustaw Herling-Grudziński, Alicja Iwańska, Jerzy Kosiński, Zofia Kruk, Wiesław Stanisław Kuniczak, Jerzy Pietrkiewicz, Wiesław Strzałkowski, Leopold Tyrmand, Adam Zamoyński, Janusz Kazimierz Zawodny, Jerzy Zubrzycki. (Uzupełnienie: przy Zofii Kruk brak informacji, iż ogłasza swe książki pod pseudonimem Penny Harding).

Wartościowym dopełnieniem artykułu redakcyjnego pt. „Polscy autorzy w językach obcych” są trzy wywiady/rozmowy z pisarzami, których książki publikowane są od dłuższego czasu przez wydawców zagranicznych; dwu z nich (Jerzy Pietrkiewicz i Józef Garliński) opracowuje samodzielnie wersje angielskie, Mrozek tworzy w języku polskim w jego odmianie uniwersalnej, dającej

się z sukcesem tłumaczyć na języki obce. Dwaj rozpoczęli swoją zagraniczną karierę od utworów w języku polskim pisanych bez myśli o czytelnikach obcych — Pietrkiewicz dla odmiany przekształcił polskie klechdy opowiadane chorej Angielce w „The Knotted Cord”. W toku dalszej produkcji pisarskiej dochodzić jednak zaczęły wpływy krytycznych uwag wydawców i recenzentów.

Wywiad Józefa Garlińskiego ze Sławomirem Mroźkiem nosi tytuł „Teatr uniwersalny” i sięga głęboko do pobudek twórczości i uniwersalnej tematyki twórczości Mroźka. Warto odnotować jedno przynajmniej wyznanie: „Jestem dramaturgiem, bardzo wątpię czy potrafiłbym napisać niezłą powieść”.

Przekorna rozmowa Alicji Moskalowej z Jerzym Pietrkiewiczem ma niemal charakter autobiografii i samokrytyki, bo pisarz ocenia w niej i wartościuje kolejne etapy swoich przenosin z literatury polskiej (z którą nigdy nie zerwał) do angielskiej. Z rozmowy wyłania się trudny do zrozumienia fakt, że do języka polskiego nie powróciły dotąd w przekładach nawet tak polskie książki, jak „The Knotted Cord” i „The Third Adam” i że nie znający angielskiego czytelnicy odcieci są od znakomitej powieści jaką jest „Inner Circle”. Rozmowa z Pietrkiewiczem zachowała w druku swobodę wypowiedzi aż po chyba kolokwializmy typu: „No nie!”, „Języka angielskiego jednak pan nie znał, co?”, „No i jak szło z nauką języka?”. Ale i mistrz Pietrkiewicz „No to czu!” co rozgrzesza Alicję Moskalową. Sądzę także, że zestawiając bohatera rozmowy z Ożogiem przecenia tego ostatniego przez feblik do autentyzmu.

Rozmowa Eugeniusza Romiszewskiego z Józefem Garlińskim zdradza obycie pytającego z mikrofonem a pytanego z wymaganiami i zwyczajami wydawców angielskich. Przykład Garlińskiego wskazuje na wagę znajomości życiorysów pisarzy. Impонуje nam zarówno jego powrót na ławy uniwersyteckie po pięćdziesiątce, uwieńczony zdobyciem pełnowartościowego doktoratu, jak i umiejętność wypracowania podejścia do czytelników obcych z tematyką polską.

„O przekładach obojętnie” Wacława Iwaniuka wykazuje bynajmniej nie obojętne traktowanie zadań poety podejmującego ryzykowną operację „przekładu poetyckiego”, dającego pozornie więcej swobody niż przekład lingwistyczny, „szeroko stosowany w kołach uniwersyteckich i pseudonaukowych”. Esej Iwaniuka ilustrowany jest bardzo udanymi przekładami.

Skład Komitetu Redakcyjnego ujawnia stałe wykruszanie się starszych roczników i stopniowe, ewolucyjne odmładzanie Związku. Naprzód: Józef Garliński, śp. Bronisław Przytuński, śp. Kazimierz Sowiński i Ignacy Wieniewski, w tomie II pojawia się Antoni Pospieszalski, w IV — ks. Jerzy Mirewicz, w najnowszym Maja Elżbieta Cybulska, ur., jak wynika z niedyskretnego biogramu, w czasie drugiej wojny światowej, a przebywająca w Anglii od roku 1969.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- CYWIŃSKI (Bogdan). *Ogniem próbowane. Z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowo-wschodniej. Tom I: Korzenie tożsamości.* Str. 347 i 5 nlb. (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym 1982).
- KIRKOR (Stanisław). *Pod sztandarami Napoleona.* Str. 285 i 3 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).
- TOMASZEWSKI (Leon Tadeusz). *Zimne. Opowiadania z czasów wojny.* Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1982).
- Św. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna tom 23: Charyzmaty. Szczególne dary i powołania w Kościele (2-2.171-189).* Przełożył i objaśnieniami opatrzył o. Pius Bełch. Str. 413 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1982).
- OTTEA (Joanna). *Święci i błogosławieni polscy.* Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1982).
- KREUTZ (Mieczysław, dr). *Kształcenie charakteru. Wskazówki praktyczne.* (Wyd. II nakładem Veritas, Londyn 1982).
- KULAZIŃSKA (Beniamina, s.). *Matka Józefa Halaćka, założycielka Zgromadzenia SS Pasjonistek.* Str. 48. (Wyd. Veritas, Londyn 1982).
- BEDNARSKI (Felix W., OP). *Zagadnienia pedagogiczne.* Str. 327 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1982).
- KONWICKI (Tadeusz). *Wschody i zachody księżycy.* Str. 219 i 3 nlb. (Wyd. Index on Censorship jako Zapis nr 21).
- WITKIEWICZ (Jan Stanisław). *Witkacy i Witkiewiczowie.* Str. 142 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Pöublice, Berno 1982).
- IWANIUK (Wacław). *Podróż do Europy. Opowiadania i szkice.* Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).
- JABŁOŃSKI (Zygmunt). *Kobieta bez twarzy. Powieść.* Str. 136. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).
- TOPORSKA (Barbara). *Na Mlecznej Drodze.* Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).
- LIEBERT (Wacław). *O miłości i tak dalej. Opowiadania.* Str. 177 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).
- BALIŃSKI (Stanisław). *Wiersze emigracyjne.* Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1981).
- Symposiones tomus I: historia archaeologia.* Str. 256. (Wyd. Universitas Polonorum in exteris, Londyn 1981).
- Kalendarz Dziennika Polskiego 1983.* Str. 112. (Wyd. Dziennik Polski, Londyn, cena: £2).
- MARCINKIEWICZ (Jan). *Widmo kryzysu ekologicznego.* Str. 92 i 2 nlb. (Wyd. PUNO, Londyn 1982).
- Kalendarz młodej Polonii światowej, 1983.* Str. 64. (Zamówienia: „Domek” Bethlehem Ct., lub „Węzełek” Harcerek, Londyn).
- Solidarność dokumenty. Aneks do Biuletynu.* Nr 1 z 30. 9. 1982. Zbiór dokumentów Solidarności podziemnej i kościelnych. Str. 81 i 3 nlb. (Wyd. Biuro „Solidarności” w Sztokholmie, Västmanagatan 9 III, 11124 Stockholm. Pismo ukazywać się będzie co trzy tygodnie. Cena poj. numeru: kr. 15 lub równowartość. Nr konta postgiro: 51 34 09-3).
- JANKOWSKI (Stanisław). *Metody ekspansji komunizmu. Dzieje ukształtowania systemu w latach 1919-1939.* (Wyd. II, nakładem Veritas, Londyn).
- Polska sztuka współczesna poza krajem. Kolekcja POSK-u.* Str. 119 i 3 nlb. (Wyd. dwujęzyczne polsko-angielskie, wyd. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny POSK w Londynie, 1982).

- FRALICH (Anna). *Indian Summer*. Wiersze. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Sigma Press, Albany, USA, 1982).
- CZAPSKI (Joseph). *L'œil. Essais sur la peinture*. Str. 114 i 2 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1982).
- BOGDAN (Henry). *De Varsovie à Sofia. Histoire des pays de l'Est*. Str. 462 i 2 nlb. (Wyd. Dossiers de l'histoire, Editions de l'université et de l'enseignement moderne, collection „Documents”, Paryż 1982).
- CONTE (Francis), MARTRES Jean-Louis). *L'Union Soviétique dans les relations internationales*. Str. 546 i 4 nlb. (Wyd. Economica, Paryż 1982).
- MAREK (Krystyna). *Retour sur Yalta*. (Nadbitka z *Revue Générale de Droit International Public* nr 3/1982, str. 458-507, wyd. A. Pedone, Paryż 1982).
- MUCHA (Willy). *Gouaches extraites du „Journal intime” de 1940 à 1982*. Avant propos de Michel Déon. Photographies de Jacqueline Hyde. Str. nlb. — reprodukcje. (Wyd. Joker International Editions, Paryż 1982).
- MIECZKOWSKI (Bogdan). *Social Services for Women in Eastern Europe*. Str. 130. (Wyd. The Association for the Study of the Nationalities — USSR and East Europe, USA).
- BLEJWAS (Stanislaus A., ed.) i BISKUPSKI (Mieczysław B., ed.). *Pastor of the Poles: Polish American Essays Presented to Right Reverend Monsignor John P. Wodarski in Honor of the Fiftieth Anniversary of His Ordination*. Str. 223 i 7 nlb. (Wyd. Polish Studies Program Monographs, Central Connecticut State College, New Britain Ct., 1982).
- DZIEWANOWSKI (M. K.). *The Future of Soviet Russia in Western Sovietology*. (Nadbitka z *Co-Existence, an International Journal* vol. 19 nr 1, kwiecień 1982, str. 93-114).
- MIKOŚ (Michael J.). *Early Maps of Poland (1508-1772) in the American Geographical Society Collection*. Str. 34, 40 ilustracji. (Wyd. American Geographical Society Collection, Milwaukee, 1982).
- HANSON (Joanna K. M.). *The Civilian Population and the Warsaw Uprising of 1944*. Str. 345 i 3 nlb. (Wyd. Cambridge University Press, Cambridge, Wielka Brytania, cena: £ 19.50).
- Poland Watch* nr 1 (jesień 1982). Kwartalnik poświęcony zagadnieniom praw człowieka w Polsce. Str. 100 i 5 nlb. (Wyd. Poland Watch Center, Washington DC, cena poj. egzemplarza: \$ 6).
- The Amador Owl. Le magazine des refusés*. Vol. I, nr 1 (lato 1982). Str. 68. (Wyd. Sparrow-Owl Publishers, Sutter Creek CA).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *The Novel and its Political Inspirations*. (Nadbitka z *East European Literature, Selected Papers from the Second World Congress for Soviet and East European Studies*, wyd. Berkeley Slavic Specialties, Berkeley 1982, str. 33-42).
- SERKE (Jürgen). *Die verbannten Dichter. Berichte und Bilder von einer neuen Vertreibung*. Str. 352 i 2 nlb. (Wyd. Albrecht Knaus Verlag, Hamburg 1982).
- VOGEL (Hans-Josef). *Vom deutschen Juni in den polnischen Sommer zum europäischen Frieden. Betrachtungen zum 17. Juni 1982*. (Nadbitka z *Akademische Blätter* nr 5/1982, str. 129-137).
- Gegen das Kriegsrecht in Polen — für Solidarität*. Katalog wystawy zorganizowanej przez artystów niemieckich, z której dochód przeznaczony jest dla artystów polskich. Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. Kunstpalast Düsseldorf, 1982).
- Fakten und Hintergründe. Sieben deutsche Prosawerke erläutert von Henryk Kesler*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Liber-Förlag, Sztokholm 1982).
- Das KOR und der „polnische Sommer”*. *Analysen, Dokumente, Artikel und Interviews 1976-1981*. Str. 249 i 3 nlb. (Wyd. Junius, Hamburg 1982).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

18-11-82

Zarząd polskiego oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej przyznał swoją doroczną nagrodę Marii Kuncewiczowej — „za działalność, która przyczyniła się do popularyzowania kultury polskiej poza granicami kraju”.

22-11-82

Trybuna Ludu donosi o „podwójnym jubileuszu” Radomskiej Wytwórni Telefonów, która obchodzi 20-lecie współpracy ze Związkiem Sowieckim oraz wyprodukowanie 10-milionowego aparatu dla ZSSR.

25-11-82

Doroczną nagrodę Związku Kompozytorów Polskich otrzymał Stefan Kisielewski za twórczość kompozytorską i pisarstwo muzyczne, oraz Jerzy Maksymiuk za działalność dyrygencką. ■ Międzyresortowa komisja do spraw Polonii zajęła się problemem duszpasterstwa polonijnego. Oceniono, że rzymsko-katolicka działalność polonijna jest prowadzona przez 2.800 księży polskiego pochodzenia lub mających obywatelstwo PRL oraz 3.000 zakonnic polskiego pochodzenia. Tylko połowa spośród 1.700 księży pracujących w USA zna biegle język polski. „Na nastroje kleru polonijnego opozycji w kraju międzynarodowe uwarunkowania polityczne i działalność opozycji w kraju oraz wypracowanie stanu wojennego. Stopień ich krytycyzmu jest jednak różnicowany i część duchowieństwa polonijnego wykazała umiar i rozwagę”.

29-11-82

Tegoroczne nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka, ufundowane przez Stowarzyszenie PAX otrzymali: Prof. dr Stefania Skwarczyńska, ks. prof. dr Marian Fąk, prof. dr Krzysztof Porwit, Zbigniew Dolecki, Jan Koprowski, Aleksander Rogalski, ks. Jerzy Banak, Józef Szczawiński, Jerzy Maksymiuk; oraz nagrody specjalne: Jakub Chojnacki, Jerzy Dunin-Borkowski, Roman Kadziński.

5-12-82

Odwołano dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie, Adama Hanuszkiewicza. W siedzibie Teatru Dramatycznego ma działać powstający Teatr Rzeczypospolitej. ■ Wznowił działalność Klub Inteligencji Katolickiej w Białymstoku. ■ Cały polski eksport opiera się na działalności zaledwie 5 % przedsiębiorstw, czyli jedynie 200 przedsiębiorstw dostarcza PRL dewiz. ■ Na wniosek min. Żygułskiego rozwiązano Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru, Estrady, Radia, Telewizji i Filmu — ZASP. Nastąpiło to zaraz po apelu Prymasa Glempa, który wezwał artystów do nie bojkotowania Telewizji i Radia. ■ W przyszłym roku budżetowym deficyt budżetu PRL wyniesie 176 mld złotych. ■ Obecnie w PRL obowiązują 535 ustaw i dekrétów, 1.784 rozporządzeń Rządu, Premiera oraz poszczególnych ministrów, 1.500 uchwał Rady Ministrów, a także 37 rozporządzeń Prezydenta R.P. z okresu międzywojennego. ■ Prof. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, ustąpił ze swego stanowiska. Rezygnacja ta została przyjęta, a następnie dymisjonowano jego dwóch zastępców: A. Rottermunda i Baranowskiego. Nowym dyrektorem został A. Michałowski. (Wzięte z *Tygodnika Powszechnego*).

7-12-82

W Warszawie rozpoczęły się polsko-sowieckie rozmowy gospodarcze, mające na celu ściślejszą koordynację planów rozwoju gospodarczego. Ponad 1/3 obrotu handlu zagranicznego PRL stanowią obroty z ZSSR.

11-12-82

Udekorowano wysokimi odznaczeniami państwowymi grupę pisarzy: Jan Maria Gisges, Maria Kuncewiczowa, Artur Sandauer, Edward Kurowski, Ludmiła Maria Mariańska, Zygmunt Stoberski, Władysław Terlecki.

ZACHÓD — EMIGRACJA

10-11-82

Ministrem spraw emigracyjnych w Rządzie R.P. na uchodźstwie został p. Walery Choroszewski na miejsce dr. Mieczysława Sas-Skrowońskiego. Ponadto delegatem Rządu R.P. na terenie Australii został mianowany inż. Eugeniusz Hardy na miejsce, inż. Stefana Nowickiego. Prezydent R.P. na uchodźstwie, Edward Raczyński, podał do wiadomości, że Komitet Pomocy Krajowi przekazał na cele krajowe w ciągu ostatnich sześciu lat ponad 110.000.

21-11-82

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 71 lat Adam Niebieszczański, znany działacz Stronnictwa Narodowego.

22-11-82

Zmarł w Londynie w wieku 90 lat dr Stanisław Ostrowski, legionista, b. Prezydent miasta Lwowa, b. Prezydent R.P. na wygnaniu.

1-12-82

We Francji powstało nowe pismo Polonii francuskiej — *Forum Polonii*. Pismo wydawane jest w języku francuskim z dodatkiem w języku polskim. Ma to być miesięcznik pokolenia urodzonego we Francji, rodzin polsko-francuskich i ich przyjaciół. Nr 1 *Forum* ukazał się w listopadzie 1982 roku. Adres Redakcji: 23 rue Bourignon, 59000 Lille. Prenumerata roczna (10 numerów) — 150 franków.

4-12-82

Nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego za rok 1982 zostały przyznane: dr Jan Venulet, Szwajcaria (medycyna), prof. Zygmunt A. Piotrowski, USA (psychologia), prof. Zbigniew Jan Ciesielski, Polska (matematyka), prof. Juliusz Bardach, Polska (historia), prof. Maria Renata Mayenowa, Polska (historia i teoria literatury), prof. Andrzej Walicki, Australia (historia idei), Kazimierz Brandys, USA (literatura), Magdalena Abakanowicz, Polska (sztuki wizualne), Tadeusz Kantor, Polska (teatr), Jan Zachwatowicz, Polska (osiągnięcia kulturalne). ■ W Théâtre de la Madeleine w Paryżu została otwarta wystawa *Art polonais contemporain* z pracami Brzozowskiego, Czapskiego, Joanny Flatau, Gaja, Gierowskiego, Josefowicza, Wandy Ładniewskiej, Łapińskiego, J. Lebensteina, Ariki Madeyskiej, Zbigniewa Markowskiego, Musiałowicza, Narzyńskiego, Pietscha, Rózgi, Rzepińskiego, Joanny Wierusz Pawlikowskiej-Winnickiej i Magdy Zarachowicz.

8-12-82

Staraniem Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu odbył się w Ukraińskiej Bibliotece im. S. Petlury odczyt red. Jerzego Iranek-Osmeckiego pt. „Warunki powstania nowego układu sił w Europie środkowo-wschodniej”. ■ Natchmiast po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego, Rada Uniwersytetu w Tours podjęła uchwałę z wyrazami solidarności pracowników uczelni dla polskich pracowników naukowych, a Wydział Historii wystąpił z wnioskiem o przyznanie doktoratu *honoris causa* prof. Bronisławowi Geremkowi z Instytutu Historii PAN za całokształt jego dorobku w dziedzinie historii średniowiecza. Uroczystość nadania tego tytułu prof. Geremkowi odbyła się

8 grudnia. Odczytano list prof. Geremka, przebywającego nadal w obozie dla internowanych. W jego imieniu dyplom odebrał znakomity francuski mediewista, prof. Jacques Le Goff, profesor Ecole des Hautes Etudes en Science Sociales w Paryżu i były Rektor tej uczelni.

13-12-82

W Kolonii została otwarta wystawa malarska Victora Szostała. ■ Dwa pisma szwedzkie — *Dagens Nyheter* i *Politiken* — przyznały Lechowi Wałęsie nagrodę Wolności 1982. W Komitecie doradczym nagrody był Czesław Miłosz oraz Alva Myrdal, która w 1982 roku otrzymała Nagrodę Pokoju Nobla.

15-12-82

W Bibliotece Polskiej w Paryżu miał miejsce wieczór autorski znanego satyryka Tadeusza Polanowskiego.

20-12-82

Zmarł w Genewie w wieku 95 lat Arthur Rubinstein, pianista, wirtuoz o światowej sławie.

KRONIKA KANADYJSKA

W dniach 12-14 listopada 1982 roku odbył się w Winnipeg XXVII walny zjazd Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Należał chyba do najbardziej upolitycznionych, bowiem przemawiali na nim dwaj ministrowie Rządu Federalnego, przywódca opozycji parlamentarnej, przywódca Nowej Partii Demokratycznej (odpowiednik socjaldemokracji), prezes Centrali Związków Zawodowych i premier Prowincji Manitoba. Na następną dwuletnią kadencję został wybrany prezesem Jan Kaszuba, a do Zarządu Głównego weszło kilka nowych osób, w tym przedstawiciele Związku Polaków w Kanadzie oraz najmłodszej organizacji — Polish-Canadian Action Group. ■ W związku z kryzysem gospodarczym, który spowodował wzrost bezrobocia, Rząd Federalny zarządził ograniczenie imigracji w 1983 roku, obniżając również ilość uchodźców polskich przyjmowanych w ramach programu rządowego. Kwota ta została wyczerpana już w październiku 1982 roku, choć jeszcze nie wszyscy dotarli do miejsc nowego osiedlenia. Wydział konsularny Ambasady Kanadyjskiej w Warszawie udzielił poza limitem, na mocy specjalnego zarządzenia ministra Zatrudnienia i Imigracji, wiz około 150 osobom, w tym byłym internowanym działaczom NSZZ „oSlidarność” i członkom ich rodzin. Przybycia ich oczekuje się w najbliższym czasie. Min. Axworthy zaznaczył, że chodzi tu o osoby, które z własnej woli postanowiły emigrować do Kanady i zapowiedział, że wyda niebawem specjalne dyrektywy, na mocy których b. więźniowie polityczni będą mogli przybywać do Kanady. ■ W ramach akcji sponsorowania uchodźców, prowadzonej przez Kongres Polonii Kanadyjskiej, w okresie od września 1982 roku udzielono wiz 1.069 osobom, a dzięki akcji organizacji i komitetów polonijnych — 1.150 osobom, korzystając z specjalnych zezwoleń ministra Zatrudnienia i Imigracji Lloyd Axworthy. ■ Według oficjalnych zestawień Kongresu Polonii Kanadyjskiej na pomoc dla Polski zebrano od końca września 1982 roku \$c. 2.370.00. Na tę sumę złożyły się również dotacje Rządu Federalnego: \$c. 500.000 od rządu Ontario i \$c. 50.000 od rządu Alberta. ■ Bogdan Czaykowski — poeta, tłumacz i profesor literatury słowiańskiej University of British Columbia w Vancouver — prowadził w dniu 15 listopada 1982 roku na wydziale slawistyki University of Toronto seminarium, na którym wygłosił prelekcję na temat „Idea rzeczywistości w poezji Czesława Miłosza”. Tegoż dnia wieczorem odbył się jego wieczór autorski, na którym czytał swoje wiersze w języku polskim i angielskim.

B. H.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Hedwig, 1 grudnia 1982.

List p. Schenkera (*Kultura*, nr 11/422) nasuwa następujące refleksje: Nietrudno jest zestawzić listę imprez z ub. roku akademickiego w USA, związanych w jakiś sposób z Polską.

Podobną listę można by również sporządzić w odniesieniu do imprez, związanych np. z plemionami Nowej Gwineji. Żyjemy w społeczeństwie globalnym, i szereg osób zarabia na wygodne życie, wykładając języki i kultury wszelakiego rodzaju.

Bardziej ważna jest znikoma ilość naukowców w USA, którzy są bez reszty zaangażowani w palącą sprawę doprowadzenia studiów polskich do poziomu ważności, odpowiadającemu roli kultury polskiej jako jednej z większych kultur europejskich.

Trudno mi zrozumieć, dlaczego p. Schenker tak namiętnie nie zauważa tego oczywistego faktu.

Również p. Krzyżanowski (*Kultura*, nr 12/423) jest zdumiewająco zadowolony z trzeciorzędności miejsca (na niektórych uniwersytetach staje się ono czwartorzędne), zajmowanego przez polonistykę na amerykańskich wyższych uczelniach. Nie ma w Stanach ani jednej grupy etnicznej równie licznej jak Polacy, której historia i kultura byłyby tak lekceważone na studiach uniwersyteckich, jak lekceważone są historia i kultura Polski. Podczas gdy studia polskie mają na kampusach amerykańskich status prowincjonalnej ciekawostki, poloniści amerykańscy gratulują sobie nawzajem wielkich osiągnięć w dziedzinie propagowania studiów nad Polską.

Z poważaniem

Sally BOSS

Drogi Panie Redaktorze!

Sutter Creek, 17 listopada 1982.

Artykuł pani Sally Boss „Sławistyka nierosyjska w USA” (*Kultura* nr 9/120, 1982) zasługuje na pochwałę za otwartą i rzeczową krytykę polskich sławistów i stosunków na uniwersytetach amerykańskich i pobudza mnie do refleksji, może bardziej zasmucających niż opinie pani Boss.

Obraz stosunków „sławistycznych” o jakich pisze pani Boss jest tylko odbiciem stosunków (lub socjologicznych przemian) jakie panują w całym polskim społeczeństwie emigracyjnym. Przecież te same osoby o których pisze pani Boss, które są członkami lub kierownikami instytucji, które mogłyby ale *nie chcą* lub — według pani Boss — *nie mogą* dużo zdziałać w kierunku kształtowania inteligencji amerykańskiej i formowania jej poglądów na tematy polskie, są takimi samymi zjadaczami codziennego (i jakże smacznego) chleba jak wszyscy inni Polacy osiadli w USA. A to często oznacza dobrą posadę lub fizyczną bardzo dobrze płatną pracę, często okazały

dom (lub dwa), konto czekowe i inwestycje, wakacje *abroad*, i w ogóle dobrobyt o jakim wielu z nas nigdy nie marzyło.

Sukces materialny przewrócił „do góry nogami” mózgi i uczucia wielu z nas. To prawda, że na drodze do tego sukcesu leżały i leżą ciężka praca, studia, nauka własna nowych zawodów, długie nadliczbowe godziny pracy, itd. itp., lecz prawdą też jest, że na tej drodze wielu z nas zgubiło istotny sens słowa POLSKA.

Lecz najgorsze jest ciągle wzrastające we mnie przekonanie, że często na drodze do materialnego dobrobytu było i jest stosowanie zasady „nie wychylać się”, tzn. nie robić niczego, co by mogło obrazić „gospodarzy”, o których wiemy lub od dawna powinniśmy wiedzieć, że — mówiąc bardzo ogólnie — są przecież w 99% ignorantami w sprawach wykraczających poza sport i uciechy codziennego *American way of life*.

No cóż? Ołbrzymia większość nas nie ma odwagi wytykania błędów i grzechów naszym amerykańskim współmieszkańcom, a ci co ją mają i robią z niej użytek, są traktowani raczej obojętnie, i (często odnoszę wrażenie) są w środowiskach polskiej emigracji uważani za pomyłenców. Piszę o tym i o pokrewnych zagadnieniach w osobnym artykule, który, mam nadzieję, będzie przez Pana Redaktora przyjęty.

Uścisk dłoni łączę

Józef LUBAŃSKI

Hanower, 10 grudnia 1982.

Szanowna Redakcjo!

Bawiąc okolicznościowo w RFN wpadł mi numer *Kultury* 2/1982, który od deski do deski przetrawiłem, jako że w Kraju jesteście spragnieni prawdziwej duchowej strawy.

Jest mi przykro, że muszę zaprotestować przeciwko niektórym sformułowaniom w „Samobójstwie Witkacego”, a ponieważ „kochani wędzyciele” każdą nieścisłość rozdmuchają do olbrzymiego balona, podnosząc fałszywość Waszych informacji, sądzę, że z zadowoleniem przyjmiecie moje sprostowania.

W 1939 roku byłem podchorążym zawodowym Szkoły Podchorążych artylerii przeciwlotniczej w Traugutlinie k. Brześcia nad Bugiem, promowanym w chwili wybuchu wojny na podporucznika art. p.-lotn. Kampanię wrześniową przeszedłem w obronie p.-lotn. Brześcia.

Otóż Brześć był TYLKO RAZ bombardowany, w środę 6 września 1939, w godzinach (krótko) popołudniowych, tj. między 13-tą a 14-tą. Większość bomb spadła w rejonie ul. 3 Maja, gdzie w budynku Banku Polskiego, w schronie zatrzymał się Marszałek Śmigły Rydz. Zginęło w sąsiedztwie kilkadziesiąt osób.

Nieprawdziwe więc jest stwierdzenie, że „... Brześć, gdzie spędzili w hotelu noc, był bombardowany przez niemieckie lotnictwo” (str. 101). **BRZEŚĆ NIGDY NIE BYŁ BOMBARDOWANY NOCĄ.**

Sprawa druga na następnej stronie: „Po niespokojnie spędzonej nocy w Brześciu (noce były w tym okresie w Brześciu NAJSPOKOJNIEJSZE) wyruszyli w dalszą podróż”.

„ZA PLECAMI MIELI NAPIERAJĄCYCH HITLEROWCÓW”... Nieprawda. Niemcy do 12 września nie przekroczyli Bugu na terenie woj. Poleskiego. Garnizon brzeski oraz moje Centrum Wyszczolenia Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej ewakuowały się z Brześcia w dniu 13 września 1939 w godzinach wieczornych. Skąd więc na wschodnim brzegu Bugu „za plecami nacierający hitlerowcy”?

Zresztą wojska lądowe niemieckie doszły tylko do Brześcia (14 września), nie przekraczając Bugu, a jedynie pancerna grupa gen. Guderiana dotarła od północy do Kobrynia, ale nikt z Brześcia nie uciekał w kierunku północno-wschodnim.

Szanując Pana publikacje, gwoli obiektywnej prawdy przesyłam tych parę słów sprostowania. W każdej wojnie powstają mity, ale „póki my żyjemy” powinniśmy z mitologizowaniem walczyć.

Sądząc, że Szanowna Redakcja zechce niniejsze sprostowanie zamieścić, pozostaję z głębokim poważaniem i szacunkiem

Dr Mieczysław ROYALL DE ROGAN

(czasowo) Berlin Zachodni, 14 grudnia 1982.

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Kronice szwedzkiej” w numerze 12/423 *Kultury* wymieniono moje nazwisko jako „przewodniczącego Polskiego PEN-Clubu” Zależy mi na sprostowaniu tej błędnej informacji. Prezesem Polskiego PEN-Clubu jest (od 1978 roku) Juliusz Żuławski, poeta i wybitny tłumacz literatury angielskiej, wiceprezesami są Artur Międzyrzecki i Jerzy Zagórski, ja zaś jestem (od 1972 roku) sekretarzem Polskiego PEN-Clubu; przewodniczącym nigdy nie byłem. *Nota bene* Polski PEN-Club należy do stowarzyszeń kulturalnych „zawieszonych” w grudniu 1981 roku, wobec czego członkowie jego władz dotychczas funkcji swoich w kraju sprawować nie mogą.

Z poważaniem

Władysław BARTOSZEWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.B. w Kraju; L.M., Luxemburg; T.Ł., RFN; W.S. RFN; A.Z., Dania; Z.P., Austria; T.S., Francja; R.F., RFN; A.S., RFN; T.W., RFN; A.B., RFN; W.K. w Kraju; K.J., Kanada; H.S., Włochy; H.A.P. w Kraju. — Z wierszy nie skorzystamy.

A.R., Izrael. — Artykuł nie nadaje się do druku.

A.M., USA. — Nie mamy działu satyry.

P.M., Belgia. — Polonia belgijska jest nieliczna, nie upoważnia więc do tak daleko idących wniosków.

A.Ż., Kanada. — Opowiadanie wydaje nam się nieudane.

J.H., Hiszpania. — Opowiadanie robi wrażenie brulionu nierozwiniętego jeszcze mglistego pomysłu.

K.P., Austria. — Opowiadania napisane są gładko, ale nie wychodzą poza dość banalną opisowość.

A.H.G., Wielka Brytania. — Rozmowanie (często sugestywne) anarchistów jest w praktyce jałowe, bo jakież z niego dzisiaj zrobić użytek? Sens ma tylko zasada „cywilnego nieposłuszeństwa” w pew-

nym skromnym zakresie dopuszczalna w systemie demokratycznym. W Polsce (czy w ogóle w ustroju totalitarnym) „niezgoda na przemoc” jest zjawiskiem powszechnym, co nie znaczy że ruch „neo-hippisów” może być wzorem dla Polaków.

S.K., Austria. — Powieść jest naszym zdaniem mało interesująca.

C.Z., RFN. — Pana rosyjski wiersz przesyłamy rosyjskim przyjaciołom. Adres tygodnika *Russkaja Mysl*: 217, rue Faubourg St. Honoré, 75008 Paris. Adres kwartalnika *Kontinent*: 11 bis, rue Lauriston, 75116 Paris. Książki rosyjskie i polskie można w RFN nabywać w księgarni Kubon und Sagner, München, Hess Strasse 39/41.

T.Z., USA. — Artykuł o *Raporcie* Marka Nowakowskiego jest bardzo niesprawiedliwy. Można naturalnie o zbiorze Nowakowskiego dyskutować, ale przekreślenie go jako „porażki literackiej” zarzutami „dydaktyczności” i „ilustracyjności” wydaje nam się powierzchowną „cenzurką” krytyczną.

P.D., Monachium. — Manifestu „Międzynarodówki Ofiar Jałty” nie zamieścimy. Na ten temat pisaliśmy i piszemy często w *Kulturze*.

Stanisław Kowalski, Monachium. — Donosów nie zamieszczamy.

St.L., Sztokholm. — Nie zamieścimy. Pana oceny są całkowicie słuszne, ale również powszechnie znane.

B.J.J., Caracas. — Nie zamieścimy.

L E T T R E S S L A V E S

31 rue Dauphine, 75006 Paris, France.

Tel.: 633 05 40.

Pragniemy Państwa powiadomić o powstaniu księgarni-antykwarium

„Lettres Slaves”

Prowadzimy kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych; grafik, map i rysunków dotyczących Polski i innych krajów słowiańskich (w językach oryginalnych i tłumaczeniach).

„LETTRES SLAVES”:

- Prowadzi działalność księgarską i antykwaryczną, na miejscu i drogą pocztową.
- Przyjmuje zlecenia na poszukiwanie konkretnych tytułów i egzemplarzy (w interesie naszych Klientów prowadzi się kartotekę książek poszukiwanych).
- Udziela informacji o książkach, również korespondencyjnie.
- Wydaje na bieżąco i na życzenie rozsyła katalogi książek, ogólne i tematyczne.

Odpowiedzialny Marek Franciszkowski

LESŁAW JUREWICZ

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

Głównym tematem książki jest próba odpowiedzi na pytanie, czy rozstrzelanie 26 żołnierzy PPR-owskiej Gwardii Ludowej przez oddział Narodowych Sił Zbrojnych w dniu 5 sierpnia 1943 roku było zbrodnią, czy początkiem obronnej wojny domowej z komunizmem w Polsce.

Walka prowadzona była na płaszczyźnie politycznej (jawnej i podziemnej) oraz zbrojnej. W latach 1944-1956 wzięło w niej udział ponad trzy miliony patriotów. Ponad milion aresztowano. Około miliona wysiedlono.

Po stronie zwącej się ludową padło ponad 22.000 ludzi. Patriotci stracili około 8.000 w zabitych.

PZPR-owska wojskowa dyktatura w kraju musi zrozumieć, że:

1. Pomimo ogromnej przewagi w ludziach, uzbrojeniu i sprzęcie PPR i interwencja sowiecka wojny z Podziemiem nie wygrały.
2. Odmowa kompromisu doprowadzi do wybuchu rozpacz w postaci nowego Podziemia i podjęcia zawieszony walki zbrojnej.

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

jest do nabycia u autora pod adresem:

528 West 111-th Street, New York, N.Y. 10025, USA.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką — 12 dolarów.

Książka zawiera bogatą dokumentację i oryginalne mapy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z lat 1947 oraz 1948.

Dokumenty

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMERATA.

Na rok fr. 22
Na pół roku fr. 6
Na trzy miesiące fr. 3
Dziennik wychodzi trzy razy
do miesiąca.

N° 26 i 27.

DZIEŃ 5 SIERPNIA 1856 ROKU.

Werkle zgotowania się ty-
czepie się prenumeraty lub ni-
odbiórka nielubnego pisma,
tudzież przesyłanie pieniędzy,
musi być adresowane i do
M. Alphonse Potrykowski, rue
Neuve-St. Paul, 14, à Paris.

STAN RZECZY

zaprowadzony w Polsce przez Cesarza Mikołaja*

„*Tout ce que mon père a fait, est bien fait.*”

Przemówienie cesarza Alexandra,
w Warszawie, maj 1856.

Po dwukrotnym oświadczeniu Cesarza Alexandra, że chce utrzymać i prowadzić dalej dzieło zaczęte w Polsce przez swego ojca i poprzednika, uważamy za potrzebne, dla lepszego zrozumienia słów Rossyjskiego Monarchy, stawić przed oczy publiczności naszój szereg ukazów i rozporządzeń Cesarza Mikołaja, wydanych od chwili odkąd żadnymi ograniczeniami niekrępowały, według potrzeb państwa swego i według własnego instynktu, Polskę urządał. Brak miejsca niedozwala nam powtarzać ukazów tych w całości; zapisujemy ich datę lub notujemy ich treść. Że spis ten jest niezupełny, że brakuje mu szczególniejszych przepisów administracyjnych lub policyjnych, które właśnie dlatego, że najbardziej charakterystyczne, ogłoszonymi być nie mogły, — wina jest materyałów z których czerpaliliśmy. Z drugiej strony, niechcieliśmy jakimi bądź przez nas dodawanymi uwagami lub wyjaśnieniami, odejmować wykazowi temu cechy bezstronności.

1831.

2 Listopada. — Ukaz amnestyi dla poddających się i wracających do browolnie, z wyłączeniem sprawców rokoszu, członków rządu, posłów którzy wotowali na detronizacyją i t. d.

3 Listopada. — Ustanowienie komissyi wojennych do sądenia buntowników. — Upoważnione są one do skazywania na wygnanie, konfiskatę, roboty w kopalniach, śmierć. Na żądanie szczególniejszej instrukcyi dla tych sądów. Cesarz odpowiada dwoma słowy: *Skoro a srogo!*

9 Listopada. — Ukaz znoszący Uniwersytet Warszawski i Szkoły wyższe w Królestwie Polskiem.

* Zachowujemy pisownię oryginału.

9 Listopada. — Rozkaz przesiedlenia „na raz pierwszy” około 5.000 rodziny szlachty, głównie i naprzód z gubernii Podolskiej, na ziemię skarbowa, a mianowicie na linię albo obwód kaukazki, w ten sposób, iżby później przesiedleńców tych brać można do służby wojskowej. Ukaz 6go kwietnia 1832, rozciąga postanowienie to do wszystkich gubernii zachodnich.

1832.

10 Stycznia. — Ukaz znoszący korpus kadetów w Kaliszu.

14 Lutego. — Manifest donoszący o Statucie Organicznym dla Królestwa Polskiego. „Pragnąc aby poddani nasi Królestwa Polskiego nieprzestawali używać wszystkich pomysłności, jakie są potrzebne do uszczęśliwienia każdego z nich osobno i dla ogólnego dobra całego kraju: aby *bezpieczeństwo osobiste i własność* każdego, *wolność sumienia* i wszelkie miejscowe cywilne prawa i swobody były bez żadnego onych naruszenia zachowane; aby Królestwo Polskie mając osobny Rząd potrzebom jego odpowiedni, nieprzestawało być *nieoddzielną częścią* Cesarstwa naszego; aby nakoniec mieszkańcy tego kraju składali odtąd z Rossyanami zjednoczony zgodnemi braterskiemi uczuciami naród,... przepisaliliśmy i postanowiliśmy i t. d.

10 Kwietnia. — Reskryptem Rady Administracyjnej postanowiono zabrać w Królestwie Polskiem sieroty i dzieci bez opieki, od 6 do 17 lat życia, wywieźć do Mińska, umieścić w batalionach wojennych kantonistów, a następnie odesłać do kompanii osadniczych.

1 Maja. — Ukaz znoszący Uniwersytet Wileński.

Czerwiec. — Ukaz zabraniający języka polskiego we wszystkich sądach i trybunałach na Litwie.

17 Lipca. — Ukaz polecający nowe zniesienie klasztorów katolickich, położonych w okolicy wsi unickich lub schyzmatycznych, w prowincjach zabranych.

20 Sierpnia. — Ukaz: Małżeństwa mieszane t. j. zawarte między osobą wiary prawosławnej a osobą innego wyznania, wtedy tylko są ważne jeżeli się odbyły w obecności popa prawosławnego i jeżeli je poprzedzi zobowiązanie, że wszystkie dzieci z tego małżeństwa spłodzone wychowane będą w religii prawosławnej.

15 Listopada. — Ukaz. „Własności ziemne tych co dotąd niewrócili do kraju, ani się do władz miejscowych nie zgłosili, przechodzą na rzecz skarbu.”

24 Listopada. — Ukaz Cesarski dzieli Szlachtę polską w prowincjach zabranych na trzy klasy, z których ostatnia „niemająca ani ziemi, ani wydanych dotąd świadectw szlachectwa, zapisana jest w okład poduszny i do służby wojskowej przez lat 15 obowiązana.”

30 Listopada. — Rozkaz zaboru na skarb dóbr Bazyliańców Owruckich.

Grudzień. — Zniesienie mennicy w Warszawie, przemiana monety i biletów bankowych polskich na rosyjskie.

27 Maja. — Rozporządzenie nakładające na miasto Warszawę podatek na wybudowanie cytadeli.

1834.

17 Kwietnia. — Ukaz rozciągający konfiskatę dóbr na osoby, które wydalają się za granicę bez pozwolenia Rządu i na wezwanie niestawiają się.

4 Listopada. — Ukaz: „1°) Ci wszyscy którzy niekorzystali z aktu amnestyi 4 Paźd. 1832, jakibykolwiek był stan ich, stopień wykroczenia i miejsce ich teraźniejszego pobytu, mają sobie nazawsze zabroniony pobyt w Rosyi i wjazd w jej granice;

2°) Żadnych więcej prośb od nich nieprzyjmować;

3°) Majątki wszystkich takich osób natychmiast bez żadnego dalszego roztrząsania poddać pod konfiskatę;

4°) Z tymi którzyby jeszcze potem kusili się tajemnie wkładać się w granice nasze, postępować tak jak z uznanymi zbrodniarzami stanu.”

1835.

Dyrekcya Wychowania Publicznego w Królestwie Polskiem ogłasza w Warszawie w języku francuzkim: *Exposé des motifs qui ont nécessité un supplément aux ordonnances relatives à la discipline scolaire.* — W piśmie tém czytamy: s. 33 „Il est nécessaire que les écoliers de quatre classes supérieures de Gymnases soient envisagés comme mineurs et que, loin d'être exempts de la punition corporelle, ils y soient soumis avec d'autant plus de rigueur qu'ils sont censés devoir être raisonnables....” s. 45 „Afin que la manière d'infliger la punition corporelle ne soit point arbitraire et n'entraîne après elle des suites nuisibles à la santé, il est interdit de se servir d'autre instrument que de verges de bouleau fraîches ou trempées dans l'eau, les bouts non coupés; la grosseur en doit être d'un pouce environ à l'endroit de la ligature et la longueur d'une aune un quart à une aune et demie. Il faut frapper sur le derrière à nu.”

16 Października. — Cesarz Mikołaj przyjmuje w Warszawie deputacyją miejską, a niedozwalając jej mówić, tak do niej przemawia:

„Avant tout, il faut remplir ses devoirs, il faut se conduire en honnêtes gens. Vous avez, Messieurs, à choisir entre deux partis, ou persister dans vos illusions d'une Pologne indépendante, ou vivre tranquillement et en sujets fidèles sous mon gouvernement.

„Si vous vous obstinez à conserver vos rêves de nationalité distincte, de Pologne indépendante, et de toutes ces chimères, vous ne pouvez qu'attirer sur vous de grands malheurs. — J'ai fait élever ici la citadelle et je vous déclare qu'à la moindre émeute, je détruirai Varsovie, et certes ce ne sera pas moi qui la rebâtirai.”

6 Grudnia. — Ukaz Cesarski oddaje szkoły duchowne unickie pod zarząd władzy duchownej schyzmatycznej.

1838.

Czerwiec. — Jł. Szypow Dyrektor Spraw Wewnętrznych i Oświecenia Publicznego w Królestwie Polskiem, ogłasza następne rozporządzenie o przymusowej nauce języka rosyjskiego:

1°) „We wszystkich parafiach gdzie się znajdują szkoły elementarne, powinien być nauczyciel języka rosyjskiego. — Nauczyciel ten przysłany od rządu, będzie utrzymywany kosztem parafii;

2°) „Dzieci mieszkańców parafii jakiegobądź stanu, są obowiązane chodzić do szkoły elementarnej i uczyć się języka rosyjskiego.

3°) „Dziecie któreby się wzbraniało uczyć się tego języka ulegnie karze pospolitej, a rodzice jego karze pieniężnej; po raz pierwszy zapłacą r. ass. 50, po raz drugi r. ass. 100, po raz trzeci r. ass. 300. Za czwartym razem rodzice i dziecko będą karani jako nieposłuszni rozkazom zwierzchności.

4°) „Zabrania się wszystkim partykularnym osobom mieć u siebie nauczycieli, którzyby niebyli opatrzeni świadectwem, jako język rosyjski doskonale posiadają. — Dziecie wychowywane w domu rodziców, obowiązane jest każdego miesiąca stawić się w szkole parafialnej, dla zdania egzaminu z języka rosyjskiego przed nauczycielem tegoż języka.

5°) „Nikt niebędący mógł mieć żadnego urzędu cywilnego ani wojskowego, póki nieprzekona, że język rosyjski posiada.”

1844.

10 Września. — Rada Administracyjna rozporządza, że żaden mieszkaniec Królestwa Polskiego, płci obojęd, aż do 25 r. życia, niemoże wyjechać za granicę.

Inne osoby mogą otrzymać paszporta za opłatą 25,50, lub 100 rubli sr. za każde półrocze pobytu za granicą.

1845.

W r. 1834, Cesarz Mikołaj obdarował dekoracją podolskiego chłopca Mielniczuka, który własnego syna przed wojskiem chroniącego się, w ręce Moskali wydał. Czyn ten był ogłoszony z pochwałą w ówczesnych dziennikach rządowych (D. Powsz. N° 240).

Na tém kończymy ten, jak zapewne czytelnicy osądzili, daleki od zupełności poczet ukazów Cesarza Mikołaja, które syn i następca jego utrzymać chce.

Odkąd minęły czasy, kiedy mieszkańców podbitego kraju, zdobywcy, jednych w pień wycinali, drugich w niewolę sprzedawali, a ich własności rozdzielali między sobą, — historia niezna przykładu tak wielkiej niedoli, i tak systematycznego pastwienia się nad znękanym narodem. W państwie jakoby Chrześcijańskim, w obec Europy XIX° wieku, Cesarz Mikołaj przypomniał najkrwawsze imiona starożytnej historii. O nim mówiono, że jak powietrze morowe w powieści litewskiej niesie za każdym ręką skinieniem na całą Polskę śmierć i żałobę; o nim powiedziec można, że chciał okrucieństwa swemi wywołać gniewne Boga oblicze, aby się o Jego istnieniu przekonać!

I jaki owoc tyłu boleści i strasznych nieszczęść, takiego łez i krwi wylania? Jużby w całej Koronie i Litwie niepowinno być i jednego człowieka, coby mówił i czuł po polsku, coby się jak kacap moskiewski nienosił! Próżne wysilenie, — Cesarz Mikołaj przeminął jak plaga Boża, a naród polski silniejszym jest niż był.

Dzisiaj, zda nam się, inna nadchodzi kolęj. Rozstraja się coraz bardziej ów sztuczny organizm, złożony z najnikczemniejszych uczuć serca ludzkiego, który w Rosyji tworzy machinę rządową i który miał Polskę zdusić do reszty. Dzisiaj już Moskwa nie taka jaką była w roku 1812, — i może jeszcze za życia naszego zejdzie na kraj nasz pociecha, że jeśli nie przez cnoty i zasługi Polski, to dla zbrodni Moskwy, Bóg zetrze jęj potęgę!

Paryż 3 Lipca. — Godném jest uwagi jak rozmaitych kruczków używa dyplomacya rossyjska, dla wprowadzenia w błąd chwijające się umysły, bądź cudzoziemców, bądź też nas samych.

Niedawno, organa rossyjskie podały wiadomość, że Książę Czartoryski dopiero wtedy zwołał emigracją dla podpisania *Oświadczenia* z powodu ofiarowanej amnestyi, gdy na swą prośbę o amnestyę, otrzymał od Rządu Rossyjskiego odmowną odpowiedź. Tym razem kłamstwo było za grube, i nie zrobiło żadnego wrażenia.

Przed kilkoma dniami, z tego samego, jak się zdaje źródła, wyszedł pomysł wysłania przez emigracją deputacyi na koronacyę Cesarza Alexandra w Moskwie! Oczywiście, śmiechem ogólnym przyjęto ten projekt; jednak — trudno uwierzyć — znalazły się umysły, czy w zwątpieniu swém tak łatwowierne, czy też tak chorobliwe w swych rachubach, że myśl ową na seryo przyjęły, i poczęły się krzątać około wyboru osób na członków do tego pięknego grona!!

Wspominamy o tych dwu plotkach z obowiązku naszego sprawozdawców dziennikarskich, ale nie więcej zapewne niż sami ich autorowie, przywiążemy do nich wagi.

SPRAWOZDANIE Z ROZPRAWY przed Sądem Wojewódzkim w Kaliszu przeciwko o. Stefanowi Dzierzkowi dnia 28 kwietnia 1982 r.

Przewodniczący:

sędziowie wotanci:

prokurator: Kozak

obrońcy: adw. Andrzej Grabiński

adw. Zdzisław Kąkol

(Sala wypełniona do ostatniego miejsca stojącego, tłum przed drzwiami, w korytarzu i na schodach. Głosy domagające się „dania głośników, aby wszyscy słyszeli”, okrzyki: „Sądzenie księdza to wstyd dla Kalisza i kaliszan”. Sędzia wzywa do opuszczenia sali, na to okrzyki: „I ty jadłeś polski chleb”, niewybredne, prowokacyjne epitety).

Przewodniczący: zwracam uwagę, że strop jest drewniany, przy takim przeciążeniu może dojść do tragedii, proszę o opuszczenie sali ze względu na bezpieczeństwo. Rozprawa się nie rozpocznie, dopóki na sali będzie taki tłok. Co do „głośników”, to jest to niemożliwe, bo sala nie ma aparatury nagłaśniającej.

(Nikt sali nie opuszcza).

Przewodniczący: powtarzam, że rozprawa się nie rozpocznie, jeśli państwo nie opuszczą sali i nie wejdą ponownie, zajmując tylko miejsca siedzące. Jeżeli to nie zostanie wykonane, Sąd Wojewódzki zwróci się do Sądu Najwyższego, aby wyznaczył miejsce rozprawy daleko od Kalisza, w innym końcu Polski.

(Tłum w milczeniu czeka).

Przewodniczący: proszę, aby opuścili salę pracownicy miejscowego sądu.

(Wychodzi garstka ludzi, z tłumu padają prowokacyjne komentarze).

Głos z sali: proszę państwa, jeżeli domagamy się od sądu

sprawiedliwości, to i my musimy zachowywać się odpowiednio, inaczej niż na bazarze.

(Tłum uspokaja się, ludzie stoją w milczeniu. Rozprawa zaczyna się z 10-minutowym opóźnieniem).



Prokurator: oskarża się doktora teologii, rektora kościoła o.o. jezuitów w Kaliszu o przestępstwo z art. 194 k.k., a mianowicie o to, że jako rektor kościoła ks. Stefan Dzierżek w dniach od 24 grudnia 1981 do 6 stycznia 1982 eksponował w podległym mu kościele jezuitów żłobek, którego treść była taka, iż nadużywał wolności wyznania w czasie pełnienia przez oskarżonego funkcji religijnych. Był to żłobek o charakterze symboliki politycznej, czemu towarzyszyło pisemne objaśnienie. Wszystko to mogło zaszkodzić spokojowi publicznemu w myśl art. 194 k.k. Żłobek w treści nawiązywał do warunków wprowadzenia stanu wojennego, godząc w porządek i ład publiczny. Według koncepcji i na polecenie ks. Dzierżka opracowano żłobek, który oskarżony polecił wystawić publicznie.

Symbolika plastyczna żłobka była następująca:

plansza z Matką Boską płaczącą, wpisaną w dwie gwiazdy;

plansza z ośmioma robotnikami;

przewrócony gąsienicą transportera żłobek;

Dzieciątko wielokrotnie opasane drutem kolczastym.

Symbolika ta nawiązywała do wydarzeń w Kopalni „Wujek”, podobnie jak żłobek, przewrócony kołami transporterów — do warunków stanu wojennego.

Do tej ekspozycji, odmiennej od corocznej, było czytane objaśnienie. Niedwuznaczność treści, wynikających z opisów sprawia, że ekspozycja ta miała charakter polityczny. Nosi to znamiona naruszenia kodeksu karnego, znamiona naruszenia praw stanu wojennego i dekretu z dnia 13 grudnia 1981 o jego wprowadzeniu. Poruszenie tragicznych wydarzeń w Kopalni „Wujek” mogło wywołać społecznie szkodliwe wrogie nastroje miejscowego społeczeństwa do władz.

Czy oskarżony rozumiał treść aktu oskarżenia?

Ks. Dzierżek: tak.

Przewodniczący: czy przyznaje się do winy?

Ks. Dzierżek: do czynu, to jest wystawienia żłobka — tak, ale do winy — nie.

Przewodniczący: czy ksiądz rektor chce złożyć wyjaśnienia przed sądem?

Ks. Dzierżek: tak. Jestemrektorem tutejszego kościoła o.o. jezuitów od lipca 1978, przybyłem z Bydgoszczy. Jako rektor jestem najwyższym zwierzchnikiem tutejszego domu zakonnego.

Przewodniczący: czy w domu zakonnym istnieje podział funkcji? Czy jest podział czynności?

Ks. Dzierżek: są urzędnicy domowi, prowadzący swoje działy.

Przewodniczący: jednak — najwyższym zwierzchnikiem, jak

ojciec powiedział, jest rektor. Proszę wyjaśnić sądowi, do kogo należy techniczne przygotowanie, zwyczajowo, wystroju plastycznego z okazji Świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Bożego Ciała?

Ks. Dzierżek: to nie są stałe obowiązki, mogą do nich być wyznaczani różni ludzie, lecz za to, co się dzieje, co jest eksponowane, za całość odpowiada rektor.

Przewodniczący: wróćmy zatem do tego konkretnego, ostatniego żłobka. Kto był autorem jego koncepcji, kto go zaprojektował?

Ks. Dzierżek: jedno i drugie — ja.

Przewodniczący: czy był sporządzony projekt plastyczny, jakiś dokładny opis?

Ks. Dzierżek: nie, była tylko ogólna koncepcja.

Przewodniczący: czy żłobek wykonano technicznie w domu zakonnym?

Ks. Dzierżek: zasadniczo — tak, ale to nie ma żadnego znaczenia. Wszystko, co robiono, robiono na moją odpowiedzialność.

Przewodniczący: a więc była to koncepcja własna ojca, zrealizowana własnymi siłami. Kiedy ta koncepcja powstała?

Ks. Dzierżek: na pewno po 13 grudnia.

Przewodniczący: czy po wydarzeniach w Kopalni „Wujek” i pod ich bezpośrednim wpływem? A może wcześniej? Czy może żłobek początkowo miał być inny i koncepcja następnie uległa zmianie?

Ks. Dzierżek: trudno opisywać ewolucję takiej koncepcji, nakładanie się wrażeń i doznań, wyrażonych następnie w takiej czy innej formie.

Przewodniczący: żłobek montowano w Wigilię, czy może wcześniej?

Ks. Dzierżek: w dniu 24 grudnia.

Przewodniczący: czy w chwili montowania elementy składowe były już całkowicie gotowe?

Ks. Dzierżek: tak.

Przewodniczący: czy montaż odbywał się pod nadzorem księdza rektora?

Ks. Dzierżek: tak.

Przewodniczący: dlaczego ten żłobek był inny od tradycyjnych żłobków w pozostałych kościołach Kalisza?

Ks. Dzierżek: złożyły się na to dwie rzeczy. Po pierwsze — tradycja zgodna ze sztuką kościelną, w której istnieje jako jedna z koncepcji umieszczenie wydarzeń religijnych w takich realiach, w jakich miały one miejsce i druga — symbolika, tendencja niejako ahistoryczna.

Od dawna — w myśl tej drugiej koncepcji — przedstawianie wydarzeń religijnych miało charakter uwspółcześnienia, bowiem nie zawsze artysta, szczególnie ludowy, prymitywista, umiał sięgnąć do historii, nie znając jej realiów, umieszczał więc wydarzenia w epoce i formie sobie współczesnej. Realiami bywały nie tylko wydarzenia zewnętrzne i ten kierunek uprawiali nie tylko

artyści ludowi. Powodem ahistoryczności, symbolizmu, bywały u wielkich artystów wydarzenia dziejące się wewnątrz. Przykładem może być Dante, który współczesne sobie osoby umieścić w... piekle, gdy ktoś z nich „nadepnął mu na odcisk”.

Ten właśnie nurt jest ciekawszy, od niego wywodzą się kierunki mające w sztuce kościelnej coś do powiedzenia. Tworząc żłobek na Święta Bożego Narodzenia chciałem zaprezentować ten nurt. Według teologii i liturgii Kościoła nie jest to tylko historia, lecz wydarzenia wiecznie żywe, wiecznie odnawiające się w Kościele. Chrystus przyszedł, narodził się nie tylko dla pokolenia sobie współczesnego, ale dla wszystkich pokoleń ludzi. Stąd tajemnica narodzenia Chrystusa nie jest tylko wspomnieniem przeszłości, ale jest przeżywaniem Chrystusa, przychodzenia Chrystusa do dzisiejszego życia, do dzisiejszego pokolenia. W związku z tym chciałem Chrystusa przychodzącego w tym roku w Swoich narodzinach na naszą polską ziemię, do naszego narodu, umieścić w dzisiejszych realiach.

Wierni, którzy przychodzą do kościoła, przynoszą ze sobą swoje troski, kłopoty, cierpienia, tragedie, którymi żyją na co dzień. Chciałem więc tym ludziom, którzy przyjdą przeżywać Boże Narodzenie w naszym kościele, ukazać Chrystusa w naszej rzeczywistości, żeby tu — w skupieniu i modlitwie — zrozumieli, że Chrystus jest z nimi nawet w takich ciężkich warunkach i żeby tego Chrystusa starali się odnaleźć w swoim życiu, żeby stąd odeszli uspokojeni, podniesieni na duchu, bardziej pogodzeni ze swoją dolą.

Dzisiejszą rzeczywistość przedstawiłem przez planszę, na której znajdują się sylwetki górników, między które wdziera się czerwona, jaskrawa plama: jest to tragedia Kopalni „Wujek”, którą chciałem przedstawić. Nadto — nad środkową górną planszą — duża kolorowa gwiazda, w środku której można rozróżnić zarysy dwóch twarzy (Matki z Dzieciątkiem), po twarzy Matki spływa wielka łza: to twarz Matki Najświętszej, płaczącej nad tragedią Kopalni „Wujek” i nad wszystkimi, którzy cierpią z powodu dzisiejszej rzeczywistości. Po lewej ręce — druga plansza — ustawiona pod kątem do planszy głównej, na niej namalowane ślady czołgów i transporterów. Pod tą planszą przewrócony żłobek, Dzieciątko Jezus wyrzucone na zwój kolczastego drutu. To symbol narodu, który został wyrwany ze swoich marzeń i rzucony w twardą rzeczywistość stanu wojennego.

Powyższe symbole ustawione zostały przed bocznym ołtarzem kościoła o.o. jezuitów. Projekt tego żłobka sporządziłem sam. Dzisiaj nie potrafię określić dokładnej daty powstania projektu, ale po wprowadzeniu stanu wojennego i po tych wydarzeniach, które są zaznaczone w treści. Za zbudowanie i wystawienie żłobka biorę odpowiedzialność na siebie.

Wszystkie te elementy są wzięte z polskich środków masowego przekazu. W moim przekonaniu treść tych symboli zawiera pewien element nadziei i optymizmu. Żłobek — choć przewrócony — symbolizuje nasz ojczysty dom. Został on wprawdzie

przewrócony, przecież nie został zgnieciony ani zdruzgotany, możemy go na nowo podźwignąć i urządzić na przyszłość mądrze i sprawiedliwie.

Razem z projektem żłobka sporządziłem legendę-opis treści symboli dla ich lepszego zrozumienia. Treść legendy napisałem na maszynie i pamiętam, że był to dokument w jednym egzemplarzu. Pozostaawiłem go, gdy wyjeżdżałem na własne rekolekcje. Wyjeżdżałem 26.XII rano, wróciłem 5.I wieczorem. Legenda objaśniająca treść symboli żłobka po raz pierwszy została odczytana podczas Pasterki przeze mnie. Poleciałem księżom, aby komentarz ten był odczytywany na wszystkich mszach w dniu Bożego Narodzenia. Tego dnia ja również ją czytałem. Odbywało się to w ten sposób, że komentarz leżał łącznie z innymi ogłoszeniami na ambonie i ksiądz odprawiający Mszę św. po jej zakończeniu odczytywał go wraz z innymi ogłoszeniami. Czy w dniu 26.XII komentarz był czytany — nie wiem, ponieważ rano wyjechałem, ale wydaje mi się, że chyba nie.

Treść komentarza sprowadzała się do tego, o czym już powiedziałem, z tym, że pominąłem objaśnienia dotyczące dwóch nurtów sztuki sakralnej.

Po powrocie z rekolekcji zastałem w domu list. Była to decyzja z dnia 29 grudnia, wydana przez prezydenta miasta, polecająca rozebranie żłobka. Do decyzji zastosowałem się i następnego dnia poleciłem żłobek rozebrać.

Odnośnie do plakatu, którego fotografia znajduje się w aktach, a który to plakat miał być wywieszony na drzwiach wejściowych kościoła — nic nie mogę powiedzieć, bo nie widziałem tego plakatu, nie wiem, kto go wywiesił, ani też — kto go zdejmował.

Pragnę złożyć pewne uzupełniające wyjaśnienia, które będą rozwinięciem mych zeznań, złożonych w czasie śledztwa: otóż żłobek ten powstał w okresie stanu wojennego, powiem: tragedii stanu wojennego, w którą naród został wtrącony brutalnie. Tego ostatniego słowa użyłem także w moim komentarzu-legendzie.

Przewodniczący: chyba wszyscy rozumiemy, że zarządzenia stanu wojennego nie są sielanką, powiedział to gen. Jaruzelski i było to wielokrotnie powtarzane. Czy pod sformułowaniem „tragedia stanu wojennego” rozumiemy to samo?

Ks. Dzierżek: chyba tak.

Przewodniczący: chodzi o ograniczenie swobód?

Ks. Dzierżek: pozwolę sobie zilustrować te dwa określenia: „tragedia” i „brutalnie”. One dotyczą faktów, których można było uniknąć, a także odmalują to, co przeżywałem, co przeżywałem dotąd i co dało mi impuls do wystawienia takiego właśnie żłobka, za co znalazłem się na tej sali jako oskarżony. Znam takie fakty, np. włamywanie się w nocy do mieszkań, by aresztować ludzi; odrywanie rodziców od nieletnich dzieci...

Przewodniczący: mówi ojciec o internowaniach?

Ks. Dzierżek: ...internowania czy aresztowania tylko za przynależność do legalnej organizacji, legalnego związku zawodowego...

wego; zakuwanie w kajdany niewinnych kobiet; kobiety, przebywające samotnie w brudnej, zimnej piwnicy, ze szczurami, z pogwałceniem elementarnych zasad higieny osobistej; dalej — sposób przewożenia skutych kobiet do więzienia...

Prokurator: to wszystko miało miejsce od 13 grudnia do powstania koncepcji żłobka?

Ks. Dzierżek: nie tylko, ale już wtedy, choć nie znałem tych wszystkich faktów, wiedziałem dość, aby powstała taka właśnie koncepcja żłobka. O tym wiedzieli wszyscy, a te pierwsze 10 dni stanu wojennego były najbogatsze w wydarzenia.

Mogłem — oczywiście — udać, że nic mnie nie obchodzi ludzi kłopoty, problemy, tragedie tych ludzi, którzy przyjdą na Pasterkę i na inne msze w okresie Bożego Narodzenia. Mogłem powiedzieć: niech się sami borykają z tym wszystkim, co sami przeżywają. Doszedłem jednak do przekonania, że wówczas zdradziłbym swoje sumienie, sprzeniewierzyłbym się swojemu powołaniu kapłańskiemu...

Przewodniczący: to, co ojciec mówi, nie ma bezpośredniego związku z rozpatrywaną tutaj przez nas sprawą, z oskarżeniem o konkretny czyn.

Adw. Grabiński: proszę jednak Wysoki Sąd o pozwolenie na kontynuowanie wyjaśnień ojca rektora, a po ich wysłuchaniu do końca okaże się, czy było to zbędne, czy właśnie potrzebne.

Przewodniczący: proszę więc kontynuować.

Ks. Dzierżek: spróbuję to krótko wytłumaczyć. Dla mnie kapłaństwo, odkąd zacząłem o nim marzyć, to jest od lat prawie dziecięcych, wiązało się zawsze z posługiwaniem społeczeństwu. Był to pewno wpływ mojej matki, która — choć była prostą kobietą wiejską — to nie była jednak przeciętną kobietą. Dowodem na to może być książka, jaka ukazała się o jej życiu w latach siedemdziesiątych. Była to praca zbiorowa wydana nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. To od niej, mej matki, uczyłem się sprawiedliwości, czynnej miłości bliźniego, wrażliwości na każdą krzywdę ludzką.

Ta postawa pogłębiła się jeszcze przez moją formację zakonno-kościelną. Jeszcze lepiej rozumiałem, że kapłan ma być z ludźmi i dla ludzi, że ma dzielić z nimi szczególnie ich kłopoty, cierpienia, tragedie i bóle. Toteż od pierwszych lat kapłaństwa moją dewizą stały się słowa św. Pawła Apostoła: „Każdy kapłan z ludu wzięty, dla ludu jest ustanowiony”. I słowa samego Chrystusa: „Nie przyszedłem, aby mi służono, ale aby służyć”. Te ostatnie słowa kazałem wydrukować na moim obrazku prywatnym w Wilnie w 1944 roku.

Wobec tego, czy może być dziwne, że gdy zastanawiałem się nad urządzeniem żłobka w warunkach, jakie zaistniały po 13. XII. 1981 samorzutnie przyszła mi myśl, by Chrystusa przychodzącego na naszą polską ziemię umieścić w realiach stanu wojennego. Niech wierni, którzy będą przychodzili oglądać żłobek, przekonają się, że ich rozumiem, że jestem z nimi, że jest z nimi Kościół, że w tej rzeczywistości twardej, brutalnej, czasem tra-

gicznej wojennego stanu jest z nimi Chrystus. Że ten Chrystus jest jednym z nich, jest każdym z nich. I gdybym zbagatelizował tę myśl, to natchnienie — powtarzam raz jeszcze — popełniłbym zdradę wobec mego sumienia, mego powołania, wobec wiernych, którym służyć jest moim świętym obowiązkiem.

Oto, Wysoki Sądzie, jak i dlaczego powstał taki właśnie, a nie inny żłobek, za co jestem sądzony jako przestępca.

Przewodniczący: powiedział ksiądz rektor obszernie o swych wewnętrznych odczuciach, decydujących o takiej właśnie koncepcji żłobka, ale czy nie przyszło księdzu na myśl, że taki żłobek może podsycać nastroje niechęci? Że występuje on wręcz czynnie wobec „brutalnej rzeczywistości stanu wojennego”, o czym ksiądz mówił? Szczególnie musieli to odczuć ludzie wierzący: te postacie, ci górnicy z „Wujka”. Czy o tym ksiądz rektor nie pomyślał? O podsycaniu niepokoju, o sianiu nienawiści, czy choćby — niechęci? Czy taki był cel? I ta płacząca Matka Boska...

Ks. Dzierżek: uważam, że symbolika żłobka nikogo nie podburzała, ani nie wzywała do żadnych niepokojów. Nie doszło przecież do żadnych rozruchów, ani napaści, ani manifestacji. Dlatego też uważam, że treść tych symboli nawet w stanie wojennym nikomu nie mogła zaszkodzić.

O tragedii Kopalni „Wujek” wszyscy wiedzieli, mówiło o tym radio i telewizja, pisała prasa, było transmitowane wystąpienie gen. Jaruzelskiego.

Matka Boska płacząca...

To zapewne zadziwi Wysoki Sąd, gdy powiem, skąd przyszedł mi pomysł umieszczenia tego symbolu w żłobku. Otóż ten pomysł właśnie zaczerpnąłem z przemówienia wygłoszonego o tej tragedii przez gen. Jaruzelskiego, którego wysłuchałem w telewizji. Skoro on, mężczyzna, przywódca i żołnierz powiedział, że „ta tragedia wyciska mu łzy z oczu”, to tym bardziej mogła nad nią zapłakać Matka Boża.

Wszystkie szczegóły tych wydarzeń były powszechnie znane, do kościoła przychodzili ludzie modlić się, przynieść swe kłopoty, niemałe kłopoty. I właśnie gdy zobaczyli, że Chrystus, świadom naszych warunków, przychodzi do nich, to ich uspokoiło a nie podburzyło.

Mój komentarz żłobka nie był jego jedyną możliwą interpretacją, to są symbole a nie matematyka, gdzie $2+2=4$. Wierzyłem i wierzę, że ludzie z drutem kolczastym połączą Ukrzyżowanego, że wtedy nikt od Niego, z kościoła, nie odejdzie z uczuciem mściwości w sercu. Nie, nie bałem się, że ludzie to źle, opacznie zrozumieją.

Przewodniczący: czy ktoś księdza rektora pytał o znaczenie tego żłobka? Czy ludzi dziwiła jego słowna interpretacja?

Ks. Dzierżek: moja interpretacja była trudniejsza, bardziej symboliczna i dlatego ją podałem. Jednak — interpretacje były różne, o czym najlepiej zaświadczą zeznania świadków.

Przewodniczący: czym jednak ksiądz rektor się kierował?

Ks. Dzierżek: chęcią jak najbardziej współczesną w Kościele, by ludzie, wierni, mogli swe problemy osobiste przeżyć w świątyni.

Prokurator: czy odmienność tego żłobka od innych nie była zamierzona?

Ks. Dzierżek: bywają żłobki „współczesne”, eksponujące aktualne problemy społeczne.

Prokurator: czy w okresie okupacji hitlerowskiej, gdy naród był faktycznie krępowany, bywały np. w Warszawie takie żłobki?

Ks. Dzierżek: znam to tylko z historii, bo w okresie okupacji nie byłem w Warszawie, ale wiem z całą pewnością, że były.

Przewodniczący: odczytuje wyjaśnienie z k. 21-23, złożone w czasie postępowania przygotowawczego: „Treść oskarżenia zrozumiałem. Przyznaję się do budowy żłobka, lecz nie przyznaję się do popełnienia przestępstwa. Istnieją dwa nurty sztuki kościelnej: historyczny i ahistoryczny, symboliczny, uwspółcześniający. W tym określonym przypadku sądziłem i sądzę, że żłobek — choć przewrócony — można podnieść i ustawić jak nasz to — Polskę*. Legendę do żłobka napisałem na swojej maszynie w jednym egzemplarzu. Pierwszy raz była odczytana na tzw. Pastercie, następnie czytali ją, wraz z ogłoszeniami, księża na kolejnych mszach; leżała na ambonie, jak ogłoszenia i komunikaty. Następnie legenda została u mnie, to jest w domu zakonnym. Żłobek 6 stycznia rozebrano na polecenie władz, uprzednio zostały wykonane jego zdjęcia. Uważałem i uważam, że symbolika żłobka nikogo nie podburzała”. Czy tak ksiądz rektor powiedział i tak uważa nadal?

Ks. Dzierżek: tak.

Adw. Kąkol: czy do ojca docierały osobiste przeżycia ludzi, związane z wprowadzeniem stanu wojennego? Proszę o tym opowiedzieć.

Ks. Dzierżek: wiedziałem o internowaniach, o aresztowaniach i nietrudno się było zorientować, jak to przeżywały rodziny. Z radia i prasy wiedziałem o Kopalni „Wujek” — to się przecież działo przed wystawieniem żłobka. Te pierwsze 10 dni stanu wojennego były najbogatsze w wydarzenia. Chciałem dopomóc społeczeństwu w spokojnym podejściu do tragedii.

Adw. Kąkol: czy akapit komentarza, że „można urządzić nasz wspólny dom” zawiera wezwanie do czegoś?

Ks. Dzierżek: tak, do optymizmu, wysiłku i pracy, a także do tego, by wyciągnąć wnioski, by po tych cierpieniach Ojczyzna była urządzona lepiej i sprawiedliwiej.

Adw. Kąkol: proszę ojca o opowiedzenie o swej drodze życiowej od września 1939.

Ks. Dzierżek: to wolałbym powiedzieć później, w „ostatnim słowie”.

Adw. Grabiński: co ojcu wiadomo o tradycji żłobków warszawskich? Czy ojcu wiadomo, że od 40 lat groby i żłobki są

* Zdanie niejasne w stenogramie.

osadzone w elementach aktualnych? że — poza Kościołem Garnizonowym — wszystkie inne kościoły w czasie stanu wojennego umieściły akcenty współczesne? Żeby były całe scenariusze?

Ks. Dzierżek: o kościołach warszawskich nie wiem dokładnie, ale mam tu zdjęcie grobu z kościoła jezuickiego w Gdańsku. (pokazuje zdjęcie sądowi)

(Wobec narastającego hałasu na sali przewodniczący wzywa do spokoju i zrobienia przejścia dla świadków. Tłum syciśnia się jeszcze bardziej, by świadkowie mogli przejść. Adw. Grabiński składa zaświadczenie o chorobie i pobycie w szpitalu świadka ks. Kowalskiego).

Sąd przystąpił do przesłuchania świadków:

Zbigniew Zawadzki, lat 40, inż. elektryk, działacz KIK: nie znam aktu oskarżenia.

Przewodniczący: był pan przesłuchiwany w śledztwie, można to odczytać, może też pan powtórzyć tamte zeznania sam.

Z. Zawadzki: proszę nie czytać mych zeznań, bo za ich styl nie ponoszę odpowiedzialności, to zaznaczam.

Przewodniczący: trzeba było protokołu nie podpisywać, jeżeli się panu styl nie podobał. Zapis jest taki, jak się mówi, a jak człowiek wykształcony, to mówi poprawnie i tak się to protokołuje. Proszę mówić.

Z. Zawadzki: w Kaliszu powstał Klub KIK-u, usytuowany przy kościele o.o. jezuitów. W klubie odbywały się tylko odczyty o treści religijnej. Bywałem tam. Oglądałem także żłobek — moim zdaniem — bez zarzutu, wykonany techniką nowoczesną. Treść tego wszystkiego, co przedstawione, uważam za logiczną, bo Matka Boska płacze nad przyszłym losem Syna, który przeżywa. Faktu istnienia czerwonych plam z niczym nie kojarzę i nadal nie kojarzę.

Władysław Kaszycki, lat 53, duchowny: proszę o odczytanie dla przypomnienia moich poprzednich zeznań, bo pamięć może zawieść.

Przewodniczący: czyta z kart 7-8 zeznania złożone 4.I.1982: „W kaliskim domu zakonnym jezuitów jestem od roku, przybyłem z Torunia. Do moich obowiązków należy zaopatrzenie domu. Chyba w samą Wigilię zobaczyłem żłobek z czerwoną plamą-krzyżem. Za mego tutaj pobytu był to pierwszy żłobek. Kto go wykonał — nie wiem, odpowiedzialny za niego z pewnością był ks. Dzierżek. Nie wiem, czy się z kimś w tej sprawie konsultował; sądzę, że sam go zaprojektował. Po wystawieniu szopki ksiądz rektor wyjechał do Warszawy na swoje rekolekcje. Spodziewano się, że powróci w najbliższych dniach.

Słowne objaśnienia do szopki odczytano 25.XII.1981 na siedmiu mszach, ja też je czytałem, ale treści nie pamiętam. Oryginał znajduje się w gabinecie ks. Dzierżka.

Co do jakiegoś plakatu na bramie klasztornej, to nie widziałem go, nie wiem, czy był i kto go powiesił, jeśli był”.

Ks. Kaszycki: dodam, że gdy żłobek obejrzałem, gdy rozmawiałem o nim z ludźmi, to uważam, że z pewnością zawierał treści spokojne, nie podburzające, a przeciwnie — uspokajające. Powiem, że żłobek dokładnie oglądałem dopiero po tamtym przesłuchaniu, poprzednio zbyt byłem zajęty, a żłobków w życiu widziałem bardzo dużo, nie sądziłem, by ten był taki szczególnie ważny...

Przewodniczący: czy w zakonie nie było na ten temat dyskusji?

Ks. Kaszycki: nie słyszałem jej, a oglądać wcześniej żłobka po prostu nie chciało mi się, obejrzałem go dopiero po przesłuchaniu, wtedy bardzo zainteresowany. Wtedy także pytałem ludzi o ich zdanie, o czym już wspominałem.

Lestaw Łoniewski, lat 50, organista: 24. XII. 1981 od ok. 15.00 do ok. 16.00 ćwiczyłem na organach. W kościele, po lewej stronie, stały przyniesione plansze, ustawiano żłobek. Ustawiali go nowicjusze, nie znam ich, z księży nikogo tam nie widziałem. Przed Pasterką, gdy żłobek był ukończony, zszedłem, by go obejrzeć.

Przewodniczący: jakie panu nasunął refleksje?

L. Łoniewski: plansze, przedstawiające robotników, z niczym mi się nie kojarzyły. Żłobek był w zasadzie inny, niż zwykle: nie było figur Św. Rodziny, tylko plansze, a sam żłobek był przewrócony. Co to miało znaczyć — nie zastanawiałem się. Nie, żadnych refleksji nie miałem, po prostu o tym nie myślałem.

Przewodniczący: ujawnia z k. 9-11 zeznania L. Łoniewskiego złożone 5. I. 1982 r.: „Pracuję w kościele o.o. jezuitów w systemie godzinowym, gram i prowadzę chór tylko w czasie mszy i nabożeństw. 24. XII po południu ćwiczyłem, gdy dwaj nowicjusze, których nie znam, ustawiali żłobek. Oprócz nich był ks. Kowalski i mężczyzna z brodą, chyba spoza klasztoru, którego nie znałem. Podeszedłem, bo zauważyłem, że ten żłobek nie przypomina zwykłego żłobka, jest po prostu inny. Brat Kowalski powiedział, że to są górnicy, że nad nimi Matka Boska płacze.

Po godzinie grania poszedłem do domu, dopiero w czasie Pasterki zauważyłem całą, już gotową szopkę, ale przed ołtarzem nie byłem, nie chodziłem, popatrzyłem tylko z góry, z chóru. Nie wiedziałem, że warto chodzić. Ludzie byli zainteresowani, niektórzy, jak słyszałem, mówili, że to nie jest klasyczna szopka. Nie wiem, kto ją projektował.

Na drzwiach kościoła był napis: 'Ofiarom grudnia 1981'. Widziałem go w czasie Pasterki, po południu go nie było. Nocą tam zapalono znicze.

25. XII ks. Szymalkiewicz objaśniał treść żłobka podczas homilii. Nie bardzo słuchałem, bo ja kazań na ogół nie słucham, zwykle wtedy czytam. Na okazanym mi zdjęciu żłobek ten rozpoznaję”.

Prokurator: jakie były poprzednie żłobki, oglądane przez pana w tym kościele?

L. Łoniewski: takie... zwykle. Ten się od nich różnił.

Prokurator: w jakim sensie?

L. Łoniewski: no... był inny po prostu.

Adw. Kąkol: proszę, aby świadek się zastanowił, czy nie odebrał tego żłobka jako podburzania, propagandy antypaństwowej?

L. Łoniewski: nie.

Adw. Grabiński: czy była poprzednio w kościele o.o. jezuitów szopka z Dzieciątkiem na bruku? Na ulicznym bruku?

L. Łoniewski: nie wiem, nie pamiętam.

Tadeusz Domeradski, lat 22, duchowny: proszę o odczytanie moich zeznań z 12. I. 1982.

Przewodniczący: czyta z kart 12-13: „tegoroczną szopkę-żłobek zobaczyłem po raz pierwszy w czasie Pasterki, umieszczona była po lewej stronie kościoła. Szopka ta była inna, nie mająca zwykłych elementów, jakie się normalnie umieszcza. Dzieciątko chyba na sianie, ale są i jakieś spirale, nie wiem, czy to drut kolczasty. Nie wiem, czy ta czerwona plama, to łza Matki Boskiej. Nie wiem, kto to malował, kto projektował. Odpowiedzialność ponosi ks. Dzierżek, brat Kowalski nie miał z tym nic wspólnego.

Podczas mszy o 10.00 czytałem objaśnienia ks. Dzierżka, ale tego tekstu nie pamiętam, nie uczyłem się go na pamięć. Żadnego napisu na drzwiach kościoła nie widziałem”.

Ks. Domeradski: podtrzymuję te zeznania, nic nie mam do dodania.

Jan Bartlewicz, lat 40, duchowny: poproszę o odczytanie moich zeznań z 5. I. 1982.

Przewodniczący: czyta z k. 14-16: „Tegoroczną szopkę zobaczyłem po Pasterce, która była koncelebrowana, ja także koncelebrowałem. Szopka stała po lewej stronie kościoła, przed ołtarzem Matki Boskiej. Szopka ta nie jest tradycyjna, ale u nas, w naszym zakonie, zawsze tradycja nawiązuje do aktualnych wydarzeń. Jest taka tradycja nietradycyjności. Komentarz do szopki czytali wszyscy księża, ja też. Przypominam sobie, że postacie z planszy to robotnicy Śląska i tamtejszy rozlew krwi. Ma to symbolizować wydarzenia tegoroczne, to jest grudniowe.

Chyba dekoracją tą zajmował się ks. Dzierżek, montowana była przez nowicjuszy, ale przez których — nie wiem. Żadnego napisu na drzwiach nie widziałem, nie wiem, czy jakiś w ogóle był”.

Ks. Bartlewicz: tak, potwierdzam to.

Władysław Figiel, lat 38, duchowny: proszę o odczytanie zeznań złożonych przeze mnie 9. I. 1982, które ewentualnie uzupełnię.

Przewodniczący: czyta z k. 16-17: „Tegoroczną szopkę-żłobek zauważyłem 25. XII. 1981 ok. godz. 13.00. Faktycznie odebrałem to jako odejście od formy tradycyjnej, ale odejście to jest u jezuitów coroczne, właśnie tradycyjne: klasyczne postacie są ina-

czej eksponowane. Tak było i tym razem — Chrystus na zwoju drutu, twarz, tylko twarz Matki ze łąą...

Kto montował — nie wiem, projektuje zwykle ks. Dzierżek. W czasie mszy kolejnych czytany był komentarz ks. Dzierżka, w którym to komentarzu symbolika nawiązywała do wprowadzenia stanu wojennego i powstałych w związku z tym napięć.

Napis na drzwiach zauważyłem po Świętach, ponadto nic nie wiem”.

Ks. Figiel: potwierdzam to zeznanie, lecz pragnę je uzupełnić w odniesieniu do kołedy, o którą oparty niejako był żłobek. Kołęda ta mówi o tym, że dla Dzieciątka zabrakło miejsca w mieście Betlejem. Słowa kołedy mówią: „Gdzie Cię szukać? — W grocie”, a więc szopka oparta była o kołędę tej treści, której dalszą część mówi: „Nie ma dla Ciebie miejsca w czasie burzy / W człowieczej duszy”.

Żłobek — właśnie u jezuitów — bywa zawsze nietradycyjny. Był już bruk uliczny, taki z kamieni, na nim Pan Jezus, wyrzucony tam przez ludzi. Był i drugi żłobek nietradycyjny: makieta oświetlonego jasno wieżowca, za którego oknami ludzie się bawią — bez religii, bez hamulców — po prostu „ubaw”, a Chrystus wyrzucony na asfalt, na ulicę. Takie były te żłobki „nietradycyjne”, z których ostatni to już trzeci.

Przewodniczący: może ludzie niewierzący nie rozumieli tego, może dla niewierzących, jak i dla wierzących, tamte nie były tak ostre w wymowie, jak ten ostatni?

Ks. Figiel: tamte żłobki, wszystkie, zwracały uwagę tym, którzy grzeszą ciężko, śmiertelnie. Właśnie do nich były adresowane.

Przewodniczący: czy stan wojenny, jego wprowadzenie, zostało w jakiś sposób przyjęte przez ludzi tak, że uważano, iż należy go bojkotować? Czy do tego nawiązywała szopka?

Ks. Figiel: nie, nieporozumienie polega w tym wypadku na tym, że „nikt zapaliwszy świecę nie nakrywa jej naczyniem, ani kładzie pod łóżko, ale stawia na świeczniku, aby ci, co wchodzą, widzieli światło”.

Prokurator: czy to własna księdza interpretacja?

Ks. Figiel: nie, to Ewangelia według św. Łukasza (śmiech)).

Przewodniczący: tak to świadek pojmuje zatem...

Ks. Figiel: tak właśnie.

Adw. Kąkol: jak Kościół traktuje szerokie rzesze wiernych?

Ks. Figiel: służy im.

Ks. Dzierżek: przypominam Wysokiemu Sądowi, że ks. Kowalski jest w szpitalu, po operacji.

Przewodniczący: według opinii lekarzy, załączonej tutaj, kuracja potrwa około miesiąca, proszę więc strony o wnioski.

Adw. Kąkol: ks. Dzierżek stoi pod zarzutem wykorzystywania obrzędów religijnych na szkodę PRL. Nie wdając się w szczególności proceduralne — trzeba ustalić zamiar — ustalić, czy sprawca działał z określonym zamiarem. W każdym czynie musi się ma-

nifestować nie tylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne działanie. Nie może być przestępstwa bez zamiaru popełnienia go.

Obrona stawia wnioski o powołanie na świadków prof. Charytańskiego i prof. Pasierba z Warszawy na okoliczność, czy odejście od tradycji w tym przypadku jest zgodne z aktualnymi dążeniami Kościoła. Ocena tych autorytetów, ocena żłobka, którego dokumentacją fotograficzną i słowną dysponujemy, pozwoli ustalić, czy można tutaj w ogóle dopatrywać się przestępstwa?

Adw. Grabiński: chodzi tu o ustalenie przekroczenia granicy uprawnień kapłańskich. Nikt z nas nie jest wykształconym teologiem, ani Wysoki Sąd, ani pan prokurator, ani obrona — poza oskarżonym, a więc nikt z nas nie wie, na czym w rzeczywistości polega postęga kapłańska. Ma to wielkie znaczenie, bowiem po raz pierwszy sąd chce sądzić za wykonywanie postęgi kapłańskiej. Trzeba przede wszystkim ustalić, czy nie jest to próba wejścia władzy świeckiej na teren Kościoła. Trzeba wiedzieć, jak dalece służba kapłańska może sięgać.

Ks. prof. Charytański jest profesorem Akademii Teologii Katolickiej, właśnie profesorem teologii, zaś sąd może i powinien sięgać po autorytety. Prof. Pasierb może nam zrelekcjonować, jak dalece omawiany żłobek odbiega od zwyczaju. Nam, to jest obronie, osoby wymienione wydają się najwłaściwsze. Ich zdanie powinno rozstrzygnąć, czy w określonym przypadku zaistniało przestępstwo, czy był zamiar tego przestępstwa.

Prokurator: nie sprzeciwiam się temu wnioskowi, bo istotnie rozpatrywana jest tutaj sprawa o wadze olbrzymiej, sprawa precedensowa. Jestem za tym, aby powołać najwyższe autorytety teologiczne, nawet i marksistowskie: niech odpowiedzą, gdzie jest prawda i prawo w tej sprawie, konkretnej sprawie — czy czyn ten miał znamiona przestępstwa z art. 194 k.k., czy nie miał. To właśnie będzie musiało być ustalone: gdzie przebiega granica między ingerencją w sprawę wiary a postępowaniem dowodowym.

Przewodniczący: sąd postanawia przychylić się do wniosku obrony, popartego przez oskarżyciela i powołać wskazanych świadków oraz świadka ks. Kowalskiego.

Sąd postanawia rozprawę przerwać na ustawowe 21 dni, zaś w przypadku, jeśli strony wyrażą zgodę — do czasu, gdy możliwe będzie stawiennictwo wszystkich wymienionych świadków. Po otrzymaniu informacji, kiedy świadkowie będą mogli się stawić, zapadnie decyzja sądu co do następnego terminu rozprawy.

(Obie strony wyraziły zgodę, wobec czego rozprawę przerwano).

Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 18-ty — \$ 148,00	F.1.006,40
Agata i Robert Żywny, Londyn — £ 10,00	F. 110,00
A.S. i M.W., Sztokholm — zamiast kwiatów na grób Ojca, Jana Sehna — Ks 100,00	F. 92,00
Bezimiennie z Chiasso (Szwajcaria), po raz 9-ty — Frs 50,00	F. 167,00
Bezimiennie, Los Angeles, CA (USA) — dla uczczenia pamięci pioniera Polski w Europie, Jerzego Jankowskiego — \$ 14,00	F. 100,00
Bezimiennie z USA, po raz 23-ci	F.2.503,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ZEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

A.B., Calgary, Alta (Kanada) — \$ c.10,00	F. 55,00
A. i K., Vancouver, B.C. (Kanada) — na pomoc dla uwięzionych, internowanych i ich rodzin — \$ c.50,00	F. 275,00
Anonimowa zbiórka wśród Polaków i Niemców na rzecz prześladowanych rodzin w Polsce (areszt, internowanie, itp.) [Anonymische Spende von Polen und Deutschen für verfolgte Familien in Polen (Arrest, Internierung, u.s.w.) — DM 684,00	F.1.924,58
Anonimowo z Holandii — na pomoc dla aresztowanych i ich rodzin	F. 500,00
A.T. (USA) — \$ 205,00	F.1.394,00
Bezimiennie z Brisbane (Australia) — dla najbardziej potrzebujących w Kraju	F. 810,00
Dla uczczenia pamięci Gajki Kuroniowej — na pomoc dla uwięzionych i ich rodzin: Maria Borowska, Magdalena Korotyńska, Aleksander Orłowski, Joanna Rose, Ryszard Szulkin, Kamila Tenenbaum i Natan Tenenbaum — po Ks 100,00 i Norbert Żaba — Ks 50,00 — razem: Ks 750,00	F.690,00
Dla uczczenia pamięci ofiar zbrodni ZOMO-wców i gen. Jaruzelskiego od Inwalidy w Los Angeles, CA (USA) — \$ 30,00	F. 210,00
Wiktor Drukier, Soborg (Kopenhaga) — zamiast kwiatów na grób Grażyny Kuroń	F. 100,00
Stefan J. Ginilewicz, Brownsville, Texas (USA) — \$ 30,00	F. 204,00
Jolanta Jastrzębska-Helder, Haren (Holandia)	F. 100,00
W. Łaguna, Lindfield (Australia) — zamiast życzeń świątecznych — \$ A. 40,00	F. 255,00
Wanda i Jerzy Lubiejewscy, Caracas	F. 577,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00	F. 680,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — zamiast życzeń świątecznych — Ks 100,00	F. 92,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — na pomoc dla prześladowanych w Kraju — Frs 30,00	F. 100,00
W Redakcji Listów do Polaków złożyli na pomoc dla rodzin uwięzionych i internowanych: J. Harasiuk i A. Nowicki ze Stevens Point oraz J. Szymerski z Naugatuck po \$ 10,00 — razem \$ 30,00	F. 204,00
Z Los Angeles, CA (USA) — jako dług wdzięczności wobec p. Henryka Nowowiejskiego — na uwięzionych w Polsce — \$ 30,00	F. 204,00

WPŁATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Holandii	F. 230,13
------------------------	-----------

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Stefan J. Ginilewicz, Brownsville, Texas (USA) — \$ 30,00	F. 204,00
Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność” — dla „Solidarności” walczącej w Polsce — \$ c.2.900,00	F.15.950,00
I.G.F.M. (Międzynarodowe T-wo Obrony Praw Człowieka w Monachium) — sumę zebraną wśród uczestników wieczoru piosenek i poezji „Solidarności” — DM 65,00	F. 182,00
Pp. Edward L. Salamoński, Malton, N.J. (USA)	F. 251,60
Nela Stanik (Izrael) — Ks 350,00	F. 322,00
Wacław Sułek, South Hadby, Mass. (USA) — dla ukrywających się członków „Solidarności” — \$ 100,00	F. 680,00
Prof. Dr Zbigniew Wolak, Conakry (Gwinea) — \$ 15,00	F. 102,00
Zamiast kwiatów na grób Marii Warkkiej — Rodzina w Lund — Ks 100,00	F. 92,00
Kongres Polaków w Szwecji — sumę zebraną w czasie spotkania w Sztokholmie 11. 12. 1982 r. z byłymi internowanymi członkami „Solidarności” i pilotem, który uciekł z Kraju wraz z 191oma osobami samolotem rolniczym w październiku 1982 roku — Ks 500,00	F. 460,00



Pomost, Chicago, IL (USA) przekazał \$ 1.813,00 z czego: na działalność podziemną „Solidarności” — \$ 1.290,00	F.8.772,00
na ruchy demokratyczne i niezależne wydawnictwa — \$ 437,00	F.2.971,60
na pomoc dla więźniów politycznych i ich rodzin — \$ 86,00	F. 584,80



Anna z Erdmanów i Tadeusz Walichnowscy, Arlington, Va (USA) — dla uczczenia pamięci Grażyny Kuroniowej — \$ 500,00 z czego:	
— na NSZZ „Solidarność” — \$ 200,00	F.1.360,00
— na Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej — \$ 200,00	F.1.360,00
— na Fundusz Kultury — \$ 100,00	F. 680,00



Na apel „Konfederacji 76” na Studencki Ruch Oporu: W. Evans z New Jersey — \$ 15,00 i E. Golda z New Jersey — \$ 10,00 — razem \$ 25,00	F. 170,00
---	-----------



W Redakcji Listów do Polaków złożyli:	
— na pomoc rodzinom aresztowanych lub pozbawionych pracy: Pp. Obuchowicz z Fairfield — \$ 50,00; Z. Pirog, W. Aron i A. Nowicki z Stevens Point, Wi. — po \$ 5,00 — razem \$ 65,00	F. 442,00
— na NSZZ „Solidarność”: S. Kozłowski z Chicago — \$ 20,00; J. Harasiuk z Stevens Point — \$ 10,00; H. Jaracz z Pittsburgha — \$ 10,00 — razem \$ 40,00	F. 272,00

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 350 — MAREK NOWAKOWSKI

**RAPORT O STANIE
WOJENNYM**

Krótkie opowiadania ilustrujące polską rzeczywistość
po 13 grudnia 1981.

Str. 100.

Cena F. 35,00.

TOM 349 — ZDZISŁAW NAJDER

ILE JEST DRÓG ?

Wybór esejów społeczno-politycznych w większości publikowanych
w latach 1975-1982 pod pseudonimami: SOCJUSZ, Bronisław LA-
SOCKI i Marian KOWALSKI: O potrzebie programu. — Polityczne
działania i programy. — Dialog z Michnikiem. — Źródła i tama. —
Ile jest dróg? — Teorie, wytyczne i spory. — Polskie kwadratury
koła. — Gesty i praca. — Spółka Scylla i Charybda. — Teoria i
polska jedność. — Solidarność. — Myśli o programie „Solidarności”.
— Rozwiązania trwałe a rozwiązania możliwe. — Autoperswazja jako
reakcja na intelektualistów na przemoc. — Przy zasadach stojmy.

Str. 196.

Cena F. 60,00.

TOM 352 — KONSTANTY JELEŃSKI

ZBIEGI OKOLICZNOŚCI

Zbiór esejów znanego krytyka, tłumacza poezji polskiej, wybitnego
znawcy problemów współczesnych.

Część I — ZBIEGI OKOLICZNOŚCI;

Część II — O PRZECZYTANYM I PRZEŻYTYM.

Str. 424.

Cena F. 120,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1983.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 4,50	\$ A. 26,00	\$ A. 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, wien I, Schöna- sternergasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-40-762	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
BELGIA: Maria Rondonowska, 132, Avenue Coghén. 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324. 51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2500,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adminis- tracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wiellingeniaan 6, Vlissingen. Tel. (01 184) 14073. Postgiro 1379176	Fl h 15,00	Fl h 70 00	Fl h 130,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 2851287 Ottawa, St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hillard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec », 1636 Blood St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 12,00 F. 33,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 175,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00 F. 340,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431. SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 3. Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewa- nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, Il. 60617. Tel. (312) 489-2554; waukee Avenue, Chicago, Il. 60617. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real Palo Alto, Cal. 94306. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Ksiebarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492	F.S. 10,00 F. 33,00	F.S. 60,00 F. 175,00	F.S. 100,00 F. 340,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75167-241	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.340; półroczna — F.175.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 3,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 363 — STEFAN KISIELEWSKI

PODRÓŻ W CZASIE

Powieść o współczesnej Polsce. Wątek kryminalny
na tle działalności UB

Str. 136.

F. 40,00.



TOM 365 — JÓZEF KUŚMIEREK

STAN POLSKI

Ocena sytuacji Polski przez wybitnego
i kontrowersyjnego publicystę

Str. 80.

F. 30,00.



TOM 366 — GRAŻYNA POMIAN

POLSKA "SOLIDARNOŚCI"

Lata 1980-1981 w Polsce w oczach prasy krajowej

Str. 464.

F. 120,00.



TOM 368 — SŁAWOMIR MROŻEK

VATZLAV AMBASADOR

Dwie sztuki sceniczne znanego dramaturga
i pisarza

Str. 128.

F. 40,00.